Małgorzata Mroczkowska

Dziennik przetrwania

Zapiski niedoskonałej matki

Małgorzata
Mroczkowska

Dziennik przetrwania

Zapiski
niedoskonałej
matki

Copyright © Małgorzata Mroczkowska, 2018
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadzący: Patryk Mierzwa
Redakcja: Anna Wawrzyniak-Kędziorek / panbook.pl
Korekta: Agnieszka Czapczyk / panbook.pl
Projekt okładki i stron tytułowych: Izabella Marcinowska
Fotografie na okładce: shutterstock/Artmim, shutterstock/ciocna bogdana
Konwersja: Grzegorz Kalisiak

ISBN 978-83-7976-944-5

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

NA POCZĄTKU BYŁA KRÓLEWNA

W pewnym dalekim królestwie, w którym było ciepło i słonecznie, nawet wtedy, kiedy padał śnieg, mieszkała piękna królewna. Królewna nie była już taka całkiem młoda, ale jej cera wciąż lśniła dziewczęcym blaskiem, a włosy miała złote i aksamitne jak u najdroższej lalki. Mieszkała w szklanym pałacu, w którym zawsze było czyściutko, bo też królewicz, czyli mąż królewny, nie szczędził grosza, zatrudniając pomoce pałacowe. Służba uwijała się już od samego rana, by cały pałac był porządnie wysprzątany, by w powietrzu unosił się zapach ulubionego płynu do płukania, by ręczniki w łazienkach (tak, było ich kilka, a co!) leżały poukładane na półkach, a nie rozrzucone na podłodze, czego królewna szczególnie nie lubiła. Podłoga w królewskiej kuchni lśniła tak bardzo, że wchodząc do niej, królewna musiała zakładać okulary przeciwsłoneczne, bo od tej wszechobecnej czystości aż szczypały oczy. *À propos* kuchni, to królewicz zatrudnił na stałe królewskiego kucharza, który dbał o podniebienie naszej królewny. Kucharz gotował zdrowo i nietłusto, żeby nam królewna za bardzo nie przytyła od tego bezustannego siedzenia na tronie.

Po komnatach, wysprzątanych, wywietrzonych i czystych, biegały dzieci królewny i królewicza. Latorośle były tak urocze, tak grzeczne i tak dobrze wychowane, że służyły za wzór dla

poddanych. Kiedy królewna przechadzała się czasem po miasteczku, nie raz słyszała, jak ludzie szeptali za jej plecami.

– Spójrzcie, sąsiadko, jak te młode książęta pięknie spacerują! Nie biegają, nie uderzają patykami w ogrodzenie i nie szarpią królewny matki za sukienkę za każdym razem, kiedy przechodzą obok sklepu z cukierkami.

– O, tak! Widać od razu, że są to dzieci królewskie. Widocznie już w genach mają klasę i spokój.

– Wystarczy spojrzeć na twarz naszej królewny, czyż nie jest piękna? I taka wypoczęta! Ma takie łagodne rysy i spokojne spojrzenie. A dzieci tylko dodają jej uroku.

– Prawda!

Królewna nie musiała odrabiać z nimi lekcji, bo, po pierwsze, dzieci miały swoje guwernantki specjalnie do tego celu zatrudnione, a po drugie, uwielbiały się uczyć. Po powrocie ze szkoły przez chwilę bawiły się w swoim pokoju, po czym biegły do lekcji. I nie trzeba było ich do tej prostej czynności zaganiać!

– Chcemy się uczyć, chcemy być mądre, tak jak nasi rodzice! – wołały. – A po lekcjach upieczemy z naszą mamą tort królewski, będziemy jej pomagać we wszystkim, a potem wszystko po sobie posprzątamy, bo my uwielbiamy sprzątać…

Królewna kochała swoje dzieci. A dzieci kochały swoją matkę i ojca nad życie. A ojciec ich, choć był też królewiczem, to przede wszystkim był mężem królewny matki, która dała życie jego dzieciom, za co okazywał jej dozgonną wdzięczność.

I żyli sobie tak długo i szczęśliwie, a ich dni mijały w szczęściu i spokoju…

Spokoju…

Nie.

Nie…

Nie!

Nie pozwólcie, żeby ten sen się skończył! Niech ktoś go zatrzyma. Nie, nie otworzę oczu. Będę spać tak długo, aż wszyscy uwierzą, że to właśnie ja jestem tą śpiącą królewną. Tak, to o mnie była ta bajka! Tylko że ja wcale nie chcę się obudzić. Chcę wreszcie się porządnie wyspać! Mogę być tą śpiącą królewną do końca życia, naprawdę! Będę tylko leżeć.

– Mamo…

Słyszę nad głową znajomy głos. To mój syn. Pociąga głośno nosem – od tygodnia nie możemy uporać się z jego katarem. Syrop z cebuli już nie pomaga, jest coraz gorzej.

– Mamo, ty śpisz…?!

Nie otwieram oczu. Nie dam się. Ja wiem: moje dzieci uważają, że matka nie potrzebuje snu ani odpoczynku; że matka jest jak robot, który nigdy się nie psuje. Ale nawet taka maszyna jak ja potrzebuje czasem się zresetować.

Nie zauważyłam, kiedy to się stało. Usiadłam tylko na kanapie, żeby podać dziecku klocek, który utknął między poduszkami. Wyciągałam do niego rękę z tym klockiem i właśnie wtedy musiało nastąpić przegrzanie mechanizmu. Oczy same mi się

zamknęły. I padłam, ale tylko na chwilkę, daję słowo. Zresztą mój syn w życiu nie dałby mi zasnąć na dłużej, przecież czekał na klocek, niezwykle ważny klocek. Bez niego cała konstrukcja, nad którą pracował od godziny, ległaby w gruzach.

– Miałaś podać mi klocek, mamo! – woła syn takim tonem, że gdyby do pracy przyjmowali od drugiego roku życia, z pewnością zrobiłby karierę w dziale menadżerskim.

– Już ci go daję… – mówię przez sen.

– Dlaczego nie otwierasz oczu, mamo?

Czuję nad głową jego oddech. Pochylił się i pewnie sprawdza, czy nie umarłam przypadkiem.

– Bo nie chcę… – mówię i urywam szybko.

– Czego nie chcesz, mamusiu?

– Nie chcę, żeby mój sen się skończył, synku.

– Miałaś sen, mamo?

– Yhm.

– A co ci się śliniło? – pyta zaciekawiony.

– Mówi się śniło, a nie śliniło, debilu! – poprawia go starsza siostra, która nie poszła dzisiaj do szkoły, bo kaszle tak, że mogłaby zająć pierwsze miejsce w konkurencji polegającej na pluciu płucami w dal.

– Co ci się śniło, mamo? – powtarza synek.

– Śniły mi się dzieci – mówię, nadal nie otwierając oczu. – Takie cudowne, grzeczne i milutkie.

– Aha! – woła syn nad moim uchem, trochę za głośno. – Czyli my!

– Niezupełnie – odpowiadam z westchnieniem. – Tamte dzieci nie byłyby na tyle okrutne, żeby budzić swoją mamę.

– Ale przecież ktoś musi podać mi klocek – mówi synek stanowczo.

– Proszę. – Podaję mu.

Synek wyrywa mi klocek z dłoni i wraca do swojej budowli.

Ja tymczasem otwieram ostrożnie jedno oko. Potem drugie.

Nie chcę tego widzieć. Nie chcę patrzeć na pokój, który wygląda, jakby przetoczyła się przez niego batalia wojsk, jakby przebiegała tu linia frontu. A może podczas mojego snu trwającego pół minuty wybuchła na świecie jakaś wojna i ja nawet tego nie zauważyłam?

Mam na sobie tylko lewy klapek i zupełnie nie wiem, jak to się stało. Dopiero po chwili dostrzegam, że z prawego klapka (mojego klapka!) syn zrobił sobie właśnie dach garażu, w którym zaparkował autko policyjne. Chwała Bogu, że w zabawce siadła bateria, to chociaż nie daje po całym pokoju tym swoim sygnałem, od którego można dostać zawału. Obok konstrukcji garażowej, z moim klapkiem na czele, stoi sobie na dywanie słoiczek dżemu, otwarty. Obok niego na podłodze leży nadgryziona kanapka z owym dżemem właśnie. Dopiero teraz przypomina mi się, że córka ostatnio miała na niego ochotę. Widocznie synek postanowił zatrzymać słoiczek tylko dla siebie i schował go pod stołem.

– Mamo… – mówi tymczasem córka, jakby czytała mi w myślach. – Nudzi mi się.

Boże, myślę sobie, spraw, żeby to nie był mój dom. Jest jeszcze czas, jeszcze mogę wrócić do tamtego snu, a ty w tym czasie zmień moje życie. Przecież to niesprawiedliwe, żeby taka młoda i zdolna osoba jak ja musiała mieszkać w takim bajzlu. Proszę cię, przyślij mi jakieś wróżki, które raz dwa to posprzątają; uwiną się z tym wszystkim szybciej niż ja. Zresztą, połowę tego bajzlu można spokojnie wyrzucić, poradzimy sobie bez tego doskonale, a nawet będzie nam lżej. Ten dom trzeba odświeżyć, wysprzątać, wyrzucić te wszystkie graty, które nazbierały się w ciągu tylu lat.

Dzieci zostaw. Dzieci nie musisz nigdzie zabierać. Ja wiem, że może i nie są idealne, ale nie oddam ich za nic w świecie. Jeszcze nauczą się sprzątać i nie budzić matki. Wierzę w to, bo co innego mi pozostało?

– Mamo, nudzi mi się – powtarza córka.

Patrzę na nią z wyrzutem i kręcę głową. Ech, gdyby tylko wiedziała, że właśnie uratowałam jej tyłek, bo zła wróżka mogła zabrać ją ode mnie na zawsze. A może by tak faktycznie oddać te dzieci i jeszcze dopłacić? I mieć święty, wymarzony spokój? Ale nie! Biorę to macierzyństwo na klatę. Wychowam te dzieci najlepiej, jak potrafię. Tylko czy ja to przetrwam?

– Nudzi ci się? – powtarzam, podnosząc się z kanapy.

Córka kiwa głową, ziewając.

– I chciałabyś pewnie zrobić coś fajnego?

– No jasne! – ożywia się nagle.

– Mam pewien pomysł – mówię. – To świetne lekarstwo na nudę.

– Jakie? – pyta córka.

– Posprzątaj tu trochę, zanim całkiem zarośniemy.

– I to ma być ten fajny pomysł…?!

– Wiem, że jesteś zawiedziona, ale mam dobrą wiadomość. Pomogę ci. No chyba, że znasz jakieś dobre wróżki, które zrobią to za nas? Może masz do nich telefon?

Córka patrzy na mnie z taką wściekłością w oczach, że przysięgam, gdyby jej wzrok miał moc zabijania, już bym leżała trupem.

Ale żyję. Jeszcze tu jestem. Jeszcze mam dzieci do wychowania! I muszę jakoś dać radę. Choćby mnie syn chciał tym autkiem policyjnym rozjechać na pół, choćby mi córka posyłała gromy tym swoim wzrokiem, to się nie ugnę. W końcu jestem matką. A matka przetrwa każdy kataklizm. Nosem się będzie podpierać, a pobiegnie i na wywiadówkę, i do apteki po syropek, i po drodze jeszcze ulubiony serek kupi, ten czekoladowy, łaciaty, bo wie, że jej dzieci dałyby się za niego pokroić. Bo przecież matka chce dla swoich dzieci jak najlepiej. Nawet wtedy, kiedy miałyby ochotę ją zlikwidować, bo każe im posprzątać pokój albo w najgorszym wypadku zagania do odniesienia kubeczka po soku do kuchni. I nawet nie wymaga umycia go. Matce wystarczy, że dziecko odniesie kubek i wstawi go do zlewu. Matki nie są zbyt

wymagające. A i tak w oczach swoich dzieci żądają zbyt wiele i za często psują w ten sposób całą zabawę. Ba! Matki psują dzieciom całe dzieciństwo, bo przecież wiecznie trzeba coś robić, a można by się tylko bawić, no nie?

Tak, matka ma po prostu przerąbane. I to we własnym domu, pod własnym dachem.

Pozwólcie, że się przedstawię

Mam na imię Sylwia. Jestem matką. To po pierwsze. Po drugie, jestem żoną Piotrka. I, dopiero po trzecie, jestem kobietą. Tak siebie postrzegam, dokładnie w takiej kolejności. Czasami to nawet wydaje mi się, że mnie nie ma, że są tylko moje dzieci. I chociaż mam sobie wiele do zarzucenia i nie jestem doskonałą matką ani żoną, to dzieci mam absolutnie doskonałe. Tak, mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że w życiu najlepiej wyszły mi dzieci. Co z tego, że po sobie nie sprzątają, że wchodzą mi na głowę, że krzyczą? To wszystko i tak jest nieważne. Najważniejsze, że w ogóle je mam, i od kiedy pojawiły się na świecie, nie wyobrażam już sobie bez nich życia. A czy one wyobrażają sobie życie beze mnie? No jasne! Przecież mówiłam, że daleko mi do doskonałości. Moja córka, Helena, która ma dziesięć lat i właśnie wchodzi w wiek nastoletni, powiedziała mi już nie raz, że jestem najgorszą matką na świecie. Pewnie usłyszę to jeszcze z milion razy i muszę być na to przygotowana. Filip, mój pięciolatek, największy rozrabiaka w przedszkolu, nie jest lepszy od swojej siostry i już kilkakrotnie próbował mnie uśmiercić, na szczęście tylko słownie. Tak, wychowywanie dzieci w dzisiejszych czasach jest niezwykle wyczerpujące psychicznie. Czasami mam wrażenie, że jestem jak bateria, która za chwilę się wyczerpie i będzie

można ją tylko wyrzucić na śmietnik. A potem nagle dostaję przypływu energii i żyję od nowa, żyję dalej. Każda matka dla własnego dobra psychicznego i fizycznego musi się od czasu do czasu zresetować. Najlepiej wtedy zejść z oczu dzieciom, których widok tylko niepotrzebnie podnosi ciśnienie, zamknąć się na dziesięć minut w łazience i poczytać gazetę albo książkę. Najlepiej wtedy zniknąć.

Dzisiejsze dzieci mają taką łatwość wypowiadania się, że z największą swobodą i, co gorsza, z przyjemnością mówią matce wszystko, co im się podoba. Potrafią słowem wbić matkę w ziemię, potrafią życzyć jej śmierci kilkakrotnie w ciągu jednego dnia. Kiedy ja byłam dzieckiem i byłam zła czy nawet wściekła na moją matkę, mogłam jej powiedzieć co najwyżej: „Nie lubię cię, mamo!". To i tak było jak strzał z dużego kalibru. Mowy nie było jednak, by krzyczeć na cały dom, że ją zabiję, że jej nienawidzę i że wolałabym inną matkę mieć! Dzisiaj wszystko się zmieniło i dzieci korzystają z nadanego im przez nowoczesne wychowanie prawa do wypowiadania własnych poglądów.

I co biedna matka może w takiej sytuacji zrobić? Udawać, że nie słyszy. Nie należy zbytnio tych życzeń śmierci analizować i przejmować się nimi, bo wiem z własnego doświadczenia, że za chwilę nasz niedoszły morderca, dodajmy dla jasności: trzyletni morderca, przybiegnie i z rozbrajającym uśmiechem na pyzatej buzi poprosi nas o kanapeczkę albo inne „kakałko", które tylko mama potrafi przygotować tak, żeby smakowało najlepiej na

świecie. I znowu świeci słoneczko i jest cudownie jak w reklamie. Aż do kolejnego napadu histerii, tym razem ze strony drugiego dziecka albo, co gorsza, męża, który również czuwa nad tym, żeby matce nie było za spokojnie.

I tak buja się ta matka z jednego nastroju w drugi, obijając się o ściany własnej wyobraźni niczym piłka o murawę. I uczy się każdego dnia, jak odnaleźć spokój ducha, jak przeżyć kolejny dzień i przede wszystkim, jak tym dzieciom, w dodatku własnym, nie dać się wdeptać w dywan. Bo ogólnie zasada jest jedna i ta sama w każdym domu: dzieci ojcom wchodzą na głowę, a matkę wdeptują w dywan. Matkę, która siedzi z nimi w domu i jest obecna przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, można traktować jak powietrze. Matki się nie widzi, nie zauważa się jej pracy i ogólnie traktuje się ją pobłażliwie. Co innego tata. Tata jest kimś ważnym, bo, po pierwsze, wychodzi codziennie z domu do pracy, co powoduje, że dzieci tęsknią za nim i czekają na jego powrót. A po drugie, skoro tata pracuje, to i zarabia, i dzieci bardzo szybko zaczynają te dwa fakty kojarzyć. No, a skoro tata przynosi do domu pieniążki, to oznacza, że za te pieniążki może dzieciom kupić coś fajnego do zabawy albo do zjedzenia, prawda? Matka, choćby na głowie stawała ze swoimi pierogami czy naleśnikami przygotowanymi ze zdrowych składników kupionych na bazarku od rolnika, i tak nie wygra z ojcem, który zabierze dzieci na frytki albo hamburgera na mieście. I choćby te frytki były smażone w starym i niezdrowym tłuszczu, to i tak będą

dzieciom bardziej smakowały, a ten, kto zabierze na nie dzieci, będzie bohaterem!

Szybko odkryłam tę zasadę i dałam sobie spokój z gotowaniem w ogóle. One, czytaj: dzieci, i tak tego nie docenią, a wręcz przeciwnie. Nie chciałam doprowadzić do tego, że sama mam napychać się zdrowymi kotletami ugotowanymi na parze, podczas gdy nim się obejrzę, cała reszta domowników zwieje mi na frytki.

Z tym gotowaniem to w ogóle jest jakaś podejrzana sprawa. Otóż, kiedyś podjęłam wyzwanie pod tytułem „domowa pizza". Postanowiłam nauczyć się robić to jakże proste w obsłudze danie. No bo co to w końcu za filozofia ugnieść ciasto, wysmarować je keczupem, obrzucić kiełbasą pokrojoną w plasterki i posypać tartym serem? Żaden problem. Niestety, pizza w moim wykonaniu, choć początkowo wyglądała całkiem przyzwoicie i nawet z tym ciastem jakoś dawałam radę, to po upieczeniu okazywała się twarda jak deska! Ale się nie poddawałam, w myśl zasady, że praktyka czyni mistrza. I co? I doszło do tego, że kiedy oznajmiałam domownikom: „słuchajcie, dzisiaj na obiad będzie pizza", to zamiast radości na ich twarzach widziałam tylko przerażenie.

– A to będzie pizza ze sklepu czy… domowa? – zapytała mnie któregoś razu Helena.

– A czy to takie ważne? – Wzruszyłam ramionami.

– To jest najważniejsze, mamo. No więc?

– Ja chcę mrożoną! – krzyknął Filip.

– Poczekajcie. – Mój mąż, a ich ojciec, próbował uspokoić towarzystwo. – Dajcie powiedzieć mamie. No więc, kochanie?

– Jezus Maria, nie mów mi, że dla ciebie to też jest takie ważne!

– No wiesz, chciałbym wiedzieć, czy w ogóle można liczyć na to, że tym obiadem się najemy.

– Oczywiście, że się najecie! – odpowiedziałam.

– Bo ostatnio to po tej pizzy, co mamie nie wyszła, musieliśmy zamówić pizzę na telefon, prawda, tato? I ona była taka pyszna. Możemy zamówić jeszcze raz, tato?

– Filip!

– Kochanie – chrząknął Piotrek. – Nie chcę ci, oczywiście, niczego sugerować, ale nie uważasz, że masz tyle pracy w domu, że mogłabyś sobie od gotowania odpocząć, chociaż od czasu do czasu?

– No ale…

– Bo jeśli chciałaś znowu zrobić nam domową pizzę, to może lepiej zamówmy. No po co masz się tak męczyć?

Bali się. Byli przerażeni, że znowu podam im na talerzach coś, co nawet nie będzie z wyglądu przypominało ich ukochanej pizzy.

Więc dałam sobie spokój z tym domowym gotowaniem.

I powiem wam, że wszyscy na tej decyzji skorzystali. W końcu pizzerie są po to, żeby ludzie w nich kupowali pizzę również na wynos, prawda? Drugą Magdą Gessler i tak nie zostanę. Szkoda mojego czasu.

Królowa matka, która nie panuje nad swoim królestwem

Oto ja. Królowa matka. Kobieta mocy, która rządzi w królestwie chaosu, czyli w moim domu. „Ja tu tylko mieszkam”, chciałoby się powiedzieć. I tak byłoby najłatwiej. Niestety, od królowej matki się wymaga i oczekuje, że:

- wie wszystko;
- zna odpowiedź na każde pytanie;
- wyleczy każdą chorobę i w razie czego chociaż podmucha i pocałuje;
- nakarmi czymś, co da się w ogóle przełknąć;
- będzie gotowa wstać o północy do każdego, w tym również do męża, który ma katar i prosi o chusteczkę;
- odbierze, zawiezie i wysadzi, choćby to był koniec miasta i matce nie będzie to wcale po drodze.

Królowa matka ma mieć też doskonałą pamięć do dobrych uczynków, jakie czasem zdarzają się jej podopiecznym, i słabą pamięć do złych uczynków, które jej podopiecznym zdarzają się stale. Matka ma po prostu o złych rzeczach nie pamiętać, nie

wypominać, nie przypominać i nie straszyć karą. Matka, a zwłaszcza królowa matka, ma przede wszystkim kochać. I cierpliwie czekać na tej miłości okazywanie. Mówiąc krótko, królowa matka ma być chodzącym ideałem.

Niestety, w rzeczywistości domowej, a przynajmniej w moim domu, jest dokładnie odwrotnie. To znaczy:

- denerwuję się właściwie bez przerwy; w ogóle nie mam cierpliwości, a już do własnych dzieci szczególnie;
- zdarza mi się zaspać i nie odebrać (kiedyś zapomniałam nawet odebrać Filipa z przedszkola, bo mnie serial wciągnął, i od tamtej pory mam zasadę, że po południu nie oglądam telewizji w ogóle, żeby podobne incydenty mi się nie przytrafiły; w każdym razie mina pani woźnej, która musiała zostać dłużej z ostatnim, nieodebranym dzieckiem, była bezcenna…);
- krzyczę; ciągle muszę do nich mówić podniesionym głosem, bo mam wrażenie, że inaczej mnie nie słuchają.

Tak że jeśli chodzi o mój dom, to jestem samozwańczą królową matką. Nikt mi tego tytułu nie nadał, sama się nią ogłosiłam. Oni, czyli dzieci i mąż, w ogóle uważają, że ja nie ogarniam, nie panuję nad tym chaosem, którego zresztą sami są autorami, a przynajmniej nieźle się do niego dokładają. Wiecie, o co chodzi. Powinni mnie słuchać, ale tego nie robią. Takie właśnie jest to moje domowe królestwo. Dworzanie, czyli książę Filip i księżniczka Helena, chodzą po prostu własnymi ścieżkami. I ja im

tego nie zabraniam! Dopóki nie wejdą na moją ścieżkę i nie zaczną mi deptać po piętach, staram się to wszystko tolerować. A jeśli mnie nie słuchają, robią mi na złość i wrzeszczą, a w ekstremalnych przypadkach rzucają się na podłogę sami lub ciskają w nią różnymi przedmiotami, to wtedy z przykrością przyznaję, że zamieniam się w złą królową. Tak kiedyś nazwała mnie Helena. Jestem wtedy czarownicą, mój głos staje się tak groźny i donośny, że aż sama boję się siebie słuchać. A mój palec, którym staram się wskazywać dzieciom jedną i jedynie słuszną drogę, wydłuża się w sposób magiczny i przypomina wyschniętą gałąź (tak mi powiedział Filip). Coś w tym jest, bo pewnego dnia podczas takiego właśnie przywoływania dzieci do porządku przypadkiem nadziałam się na lustro w przedpokoju i zobaczyłam w nim swoją minę; trzeba przyznać, że niezwykle groźną i posępną. Normalnie sama się przestraszyłam. No, taki był właściwie mój cel. Przecież muszę jakoś nad tym królestwem szemranym panować, prawda? Od czasu do czasu trzeba więc huknąć albo nogą tupnąć, żeby mnie słuchali.

Helena, dawno temu, kiedy jeszcze chodziła do zerówki, zrobiła mi z bibuły żółtą koronę, którą przyniosła ze szkoły i wręczyła mi oficjalnie ze słowami:

– To dla ciebie, kochana mamusiu.

– Dla mnie…? – Zdziwiłam się, przyjmując ten wzruszający, symboliczny prezent.

– Tak, dla ciebie – powtórzyła. – Dla mnie jesteś królewną…

– Moje kochane dziecko. Niech cię uściskam. – Przytuliłam ją z całej siły.

– Ale zrobisz mi kisiel, prawda?

– Oczywiście, że zrobię.

– Bez grudek?

– Bez grudek.

– Obiecujesz?

Dziesięć minut później mieszałam z zapałem łyżką drewnianą w garnuszku, żeby tych grudek uniknąć. Ale przynajmniej z koroną na głowie!

Moja mama sobie poszła

Helenka miała wtedy jakieś trzy latka. Była zima i poszłyśmy na plac zabaw porzucać się śnieżkami. Po chwili odebrałam telefon. Dzwoniła mama i akurat w tamtej chwili chciała mi podać bardzo łatwy przepis na bigos.

– Po co mi ten przepis? – zapytałam.

– Jak to po co? Ugotujesz na święta i będzie jak znalazł.

– Przecież ja nie umiem gotować! Zapomniałaś już, jak zrobiłam kurczaka, który był twardy jak deska do krojenia?

– No właśnie dlatego podaję ci bardzo łatwy przepis, żebyś się nie zniechęcała po tym nieszczęsnym kurczaku.

– Za późno – westchnęłam do słuchawki i spojrzałam na Helenkę, która lepiła bałwana. – Czy wszyscy muszą gotować? Jest tyle innych fajnych rzeczy do roboty poza gotowaniem…

– Potrzebujesz pół kilograma kapusty, tylko nie kiszonej… – zaczęła mama, najwyraźniej puszczając moją uwagę mimo uszu.

– Mamo, jestem teraz na placu zabaw z Heleną i nie mam nawet jak zapisać.

– Nie musisz zapisywać, zapamiętasz, mówiłam ci, że to jest prosty przepis. No więc kupisz sobie w warzywniaku…

Spojrzałam w stronę mojej córki, która bawiła się świetnie. Podczas gdy mama podawała mi ten cholerny łatwy przepis na

bigos, który i tak okaże się porażką, zobaczyłam, jak podeszła do niej jakaś dziewczyna z córeczką w podobnym wieku. Dziewczynki zaczęły razem bawić się śnieżkami. Wszystko wyglądało super.

Po jakichś pięciu minutach skończyłam rozmawiać z mamą, bo ręka mi zmarzła od trzymania tego telefonu na zimnie. Schowałam telefon do torebki i podeszłam do Heleny.

– No i jak się bawicie? – zapytałam.

– Super się bawimy! – odpowiedziała mi córka.

– Widzę, że masz koleżankę?

– Tak.

– Jak ci na imię? – zapytałam dziewczynkę.

– Jestem Hania – odpowiedziała.

– Jak miło. A to jest Helenka.

– Wiem, już się poznałyśmy, proszę pani.

Trochę było tego dnia zimno, więc powiedziałam:

– Helenka, jeszcze pięć minut i wracamy do domu.

– Ale dlaczego tak wcześnie?

– Jesteśmy tu już od godziny, a ja muszę jeszcze w domu bigos ugotować – warknęłam pod nosem.

– Ale pani nie może jeszcze iść – odpowiedziała mi na to tym razem Hania, z którą moja córka lepiła wspólnie bałwana.

– Tak? – zdziwiłam się. – A to dlaczego?

– Bo moja mama jak odchodziła, to powiedziała, że mam się pani pilnować.

– Słucham…?

– I nigdzie się stąd nie ruszać – dodała.

– A gdzie jest twoja mama? – zapytałam, rozglądając się dookoła.

– Nie wiem. Poszła coś załatwić.

– Aha.

Faktycznie, nigdzie nie widziałam tamtej kobiety. Nawet nie zauważyłam, kiedy właściwie sobie poszła. Wyglądało na to, że Hania miała rację.

Głupio mi się zrobiło i chociaż miałam już czerwony nos od tego mrozu, to mimo wszystko nie chciałam zostawiać małej dziewczynki samej na placu zabaw. Przecież obie świetnie się bawiły, prawda?

Poczekałyśmy jeszcze dobre pół godziny i już zaczynało się ściemniać, kiedy matka Hani łaskawie pojawiła się na placu zabaw.

– Dobrze, że pani już jest! – powiedziałam na jej widok.

– Hania! – krzyknęła – Do domu!

– Proszę pani, dlaczego zostawiła pani dziecko bez opieki? – zapytałam wprost, bo byłam wściekła.

– Słysząc to, matka Hani odwróciła się do mnie i powiedziała:

– Jak to bez opieki? No przecież pani tu jest, prawda?

– Ale ja pani nie znam!

– Ale ja panią znam.

– Jak to…?

– Przychodzi tu pani regularnie przecież!

– Ale to nie znaczy, że mam pani dziecka pilnować! Bardzo panią przepraszam, ale tak się nie robi, to jest nieodpowiedzialne! Obie z córką jesteśmy teraz przemarznięte i…

– No faktycznie, korona z głowy pani spadła!

– Słucham…?

– Wielka mi rzecz. Następnym razem ja popilnuję pani córki, nie ma problemu.

– W życiu bym pani dziecka nie zostawiła! – powiedziałam.

– No to jesteśmy kwita. Hania, do domu!

I tak dostałam pierwszą lekcję na placu zabaw: albo nie interesuj się innymi dziećmi poza własnymi, albo jeśli już zdecydujesz się okazać serce jakiemuś dziecku, to przygotuj się na burę, jaką zgotuje ci jego matka. O wdzięczności z jej strony możesz zapomnieć.

OCZEKIWANIA,
CZYLI JAKA MA BYĆ WSPÓŁCZESNA MATKA

Wiecie, jaki jest najgorszy problem dzisiejszych matek? Po pierwsze, oczekiwania społeczeństwa wobec nich, po drugie, oczekiwania męża wobec niej i po trzecie, oczekiwania samej matki. Po latach dojdą oczywiście dodatkowo oczekiwania jej własnych dzieci. Póki co dzieciak jest zbyt mały, by matkę krytykować, i jedyne, na czym mu tak naprawdę zależy, to czysta pielucha na uroczej pupie oraz w miarę zjadliwe mleko w butelce.

Problem polega na tym, że każdy oczekuje od matki czegoś innego. I każdy widzi ją w innej roli. W innej poza matczyną, rzecz jasna.

Mąż oczekuje od matki swoich dzieci, że poza poświęcaniem czasu na ich wychowanie, jakby dodatkowo wychowa także jego samego, czyli:

- przygotuje mu śniadanie, najlepiej jajka na boczku i sok ze świeżo wyciskanych owoców;
- wyprasuje mu koszulę i dobierze do niej krawat;
- znajdzie najlepsze miejsce na wakacje, no bo przecież ma mnóstwo czasu na takie rzeczy, skoro i tak siedzi w domu;

• aha, i jeszcze wyprowadzi psa, bo i tak z dzieckiem się prowadza po różnych placach zabaw, to czemu psa miałaby nie zabrać, jakby przy okazji, prawda?

Społeczeństwo oczekuje od matki tylko jednego: że będzie matką Polką. A matka Polka, po pierwsze, nigdy na nic nie narzeka, a po drugie, każde zadanie wychowawcze bierze na klatę. Społeczeństwo nie przewiduje, że matka może mieć gorsze dni, kiedy jej cierpliwość spada poniżej zera i wkurza ją wtedy wszystko, nawet jej własny mąż, o dzieciach nie wspominając.

A jakie są oczekiwania samej matki wobec siebie?

To bardzo proste. I oczywiste. Matka chciałaby przede wszystkim być szczupła, mieć modną sukienkę albo jeszcze lepiej torebkę, mieć dom jak z katalogu, najlepiej urządzony w pastelowych kolorach i z dużymi oknami, przez które wpadałoby dużo słońca, którego matka potrzebuje najbardziej. I jeszcze żeby ktoś inny, a nie ona sama, ten dom posprzątał! Oczywiście, że matka chciałaby także być dobrą matką dla swoich dzieci, które kocha najbardziej na świecie. Ale, na miłość boską, czy od kiedy wydała je na świat, przestała istnieć? Czy ludzie przestali ją zauważać? Czy teraz liczą się tylko jej dzieci i tylko ich potrzeby?! A matka? Co z matką?

Nigdy nie zapomnę mojej pierwszej wizyty u teściów po porodzie, kiedy to na świat przyszła ich pierwsza wnuczka.

Teściowa odwiedziła mnie jeszcze w szpitalu, ale trwało to na szczęście bardzo krótko.

Pojechaliśmy do nich dokładnie miesiąc po całym wydarzeniu, kiedy byłam w stanie przynajmniej siedzieć na krześle (tak, szwy wreszcie się zagoiły).

Teściowie nie odwiedzili nas w domu, bo, jak twierdziła teściowa, „lepiej nie wwozić do domu nowych bakterii i wirusów". Tak właśnie powiedziała. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby wobec dziecka zachowywać aż takie środki ostrożności i sterylną czystość, zwłaszcza że nasz dom zawsze pozostawiał wiele do życzenia. No, ale skoro tak powiedziała, to nie zamierzałam z nią dyskutować. Prawdę mówiąc, po porodzie potrzebowałam trochę spokoju i wcale nie czułam się urażona tą ich powściągliwością w odwiedzinach.

Po miesiącu, kiedy w jakiś cudowny sposób udało nam się z Piotrkiem odkopać ze sterty pieluch, kaftaników i butelek plastikowych do mleka, spakowaliśmy wszystko do samochodu i pojechaliśmy na drugi koniec miasta, gdzie mieszkają teściowie. Wypakowanie całego inwentarza zajęło nam dobry kwadrans. Zabraliśmy ze sobą plastikową kołyskę, która służyła też za fotelik do przewożenia noworodka, siatkę z pieluchami, torbę z butelkami i mlekiem w proszku, zapas kaftaników, zapas śliniaków, chusteczki wilgotne do zmywania, krem na odparzenia, oliwkę do smarowania i szczoteczkę do włosów, gdyby dziecko się, nie daj Boże, rozczochrało. I jeszcze do tego osobną torbę z

grzechotkami, żeby dziadkowie mieli czym mu grzechotać podczas tej pierwszej, oficjalnej wizyty. Aha, oczywiście wzięliśmy ze sobą również samo dziecko, naszą uroczą Helenkę, którą tego dnia ubrałam w różowe śpioszki.

– Boże! – Teściowa załamała ręce już od samego progu. – Jak to dziecko strasznie szybko rośnie!

– Tak mama myśli? – spytałam niewyraźnie.

– No, oczywiście! Spójrz tylko, Stefan, jakie ma puce. W szpitalu takich nie miała, prawda?

– Trudno mi to potwierdzić, kochanie – chrząknął teść cicho zza jej ramienia. – Bo mnie do szpitala nie zabrałaś.

– Jeszcze tego by brakowało! Obcy mężczyźni na porodówce! – Teściowa wzniosła oczy do nieba.

– Przecież tato nie jest obcy – dodał Piotrek, słusznie zresztą.

– Mój drogi, pozwól, że przypomnę ci, iż twój ojciec zobaczył ciebie dopiero w drugiej dobie, bo za moich czasów dzieci nie pokazywało się ojcom tak od razu. Matkom zresztą też nie.

– Ale czasy na szczęście się zmieniły. – Piotrek zdjął Helence czapeczkę.

– Nadal uważam, że im mniej was na porodówce, tym lepiej. – Teściowa była nieugięta.

– To była sala poporodowa, mamo.

– Tym bardziej! Czy myślisz, że kobieta w połogu potrzebuje wizyt obcych mężczyzn? Przechodziłam przez to dwukrotnie i

wiem, że wtedy każda z nas potrzebuje odrobiny intymności i spokoju, nieprawdaż, Sylwio?

Tu spojrzała na mnie, pochylając głowę.

– Naprawdę, mamie odebrano Piotrka od razu po porodzie? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Oczywiście! – odpowiedziała, bez cienia wątpliwości. – Tak krzyczał, a ja byłam taka bezradna, że nie miałam nic przeciwko temu.

– Dziwne czasy. – Piotrek wzruszył ramionami. – Ja byłem cały czas przy Sylwii, trzymałem ją za rękę podczas porodu i nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

– No, właśnie, Sylwio. – Teściowa usiadła przy ławie w salonie. – Jak ty się czujesz, moja kochana? – Już otwierałam usta, żeby jej odpowiedzieć, kiedy usłyszałam: – Twoja mama mówiła, że strasznie cię porozrywało. Moje biedactwo, ale już zarosłaś, mam nadzieję?

Poczułam się co najmniej jak ofiara wojny domowej i nawet wyobraziłam sobie bombę, która musiała wylecieć w powietrze właśnie między moimi nogami.

Powiedzmy sobie szczerze, że poród naturalny nie należy do przyjemności i przypomina nieco małą bitwę, no ale bez przesady. Owszem, miałam jeszcze na sobie sporo ran, które wymagały czasu, ale mimo wszystko nie czułam się jak jeniec wojenny, który właśnie wrócił z frontu. Przeciwnie. Czułam się jak zwycięzca, bo

z tej walki wróciłam z cudownym dzieckiem, które teraz trzymałam dumnie na rękach.

– Sylwia czuje się już całkiem dobrze, mamo – odpowiedział Piotrek, stawiając na drewnianej, wypolerowanej na błysk ławie butelkę do karmienia małej.

– Pytam, bo jakoś tak bladziutko wyglądasz – dodała teściowa. – Nie brakuje ci witamin?

– Jedyne, czego mi brakuje, to kredka do oczu i trochę różu. Po prostu zapomniałam się dzisiaj umalować, mamo.

Słysząc moją odpowiedź, teściowa wbiła we mnie ostre spojrzenie.

– Kredka do oczu…? – powtórzyła z niedowierzaniem. – O czym ty mówisz?

– O makijażu, mamo.

– Ale po co ci to teraz, dziecko?

– Jak to po co? Zawsze się malowałam. Jestem blada z natury i nie czuję się najlepiej bez makijażu, ale Helenka tak nam ostatnio daje popalić, że już nawet zapominam o podstawowych rzeczach.

– Malowanie się nazywasz podstawowymi rzeczami…?

– No tak. Piotrek, pójdziesz do kuchni po przegotowaną wodę? – Spojrzałam na mojego męża błagalnym wzrokiem.

– Jasne.

Tymczasem teściowa wróciła do naszej konwersacji.

– Sylwio, teraz, kiedy urodziło się wam dziecko, te wszystkie malowanki nie będą ci już potrzebne – powiedziała. – Zapomnij o

tym.

Przyznam, że jej zdanie na temat makijażu bardzo mnie zaskoczyło.

– A dlaczego miałabym o tym zapomnieć? – zapytałam.

– No bo teraz najważniejsze będzie twoje dziecko. A nie ty.

Głośno przełknęłam ślinę.

– To znaczy, że ja się już całkiem nie liczę?

– Ależ liczysz się!

– No pewnie, że się liczysz – dodał teść.

– Jesteś matką tego małego szkraba, musisz go karmić…

– I zmieniać pieluszki – dokończyłam. – I robię to. Cały czas się tego uczę. Ale nie rozumiem, dlaczego miałabym rezygnować przy tym z siebie.

– Bo szkoda czasu na takie głupoty.

– Mnie nie szkoda – warknęłam. – Poza tym nie uważam siebie za głupotę.

– Mów sobie, co chcesz, ale i tak nie będziesz go miała.

– Czego nie będę miała?

– Czasu – odpowiedziała teściowa, uśmiechając się do Helenki. – Teraz cały swój czas będziesz musiała poświęcić jej. Kto ma ochotę na herbatę?

Aż się we mnie zagotowało.

Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie taką matką chciałam być! Może jeszcze miałabym chodzić w rozciągniętych starych dresach, bo po co dbać o ubranie dla siebie? Może miałabym też przestać się myć

i golić pod pachami? O, nie! Nie zrobicie ze mnie baby, która po kilku miesiącach będzie przypominała dinozaura, a nie matkę. Nie dam się! Po moim trupie.

Przy herbacie i domowym cieście, które teściowej wychodzi wyśmienicie, atmosfera przy ławie wyraźnie się rozluźniła. Nakarmiona Helenka zasnęła w swojej kołysce, a my mogliśmy porozmawiać o innych sprawach niż zmienianie pieluch. Nareszcie!

Teść postawił na stole pustą szklankę (teściowie piją herbatę w szklankach, a nie w kubkach, bo twierdzą, że w szkle im lepiej smakuje) i patrząc na Piotrka, powiedział:

– Na pewno macie teraz sporo wydatków, synu?

– To prawda. – Mąż uśmiechnął się. – Mówią, że wychowanie dziecka kosztuje tyle, co nowy samochód.

– Dlatego warto od razu pomyśleć o drugim – dodała teściowa szybko. – Ze względów oszczędnościowych, chociażby. Nic się nie zmarnuje po pierwszym dziecku. No przecież szkoda by było to wszystko wyrzucić.

– Można sprzedać – powiedziałam.

– Ale po co od razu sprzedawać! – zaprotestowała. – U nas w piwnicy jest miejsce, prawda, Stefan?

Teść skinął głową.

– Przechowamy wam wszystko, a przy drugim będzie jak znalazł!

– Boże, mamo, nie narzucaj nam tempa, błagam! – powiedział Piotrek. – Ledwo ogarniamy się przy jednym dziecku.

– Ja tylko wam radzę, bo mam w tym doświadczenie, jak wiecie. Przecież twoja siostra urodziła się rok po tobie. I co, źle wam było?

– Mamo.

– No już dobrze, dobrze. – Wyprostowała się na sofie. – Zrobicie, jak zechcecie.

– Dziękujemy za pozwolenie – dodał Piotrek, który też już chyba miał trochę dość tej wizyty.

– Nie denerwujcie się tak, bo mamy dla was pewną niespodziankę. – Teściowa spojrzała na teścia – Mów, Stefan.

– Nastąpiła chwila konsternacji i w końcu teść Stefan oznajmił:

– Przygotowaliśmy z mamą dla was mały prezent.

– Od razu dodam, że to nic wielkiego, kochani, ale teraz każda pomoc finansowa się przyda, prawda? – dodała teściowa.

– Dziecko rośnie – dodał teść. – Nim się obejrzycie, a już to łóżeczko, w którym teraz śpi, zrobi się za małe.

– To prawda – odpowiedział Piotrek. – Ale nie musicie się o nas martwić, na razie dajemy radę.

– No tak, ale Sylwia teraz nie pracuje – wtrąciła teściowa, jakby mimochodem – więc nie powiecie mi, że nie odczuwacie braku gotówki.

– Nie, nie odczuwamy – skwitowałam.

– Mimo to przygotowaliśmy dla was dwa tysiące – powiedział teść.

– Na drobne wydatki. – Teściowa uśmiechnęła się. – Mówiłam, że to niewiele, ale niestety tylko tyle możemy teraz wam dać.

– Mamo, ale mówiłem ci, że to zbyteczne.

– Kupicie sobie podgrzewacz do butelek albo co tam będziecie chcieli, synu.

– Teść wyciągnął rękę nad ławą i podał Piotrkowi białą kopertę z zawartością.

– Jakoś tak mi głupio – powiedział.

– Ty lepiej podziękuj ojcu – stwierdziła teściowa. – Należy wam się jakaś pomoc, prawda? No to pochwalcie się, co sobie za to kupicie?

Muszę przyznać, że gest teściów był jak miód na moje serce. Głupio to zabrzmi, bo zawsze mnie uczono, że za pieniądze nie można kupić miłości. I, co gorsza, ja cały czas w to wierzyłam. Ale w tak chwilach, które, powiedzmy sobie szczerze, wcale nie zdarzają się nam często, nie umiałam przestać się cieszyć. Kurczę, dwa tysiaki piechotą nie chodzą! Wiadomo. Jakoś tak od razu zrobiło mi się miło, że przynajmniej taka drobna radość nas spotkała. Nawet nie wiem, kiedy stałam się taką materialistką, i zdziwiłam się, że te dwa tysiaki, które spadły nam z nieba, sprawiły mi tyle radości.

– Dziękujemy – wydusiłam z siebie. – To bardzo miło z waszej strony i na pewno na coś nam się przydadzą.

Piotrek wzruszył ramionami. Widać nadal nie był zadowolony z tego, że musi brać kasę od rodziców. Jakieś dziwne poczucie dumy nie dawało mu spokoju. Zupełnie nie rozumiałam tej postawy i szturchnęłam go łokciem w bok. Skrzywił się i z wyraźnym bólem w sercu schował kopertę do mojej torebki.

– To co sobie za to kupicie? – zapytała teściowa, zbierając na tacę puste szklanki po herbacie.

– Może ja mamie pomogę? – Zerwałam się, ale ona gestem usadziła mnie z powrotem w fotelu.

– Ty sobie teraz siedź, moja kochana. Jeszcze się nabiegasz przy Helence, tylko patrzeć. A teraz odpoczywaj.

Muszę przyznać, że moja teściowa znowu mnie zaskoczyła. Może niesłusznie ją źle oceniałam? Przecież chciała dla nas dobrze. Pewnie to ja miałam wobec niej wygórowane wymagania, sama nie będąc w najmniejszym stopniu aniołem. Przecież nie jest taka zła! Tak, pomyślałam, mam całkiem spoko teściową. Rozparłam się wygodnie w fotelu i wzięłam głęboki oddech.

Dziecko spało słodko, dwa tysiaki w torbie czekały na wydanie, a ja rozpływałam się w szczęściu. Było mi dobrze.

– To co sobie kupicie? – dopytywała się teściowa. – Może spacerówkę? Zanim się obejrzymy, za oknem zrobi się wiosna.

– Taka spacerówka – ciągnął teść – to całkiem dobry pomysł. Można z dzieckiem pójść do parku.

– Albo nad rzekę – dodała teściowa. – To jakie macie plany?

Spojrzałam na Piotrka i posłałam mu uśmiech.

– Szczerze mówiąc – stwierdził mój mąż – zaskoczyliście nas z tą gotówką.

– Chyba lubię takie niespodzianki – dodałam, sięgając po kolejną porcję ciasta.

– Myślałem, żeby… – Piotrek chrząknął. – Żeby może kupić wreszcie nowe wycieraczki do samochodu.

Słysząc jego odpowiedź, myślałam, że się udławię. Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.

– Przecież dostaliśmy te pieniądze od rodziców na spacerówkę – powiedziałam.

– Wózek może spokojnie poczekać – dodał Piotrek. – Przecież ten wózek, który mamy, spokojnie wystarczy jeszcze przez najbliższy rok. Nie pamiętasz, co powiedział sprzedawca?

– Sprzedawcy powiedzą wszystko, co chcesz usłyszeć – dodał teść.

– Wycieraczki do twojego samochodu?! – powtórzyłam oburzona.

– Przypominam ci, że to jest również twój samochód, kochanie.

– Ale to ty nim jeździsz codziennie. Ja na razie pcham wózek w parku i nie potrzebuję wycieraczek, bo nawet nie miałabym gdzie ich przymocować. Może na powiekach?

– Ty to zawsze patrzysz tylko ze swojej perspektywy – powiedział mój mąż.

– A ty ze swojej.

– Nie kłóćcie się – upomniała nas jego matka. – Przecież możecie zrobić z tymi pieniędzmi, co chcecie. Wystarczy, że wydacie je na coś, co jest wam teraz najbardziej potrzebne.

– Wycieraczki się do tego nie zaliczają. – Pociągnęłam nosem.

– Nie będziemy w zimie kupować wózka na lato! – krzyknął Piotrek.

– Dobrze. Ale nie kupimy też wycieraczek do twojego samochodu.

– W porządku. W takim razie wymienimy sobie klawiaturę w komputerze, bo też prosi się o to od kilku miesięcy.

– Słucham…? – zapytałam głośno. – Znowu mamy kupić coś dla ciebie?!

– No przecież ty też korzystasz z tego komputera!

– Dobrze powiedziane: „korzystam”. W przeciwieństwie do ciebie, bo ty przesiadujesz przy tych grach non stop! Aż klawiatura wysiadła!

– Właśnie dlatego chcę kupić nową.

– Na pewno nie za te pieniądze.

– Bo co?

– Bo ja ci na to nie pozwolę.

– Sylwia ma w sumie rację – wtrącił cicho teść.

– Stefan, to są ich sprawy.

– No przecież wiem.

– To się nie odzywaj! – Tu teściowa spojrzała w moim kierunku. – A może niech Sylwia coś powie? Skoro propozycje

Piotrka jej się nie spodobały, to posłuchajmy, co ma do powiedzenia. Kobiety zawsze wykazują się w takich sytuacjach większym rozsądkiem, prawda, Sylwia?

Wyprostowałam się w fotelu.

– Skoro on – wskazałam palcem na Piotrka – chce kupić wycieraczki i nową klawiaturę…

– Z których, dodajmy, korzystamy wszyscy! – wtrącił mój mąż.

– To w takim razie ja za te pieniądze kupiłabym… – Rozejrzałam się dookoła. Wszyscy w napięciu czekali na moją odpowiedź.

– Może nowe łóżeczko? – podpowiedziała mi teściowa.

– A może wanienkę? – Teść również nie odpuszczał.

– Ani łóżeczko, ani wanienkę – odpowiedziałam szybko. – Kupię sobie torebkę, o jakiej zawsze marzyłam.

– Rozumiem. – Teściowa uśmiechnęła się, zachwycona moim pomysłem. – Takie torby do zawieszenia na wózek są teraz bardzo modne. Widziałam w sklepie, mają takie specjalne przegródki. I jakie wygodne! Wszystko się tam zmieści, i pieluszki, i butelki.

– Nie myślałam o torbie do zawieszenia na wózek – stwierdziłam. – To ma być torebka dla mnie.

– Rozumiem – powiedziała. – Dla ciebie. Na wózek.

– Nie!!!

Gotowało się we mnie i chyba właśnie w tamtej, jakże dla mnie trudnej sytuacji, zrozumiałam, co miał na myśli pewien lekarz opowiadający w telewizji śniadaniowej o roli hormonów, które u

kobiet po porodzie buzują niczym gaz w coca-coli. Właśnie tak się wtedy poczułam: jakbym była tym ciemnym płynem, zamkniętym szczelnie w butelce, którym ktoś dla zabawy mocno potrząsał.

– To ma być torebka dla mnie, a nie dla wózka – powiedziałam, wypuszczając powietrze z ust.

– Ty chyba na głowę upadłaś! – rzucił Piotrek.

– Ale dlaczego…? – Zdziwiła się teściowa.

Przez krótką chwilę myślałam, że jest po mojej stronie. W końcu była kobietą! Co ja mówię, ona nadal jest kobietą, cokolwiek to oznacza, więc chyba powinna mnie zrozumieć, prawda?

– No właśnie, dlaczego? – powtórzył za nią teść, który najwyraźniej nie rozumiał mojego pomysłu na wydanie tych dwóch tysiaków.

I wtedy teściowa powiedziała coś, co z powrotem ściągnęło mnie na ziemię.

– Dlaczego… – zaczęła. – Dlaczego ty nie chcesz kupić czegoś dla waszego dziecka?

– Bo szczęśliwa matka to szczęśliwe dziecko – stwierdziłam. – I gdzieś ostatnio przeczytałam, chyba nawet w tej gazecie, którą zresztą mama sama mi podrzuciła do szpitala razem z jednorazowymi majtkami…

– Swoją drogą, mamo – tym razem Piotrek wtrącił się do dyskusji – to w przyszłości mogłabyś sprawiać nam bardziej rozsądne prezenty.

– Nie miałam pojęcia, że w tych gazetach dla młodych matek piszą takie rzeczy!

– Chodziło mi o te majtki.

– No przecież to bardzo praktyczne – broniła się teściowa.

– Dobrze, o majtkach porozmawiamy sobie kiedy indziej, jeśli pozwolicie – chrząknął teść Stefan, któremu ten temat najwyraźniej nie bardzo podchodził. – Ja chciałbym się tylko dowiedzieć, na co pójdą te pieniądze.

– No przecież powiedziałam, że na torebkę.

– Ale zastanów się tylko… – Piotrek chciał coś powiedzieć, ale przerwałam mu szybko.

– Jeśli myślisz, że wydasz to na wycieraczki albo na klawiaturę, to się grubo mylisz. Ja także mam pewne potrzeby, zwłaszcza teraz, kiedy całe moje życie przewróciło się do góry nogami, kiedy każdą minutę mojego życia poświęcam nie sobie, ale tej małej, cudownej istocie.

– O, przepraszam, ale ja także ją wychowuję i opiekuję się nią!

– Oczywiście, że się nią opiekujesz! Ale poza opiekowaniem się wychodzisz co rano do pracy, prawda?

– Możemy się zamienić, jak chcesz.

– Nie musimy tego robić. Ale będzie mi bardzo miło, jeśli docenisz to, że ja poświęciłam moją pracę, mój wolny czas na to, żeby zostać w domu z dzieckiem. No to chyba korona ci z głowy nie spadnie, jeśli przeznaczysz te pieniądze na drobny prezent dla swojej żony, co?

Piotrek nie odezwał się już ani słowem. Teściowa poszła do kuchni dokroić ciasta, a teść włączył w telewizorze mecz. Na szczęście Helenka obudziła się z takim wrzaskiem, że i tak nie dało się już porozmawiać na żaden inny temat. I dobrze.

Pożegnaliśmy się z teściami, podziękowaliśmy za pieniądze i wróciliśmy do siebie.

W drodze powrotnej mąż zapytał mnie zza kierownicy, czy naprawdę zamierzam wydać całe pieniądze na torebkę, na co odpowiedziałam mu, że taki właśnie mam zamiar. Dodałam też, że po porodzie nie dostałam od niego żadnego prezentu, żadnego pierścionka nawet z małym oczkiem, więc nie stanie się nic wielkiego, jeśli właśnie w ten sposób dopieszczę się za tak dobrze wykonane zadanie, w dodatku zadanie życiowe.

Powiedziałam mu, że za resztę mogę mu kupić portfel, chociaż nie byłam pewna, czy coś jeszcze zostanie. Chciałam przecież sprawić sobie coś porządnego, coś, co zostanie mi na pamiątkę na całe lata. Torebkę, którą będę mogła kiedyś przekazać swojej córce. Tak, ten plan coraz bardziej mi się podobał. I Helenka będzie ze mnie taka dumna, kiedy opowiem jej o tym za dwadzieścia lat! Na pewno jej się to spodoba. W każdym razie wychowam ją tak, żeby jej się podobało. W końcu jestem jej matką, prawda?

Porodówka, czyli zaczynamy

Porodówka to taki specyficzny świat. Jakby fragment kosmosu. Teatr, w którym główna rola należy do kobiety. To my na porodówce gramy pierwsze skrzypce, a potem tę rolę przejmują nasze dzieci, które są tam prawdziwymi gwiazdorami.

Na porodówkę można mieć różne wejścia i wszystko zależy od rozwarcia. Można mieć wjazd na sygnale, kiedy rozwarcie jest już tak duże, że między nogami rodzącej prawie już widać główkę dziecka. Ale można mieć też wejście kontrolowane, na spokojnie, tak jak to było w moim przypadku, bo u mnie rozwarcie nie nastąpiło prawie wcale i na oba porody musiałam się wręcz umawiać. Po prostu weszłam sobie na porodówkę i oświadczyłam, że chyba już pora. No i zaczynało się wywoływanie, popędzanie natury poprzez podłączenie mnie do kroplówki i podanie mi leków mających przyspieszyć tak zwaną „akcję porodową". W pierwszym przypadku, kiedy rodziłam córkę, poród przebiegł naturalnie. Kilka lat później, kiedy rodziłam syna, akcja zakończyła się cesarskim cięciem, tak że zaliczyłam wszystko, co rodząca kobieta zaliczyć może.

Miałam to szczęście, że rodziłam w pokojach przeznaczonych do porodów rodzinnych i Piotrek, mój mąż, był przy mnie w tych

zarazem ciężkich, jak i najpiękniejszych chwilach w życiu każdej matki.

W tym mocno sfeminizowanym świecie, jaki znajdziemy na szpitalnych porodówkach, pojawiają się czasem także mężczyźni, w białych kitlach najczęściej. Piszę „najczęściej", bo u mnie na porodówce zdarzył się także mężczyzna w białych… ogrodniczkach. I nie był to lekarz. Ani pielęgniarz. Ani pan położny. Nic z tych rzeczy. Pan w białych ogrodniczkach, zwany złotą rączką, przyszedł na oddział w celu wymiany żarówek.

– Akurat teraz…? – krzyknęłam do tego gościa między jednym skurczem a drugim. – Nie widzi pan, że ja tu rodzę…?

– Ależ niech pani sobie nie przeszkadza – powiedział, ustawiając drabinę tuż obok mojego łóżka. – Ja tutaj pracuję już dwadzieścia lat i nie takie rzeczy widziałem.

– Proszę pana! Ja sobie nie życzę!

– No to kiedy mam te żarówki wymienić, kiedy tu jest ruch non stop i ciągle któraś rodzi?

– Proszę stąd wyjść! – krzyknęłam. – Zawołam pana, jak już urodzę, i wtedy będzie pan sobie wkręcał pod sufitem, co tylko będzie pan chciał!

– A wiadomo, ile to potrwa? – odparł, wchodząc na drabinę. – Ja w ogóle na panią nie będę patrzył, mogę nawet się odwrócić tyłem.

– Wiadomo, że nie przodem się pan odwróci!

– Pani wie, jakie ja tu rzeczy widziałem? – spytał, wykręcając żarówkę jedną ręką, a drugą trzymając się za szczyt drabiny.

– Wolę nie wiedzieć.

– I gotowe! – Zszedł z drabiny. – Teraz to dopiero będzie porządne światło, żeby lekarz wszystko tam dobrze sobie zobaczył, tak że się pani nie martwi. Do widzenia, co złego to nie ja.

I wyszedł sobie. Tak po prostu. Chwilę po nim w drzwiach zobaczyłam Piotrka, mojego męża, który trzymał w rękach wielką torbę.

– Gdzieś ty był?! – wrzasnęłam na jego widok, masując sobie brzuch.

– No jak to gdzie? – odpowiedział zbaraniały. – Do samochodu poszedłem przynieść z bagażnika tę torbę szpitalną, co to ją spakowałaś już pół roku temu. Co ty, nie pamiętasz…?

– Mam wrażenie, jakby film mi się urwał – jęknęłam. – I przysięgam, że wolałabym, żeby to był tylko sen…

– Ale co się stało, kochanie…?

– Facet tu był. – Wzięłam głębszy oddech, bo czułam, że skurcz się zbliża.

– Jaki facet? Chyba lekarz?

– Oj, chyba nie, na pewno nie. Widzisz to? – Pokazałam palcem na żarówkę pod sufitem. – Widzisz, jak świeci?

– No, widzę. Słuchaj, tu jest szpital i wszędzie są takie jarzeniówki.

– On ją wymieniał, bo jakoś tak mrugała wcześniej, a teraz nie mruga, widzisz?

– Kochanie, połóż głowę na poduszce i postaraj się zrelaksować.

– Ty mi nie wierzysz?

– Ależ wierzę. Chcesz wody?

– Chcę, żebyś poszukał położnej, bo chyba się zaczęło…

– Już idę. Zaraz kogoś przyprowadzę. – Odwrócił się w stronę drzwi i już chciał wyjść na korytarz, kiedy zawołałam za nim:

– Stój! Nie zostawiaj mnie tu samej, bo ja się boję, że on znowu tu wróci, bo patrz, ta druga żarówka też jakby zaczęła mrugać. Widzisz to?

– Uspokój się, Sylwia, nic nie mruga.

– Nie wychodź stąd, słyszysz! Nie zostawiaj mnie tu samej!

I wtedy poczułam taki ból w dole brzucha, że w ciągu dosłownie jednej sekundy zmieniłam zdanie i krzyknęłam do męża:

– Leć! Natychmiast, słyszysz! I jeśli nie wrócisz mi tu natychmiast z jakąś położną, to przysięgam, że umrę i będziesz miał mnie na sumieniu!

– Dobrze, kochanie! Tylko spokojnie…

Bolało tak, że miałam ochotę wbić zęby w parapet.

Gwiazda idzie rodzić w szpilkach

Po porodzie córki, który trwał wiele godzin, ledwo żywą ze zmęczenia przewieziono mnie na salę poporodową. Leżałam tam z innymi matkami. Spać nie mogłam, chociaż już właściwie nic mnie nie bolało. Nerwy i emocje nie pozwoliły mi zmrużyć oka, poza tym był dzień i jak miałam spać, kiedy słońce świeciło przez okno? Helena, w przeciwieństwie do mnie, spała smacznie i spokojnie.

Leżąc, słuchałam opowieści innych matek, które przewijając swoje maleństwa, nadawały tak, że radio nie było potrzebne.

– O matko, jak dobrze, że już po wszystkim! – powiedziała jedna z kobiet. – Tak krzyczałam w czasie porodu, tak mi było głupio, no ale co miałam zrobić, skoro ból rozrywał mi plecy?

– Niech się pani nie przejmuje – uspokajała ją druga. – Tutaj wszystkie krzyczą, tylko nie wszystkie się potem do tego przyznają.

– A ja to mojego tak zwyzywałam, że powiedział mi potem, że w życiu się nie spodziewał, że ja tak w ogóle potrafię! A ja nic nie pamiętam, tak mnie nafaszerowali tym głupim Jasiem, że było mi wszystko jedno. No i teraz mi niezręcznie, że tak do niego mówiłam.

– Kobieta w czasie porodu może powiedzieć wszystko. Takie ma prawo. A chłop niech się nie obraża, bo pojęcia nie ma, przez co my tutaj musimy przechodzić. Dlatego ja mojego tu nie zapraszałam. Jeszcze by mi zemdlał. Zresztą ja przy nim bym się tylko krępowała, a tak to szast-prast i mam z głowy. Teraz niech się wykaże, niech mi przy dziecku pomaga. Chłop na porodówce to same kłopoty.

– Tak pani myśli? – zapytała kobieta leżąca na łóżku pod oknem. – A ja mam inne odczucia. Nie wyobrażam sobie, żeby mojego męża nie było przy mnie w takiej chwili. I bardzo się przydał.

– No, ale teraz go nie ma, bo odsypia, co?

– Ale zaraz przyjdzie. Smoczki ma przynieść, bo za duże kupiliśmy.

Około południa moje powieki zrobiły się tak ciężkie, że w końcu zasnęłam.

Obudził mnie płacz Heli. I tak już miało zostać przez kolejne miesiące.

Leżałam na sali poporodowej jeszcze przez kilka dni, nie wiedząc właściwie, w co ręce włożyć. Pewnego razu pani z łóżka obok dzwoni do męża:

– Ty, weź mi lokówkę przywieź, jak będziesz się do nas wybierał, bo popatrz, zapomniałam do torby szpitalnej spakować! Wyobrażasz to sobie? Co? Pieluchy…? A pieluchy, tak, tak, pieluchy też przywieź. Tylko nie zapomnij o tej lokówce! Błagam

cię, nie zapomnij. Aha, i jeszcze maskarę. Jak to, co to jest?! Tusz do rzęs, kretynie!

Tak sobie pomyślałam, tak mi przyszło do głowy, że ta młoda mama musiała naczytać się różnych gazet kolorowych, w których drukują zdjęcia gwiazd wychodzących ze szpitali po porodzie. Gwiazdy zawsze opuszczają porodówkę w szpilkach i w spódnicach ledwie tyłek zakrywających. Są takie, co to nawet zimą wychodzą ze szpitala z gołymi nogami, ale za to w wysokich skórzanych kozakach, doskonale uczesane i umalowane. Aż dziw bierze, że dziecka nie zapomniały ze sobą wziąć, skoro mają tyle na głowie!

Mamusia nikomu cię nie odda...

Kiedy na świat przyszło moje pierwsze dziecko, cały świat jakby się zatrzymał. Z rozmów z innymi mamami wiem, że podobne wrażenie odnoszą wszystkie kobiety, które mają szczęście zostać matkami. Oczywiście, kiedy leży się w szpitalu z obolałym kroczem i dzidzią domagająca się cyca non stop, kiedy po nogach sączy się krew, bo podpaski nie dają rady…, wtedy nie myśli się o takich sprawach. Wtedy liczy się tylko przetrwanie. Tego typu wiekopomne chwile i przemyślenia dopadają matkę już po wyjściu ze szpitala, czasem nawet kilka tygodni po porodzie albo nawet po kilku latach.

Mnie naszło akurat w chwili, gdy rozpakowywałam swoją torbę ze szpitala, czyli jakieś kilka dni po porodzie. Wyjmowałam z niej pieluszki, zasypkę i inne drobiazgi, kiedy uświadomiłam sobie, że ten niezwykły moment wydania na świat kolejnego człowieka przytrafił się właśnie mnie samej. Że to mnie spotkało, choć nadal nie mogłam w to właściwie uwierzyć. Przypomniało mi się, jak dzień po porodzie zobaczyłam w szpitalnym oknie odbicie twarzy jakiejś matki. Ta twarz była bardzo zmęczona i wyglądała, jakby czołg po niej przejechał. Już miałam się odwrócić i ją pocieszyć, powiedzieć, żeby tak się tym wszystkim nie przejmowała, że wszystkie musimy dać radę, jakoś! I właśnie wtedy uświadomiłam

sobie, że obok mnie nikt nie stał. A ta w oknie to byłam ja. Poród i wszystkie związane z tym przeżyciem przygody sprawiły, że sama siebie nie poznawałam. Jakbym schudła w godzinę o dziesięć kilo, a następnego dnia obudziła się o dwadzieścia kilo cięższa. Powieki same mi się zamykały, bez względu na porę dnia, i bez przerwy chciało mi się pić. Złapałam się na tym, że ręce mi drżały bez powodu, a łzy leciały, też bez przyczyny. Wystarczyło, że salowa zamknęła mi drzwi przed nosem albo podała kubek z zimną herbatą, a już byłam cała we łzach, których za cholerę nie umiałam powstrzymać. Normalnie to bym jej sama kazała wypić taką zimną lurę, która obok herbaty nawet nie stała. W normalnych okolicznościach olałabym to równo! Ale nie wtedy, kiedy leżała obok mnie maciupeńka córeczka, która wyglądała wówczas jak Cypisek, czyli dziecko zbójnika Rumcajsa. Nie wiem dlaczego, ale przypomniała mi się ta przedpotopowa bajka, której już od dawna nie puszczali w telewizji, a którą pamiętałam jeszcze z dzieciństwa. To nie była wprawdzie moja bajka, ale bajka moich rodziców, ale ponieważ czasem o niej opowiadali, wspominając dawne, socjalistyczne czasy, to jakoś w naszym domu ten Cypisek nadal funkcjonował. Mama mówiła nawet, że był taki proszek do prania ciuszków dziecięcych, który nazwali Cypisek, na cześć tej właśnie dobranocki. W sklepach zamiast Cypiska można było teraz kupić inne środki o obco brzmiących nazwach, ale mi było wszystko jedno, bo miałam na własność

swojego Cypiska, który teraz leżał obok mnie i spokojnie oddychał przez sen.

Przyznaję, nie mogłam się na nią napatrzeć. Nie mogłam oczu oderwać od tych jej malutkich paluszków i uszu, i noska maleńkiego, a równocześnie doskonałego w swojej formie.

– A więc to właśnie ja wydałam na świat coś tak doskonałego…? – zapytałam na głos z niedowierzaniem.

– Nie zapominaj, że to ja jestem twórcą tego dzieła – dodał Piotrek, nie kryjąc dumy, która też go rozpierała.

– Razem stworzyliśmy to dzieło. To jest niesamowite…

– Nigdy dotąd nie byłem bardziej z nas dumny.

– Piotrek, przestań, bo znowu się rozpłaczę.

A potem nasz Cypisek otwierał oczy i trzeba było go nakarmić i zmienić pieluchę, i to natychmiast!

– Tak jest, szefowo! – powiedział Piotrek, biorąc ją na ręce. – Już się nie denerwuj, zaraz wszystko będzie tak, jak sobie życzysz.

W szpitalu musiałam zostać z małą jeszcze przez kilka dni, bo, po pierwsze, miała dziecięcą żółtaczkę, którą trzeba było wyleczyć, a po drugie, musiała jej się temperatura unormować.

Pewnego dnia, kiedy czekałam na Piotrka i cała aż lepiłam się od potu i brudu, do naszej sali przyszła położna i zaproponowała, że popilnuje małej.

– Niech pani idzie spokojnie pod prysznic – powiedziała. – Ja będę miała na malutką oko.

– Nie, nie trzeba. Mąż zaraz przyjdzie.

– A co, jak nie przyjdzie? Przecież widzę, że już ma pani nawet kosmetyczkę i ręcznik przygotowane do łazienki.

– Nie, nie. – Uśmiechnęłam się i podziękowałam.

– Jak pani chce.

Położna podeszła do innej dziewczyny i zaczęła z nią rozmawiać, a ja w tym czasie dostałam telefon od Piotrka. Powiedział, że się spóźni, bo musi coś jeszcze załatwić w banku.

Wzięłam Helenkę na ręce i poszłam razem z nią pod prysznic. Nie wiem, co mi odbiło, ale nie umiałam spuścić jej z oka. Nie było nawet mowy o tym, żebym zgodziła się ją zostawić jakiejś obcej kobiecie. No i co z tego, że miała na sobie szpitalny kitel? To nie był dla mnie (dla tamtej mnie, dla jasności!) żaden argument. Przecież mogła w tej placówce pracować dopiero od wczoraj! Mogła nie mieć bladego pojęcia o potrzebach mojego dziecka, co więcej, mogła być nawet porywaczką dzieci w przebraniu pielęgniarki! Dlaczego matki, zwłaszcza te zaraz po porodzie, mają takie czarne myśli? Dlaczego wszystkiego się boją i wszędzie węszą spisek przeciwko ich dziecku?!

Czytałam kiedyś o takim przypadku, chyba w Ameryce. Babka zakradła się niepostrzeżenie do szpitala, a że miała na sobie kitel, to w nikim nie wzbudziła podejrzeń i szast-prast: dziecko zginęło. Podobno odnalazło się dopiero po kilkunastu latach w zupełnie innej rodzinie, bo tamta porywaczka robiła to na zlecenie i, oczywiście, dla kasy! Namydlając się, patrzyłam na moją

królewnę, którą położyłam w wanience. Rąbnęłam tę wanienkę z pokoju kąpielowego, bo akurat była wolna. Czułam spokój, bo moje dziecko było przy mnie. Tylko Piotrka do niej dopuszczałam, tylko jemu mogłam zaufać.

– Mamusia nikomu cię nie odda! – odezwałam się czule do Helenki. – Mamusia zawsze będzie przy tobie, kochanie!

Boże, jak mi się to wszystko pozmieniało! Teraz, po latach, kiedy moje dzieci rozbierają dom na kawałki, a mnie codziennie doprowadzają do granic wytrzymałości, myślę sobie, że jeszcze bym dopłaciła, gdyby ktoś chciał je zabrać. Nie na zawsze, oczywiście. Ale chociaż na godzinę. Chociaż na pół. I żebym mogła posiedzieć sobie w samotności, w czystym pokoju, jak dawniej. Tak, myślę, że dla takiej chwili byłabym w stanie poświęcić wiele. Pozostawała tylko iskierka nadziei, że będzie lepiej, gdy Filip pójdzie do szkoły. Tak, wtedy dopiero zacznę normalnie żyć, wrócę do pracy i znowu będę kobietą.

Zastanawiałam się nawet, czy to przypadkiem nie ja sama wypaczyłam im charaktery. Nie spuszczając ich z oczu od pierwszych chwil po porodzie i wmawiając im, że nigdy ich nie zostawię, że nie odejdę nawet na sekundę, żeby się nie martwiły… Może właśnie tym durnym gadaniem wbiłam im do głów, że żyć beze mnie nie mogą? I teraz mam, czego chciałam! Bez przerwy kręcą się koło mojej nogawki i gdzie ja, tam one! Jakby nie mogły czasem dać matce chociaż chwili spokoju! Ale nie, muszą być

zawsze tam, gdzie ja, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Boże, daj mi cierpliwość!

Zabobony w ciąży

Byłam wtedy w ciąży z Helenką.

– O Boże, zostaw ten nóż! – krzyknęła moja mama, kiedy właśnie przykładałam nóż do twarzy celem oblizania go.

Nóż był cały w pysznej masie krówkowej, którą wcześniej wysmarowałam porządnie tort upieczony na urodziny taty. Nie ja upiekłam, oczywiście, tylko moja mama. Ja miałam tylko wysmarować go masą i obsypać wiórkami kokosowymi. A że uwielbiam masę krówkową, to postanowiłam oblizać nóż, żeby nic z tego przysmaku ulubionego się nie zmarnowało, na co pozwolić nie mogłam.

– Przecież jesteś w ciąży! – zawołała mama.

– No i co z tego?

– Jak to co? Chcesz, żeby dziecko urodziło się z rozszczepem podniebienia?

– Słucham…? – Spojrzałam na mamę, jakbym widziała ją po raz pierwszy na oczy.

– No ja wiem, zabobon – powiedziała, wzruszając ramionami. – Ale lepiej na zimne dmuchać.

– Nie wiedziałam, że wierzysz w takie głupoty, mamo.

– Bo nie wierzę. Ale tu nie chodzi o mnie, tylko o to maleństwo, które w sobie nosisz. Lepiej uważać.

– Lepiej takich głupot nie słuchać – dodała rezolutnie moja siostra, która właśnie skończyła myć szklanki i przysłuchiwała się naszej rozmowie. – I lepiej nie powtarzać.

– Zgadzam się – skwitowałam, oblizując nóż.

– Nie mogę na to patrzeć – powiedziała mama, odwracając się.

– Może powinnaś jeszcze splunąć trzy razy przez lewe ramię? – zapytała Iwona.

– A żebyś wiedziała – odpowiedziała szybko mama.

– Poczekaj, odsunę się tylko.

Ja pierniczę, że tak powiem, czego to ludzie nie wymyślą! I po co to komu? Tak się zastanawiam, że chyba człowiek zawsze, ale to zawsze, musiał sobie wszystko wytłumaczyć. I kiedy rodziło się chore dziecko, co przecież zdarza się w przyrodzie całkiem często, to człowiek musiał znaleźć przyczynę takiego stanu rzeczy. Co ciekawe, zawsze winna była matka dziecka. To na niej spoczywała największa odpowiedzialność. Już nie wystarczyło dobre odżywianie się, unikanie skakania i biegania. Przyszła matka musiała wiedzieć, za co się złapać, a czego unikać i na co nie patrzeć. Bo przecież złe spojrzenie mogło zaszkodzić dziecku. Co ciekawe, zabobony istnieją nadal i przetrwały nie tylko zabory, ale i wszystkie wojny światowe. Są przekazywane z pokolenia na pokolenie i dzięki temu pamięć o zabobonach w narodzie nie ginie. Tylko do czego one są nam tak naprawdę potrzebne? Tego nie wie nikt. Ale za to każda matka wie, jaki zabobon usłyszała w ciąży.

Oto lista najgłupszych i najważniejszych zabobonów funkcjonujących do dziś w naszym narodzie, na które natknęłam się na różnych grupach i o których usłyszałam od znajomych:

1. Nie zakładaj stringów, bo dziecko owinie się pępowiną.

2. Jak się czegoś przestraszysz, to nie łap się i nie dotykaj siebie, bo dziecko będzie miało w tym miejscu znamię.

3. Nigdy nie przechodź pod sznurkiem do prania, bo dziecko owinie się pępowiną wokół szyi.

4. W czasie mycia naczyń nie pochlap się wodą, bo dziecko będzie alkoholikiem.

5. Nie obcinaj włosów w ciąży, bo dziecko będzie łyse aż do trzecich urodzin.

6. Nie obcinaj włosów w ciąży, bo skrócisz dziecku rozum.

7. Jeśli uderzysz się w nogę, to dziecko będzie miało znamię na nóżce.

8. Nie wieszaj firanek, bo dziecku przysłonisz świat (czytaj: urodzi się niedowidzące).

9. Nie myj okien, bo dziecko będzie chciało przez nie patrzeć i przez to przyspieszysz poród.

10. Nigdy nie zawiązuj paska od szlafroka na brzuchu, bo udusisz dziecko.

11. Nie farbuj włosów, bo dziecko urodzi się rude (jakby było w tym coś złego!).

12. Nie jedz lodów, bo łożysko ci zmarznie.

13. Nie jedz niezmielonego pieprzu, bo dziecko urodzi się z pieprzykiem na nosie.

14. Nie zdejmuj obrączki, bo dziecko urodzi się bez palca.

15. Nie przebijaj uszu w ciąży, bo dziecko urodzi się głuche, a nawet jeśli urodzi się zdrowe, to będzie nieposłuszne.

16. Nie patrz przez wizjer w drzwiach, bo dziecko będzie miało zeza.

17. Nie podawaj dziecka do chrztu, będąc w ciąży, bo twoje dziecko umrze (!).

18. Nie odmawiaj niczego ciężarnej, bo myszy zjedzą ci dom.

19. Nie kupuj wcześniej wyprawki, bo dziecko będzie chciało ją zobaczyć i poronisz.

20. Nie pij gazowanego, bo dziecko urodzi się z czkawką.

21. Nie patrz w sufit, bo dziecko będzie leworęczne.

22. Nie zaglądaj do butelki, bo dziecko będzie miało rozbiegany wzrok.

23. Nie rób przetworów w ciąży, bo wszystkie się zepsują (u mnie i tak by nie wyszły, bez względu na to, czy jestem w ciąży, czy nie!).

24. Nie noś łańcuszka na szyi, bo dziecko się udusi.

25. Nie chodź po kablach, bo pępowina owinie się wokół szyi maleństwa.

26. Nie jedz truskawek w ciąży, bo dziecko będzie całe owłosione.

27. Jeśli ma się urodzić chłopiec, to kobieta w ciąży ładnie wygląda. Jeśli ma przyjść na świat córeczka, to kobieta wygląda brzydko, bo córka całą urodę jej zabiera.

28. Przywiąż na wózku kokardę, koniecznie czerwoną, żeby nikt nie rzucił na dziecko uroku!

29. Nie patrz na wrony, bo dziecko będzie mieć kolkę.

30. Nie śpiewaj głośno w ciąży, bo dziecko urodzi się głuche.

Rozstępy

Kiedyś myślałam, że brzuch w paski może mieć tylko zebra. Myliłam się. Większość matek po trzech ciążach ma brzuch w paski przez rozstępy, które nawet po zrzuceniu kilogramów zniknąć nie chcą. Waga spada, a rozstępy zostają. Widocznie strasznie im dobrze na brzuchu maminym. Reklamowane drogie produkty, które miały zagwarantować gładkość skóry, zawiodły mnie już po pierwszej ciąży. Nic nie zadziałało, chociaż grosza nie żałowałam. Helena urodziła się duża, a więc i miejsca w moim brzuchu jej nie brakowało. Tak mi się skóra rozciągnęła, że potem nie było już odwrotu. I wiecie co? Po bezskutecznym szukaniu środków zaradczych na rozstępy doszłam do wniosku, że czas najwyższy zaakceptować tygryska na brzuchu. I tak też się stało. Mam teraz żywą pamiątkę po dziewięciomiesięcznych wizytach swoich pociech. I dobrze mi z tym. Najgorzej jest oczywiście na plaży, kiedy trzeba się rozebrać i wypuścić tygryska z klatki. Mój niedoskonale gładki brzuch razi w oczy? No i co z tego? Mam sobie go żelazkiem wyprasować? Przecież rozciągnął się w słusznej sprawie, tak? Był domem dla moich dzieci, a one czuły się tam dobrze i bezpiecznie. Serio, nie mam sumienia go znienawidzić. Te rozstępy stały się częścią mnie samej, i to bardzo ważną częścią, której raczej już nigdy się nie pozbędę.

I właśnie wtedy kiedy masz wyrzuty sumienia, że brzuch nie wygląda już tak pięknie jak dawniej, właśnie wtedy przychodzi niespodziewanie taki dzień, kiedy jedziesz na zakupy. I siedzisz w samochodzie na parkingu przy supermarkecie. Właściwie możesz już wyjść i rzucić się w szał zakupów. Ale siedzisz i oczu nie możesz oderwać od swojego kilkumiesięcznego księcia, który wywrócił cały twój świat do góry nogami, brzuch ci porozciągał, a teraz śpi sobie spokojnie w foteliku samochodowym. A ty siedzisz w swoim fotelu już od pół godziny i nie masz odwagi go obudzić. I nie możesz przestać na niego patrzeć. I w nosie masz rozstępy i inne dodatki, które dziecko zostawiło ci już na wieczną rzeczy pamiątkę. To wszystko jest i tak bez znaczenia. Było warto. Właśnie dla takich chwil.

Sport-mama

Mama jest fit. Mama ćwiczy codziennie i nawet nie musi kupować karnetu na siłownię. W końcu od czego ma się dzieci, prawda?

Jakie ćwiczenia wykonuje każda matka codziennie:

- podnoszenie ciężarów z dywanu na kanapę i odwrotnie, a także z łóżeczka na dywan i z fotelika na dywan po kilkanaście razy dziennie, i to bez rozgrzewki;
- rozciąganie górnej części ciała, kiedy spod kanapy trzeba wydobyć zagubiony samochodzik;
- bieg z przeszkodami, kiedy młody zaczyna siusiać do nocnika, a nocnik jest na drugim końcu mieszkania;
- przysiady podczas zbierania porozrzucanych po całym mieszkaniu zabawek;
- skręty w lewo i w prawo, kiedy miesza się chochlą w garnku z dzieckiem na rękach;
- bieganie po parku, kiedy dziecko nauczyło się już chodzić i właśnie odkryło, jaką frajdą jest uciekanie od matki.

Pod koniec dnia podobno dobrze jest ćwiczyć jogę, żeby się zrelaksować. No więc ćwiczę i ja: codziennie staję na głowie, kiedy muszę wymyślić na kolację coś z niczego, bo kanapki już dawno się moim dzieciom przejadły.

Tak, z całą pewnością można powiedzieć, że dzieci są naszymi trenerami personalnymi i robią wszystko, żeby utrzymać kondycję fizyczną matek na jak najwyższym poziomie.

W życiu się na siłownię nie zapiszę. Ja chcę w końcu odpocząć i się wyspać, a nie wiecznie wykonywać niekończącą się serię skłonów.

Sytuacje, na które musisz być przygotowana i na które nigdy jako matka nie będziesz gotowa

1. Pobudka w środku nocy, kiedy twoje dziecko, zrywając z ciebie kołdrę, powie mniej więcej tak: „Siusiu mi się chce”. Odpowiesz mu przez sen, że łazienka jest na końcu korytarza i że może tam pójść samo. Wtedy dziecię na sto procent użyje argumentu, że albo się boi iść samo, albo nie dosięgnie do włącznika światła, albo zapomniało, gdzie łazienka się właściwie znajduje. Nie ma wyjścia, trzeba zwlec się z ciepłego łóżka i iść z dzieckiem do łazienki.

2. Dzieci uwielbiają swoje matki. Uwielbienie to objawia się okazywaniem miłości, często w miejscach publicznych, i każda matka wie, że nie ma w tym okazywaniu uczuć nic nadzwyczajnego. Z miłości dzieci drapią swoje mamy po twarzy, z miłości ciągną je za włosy ręką, w której wcześniej trzymały pączka, w dodatku z budyniem. Innym rodzajem okazywania miłości wobec matki, z którego dzieci korzystają niezwykle często, jest wsadzanie matce paluszków do nosa albo do oka, jakby chciały sprawdzić, co też ta mama nosi pod powieką.

3. Jeżeli nikt nigdy nie pociągnął cię za język (dosłownie!), to możesz liczyć na taki gest ze strony własnego dziecka uwieszonego na twoim ramieniu. Mnie spotkało to na przykład, kiedy stałam przy kasie i dyskutowałam z panią o cenie paczki krówek. Miały być w promocji, ale kasa tego nie potwierdzała. I tak dyskutowałam, że w końcu Filip złapał mnie za język, co zarówno mi, jak i pani przy kasie dało wiele do myślenia. A krówek nie udało mi się kupić, bo okazało się, że są przeterminowane i nie wolno ich sprzedawać, choćbym miała na nie wilczą ochotę. Nie załamywałam się jednak, uznając to za znak od losu, że czas najwyższy przejść na dietę. Od jutra, rzecz jasna.

4. Jako matka musisz też być przygotowana na obłapywanie. I wcale nie mam tu na myśli twojego męża czy partnera. To jeszcze dałoby się znieść. Niestety, chodzi tutaj tylko i wyłącznie o obłapywanie, na jakie narażona jest matka ze strony własnego dziecka. Dodajmy, że dzieci czynią to nagminnie. I to nie tylko te karmione piersią. Dziecko uważa bowiem, że ma prawo w każdej chwili złapać matkę za cycek albo za tyłek. I z prawa tego do woli korzysta! Pół biedy jeszcze, kiedy jesteśmy w domu. Co innego, gdy, na przykład, siedzimy w autobusie z bobasem na kolanach, a ten łapie otwartą dłonią naszą pierś i jeszcze się śmieje! Są też dzieci, którym takie obłapywanie nie wystarcza i brną do celu, czyli wsadzają rączki pod bluzkę mamy, pod stanik i z całym impetem tego cyca wywalają na światło dzienne. Spytacie

dlaczego? Bo tak im się podoba. Mnie akurat taka sytuacja spotkała kiedyś w parku, kiedy Filip w jednej sekundzie rozciągnął mi dekolt bluzki i władował tam rączkę. „Oj, widać, że ciągnie maluszka do maminego mleczka…", usłyszałam nad głową komentarz jakiejś babci, która akurat nas mijała. Tak, my, matki, uwielbiamy takie sytuacje.

5. Matka, nawet jeśli nigdy wcześniej nie lubiła spoglądać w gwiazdy, to właśnie teraz, kiedy urodziło się dziecko, nauczy się tej sztuki bardzo szybko. Pozna księżyc, odszuka Wielki Wóz i będzie się z każdą gwiazdą co noc witać na nowo. A tych nocy będzie bardzo wiele. I każda będzie bezsenna. Matka będzie bujać swoje dziecko – czy to na rękach, czy to w wózku – i bardzo szybko zrozumie, że z tymi gwiazdami musi się jakoś zaprzyjaźnić. Bo ani radia, ani telewizora włączyć się nie da, żeby dziecka nie obudzić. Czytać książki też się nie da, bo światło może dziecko razić w oczy. A matce chodzi tylko o jedno: żeby to dziecko w końcu zasnęło! Bo matka, zamiast gwiazd, choćby były nie wiadomo jak bardzo romantyczne, woli oglądać jednak chmury na słonecznym niebie. Niektórym dzieciom bardzo dużo czasu zajmuje zrozumienie prostego faktu: że noc służy do spania. Po wielu miesiącach takiego czuwania matka już sama zapomina, że kiedyś spała po zmierzchu. Bywało, że w ciągu takiej nocy przedreptanej przy wózku dzwoniłam do mamy, jak gdyby nigdy nic, żeby zapytać, czy ma jakiś pomysł na obiad. I jeszcze dziwiłam się, że mama nie odpowiada od razu, że taka cisza w

słuchawce. „Ty wiesz, która jest godzina…? Dwadzieścia po trzeciej. Rano!”, odpowiadała mi. W tamtym okresie czas był dla mnie pojęciem względnym, a godziny albo się kurczyły, albo ciągnęły w nieskończoność. I dopiero wtedy zrozumiałam doskonale, co miał na myśli niejaki Dali, malując zegary przewieszone wpół na drzewach niczym zwłoki. On musiał cierpieć na bezsenność. Ja marzyłam o chwili snu, ale spać nie mogłam, więc właściwie cierpiałam na to samo.

6. Każda mama musi być przygotowana na wyzwania związane z wózkiem potocznie zwanym spacerówką. Po pierwsze, dziecko nie zawsze ma ochotę do takiego wózka wsiadać. Prostuje się wtedy jak opętane, a nóżki ma kompletnie sztywne w kolanach i ciężkie jak z ołowiu. I kiedy już matce jakimś cudem uda się to dziecko do wózka wepchnąć, to jest kolejny problem, bo dziecka nie da się zapiąć. Wyrzuca te paski na boki i całe szczęście, że są przymocowane na stałe, bo inaczej marny byłby ich los. Dodajmy, że dla wzmocnienia efektów dźwiękowych dziecko podczas czynności nazywanej „zapinaniem dziecka w wózku” potrafi wydzierać się na pół osiedla, żeby wszyscy mieszkańcy wiedzieli, z kim mają do czynienia.

7. Z wózkami zwanymi spacerówkami są jeszcze dodatkowe przygody. Wózek służy bowiem matkom nie tylko do przewożenia dzieci. Wózek można też wykorzystać jako siatkę na zakupy i większość matek podchodzi do tego pomysłu z ogromnym zapałem. Czasem, jak się taka mamusia rozpędzi, to wózek z

ciężkimi siatkami ledwo da się pchać. No, ale przynajmniej nie trzeba zakupów taskać w rękach! Gorzej, jak matka zapomni o dodatkowym obciążeniu wózka, podjedzie pod kiosk ze słodyczami i zechce dziecko wypuścić, żeby samo sobie lizaka wybrało. Rozpina wtedy szeleczki, dziecko wyskakuje, a cały wózek, z siatkami włącznie, ląduje w tempie ekspresowym na ziemi. Przygniecione przez wózek siatki wyglądają tak, że lepiej na nie nie patrzeć. Bo wiadomo, że i jajka się zbiły, i pomidory zgniotły, a te szklanki, co matka kupiła w promocji, to teraz można co najwyżej szufelką zbierać. I wiecie, co jest najciekawsze? Że dziecko tej sytuacji nawet nie zauważyło. W przeciwieństwie do matki, rzecz jasna.

8. Matka musi też być gotowa na wyzwania typu „chwalenie własnego dziecka, chociaż wcale na to właściwie nie zasługuje". Matki zazwyczaj są obdarzone przez naturę dobrym sercem, co powoduje, że dopingują swoje dzieci od małego. Nasz maluch nie potrafi kopać piłki, ale przecież bardzo się stara. I matka będzie mu kibicować z całych sił i bić brawo! A co!

9. Spróbuj wcisnąć przycisk „stop" na przejściu czy w autobusie! Spróbuj tknąć go przed dzieckiem, nie dając mu szansy, by zrobiło to samodzielnie. Dziecko znienawidzi cię za to czynem i słowem – gwarantowane! Przecież wciskanie guzików to najlepsza zabawa, nie wiedziałaś? Nie próbuj nawet się z nim ścigać. Awanturę z kładzeniem się na podłodze autobusu i wrzaskiem masz jak w banku. Mój syn chodził do przedszkola

przy dość ruchliwej ulicy. Można się domyślać, do jakich scen dochodziło przy przejściu dla pieszych, kiedy wszystkie dzieciaki rzucały się jak opętane na ten jeden biedny słupek, z jednym biednym przyciskiem. Tam odbywała się walka niemalże na śmierć i życie, bo wygrywał dzieciak, który dobiegał pierwszy do przycisku. W naszej grupie był nawet chłopiec, którego starszy brat chodził do starszaków. I ten starszy dobiegał do przycisku pierwszy i trzymał go dla młodszego, nie pozwalając innym dzieciom przycisnąć. W końcu powiedziałam Filipowi, że jak nie przestanie walczyć z innymi dziećmi o ten cholerny przycisk, to będziemy wracali drogą naokoło, gdzie w ogóle nie ma przycisków. Do dzisiaj lubi sobie powciskać, gdzie się da, a winda to jego ulubiony plac zabaw.

10. Matka musi być też przygotowana na taką oczywistość, że choćby na rzęsach stanęła, choćby flaki sobie wypruwała, to i tak tata jest bohaterem. Jest i będzie. Dla dziecka, oczywiście. Choćby nawet nic nie robił, to nawet to jego nicnierobienie jest w oczach dziecka idealnym nicnierobieniem. Bo to właśnie tata nic nie robi. Tata jest najlepszy na świecie. Potem jest ulubiona gra, potem parówki i dopiero na końcu liczy się mama. Tata jest bohaterem. A kim jest mama? Moja córka miała napisać w szkole, kim są jej rodzice. O tacie napisała, że jest bankierem (chociaż tata tylko pracuje w banku i codziennie musi użerać się z klientami). O mamie zaś napisała, że jest… nikim. Bo mama siedzi w domu i przecież nic nie robi!

11. Matka musi też być przygotowana na sytuacje całkiem nieoczekiwane. Siedziałyśmy sobie w salonie z moją siostrą przy kawusi, plotkowałyśmy o jakimś piłkarzu chyba, a tu jak nie wparuje Filip bez majtek, z brudnym tyłkiem i głośnym pytaniem: „Mamo, wytrzesz mi pupę? Bo kupę zrobiłem". Nie musiał mówić, bo wszystko i tak było widać. I czuć.

Dlaczego dzieci nas nie słyszą?

Normalnie to dzieci są głuche na wszelkie uwagi rodzicielskie; można je też wołać bez końca na kolację, na obiad i co tam jeszcze przyjdzie nam do głowy. Jak grochem o ścianę. Nie słyszą nic. Są jednak sytuacje, kiedy dziecięcy słuch doznaje cudownego wręcz ozdrowienia. Wystarczy, że zacznie się głośno rozpakowywać cukierki z papierków, wyjmować lody z lodówki albo zapyta głośno męża, czy ma ochotę na kawałek czekolady. Murowane i gwarantowane, że dzieci przybiegną do pokoju w tempie ekspresowym. Zakład?

– Helena! Filip! – krzyczę z kuchni. – Zapraszam na obiad.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć w takich sytuacjach matkom odpowiada cisza i brak jakiegokolwiek ruchu.

– Helena! – Próbuję znowu. – Filip!

Znowu odpowiada mi cisza. Więc biorę się za stary sposób matek doświadczonych bardziej niż ja i wołam:

– Sebastian! Sebastian, idziesz?

I wtedy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w kuchni pojawiają się moje dzieci.

– Jaki Sebastian…? – pytają zaciekawione.

– Tak sobie krzyczałam, może usłyszy mnie jakiś Sebastian przez okno i przyjdzie na obiad, skoro wy nie chcecie.

Trik z Sebastianem zadziałał. Niestety, minusem tego sposobu jest to, że można go zastosować tylko raz, więc lepiej ograniczyć się do sytuacji ostatecznych.

Brawo ja!

Czekolada…

Ileż to razy matka musi uciekać się do starych i sprawdzonych sposobów naszych matek i babć. Na przykład kiedy mówi, że trzeba natychmiast lecieć na zakupy, bo w domu nie ma nic do jedzenia, a w istocie chodzi o to, by znaleźć pretekst do kupna czekolady… Chociaż jednej tabliczki. Chociaż batonika, a jeśli jest faktycznie na diecie, to chociaż jednego cukierka (koniecznie z czekoladą) w dziale słodyczy sprzedawanych na kilogramy. Jeśli już depresja poporodowa zapędzi matkę właśnie w to miejsce, czyli dział sprzedaży cukierków na kilogramy, w którym, powiedzmy to głośno, każda matka czuje się jak w królestwie wiecznej szczęśliwości, to polecam zaopatrzyć się od razu w dwa w jednym. I nie mam tutaj na myśli szamponu z odżywką, ale czekoladki z wkładem alkoholowym, najlepiej baryłki, bo z nich wlewa się w dziób jak z kieliszka. Oszczędzi to matce niepotrzebnych wydatków i spacerów po coś słodkiego w środku nocy. Uwaga: od czekoladek z alkoholem można się łatwo uzależnić i wtedy już żadna inna czekoladka nie będzie nam smakować tak samo. Dobrym zastępnikiem jest też likier czekoladowy, tak więc warto się zaopatrzyć w chociaż jedną butelkę na tak zwane „ciężkie dni”. I żeby nie było, taki likier ma także plusy: nie da się go wypić dużo, bo mdli. Można też używać

go w wersji luksusowej do polewania lodów w pucharku. W upalne dni nic matce nie będzie smakowało lepiej, nawet przed dziewiątą rano, bo przecież wszyscy wiemy, że właśnie wtedy w dzieciach budzi się największy diabeł, który potrafi postawić do pionu nie tylko matkę, ale również połowę bloku. Co w takich chwilach życiowego dramatu robi matka, żeby nie oszaleć? To zależy od jej doświadczenia. Otóż młoda i niedoświadczona matka rwie sobie włosy z głowy i wydzwania do męża, który właśnie zasiadł za biurkiem w pracy i delektuje się chwilą spokoju od domowych obowiązków. Roztrzęsiona matka drze się do słuchawki wcale nie ciszej niż dzieciak, co jest zresztą logiczne, bo chce porozmawiać z mężem, a więc musi tego dzieciaka rozdartego przekrzyczeć. Matka wzywa pomocy słowami:

„Ratuj mnie!”

„Zabierz ode mnie to dziecko!”

„Z tym dzieckiem jest coś nie tak!”

„On jest taki sam jak ty!”

„Wróć tutaj i zrób z nim porządek, w końcu to twoje dziecko jest, a nie tylko moje!”

„Ja nie wiem, czy to jest moje dziecko, czy mi nie podmienili w szpitalu!”

Mąż początkowo stara się uspokoić matkę swojego dziecka, ale wkrótce i jemu nerwy puszczają, bo ona nie chce słuchać uspokajających dyrdymałów. Matka chce ciszy, a nie pouczania. Kończy się to zazwyczaj tym, że ojciec dziecka uderza w

najczulszy punkt i żegna się ze swoją połowicą słowami: Uspokój go, siedzisz z nim całymi dniami, to przecież znasz to dziecko lepiej niż ja!

Sytuacja zupełnie inaczej wyglądać będzie w domu matki doświadczonej, która zna swoją pociechę i wie doskonale, że każde dziecko, żeby było w pełni szczęśliwe, musi po prostu czasem sobie poryczeć. Matka nazywa to „wietrzeniem oskrzeli". Mądra matka ze spokojem zostawia ryczącego zawodnika w jego pokoiku, czasem dodając na odchodnym: A siedź sobie tu i płacz, a ja poczekam w kuchni, aż ci przejdzie. I jak mówi, tak robi. Udaje się do swojego królestwa pewnym krokiem i otrzymawszy od losu pozwolenie na wzmocnienie psychiki, bez najmniejszych wyrzutów sumienia sprawnym ruchem sięga po lody lub czekoladę, lub alkohol. W sytuacjach wzmożonego napięcia nerwowego matka sięga po wszystkie te lekarstwa naraz. Polewa sobie lody waniliowe likierem czekoladowym i wbija w nie łyżkę, a uśmiech w cudowny sposób natychmiast wstępuje na jej ponurą do tej pory twarz. Już po pierwszym kęsie cały zły nastrój mija. Można oddychać. Teraz nic już nie zepsuje humoru matce. Kiedy matka dochodzi do dna pucharku z lodami, najczęściej dziecko już nie ryczy, bo:

A: nie ma już siły;

B: zapomniało, z jakiego powodu owo wycie się rozpoczęło;

C: zgłodniało i musi poprosić matkę (no bo kogóż by innego!) o coś na ząb mleczny.

Dlatego, drogie mamy, zawsze warto mieć pod ręką niezbędnik w postaci czekolady, która czeka w spokoju na chwile trzęsienia ziemi i nieba. A jak pokazuje doświadczenie, na takie chwile w domu, w którym jest chociaż jedno małe dziecko, nie trzeba długo czekać.

MAMO!!!

Ten moment, kiedy po raz pierwszy słyszysz z ust swojego dziecka słowo „mama”. Czekasz na tę chwilę i czekasz. Na początku wydawało mi się, że dziecko powie „mamo” od razu po urodzeniu, kiedy tylko mnie zobaczy. Niestety, w przypadku Heleny musiałam na ten moment czekać siedem miesięcy, a w przypadku syna trwało to jeszcze dłużej, bo on w ogóle późno zaczął mówić.

A jak w końcu się doczekałam i usłyszałam boskie „mamo”, to potem poszło już z górki i słyszę bez przerwy:

„Mamo, daj!”

„Mamo, on mnie bije!”

„Mamo, ona mnie bije!”

„Mamo, jeść!”

„Mamo, pić!”

„Mamo, pobaw się ze mną!”

„Mamo, siku!”

„Mamo, kupę!”

„Mamo, dlaczego ten banan jest taki żółty?”

„Mamo, nudzi mi się!”

I chociaż słyszę to milion razy na dobę, to nawet przez sen czasem wstaję z zamkniętymi oczami, bo:

„Mamo, nie mogę zasnąć!”.

Dlaczego to nie działa w obie strony? Dlaczego kiedy ja ich wołam, to za żadne skarby świata nie chcą przyjść, jakby ogłuchli nagle? Dlaczego moje własne dzieci nie słyszą mojego wołania?

Bo tak już chyba musi być. I kropka.

Dziecko matki patologicznej również jest patologiczne. Wykonaj prosty test

Od czego by tu zacząć? Może od początku będzie najprościej. Jak już pewnie zdążyłyście się zorientować, nie należę do matek idealnych. Idealne są tylko moje dzieci. I to też tylko czasami. No, ale do rzeczy. Otóż, jako doświadczona, podwójna matka nie raz sięgałam w procesie wychowawczym po różne znieczulacze, z których najlżejszym była czekolada, a najcięższym, w sensie uszkodzenia wątroby na przykład, było i jest piwko, wino, likier czekoladowy lub wódka z sokiem (ale to tylko w sytuacjach podbramkowych, i to mocno!). Piwko lubię kupować w puszce, bo łatwo się pije i szklanki nie trzeba brudzić, a potem myć, żeby ją znowu za chwilę pobrudzić, żeby potem umyć, uff! Butelkowe piwko ma tę wadę, że jak je pijesz z butelki, żeby szklanki nie brudzić, to można czasem zęby stracić, i to przednie. Zapytacie, jak to możliwe? Ano tak, że nie raz i nie dwa, kiedy przechylałam butelkę do ust w zaciszu kuchennym, żeby dziecię mnie nie widziało (nie będę przecież się alkoholizować na jego oczach, bez przesady!), spotkała mnie taka sytuacja, że dziecię wyrastało znienacka pod moim bokiem i chwytało się mnie tak gwałtownie,

że butelka lądowała z hukiem na kafelkach, roztrzaskując się w drobny mak. Rozbita butelka to pół biedy, chociaż rozlanego piwa szkoda, zwłaszcza kiedy bardzo się miało na nie ochotę. Nie ma potem gorszych katuszy niż zmywanie szmatą takiego piwa, które cuchnie, że aż nos wykręca, i nic nam po nim nie zostaje. Aha, wspominałam, że zęby można stracić? No właśnie! Raz Filip wjechał mi w nogi tym swoim plastikowym rowerkiem z takim impetem, że myślałam, że już jest po zębach. Serio! Lewa jedynka nawet mi zsiniała, i to właśnie od tamtej pory obiecałam sobie, że koniec ze szklanymi butelkami w domu! Z moim synem nigdy nie znasz dnia ani godziny, więc lepiej nie ryzykować. Piwko w puszce ma same zalety, a i zębów nie wybije.

Od kiedy zaczyna się patologia? Dobrze jest zrobić sobie szybki test. U nas w domu, na przykład, taki test wyszedł pewnego dnia zupełnie przypadkowo, kiedy Hela dopiero zaczynała stawiać swoje pierwsze kroki. Chwiała się wokół stolika, rączką się podtrzymywała i szła przed siebie.

– No, chodź do tatusia! – Piotrek rozłożył szeroko ręce, a ja telefonem robiłam zdjęcia, bo chciałam uwiecznić tę chwilę.

– Ona naprawdę zaczyna chodzić… – powiedziałam wzruszona.

– Ty, a może nagraj film! – zawołał dumny tata.

Przełączyłam w aparacie funkcję z robienia zdjęć na filmowanie i zaczęłam nagrywać.

– Brawo, Helenka! – zawołałam.

I wtedy stało się coś strasznego. Helena spojrzała na puszkę piwa, która stała obok Piotrka, bo ją tam postawił na stoliku. Niby normalna rzecz, prawda? Co to, po pracy nie może się człowiek piwa napić we własnym domu? No właśnie!

Krocząc przed siebie, Helena podeszła do Piotrka, on ją złapał, pocałował w policzek, a wtedy ona, pokazując tłuściutkim paluszkiem na puszkę, rzekła:

– Piwko!

Myślałam, że padnę. Piotrek aż zbladł, ale nie z rozpaczy, tylko z dumy.

– Czy ty to widziałaś? – zapytał pełen podziwu dla córki. – Mała wie, co dobre!

– Puknij się w łeb, idioto! – Postukałam się w czoło. – Dziecko jeszcze nawet „mama” nie powiedziało, a już wie, że w puszce jest piwo!

– No i bardzo dobrze! Moja krew!

– Taki wstyd…

– Mam nadzieję, że nagrałaś ten moment.

– Niestety, tak.

– No, córa! – powiedział Piotrek, sadzając sobie Helenę na kolanach. – Teraz już wiem, że sobie poradzisz w życiu. Chcesz spróbować?

– Chyba zwariowałeś!

Podbiegłam wyrwać mu puszkę z dłoni, ale było już za późno.

Helena przechyliła puszkę do ust.

– To tylko na spróbowanie! – odpowiedział Piotrek. – Przecież nie będzie jej smakować.

– Jesteś tego pewny? Przecież to twoja krew.

I nie myliłam się. Helena wypiła pierwszy łyk, potem drugi, potem trzeci, a potem kiedy chciałam wyrwać jej puszkę z ręki, to się tak rozdarła, jakbym odzierała ją ze skóry.

– Ty, patrz, posmakowało jej… – powiedział Piotrek z niedowierzaniem.

– No i co się tak dziwisz! Jezus Maria, myślisz, że od kilku łyków można się już uzależnić?

– Czy ja wiem? Chyba nie…

– A wątroba? Może uszkodziliśmy jej wątrobę?

– Przestań! – Machnął ręką. – Wątrobę to ona ma po mnie! Ja w liceum tyle piłem, że już dawno nie powinienem być wśród żywych, a popatrz, nic mi się nie stało! Chodzący okaz zdrowia normalnie.

– Jak to w liceum piłeś…?

– Normalnie. Z chłopakami po szkole. Ty też zdaje się święta nie byłaś.

I nadal nie jestem, dodałam w myślach.

No i jak ta historia się skończyła? Ano tak, że od tamtej pory Piotrek za każdym razem, kiedy wchodził do pokoju z puszką piwa w ręku, musiał się z nim chować, bo Helena rzucała się na nie jak szalona! Skubana, zapamiętała smak piwka! Czy to spowodowało, że przestaliśmy od czasu do czasu sięgać po ten

złoty trunek? Broń Boże! Skończyło się na tym, że zaczęliśmy pić piwo w… kubkach od herbaty. Żeby dziecko się nie zorientowało. No przecież trzeba sobie jakoś radzić, co nie?

O CZYM NIE MÓWIĄ W SZKOLE RODZENIA, A POWINNI

W szkole rodzenia powinni ostrzegać przyszłe matki o tym, że dziecko przez pierwsze tygodnie po urodzeniu będzie właściwie wisieć na matce bez przerwy. Dlaczego nikt tam nie informuje, że im dziecko mniejsze, tym mniej śpi? Moje dzieci przez pierwszy rok życia nie spały wcale. A ja nie spałam razem z nimi i wyglądałam jak chodzące zombi. Aż dziw bierze, że się mnie nie bały. A może one właśnie dlatego tak się darły? Z przerażenia na widok własnej matki, która przypominała ducha…? No ale co? Miałam je zostawić? Przecież to one mnie do takiego stanu doprowadziły, to niech teraz patrzą!

Przez pierwszy miesiąc po porodzie nie mogłam ruszyć się od Heli na krok, bo był taki ryk, że serce mi pękało. Najgorsze się zaczęło, kiedy Piotrek wrócił już do pracy i zostałyśmy same. Myślałam, że będzie fajnie, ale było ciężko. To właśnie w tamtych dniach poczułam smak zimnej herbaty, zobaczyłam, jak to jest pić przez cały dzień tę samą kawę, która już dawno ostygła, a ja nadal nie miałam chwili czasu, żeby ją dokończyć. Tamten okres macierzyństwa smakuje właśnie lodowatą kawą, którą z całej siły chce się wypić albo chociaż spróbować, wziąć chociaż jeden łyk, ale nie można, bo dziecko tkwi uwieszone na piersi. Potem w ogóle

dałam sobie spokój z piciem kawy i przerzuciłam się od razu na zimne napoje, żeby chociaż żal mi nie było. A tak się przygotowałam, nawet kawę bezkofeinową zakupiłam, nawet zbożową. I co? Nie da rady, Hela nie pozwalała mi wypić choćby ciepłej! Przyzwyczaiłam się.

Piotrek, jako młody tatuś, też miał zdaje się inne wyobrażenie o rozwoju dziecka. Jednym słowem, podobnie jak większość ojców uważał, że dziecko powinno szybciej rosnąć, a przynajmniej wyrastać z pewnych upierdliwych nawyków, do jakich zaliczało się:

- budzenie rodziców w nocy, żeby je nakarmić;
- budzenie w nocy, żeby je przewinąć;
- wycie za każdym razem, kiedy matka wyjdzie z pokoju;
- wycie za każdym razem, kiedy matka wróci do pokoju, żeby w ten sposób ją ukarać za chwilowe choćby odejście.

Piotrek podzielił się nawet ze mną kiedyś refleksją na temat wychowywania dzieci. Było to nad ranem, kiedy bladym świtem zmieniał Helenie pieluchę, a ja przykładałam do obrzmiałych niczym balony piersi liście zmrożonej w lodówce kapusty, bo tak radziła mi teściowa.

– Wiesz – powiedział – ja nie miałem pojęcia, że te dzieci są takie absorbujące.

– Powiem ci, że ja też. – Jęknęłam z bólu, który rozrywał moje obolałe sutki.

– Myślisz, że to się kiedyś skończy? – zapytał tak naiwnie jak dziecko, że aż mi się go szkoda zrobiło.

– Tak – odpowiedziałam. – Słyszałam, że dzieci wyrastają z pieluch.

– Kiedy?

– Za jakieś dwa lata.

– Jezus Maria! Jeszcze dwa lata???

– A coś ty myślał?

– Ja nie dam rady tak wstawać w nocy jeszcze przez dwa lata….

– Przyzwyczaisz się. Nauczysz się, zobaczysz.

– Te dzieci to jest jakiś… koszmar!

– No popatrz, a jakimś cudem nasi rodzice sobie z tym koszmarem poradzili!

– Ty wiesz, że ja teraz zupełnie inaczej na to patrzę? Myślę, że moja mama jest bohaterką.

– Serio?

– No przecież ona mnie i siostrę to tak jedno po drugim miała. Ja sobie czegoś podobnego nawet nie umiem wyobrazić, Sylwia.

– Fakt – jęknęłam. – Mężczyźni w zdecydowanej większości uważają, że kiedy rodzi się chłopiec, to góra dwa miesiące po porodzie już będzie w piłkę kopał!

– No. – Kiwnął głową, kładąc Helenę do łóżeczka. – Ja też taki głupi byłem, przyznaję.

– Idź już spać – powiedziałam, wkładając liście kapusty z powrotem do miski. – I nie myśl za dużo.

– Masz rację, Sylwia.

– Na szczęście dzieci szybko rosną – westchnęłam. – Tak przynajmniej się mówi.

– Oby to się stało jak najszybciej…

Nigdy więcej nie wróciliśmy do tamtej rozmowy. Czas leciał, Helena zaczęła chodzić, a potem biegać. Przetrwaliśmy.

Jak przygotować dom na powrót z porodówki?

Matki zwykle tak bardzo skupiają się na przygotowaniu domu na nowego członka rodziny, że kompletnie, ale to kompletnie zapominają o… sobie. A przecież to nikt inny, ale właśnie matka będzie najważniejsza po powrocie ze szpitala. Dziecko również, dziecko będzie gwiazdą! Ale przecież ktoś będzie musiał temu dziecku dać cyca i zmienić pieluchę. I matka będzie się do tych czynności nadawała najlepiej. A skoro będzie odgrywać tak ważną rolę, to warto o nią zadbać, żeby nam nie padła już w drugiej dobie, jak zabawka, w której bateria się zwyczajnie wyczerpała.

Dlatego najlepiej już wcześniej pomyśleć o tym, co może nam ułatwić życie rodzinne po powrocie z porodówki. Bez względu na to, czy poród był naturalny, czy zakończył się cesarskim cięciem, matka będzie głodna. Ojciec i pozostali członkowie rodziny (czytaj: dzieci) zresztą też. I kiedy matka będzie zajęta odciąganiem mleka z piersi, które zwykle w kilka dni po porodzie zamieniają się w przydomową mleczarnię, będzie miała zbyt wiele na głowie, by jeszcze przygotowywać strawę dla reszty członków rodziny.

– Ja nakarmię młodego – powiedziałam, wciskając obrzmiałą pierś w usta mojego synka. – A ty, Piotrek, ugotuj coś dla was. I dla mnie, przy okazji.

I żeby w takiej sytuacji młodego tatusia kompletnie nie dobić, bo rzeczywistość faktycznie pewnie go przerośnie, należy wcześniej przygotować jakieś wersje obiadów, które, dajmy na to, można zamrozić na później. Idealnie sprawdzają się też zakupione wcześniej i trzymane na ciężkie czasy zestawy do szybkiego przygotowania, typu:

- placki ziemniaczane w proszku
- zupy w proszku
- gotowe mrożone zestawy obiadowe
- pizza mrożona
- pierogi mrożone
- gołąbki w słoikach
- wszelkie dania w słoikach, które po podgrzaniu w garnku dadzą się zjeść.

To wszystko jest w takich chwilach na wagę złota. Naprawdę!

Trzeba też koniecznie pomyśleć o deserach. Ja, na przykład, miałam zawsze w tym czasie ochotę na budyń. Prosty i szybki deser, w dodatku na ciepło, nie powinien sprawiać trudności nikomu. Jeśli rodzimy latem, w czasie upałów, to polecam kupić chociaż jedną paczkę lodów mlecznych lub, jak ktoś woli, owocowych. Też sprawdzają się idealnie jako szybki deser po obiedzie.

Nie będę ukrywać, że to właśnie w okresie poporodowym mężczyźni odwiedzają kuchnię najczęściej, a niektórzy z nich

nawet uczą się gotować! Nie mają zresztą innego wyjścia, bo w przeciwnym razie grozi im oraz ich rodzinie śmierć głodowa. Matka karmiąca, z obolałym kroczem i krwawiącym szwem, nie będzie przecież stać przy garach i mieszać chochlą! Chociaż pewnie wielu mężów tak sobie to wyobrażało.

Po zaspokojeniu głodu, który, jak wiemy, jest jednym z podstawowych instynktów, warto zaspokoić również potrzebę odpoczynku. W tej kwestii matka ma, jak wiadomo, wybujałe ambicje i oczekiwania. Niestety, rzeczywistość poporodowa jest brutalna i na żaden większy relaks nie mamy co liczyć. Dlatego warto w tym czasie skupić się na zadbaniu chociaż o relaks minimalny. Każda minuta spokoju i odpoczynku jest bowiem wtedy kobiecie niezwykle potrzebna. A przy czym najłatwiej się zrelaksować? Przy dobrym filmie, najlepiej przy komedii. Broń Boże dramaty i inne wyciskacze łez, bo szwy mogą puścić i nieszczęście gotowe. Komedie też nie powinny być zbyt ekspresyjne, bo zbyt intensywny śmiech również za bardzo poruszy nam mięśnie brzucha. Najlepiej przygotować sobie zatem „lekki obyczaj". Ważne, a może najważniejsze, by w okresie poporodowym baterie w pilocie do telewizora działały. Nie istnieje nic bardziej wkurzającego niż pilot, którym ma się ochotę rzucić o ścianę. Matka karmiąca nie powinna być narażona na tego typu przykrości i lepiej nie ryzykować, bo może się to skończyć tym, że pilot wyląduje na czole małżonka.

MATKA I ZAKUPY

Kiedyś, zanim zostałam matką, spacerowałam sobie alejkami w galerii handlowej, podziwiałam torebki i buty. Teraz spaceruję alejkami w naszym supermarkecie w dziale kaszek i słoiczków dla dzieci poniżej pierwszego roku życia. Kiedyś byłam ryczącą lwicą, która polowała na ciuchy z wyprzedaży, a teraz rzucam się na promocje pieluch i mleka w proszku. Dawniej kupowałam kremy do twarzy, a teraz wydaję majątek na kremy do dupska! Puder kiedyś też miał dla mnie tylko jedno przeznaczenie i nawet nie wiedziałam, pojęcia nie miałam, że może służyć do tyłka! Tak samo wózek. Wózek miał dla mnie duży bagażnik i niewiele palił. I ja się takim wózkiem uwielbiałam wprost wozić! Teraz wózek muszę pchać i jeszcze nim kołysać, bo to pomaga przy usypianiu. Kiedy to było? Zakopałam się w tych pieluchach tak głęboko, że czasem naprawdę zapominam o świecie istniejącym poza dziecięcym łóżeczkiem.

– Cześć, co słychać?

– Gówniany mam dzień.

– Znowu macie wirusa?

– Nie. Tym razem odpieluchowujemy Filipa.

– I co?

– I lata bez majtek po domu, zgodnie z książkowymi zaleceniami.

– To chyba dobrze.

– Co pół godziny pytam go, czy chce na nocnik.

– Super pomysł.

– Pytam: chcesz na nocnik? Mówi, że nie, i woła mnie do pokoju, żeby mu kanapkę przynieść. No to robię, niosę i nagle bomba! Nadepnęłam na minę w przedpokoju. Pod lustrem, jeszcze całkiem ciepła była. Wiem, bo wdepnęłam w nią bosą stopą.

– Fuj!

– To jeszcze nie koniec.

– Aż boję się słuchać.

– Wchodzę do salonu, a on, wyobraź sobie, siedzi na naszej sofie, na moim kaszmirowym szalu. Gołą pupą, całą tą kupą umazaną, co nie…

– Jezu…

– Mówiłam, że gówniany dzień mam. Do dupy z tą metodą latania bez majtek! Jakby zwalił w gacie, to chociaż byłoby co wytrząsać do kibla, a tak mam teraz pół mieszkania osrane. On chyba jeszcze nie dorósł do tej metody.

Nauka trzech magicznych słów

Każda matka doskonale wie, że nauka dobrych manier u dzieci jest jak nieustająca próba w teatrze, gdzie trzeba w kółko powtarzać tę samą scenę, z tym samym tekstem. I tak do skutku, aż dziecko się nauczy, że żeby coś dostać, trzeba o to grzecznie poprosić. A jeśli nabroi, to musi za swoje zachowanie przeprosić. Niby proste zasady, a dobrze wiemy, że ich nauka zajmuje dzieciom nie raz całe dzieciństwo. A i tak nie mamy gwarancji, czy w ogóle będą z nich korzystali w życiu dorosłym.

Mimo wszystko, bardzo opłaca się nauczyć dzieci trzech magicznych słów „dziękuję", „przepraszam" i „proszę". Zauważyłam, że umiejętność posługiwania się nimi bardzo podnosi notowania dzieci u ich nauczycielek. Przedszkolanki zupełnie inaczej traktują dzieci, które nauczyły się trzech słów już w domu i zawsze wszystko im wybaczają.

– Mamo, jestem głodny! – wrzasnął Filip ze swojego pokoju.

– No i? – odpowiedziałam z kuchni.

– Jeść mi się chce.

– No i…?

– Zrobisz mi kanapkę?

– O, nie – odpowiedziałam szybko.

– Nie? – zdziwił się i szybko przydreptał do kuchni z pretensjami: – A dlaczego mi nie zrobisz?

– Bo zabrakło magicznego słowa na końcu.

– Na „py” czy na „dy”?

– Najpierw na „py”.

– Proszę – powiedział mój syn.

– Całym zdaniem. I jeszcze raz.

– Ojejku!

– No, dawaj, dawaj. Podobno jesteś głodny?

– Mamo – zaczął – czy zrobisz mi kanapkę, proszę?

– Oczywiście, synku – odpowiedziałam z uśmiechem na ustach.

Filip wybiegł z kuchni zadowolony, a ja stanęłam w drzwiach i zawołałam za nim:

– Chwileczkę, o czymś nie zapomniałeś?

– Nie! – krzyknął. – Mam samochodzik.

– Nie chodziło mi o samochodzik.

– A o co ci chodziło, matko? – Jego cierpliwość była już mocno nadwyrężona.

– O to, że powiedziałam, że zrobię ci jeść.

– No, wiem – stwierdził słodko Filip.

– Chyba wypadałoby podziękować, co?

Słysząc to, syn stanął jak wryty, wziął głęboki oddech i tonem kamiennym i pełnym żalu, jakbym wymagała od niego nie wiadomo czego, powiedział, a właściwie wyrzucił z siebie:

– Dziękuję.

– Proszę. Chcesz naleśnika czy wystarczy ci kanapka? Bo są naleśniki od babci, zostały jeszcze z wczoraj.

Ponieważ Filip stał i nie odpowiadał, zapytałam raz jeszcze:

– To co chcesz w końcu?

– Nie wiem. Wszystko mi jedno. Tak się wkurzyłem, że już zapomniałem, że byłem głodny.

– A czym się wkurzyłeś?

– Wszystkim! – Pobiegł do swojego pokoju. – A najbardziej tym gadaniem o gadaniu! – Uderzył z całej siły pięścią w poduszkę.

– I co teraz powinien powiedzieć grzeczny chłopiec? – zapytałam.

Odpowiedziała mi cisza, więc musiałam dokończyć.

– Teraz – zaczęłam – Filip powinien powiedzieć „przepraszam".

– Przepraszam – powiedział, po czym burknął pod nosem: – Kurwa…

– Słucham…?

– Kurwa srać. I dupa! – krzyknął.

– I co jeszcze chciałeś mi powiedzieć, synku kochany?

– Wiem! – odpowiedział wściekły. – Mam iść do taty na poważną rozmowę.

– No, właśnie. A ja w tym czasie zrobię kanapki i się zastanowię, czy dać je tobie, czy sama je sobie zjem.

Nerwowe te dzisiejsze dzieci!

Co zrobić, takie czasy.

Jak kobieta wygląda tam, na dole, po porodzie?

Okazuje się, że to pytanie nurtuje większość matek. Właściwie to nie wiadomo dlaczego. No bo po co tam w ogóle zaglądać? Większość z nas z reguły nie patrzy w takie miejsca. A jednak ciekawość człowieka zżera. Po porodzie chcemy wiedzieć, czy tam, na dole, wszystko się zagoiło, czy krocze się zrosło. Przy czym zdecydowana większość z nas woli, żeby lekarz zajrzał tam fachowym okiem, niż byśmy miały patrzeć tam same.

Po porodzie naturalnym, który w wielu przypadkach przypomina istną bitwę, krocze może wyglądać dość dramatycznie. I strasznie boimy się tego widoku. Wyobrażamy sobie Bóg wie co, że zamiast kawałka ciała zobaczymy co najmniej krater wulkaniczny. Prawda jest taka, że kobiety całkiem szybko wracają do zdrowia, a rany się zabliźniają. I wszystko jest w porządku, na co dowodem są chociażby kolejne ciąże, w które młode mamy zachodzą, bywa że nawet pół roku po porodzie.

Pewnego dnia natknęłam się na jednej z internetowych grup dyskusyjnych na ciekawą rozmowę dotyczącą oglądania siebie z tamtej strony. I okazało się, że wszystkie jesteśmy pod tym względem takie same:

Dziewczyny, nie interesowało was, jak wyglądacie między nogami po porodzie? Czy bardzo się tam zmieniłyście? Bo mnie to ciekawiło, ale jakoś nie mam odwagi. Dziwne, czy też tak macie?

Odpowiedź 1: *Zwariowałaś, kobieto! Ja tam w ogóle nie zaglądam i nie zamierzam!*

Odpowiedź 2: *Ale nie ciekawiło was, czy tam się czasem coś nie porozciągało za bardzo? Albo czy coś nie wisi?*

Odpowiedź 3: *No i właśnie z wyżej wymienionych powodów wolę tam nie zaglądać. Jak mój chce, to niech sobie tam patrzy. Jestem osiem miesięcy po porodzie i nikt mnie nie zmusi, żebym tam zaglądała! W życiu!*

Odpowiedź 4: *Ja powiedziałam ginekologowi, żeby zobaczył, czy wszystko tam jest w porządku. W końcu za coś mu płacę, no nie?*

Odpowiedź 5: *Kochana, ja urodziłam już czwórkę i nie oglądałam siebie tam ani razu, tak że wiesz, spoko!*

Odpowiedź 6: *No, ja w sumie też nie mam odwagi siebie tam zobaczyć. Dziwne, nie?*

Odpowiedź 7: *Rzeczywiście dziwne. Nie ciekawi was, jak tam teraz wyglądacie?*

Odpowiedź 8: *Mnie to nigdy szczególnie nie interesowało. Nie jestem ginem i nigdy nie zaglądam.*

Odpowiedź 9: *A wystarczy odejść od kompa, wziąć lusterko z rączką, zdjąć matki i sobie tam luknąć. Żadna filozofia i po sprawie!*

Odpowiedź 10: *Mam sobie rozklapiuchę oglądać? A po co???*

Odpowiedź 11: *No dobra. Odeszłam od kompa. Weszłam do łazienki, wzięłam lusterko, ale jakoś nie mogłam tam spojrzeć. Tylko na samą górę.*

Odpowiedź 12: *A majtki zdjęłaś w ogóle?*

Odpowiedź 13: *Boże, dziewczyny, tak was czytam i włos mi się jeży! Jestem położną i zapewniam was, że tam, na dole, nie ma nic strasznego! Spokojnie można sobie tam zajrzeć.*

Odpowiedź 14: *A ja bym wolała, żeby ktoś to zrobił za mnie. I tak się na tym nie znam.*

Odpowiedź 15: *A ja sobie tam zajrzałam dobę po porodzie, dodam, że naturalnym. I powiem wam, że widziałam w życiu dużo ciekawsze obrazki. Jak nie chcecie mieć koszmarów w nocy, to lepiej tam nie patrzcie.*

Odpowiedź 16: *Ja sobie tam nie zaglądałam nawet przed porodem, więc i tak nie widziałabym różnicy. Co innego mój facet.*

Odpowiedź 17: *A ciekawa jestem, czy wasi faceci komentują wasz wygląd tam, na dole, po porodzie?*

Odpowiedź 18: *Niechby tylko spróbował! Zamknęłabym sypialnię na amen.*

Odpowiedź 19: *Ale skąd wiesz, może powiedziałby coś miłego?*

Odpowiedź 20: *Jak może powiedzieć coś miłego po trzech porodach naturalnych?*

Odpowiedź 21: *Mi zajęło to całe osiem lat. Aż w końcu tam zajrzałam. Szału nie było. Kurczę, człowiek się starzeje nawet tam, niestety.*

Już urodziłam? Nie, to tylko... kupka

Podobno zdarza się to częściej, niż nam się wydaje. Najgorsze jest to, że nikt nie informuje o tym wcześniej ciężarnej i potem na sali porodowej mamy małą niespodziankę. No bo przecież kiedy leży się z nogami w górze i prze się z całych sił, to żeby nie wiem co, nie da się natury powstrzymać. I czasem zamiast dziecka wypycha się na świat własnego… balaska. Okropne, ale taka jest prawda. Poza tym tam, na dole, mamy istny system naczyń połączonych. Że też natura musiała nam to tak ułożyć, że obok waginy mamy też ten cholerny odbyt i do tego cewkę moczową. Wszystko w jednym garnku, i to fajne, i niefajne!

No i, jakby nie było, trochę słabo zrobić kupę tak na oczach wszystkich, co nie? I nawet nie można się podetrzeć. Podobno personelu medycznego nic nie jest w stanie zaskoczyć i niejedno już widzieli, ale nadal nie jestem przekonana, czy nie umarłabym ze wstydu, gdyby coś takiego mi się przytrafiło. Kto wie, może też miałam tę „przyjemność", tylko pielęgniarki i położne po prostu mi o tym nie powiedziały, żeby mnie nie krępować?

To takie krępujące, właściwie nawet żenujące, i pewnie dlatego w niektórych szpitalach nadal przed porodem robi się lewatywę. Kolejna żenada: wsadzać kobiecie rurkę w dupę i pompować tam wodę! Chore to jest!

Kiedyś podjęłyśmy nawet ten temat z koleżankami na placu zabaw. Dzieciaki bawiły się w stawianie babek z piasku, a mamuśki uderzyły w najbardziej krępujący temat pod słońcem, a co tam!

– Ja tam się nie zgodziłam na lewatywę, tylko sama wsadziłam sobie czopek i przynajmniej nie miałam potem problemu.

– A mi przemiła położna powiedziała, że jak się nie zgodzę na lewatywę, to dziecko urodzi się umazane masą kałową! Fuj! No to jak miałam się nie zgodzić? No, jak?

– I co? – zapytałam. – Pomogło?

– A skąd! Zrobiłam pod siebie już przy trzecim skurczu, niestety. I tak było mi już wszystko jedno.

– A ja powiedziałam położnej, że czuję, że muszę do toalety i żeby pozwoliła mi pójść. A ona na to, że już mam siedem centymetrów rozwarcia i w takim stanie nie mogę nigdzie iść. „To mam się załatwić tutaj?!, zapytałam, a ona na to, że to żaden wstyd i że ona sprzątnie. Wyobrażacie sobie?

– I co? Zrobiłaś?

– Tak. Nie mogłam się powstrzymać, same wiecie, jak to jest. Było mi tak wstyd, myślałam, że zrobiłam dużego klocka, bo tak to czułam, a to się okazał bobek króliczy.

Tak samo jak nikt nie informuje o tym, że po porodzie, zwłaszcza naturalnym, zwłaszcza kolejnym z rzędu, mięśnie miednicy odmawiają współpracy. Jednym słowem, można się posikać przy byle kichnięciu, podczas śmiechu i przy zakładaniu

szpica na choinkę. No, niestety. Dlatego oprócz chodzenia na siłownię i dbania o płaski brzuch warto ćwiczyć także „tamte” mięśnie.

Co matki gotują na obiad?

Jak nazywa się najłatwiejsze na świecie danie obiadowe? Jest to „danie na winie”, czyli danie zrobione z tego, co się nawinie. Do garnka wrzucamy wszystko, co jest w szafie i co akurat rzuci nam się w oczy: ryż lub makaron, tuńczyk w puszce, resztka kalafiora z wczoraj lub jajko. Całość gotujemy w małej ilości wody. *À propos* wody, to ma same plusy, bo prawie zawsze jest, przynajmniej ta w kranie. Ugotowane „danie na winie” polewamy resztką keczupu, doprawiamy solą i pieprzem, i jest super!

Przy okazji: bita śmietana w sprayu to najlepsza przyjaciółka każdej kobiety w ciężkie dni. Jest słodka i nigdy cię nie obgada za plecami. Uwaga: dodatek truskawek może przyspieszyć działanie. Wada: substancja silnie uzależniająca. I żadne light ani inne odtłuszczone wynalazki! Ma być tłusta i prawdziwa. Aha, i najważniejsze: trzeba ją szybko zjeść, bo pozostawiona natychmiast pleśnieje w zakrętce. Tak że ten tego, żeby się niepotrzebnie nie zmarnowało, najlepiej zjeść całe opakowanie tego samego dnia. Oczywiście, że się da!

Mamo, ile miałaś lat, kiedy mnie urodziłaś?

Zawsze porównujemy siebie do innych albo innych do nas samych. Idąc tym tropem, zapytałam kiedyś mamę, ile miała lat, kiedy mnie urodziła. Okazało się, że była wówczas pięć lat młodsza ode mnie. Pięć lat!!! Powiedzmy sobie szczerze, że była szczylówą! Co można wiedzieć o życiu w tak młodym wieku? Może do tej pory oceniałam ją zbyt krytycznie? Przecież nie miałam pojęcia, że była aż tak młodą matką, więc w sumie powinnam jej wybaczyć niedociągnięcia wychowawcze. Zresztą o czym ja mówię? Jakie niedociągnięcia? Wszystkie jej „grzechy" wydawały mi się teraz mało istotne. Uświadomiłam sobie, że zupełnie inaczej zaczynamy oceniać nasze matki, kiedy same rodzimy dzieci.

Każda matka powtarza: Kiedy sama będziesz miała dzieci, to zrozumiesz. I coś w tym jest. Co więcej, sytuacja w moim domu nabrała takiego tempa, że już sama zaczęłam tym tekstem zarzucać własną córkę. A ma dopiero dziesięć lat! Wszystko przez to, że krytykuje mnie na każdym kroku. Łatwo jej mówić, bo sama nie ma dzieci i nie wie, jak to jest. A jest naprawdę trudno, zwłaszcza przy dwójce niezwykle aktywnych i kreatywnych dzieciaków.

Od rana mam migrenę. Właściwie od wczoraj. Filip właśnie testuje nowy wóz strażacki, który mu ostatnio kupiliśmy, włącza na zmianę sygnał i światełka, które migają mi po oczach, sprawiając, że czuję się jak w dyskotece, więc wiecie… łeb mi pęka… Ale najważniejsze, że młody ma dobrą zabawę.

Niejadki

Dzieci dzielą się na niejadki i na te, które jedzą w nadmiarze. Zdarzają się też takie, które jedzą normalnie, ale jest ich bardzo mało. Zwykle każda matka ma z tym jakiś problem, bo albo uważa, że jej dziecko je za dużo, albo przeciwnie, że za mało. Zagadką pozostaje, skąd wie, jaka ilość jedzenia jest dla jej dziecka właściwa. Kiedyś pewien pediatra powiedział mi, że matki robią o to zbyt wiele hałasu i każde dziecko je tyle, ile uważa, że jest mu potrzebne. Dodał też, że nie ma sensu wpychać dziecku jedzenia na siłę, choć wiele matek nadal stosuje tę metodę, co można zauważyć na niejednym placu zabaw. Widok matki goniącej dziecko z kanapką w ręku nie należy do rzadkości.

Z jedzeniem wiążą się też liczne opowieści, które potem zapisują się historii rodzinnej. Każda matka ma takich sytuacji przynajmniej kilka i wszystkie dotyczą karmienia.

Kiedyś nasz Filip jadł z miseczki jakąś papkę i nagle powiedział:

– Ptaszki.

– Ale co „ptaszki”, Filipku? – zapytałam.

– Damy jeść.

– Aha! – zrozumiałam. – Chcesz dać jeść ptaszkom?

– Tak!

– Dobrze, pójdziemy do parku i będziesz karmił.

I poszłam do kuchni po soczek.

Kiedy wróciłam, zastałam Filipa stojącego z plastikową łyżeczką od zupki przy drzwiach balkonowych. Szyba umazana była zupką od góry do dołu, bo przecież synek karmił w ten sposób srokę, która siedziała na balkonie. Że też ja, głupia, na to nie wpadłam!

Innym razem zostawiłam go na sekundkę dosłownie sam na sam z miską spaghetti w sosie pomidorowym. Wracam, a tu Filip urządził sobie niezły bodypainting! Cały brzuch i buzia na czerwono. I jaki zachwycony był! Normalnie duma go rozpierała i pewnie dziwił się, że wcześniej na to nie wpadł.

Od tamtej pory nie spuszczałam zawodnika z oka nawet na sekundę. Nie warto!

Bywało też, że w kuchni urządzaliśmy prawdziwą plażę nudystów, to znaczy jego rozbieraliśmy do naga i tak wsadzaliśmy w wysokie krzesełko do karmienia. Dlaczego zrezygnowaliśmy z ubioru? Z bardzo praktycznego powodu. Otóż, tak się tytłał w jedzeniu, że doprać potem tych ciuszków nie mogłam. Był to czas nauki samodzielnego używania łyżeczki, która zanurzona zwłaszcza w sosie pomidorowym albo innej warzywnej zupce przecieranej służyła również za grzebień i przyrząd do drapania się po plecach. Plus spożywania posiłków nago stanowiło również to, że po całej operacji można było go wsadzić prosto do wanny i

wykąpać. Sytuacja ta trwała dobrych kilka tygodni, zanim Filip zrozumiał, że łyżka służy jedynie do jedzenia. Przetrwaliśmy.

Codzienna toaleta roczniaka

Weszłam do łazienki, a tam Filip akurat się czesał. Powiecie: Roczniak, który już dba o fryzurę, to dobre rokowania na przyszłość. Jasne. Tylko że on się czesał szczotką do mycia toalety!

– Może jeszcze zęby sobie tą szczotką umyj, co?

I tak się zastanawiam, czy coś jest w stanie mnie jeszcze w życiu zaskoczyć?

Innym razem zastałam go pochylonego nad toaletą, do której mówił „pa, pa".

– Jak ładnie spuściłeś wodę, Filipku! – powiedziałam z dumą.

– Pa, pa! – pomachał rączką, patrząc w otwór.

– Kupkę spuściłeś, bardzo ładnie!

– Pa, pa!

I dopiero wtedy do mnie dotarło.

Z drżącym sercem zajrzałam do toalety.

– Nie… – jęknęłam prawie z płaczem. – To był ulubiony zegarek twojego taty…

– Pa, pa, zegarek!

Wyłowiłam go z obrzydzeniem, no ale ktoś musiał to zrobić! I co? Nie chodził.

A kibel szalenie fascynuje Filipa do dzisiaj.

Seks po porodzie

Podejście pierwsze:

– Zaczekaj – poprosiłam, obejmując Piotrka. – Nie tak agresywnie, dobrze?

– No przecież nawet się jeszcze nie ruszyłem – powiedział ze spokojem.

– Mówiłam ci, że nie jestem jeszcze na to gotowa.

– Mówisz jak dziewica. – Odchrząknął.

– Uwierz mi, że tak właśnie się czuję.

– Fajnie.

– Nie, nie jest fajnie. – Naciągnęłam kołdrę pod szyję. – Boję się, że mnie tam, no wiesz, że mnie rozerwiesz.

– Przecież lekarka powiedziała, że po sześciu tygodniach już można.

– Lekarz powie ci wszystko to, co chcesz usłyszeć – stwierdziłam.

– Przecież minęły już dwa miesiące od porodu. Wszystko tam ci się zagoiło.

– Skąd wiesz?

– Mogę rzucić okiem.

– Nie! – krzyknęłam. – Ani mi się waż.

– Ale dlaczego?

– Bo… bo nie jestem jeszcze na to gotowa.

– Ale ja będę bardzo delikatny, obiecuję. – Pocałował mnie w ramię. – Wszystko zrobimy powolutku i ostrożnie.

– Jesteś pewien, że tego chcesz?

– No, ba.

– Ale ja chyba…

– Kochanie, odpręż się. To cię uspokoi.

– No właśnie to mnie denerwuje. I to strasznie.

– To może zmienimy pozycję?

– Chyba zwariowałeś! Niczego nie będziemy zmieniać. Ja chcę mieć to jak najszybciej z głowy.

– Jak to z głowy…? – powtórzył. – Ale przecież to jest sama przyjemność.

– Chyba dla ciebie. Ja się cały czas boję, że się tam nie zagoiłam odpowiednio.

– Zaraz to sprawdzimy…

– Nie.

– Przecież kiedyś będziemy musieli w końcu to zrobić.

– Ale dlaczego akurat dzisiaj?

– Bo czekałem na to tak długo…

– To poczekasz jeszcze trochę. – Wysunęłam się z jego ramion. – Poza tym nie chcę, żeby Helenka się obudziła. Śpij już. Dobranoc.

Podejście drugie:

– Cieszę się, że dzisiaj jesteś już gotowa – powiedział Piotrek.

– Tak do końca to jeszcze nie jestem, ale niech już ci będzie.

– Zobaczysz, będzie dobrze. Zaufaj mi.

– A wiesz, że człowiek jest wyposażony w zmysły?

– No, wiem.

– Czytałam, że niektórzy podniecają się od samego patrzenia.

– Tak?

– Chciałbyś sobie popatrzeć?

– No przecież patrzę.

– Ale wiesz, może samo patrzenie by ci wystarczyło, co? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Kochanie, co ty znowu kombinujesz?

– Nawet Wisłocka pisała, że po porodzie trzeba kobietę dotykać, żeby tam niczego nie uszkodzić.

– Po porodzie, owszem.

– No, a ja jestem po porodzie, chciałam zauważyć.

– Trzy miesiące – dodał, zgodnie z prawdą.

– Widocznie niektóre kobiety potrzebują na to trochę więcej czasu.

– I dlatego cierpliwie czekałem. – Położył mnie delikatnie na prześcieradle.

– Wisłocka pisze, że petting jest bardzo podniecający i może w zupełności wystarczyć…

– Pet… co?

– Dotykanie.

– A, rozumiem. Na szczęście cały czas cię dotykam…

– Ale czuję, że napierasz w jednym kierunku, a tak się zastanawiałam, że skoro niektórzy ludzie osiągają spełnienie samym tylko dotykiem, to może…

– To może co?

– To może chciałbyś też tego spróbować? Wiesz, zawsze to coś nowego, prawda?

– Mam się tylko … dotykać? O to ci chodzi?

– Masz mnie dotykać.

– I tylko tyle…?

– Tak. Tylko szybko, bo Helena się za chwilę obudzi.

Obraził się.

Podejście trzecie:

Wypiliśmy po lampce wina, obejrzeliśmy film i… stało się. Tak normalnie, jak dawniej. I nic mnie tam nie bolało, a nawet było mi bardzo przyjemnie.

Najgorsze zabawki świata

Najgorsze zabawki świata: drewniane. Kto to wymyślił? Fajne, modne i takie trendy, co nie? Tylko że niejedna matka dostała takim drewnianym samochodzikiem w nos i wie, jak to boli. Niestety, producent nie przewidział takiej opcji. A dzieci bywają przecież niezwykle kreatywne!

Mój Filip i tak najbardziej lubił bawić się w ustawianie wieży z rolek papieru toaletowego. Przecież to takie duże klocki!

Co gotujesz dzisiaj na obiad?

Nie mam pomysłu na obiad. I w ogóle zaczęłam się zastanawiać, dlaczego oni się u mnie stołują? Co im przyszło do głowy, żeby przychodzić do mnie na obiady? Przecież ja nie mam pojęcia o gotowaniu i oni dobrze o tym wiedzą. Przez te wszystkie lata nauczyłam się obierać ziemniaki, co i tak uważam za sukces! Niestety, na ziemniakach kończą się moje umiejętności kulinarne. Potrafię je jeszcze ugotować w osolonej wodzie. Wiem, że są gotowe, kiedy da się w nie wbić widelec. Tutaj moja fantazja w kuchni się kończy. Tak zwaną resztę do ziemniaków domownicy muszą sobie skombinować sami. Piotrek zwykle smaży do nich kiełbasę, a dzieciom kupuje gotowe kotlety albo przynosi je od teściowej. Z dziećmi w ogóle jest kłopot, bo nie wszystko chcą jeść. Na szczęście są potrawy, które zjadają zawsze, na przykład pizzę. Niestety, jest to dość kosztowna forma karmienia, o kaloryczności tej potrawy nie wspominając. Zauważyłam też, że mój Filip mógłby na okrągło jeść makaron z keczupem. Wiem, wiem. Powinnam do tego makaronu podać jakiś porządny sos pomidorowy. I czasem tak jest, pod warunkiem, że wcześniej taki sos kupię. No, ale jak nic nie mam w kuchni, to makaron z keczupem jest ekstra! Szybkie i proste danie.

Nie umiem i nie lubię gotować. I przysięgam, że kiedyś te obiady mnie wykończą. Nie dość, że trzeba wymyślać, co w ogóle im podać, to jeszcze trzeba tak to ugotować, żeby było zjadliwe. Dlaczego nie można położyć im na talerzu po batonie czekoladowym? Byłoby szybko i każdy byłby zadowolony. A tak to muszę się nieźle nagłówkować.

Z pomocą przyszła mi kiedyś teściowa, której w chwili słabości pożaliłam się na te nieszczęsne obiady. Każda matka ma przecież takie dni, a nawet tygodnie, kiedy nie wie, co ma do garnka włożyć. Jak teściowa się o tym dowiedziała, od razu postanowiła mi pomóc. Przygotowała mi listę ulubionych potraw, dla których każdy mężczyzna wróci z pracy do domu na skrzydłach. Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby wracając na skrzydłach do domu, Piotrek przyniósł też w zębach gotowy obiad dla nas wszystkich, no ale nie można mieć wszystkiego.

Na liście znalazły się:

- gołąbki w sosie pomidorowym
- kotlety mielone z buraczkami tartymi i ziemniakami
- kotlety schabowe z zasmażaną kapustą
- gulasz z kaszą
- naleśniki z serem
- placki z jabłkami
- kopytka z masełkiem i bułką tartą
- fasolka po bretońsku z bagietką

- pierogi ruskie
- kaszanka z cebulą i ziemniakami
- pieczone udka z kurczaka
- zupy: pomidorowa, ogórkowa, żurek.

Mało oczy nie wyszły mi z orbit, jak to przeczytałam. To była lista dobrych życzeń kulinarnych, a nie obiady przetrwania dla kogoś, kto wie o gotowaniu tyle, co łysy o żelach do włosów!

Ja także przygotowałam swoją listę tygodniowych obiadów, która wyglądała mniej więcej tak:

Poniedziałek: McDonald's (dzieciaki będą zachwycone!).

Wtorek: kebab (pokażcie mi jednego faceta, który nie lubi kebaba).

Środa: KFC.

Czwartek: Burger King.

Piątek: ryba z mrożonki, ale taka gotowa, już w panierce, do tego frytki.

Sobota: pizza (przynajmniej dzieciaki się ucieszą).

Niedziela: obiad u teściowej.

I gotowe! Oczywiście nie pokazałam tej listy teściowej, ale za to starannie ułożyłam ją sobie w głowie.

Wieczorem, kiedy Piotrek wrócił z pracy, powiedziałam mu o swoich rozterkach. Przyznam, że przez chwilę wahałam się, czy w ogóle pokazywać mu tę listę obiadów od jego matki. W końcu złamałam się i położyłam mu ją przed nosem. Piotrek czytał ją

bardzo długo. A potem rozpłakał się ze wzruszenia, bo wiedział, biedaczek, że o takich rarytasach może sobie tylko poczytać.

Kurde, a czy ktoś pytał mnie, o czym ja marzę? I od razu zaznaczam, że moje marzenia wcale nie są takie wygórowane. Moim podstawowym marzeniem jest to, żeby ktoś gotował za mnie. To by mi w zupełności wystarczyło.

Ciasto, które zawsze wychodzi? Chyba bokiem!

Skusiłam się kiedyś na wypiek. I już przynajmniej wiem, że nigdy więcej tego błędu nie popełnię. Otóż przepis znalazłam na forum. Wszystkie dziewczyny chwaliły, że jest to ten rodzaj ciasta, który każdemu wyjdzie. I jeszcze jak głupia zapytałam: *Ale czy na pewno mi wyjdzie, bo wiecie, ja nie mam pojęcia o pieczeniu, a jakoś mnie naszło. Myślicie, że warto się w ogóle za to brać, mając takie tendencje???*

Uprzedziłam wszystkich obecnych na forum, że mam dwie lewe ręce do wypieków, żeby potem nie było. Jakaś dziewczyna o nicku Klawa73 napisała: *Spoko, ja też nie jestem drugą Gesslerową i to ciasto akurat mi wyszło, więc nie masz co się obawiać. Komu ma wyjść, jak nie nam, co nie?* No i jakoś mnie przekonała. Wszystko przygotowałam zgodnie z instrukcją znalezioną na tym samym forum, które zresztą nazywało się: „Przepisy na ciasta, które zawsze wychodzą". Wszystko wyglądało całkiem dobrze. To ciasto w ogóle nie wyglądało na trudne, bo miało w sobie tylko dwa składniki: jajka i cukier. No przepraszam bardzo, ale już łatwiej się nie da! Ciasto się nazywało: beziki z owocami. Trzeba było upiec bezy, a potem udekorować je owocami. Zdaje się, że łatwe, prawda? Białka oddzieliłam od żółtek i nawet nie pogubiłam się

na tym etapie, co wcale nie jest takie proste. W przepisie zaznaczyli, że do białek nie może wpaść nawet odrobina żółtego, bo inaczej piana się nie ubije. Udało mi się wykonać to zadanie doskonale! Białka przelałam do miski i ubiłam je szybko mikserem, który nastawiłam uprzednio na najwyższe obroty. Sprawnie i z gracją wsypałam do białej masy pół szklanki cukru. Było trochę jazdy, nie powiem, bo piana zaczęła bryzgać mi po twarzy, ale na szczęście trochę jej w misce zostało. Akurat tyle, żeby wyszło z pięć bezików. Kiedy całość ubiła się na sztywno, łyżką układałam na blaszce kopczyki z tej piany. I wyszło mi tych kopczyków aż dziesięć! I nawet trzymały pion! Jezu, jaka ja byłam szczęśliwa. Myślałam, że z tej radości ucałuję komputer. Tymczasem wjechałam z blachą do piekarnika i nastawiłam całość na 150 stopni, tak jak było w przepisie. A kiedy odpaliłam piekarnik i usłyszałam charakterystyczny szum wydobywający się z jego wnętrza, byłam wprost w siódmym niebie! Po prostu! Łzy szczęścia płynęły mi po policzkach i poczułam, że dopiero teraz rozumiem te wszystkie kobiety, które wrzucają na Facebooka zdjęcia swoich ciast! No kurde, to jest naprawdę niezłe wyzwanie, które daje sto procent satysfakcji. Pobiegłam po telefon i też zrobiłam fotkę, a co! Moje bezy przez szybę piekarnika prezentowały się cudownie. Wyrośnięte i pulchne, aż miło było na nie popatrzeć!

– Brawo! – powiedziałam, nie odrywając od nich oczu. – Nie zawiodłyście mamusi!

Zrobione fotki od razu wysłałam do Piotrka i z rozpędu również do teściowej, a niech wie, że nie jestem taka beznadziejna. Piotrek odpisał od razu: *Po co wstawiłaś je do piekarnika?*. W pierwszej chwili nie wiedziałam, o co mu chodzi. *Jeszcze się pieką*, odpowiedziałam szybko. *Co…?! Sama je zrobiłaś? Myślałem, że kupiłaś w sklepie gotowe i podgrzewasz.*

Nie miałam już czasu, żeby mu odpisać, bo trzeba było kończyć to pieczenie. Chociaż Bóg mi świadkiem, że wcale nie chciałam odchodzić od tego piekarnika i mogłabym tak siedzieć i patrzeć na moje ciastka aż do wieczora. Było coś relaksującego w tej czynności. Poza tym nie mogłam wyjść z podziwu nad własnoręcznym wypiekiem!

Wyłączyłam piekarnik, tak jak kazali w tym przepisie, i poszłam zrobić sobie kawę. Nic nie smakuje lepiej niż kawa z ciastkami własnego wypieku, tak przynajmniej zawsze powtarzała teściowa, a ja miałam już wkrótce się o tym przekonać. Wsypałam do kubka dwie łyżeczki kawy rozpuszczalnej, którą zalałam wrzątkiem, i wyjęłam z szafki talerzyk, który akurat był czysty. Schyliłam się i pełna dobrych myśli, z nadzieją na pyszny deser do kawusi, otworzyłam piekarnik. I wtedy zdarzył się prawdziwy dramat.

– Nie…! – krzyknęłam i wyciągnęłam dłonie do moich ciastek, które opadały na moich oczach, wtapiając się prawie w dno blachy!

Czułam się jak matka, która musi patrzeć, jak jej dzieci toną, i nic nie może zrobić. Co za dramat! A przecież było tak dobrze, wszystko szło zgodnie z planem i nic nie zapowiadało klęski.

– Dlaczego?! – wrzasnęłam na całą kuchnię.

Wyjęłam blachę.

Patrzyłam i oczu nie mogłam oderwać od tej tragedii. I nadal nie wiem, jak do tego mogło dojść. Zawaliłam najprostsze ciasto na świecie! Nawet nie chciałam myśleć, co by się stało, gdyby to ciasto miało więcej składników…

Byłam załamana i wkurzona. I nikomu nie polecam ciast, które zawsze wychodzą, bo takie ciasta po prostu nie istnieją. A tę całą Klawę73 to bym najchętniej udusiła gołymi rękoma. Tylko jajka i cukier zmarnowałam.

Wzięłam do ręki telefon i wystukałam do Piotrka: *Już nieaktualne*. Odpisał: *Zjadłaś wszystkie sama???*. Nie miałam siły mu odpisywać. Nie miałam serca. Strzeliłam więc fotkę bezowych zwłok i wysłałam mu ją. Nie odpisał. I nawet szkoda mi się go zrobiło, że ma żonę, która jest podręcznikowym kulinarnym beztalenciem!

Dolałam do kawy mleka i kiedy chowałam butelkę z powrotem do lodówki, przed oczami mignęła mi szklanka z żółtkami, które z taką precyzją oddzieliłam od białek. A co można zrobić z taką ilością żółtek? Żadna oszczędna pani domu ich przecież nie wyrzuci. Na jajecznicę się nie nadają, na surowo tym bardziej.

Wyjęłam je z lodówki, dosypałam cukru i zaczęłam kręcić w nich łyżeczką, aż do uzyskania kremowej, puszystej masy. I byliśmy już w domu, ja i moje zapotrzebowanie na coś słodkiego. W dodatku własnoręcznie przygotowane! Z sercem.

I nawet fotkę strzeliłam, żeby mój kogel-mogel uwiecznić! Zdjęcie wkleiłam na forum „Przepisy na ciasta, które zawsze wychodzą", stagowałam Klawę73 i podpisałam je komentarzem następującej treści: *Bezy najgorszej kucharki na świecie, czyli całe szczęście, że chociaż kogel-mogel mi z nich wyszedł. Następnym razem, jak mi się zachce czegoś słodkiego, to pójdę do cukierni. Miłego dnia, kuchareczki!*

Po jakiejś minucie pod moim postem pojawił się komentarz jakiejś Kwiatowej, która napisała: *Nie martw się. Ja kiedyś zrobiłam ciasto z galaretką, które wcale nie stężało, chociaż trzymałam je w lodówce dwie doby. Najgorsze, że dzieci napaliły się strasznie! Nie mogłam im tego zrobić i wszystkiego wyrzucić, więc skończyło się tak, że wyjadaliśmy je łyżeczkami z formy. I powiem ci, ze nawet im smakowało, a syn to nawet powiedział, że takie jest lepsze! No i jak tu ich nie kochać!*

I ktoś szybko skomentował: *To miałaś szczęście, że łyżeczką się dało wyjeść. Mi kiedyś galaretka szczelinami, skubana, wyciekła z tortownicy! Nic nie zostało do zjedzenia, mówię ci. Z tymi galaretkami to jest jakaś porażka, chociaż zawsze piszą: „stopień trudności: bardzo łatwe". Ta, już to widzę. Więcej się nie nabiorę!*

Wzruszyłam się, przyznaję! W końcu nie ja jedna jestem niedoskonałą kucharką i nie ma co robić z tego tragedii. Postanowiłam zostawić drugą połowę kogla-mogla dla dzieciaków, zresztą już i tak nieźle mnie zemdliło.

Po co się męczyć z wypiekami domowymi, skoro jest przepis na kogel-mogel, prawda?

Czego matka nie znajdzie w żadnym poradniku dotyczącym wychowywania dzieci?

Boże, dlaczego ono nie śpi? A jak już zaśnie, to zaczyna się z drugiego końca: Dlaczego ono tak długo śpi? Może chore? Może nie oddycha? Może nie żyje? Lepiej pójdę sprawdzić. Przecież to nie jest w jego stylu, żeby tak długo spać!

Dwulatek: nadal piszczy, nadal wrzeszczy, nieważne, że jest w sklepie, a nawet powiedziałabym, że w sklepie tym bardziej. Tak, dwulatek ma tę moc i nadal z niej korzysta. I w przeciwieństwie do mamusi, uwielbia wzbudzać sensację w miejscach publicznych, jest urodzonym celebrytą, który kocha, kiedy wszyscy, łącznie z panią przy kasie, nie mogą oderwać od niego wzroku!

Dlaczego w tych wszystkich jebaniutkich poradnikach o rozwoju dziecka, w których piszą, miesiąc po miesiącu, czego po dziecku należy się spodziewać, NIKT nie informuje, kiedy:

- przestanie się budzić w nocy;
- zacznie przesypiać choć pół nocy, chociaż ćwierć albo chociaż godzinę;
- zacznie zasypiać w swoim łóżku, a nie w łóżku rodziców;
- przestanie się buntować;

- przestanie gryźć własną matkę;
- przynajmniej oswoi się z łyżką, zamiast pakować ręce od razu do miski z obiadkiem.

Czemu oni o tym nie piszą?

I jeszcze: Do czego służy dziecku kaszka? Do wypluwania.

Poszłaby matka na imprezę

– Cześć, stara! Co słychać? Jakie macie plany na sylwestra? Może wpadniecie do nas na imprezę? Będzie fajnie.

– Dzięki, ale u nas też szykuje się fajna domówka.

– Co? W domu zostajecie? I co będziecie robić?

– Jak to co? Mogę ci wymienić z dokładnością co do sekundy, chociaż i tu może się zdarzyć jakiś spontan, w postaci, na przykład, gorączki.

– No to co będziecie robić?

– Najpierw będziemy kąpać, a potem będziemy usypiać.

– No ale jak już wam zaśnie, to może chociaż szampana wypijecie?

– I bez tego mam już takie bąbelki w głowie, że czasem to aż się dziwię, że jeszcze jestem w stanie iść równo. Ale wiesz, jakbyś nie spała od dwóch lat, to też byś się czuła jak na niekończącej się imprezie, nie? W każdym razie mamy niezłego didżeja w domu. Nie pozwala nikomu zmrużyć oka.

A bywało się przecież młodym, i to całkiem jeszcze niedawno, chodziło się poszaleć tu i tam, a teraz trzeba siedzieć w pieluchach i swoje odbębnić, zanim dziecię wyskoczy z pieluch i nauczy się samo zostawać w domu.

Kiedyś spotkałam koleżankę ze studiów pod sklepem. Nie wiedziała, że wyszłam za mąż i w ogóle. I wiecie, co mi powiedziała?

– Już urodziłaś? To do zobaczenia za jakieś dwa lata.

I miała rację, niestety.

Obcinanie paznokci i mycie włosów

Spróbuj obciąć mu paznokcie! Tylko spróbuj! W przypływie dobrego humoru pozwoli ci dojść co najwyżej do trzeciego paluszka. Drugą rękę spokojnie możesz dokończyć w przyszłym tygodniu. Próbowałam też robić podchody w nocy, kiedy spał, ale pewnego razu obudził się i tak szarpnął nożyczkami, że aż mi pod nos podskoczyły, o mały włos oka nie straciłam! No więc od tamtej pory wolałam nie ryzykować ze względu na własne zdrowie. Z dwojga złego lepiej zachować oczy, a on niech zamieni się w wilkołaka. Trudno.

Moje dzieci w ogóle miały z higieną osobistą, że tak powiem, na bakier. Filip nie znosił obcinania paznokci, to już pisałam. Jakby w tym pazurach miał jakąś ukrytą moc! Nie dał do siebie podejść i jak tylko widział, że zbliżam się z tymi nożyczkami, to uciekał na drugi koniec mieszkania, drąc się przy tym wniebogłosy, jakbym co najmniej chciała mu uszy obcinać, a nie paznokcie. Nic nie pomagało, ani tłumaczenia, ani biadolenia. W końcu wpadłam na pomysł, że będę mu je obcinać podczas jego ulubionej bajki, co też nie było takie proste. Ale przynajmniej miałam szansę skończyć jedną rękę, jak się zapatrzył na świnkę Peppę. W końcu się przyzwyczaił do tej czynności, ale zajęło mu to dobre dwa lata!

Helena za to nie miała żadnych problemów z obcinaniem paznokci, ale nie znosiła mycia włosów. Co ja się nagimnastykowałam! Polewanie wodą z konewki nie pomagało, puszczanie małego strumienia wody też nie. Darła się strasznie w tej wannie, a wiadomo, jak echo się niesie w łazience. Nawet nie chcę myśleć, co mogli pomyśleć sąsiedzi. Serio, zza ściany mogło to brzmieć, jakbym własne dziecko w wannie podduszała albo chciała utopić! W końcu pożaliłam się pediatrze w przychodni. Zaleciła powolne oswajanie dziecka z wodą. Ale Helena się przecież wody nie bała! Co więcej, uwielbiała chodzić na basen! W każdym razie nie udało mi się znaleźć żadnego cudownego sposobu. Po prostu, z upływem czasu córka zaakceptowała tę nieprzyjemną dla niej czynność i przestała wrzeszczeć za każdym razem, kiedy lałam jej szampon na głowę. Przyzwyczajenie jest ponoć drugą naturą człowieka, również tego małego. A nam, rodzicom, pozostaje tylko być cierpliwym i czekać na dzień, kiedy skończą się te wzajemne męczarnie.

Co matka może usłyszeć w parku od innych mam?

Nikt matek nie uprzedzał, że mogą zajść pewne niemiłe sytuacje, na które narażone będą po przekroczeniu progu własnego mieszkania. Czasami mam wrażenie, że cały świat buntuje się przeciwko tej jednej, biednej matce, która jest jak worek do bicia. Każdy może jej dosrać swoim komentarzem i każdy z tej możliwości korzysta do woli. Ja nie wiem, jak to jest, że nagle całe społeczeństwo czuje się odpowiedzialne za to biedne dziecko i będzie matce doradzać, jak naszego małego obywatela wychować. I każdy ma swoją koncepcję. A matka musi tego słuchać bez końca.

Na jakie komentarze należy być przygotowanym, jeśli chodzi o inne matki? Ano chociażby na takie:

„Mój, jak był w tym wieku, to już nie sikał w pieluchę. I to od dawna".

„Moja nigdy nie chodziła bez czapki w taką pogodę".

„To pani dziecko? Bo jakieś takie zupełnie do pani niepodobne, może adoptowane?"

„Nie martwi się pani, że ono jeszcze nie mówi?"

„Z takim kaszlem, to ja bym już do lekarza leciała, a nie leniuchowała na placu zabaw. Niektóre matki są takie nieczułe".

„Nadal karmisz je piersią? Boże!”

„Już nie karmisz piersią? Biedne dziecko, będzie strasznie chorować, zobaczysz”.

„Mój przesypiał całe noce, od początku”.

„Mój jadł wszystko bardzo ładnie”.

„Nie za duża ta przerwa między dziećmi? Ja tam zdecydowałam się od razu, po co odkładać?”

I na tym nie koniec. Oprócz krytyki padającej z ust innych matek, możemy też zetknąć się z uwagami kobiet w średnim wieku i starszych, tych, co to wiedzą już wszystko i ze wszystkim w swoim czasie świetnie sobie poradziły, w przeciwieństwie do nas, oczywiście. Wszystkie te panie charakteryzuje też jedna rzecz, mianowicie taka, że często im się gadanie ulewa. No muszą po prostu coś powiedzieć, muszą dosrać słowem, bo inaczej spacer się dla nich nie liczy. I tak długo będą krążyć wokół tych biednych matek, tak długo będą się przyglądać, aż znajdą odpowiednią ofiarę i się na niej swoim gadaniem wyżyją. Dopiero wtedy mogą iść dalej swoją drogą.

Bywało, że nazywałam takie panie misjonarkami. Taka babcia-misjonarka ma po prostu misję, żeby obce dziecko uratować – od własnej matki, rzecz jasna. Bo takiej babci z misją to się wydaje, że matka jest dla dziecka największym zagrożeniem, bo a to go źle ubrała, a go źle wychowuje. Babcia na misji wszystko wie lepiej, jej wiedza jest nieoceniona i koniecznie, ale to koniecznie, musi się tą wiedzą z biedną matką podzielić. Co więcej, musi tę matkę

ostrzec, musi jej zakazać, nakazać, musi matkę naprowadzić na jedynie słuszną drogę i uratować to dziecko! A ponieważ babcia na misji dysponuje ogromem wolnego czasu, to chętnie korzysta z ładnej pogody i spacerując po parku, strzela wokół swoimi uwagi jak z procy.

Co matka może usłyszeć w parku od starszych (od siebie) pań?

Żeby matka była nie wiem jak doskonała, to i tak zawsze znajdą się tacy, którzy uświadomią jej, że nie ma co spoczywać na laurach, bo do ideału to jej jeszcze tak daleko, że ho, ho! Matkę krytykują wszyscy, wiadomo. I wszyscy wiedzą wszystko lepiej niż matka. Matce pozostaje tylko słuchać. I uzbroić się w cierpliwość. Czy jest sens kłócić się z kimś, komu ulało się słownie i musi matce zwrócić uwagę? To zależy, czy matka lubi sobie podyskutować. Ponieważ ja nie przepadam za wdawaniem się w kłótnie, zwłaszcza z obcymi, to sobie tego typu rozmowy odpuszczam. No chyba, że akurat jestem w nastroju i ktoś mi się nawinie, ale wtedy nie polecam komukolwiek ze mną zadzierać, bo mogłabym takiej parkowej babce zrobić coś, czego później bym żałowała. Ogólnie jestem jednak zdania, że nie ma sensu dyskutować z obcymi, bo nawet jeśli matce uda się odpowiedzieć na krytykę jednej osoby, to za chwilę, dosłownie zza zakrętu, wychyli się kolejna, która musi matce powiedzieć, co o niej myśli. I tak można by ten dialog prowadzić bez końca. Zawsze znajdzie się bowiem ktoś, kto będzie nas krytykował. Szkoda nerwów. Olać to i do przodu.

Co można usłyszeć od parkowych babek?

„Czy temu dziecku nie jest za zimno?”

„Czy to dziecko nie jest za ciepło ubrane?”

„Dlaczego to dziecko nie ma czapeczki? Oj, mamusia chyba nie umie o mnie zadbać”.

„Mamusia sama tak wystrojona, a dziecku na buciki żałuje? Czemu to dziecko jest bez bucików?”

„Jeszcze nie ma zębów? To czytać też pewnie będzie ostatnie w klasie”.

„Jeszcze nie chodzi? I pani się nie martwi?”

„Niech pani rozbierze to dziecko, bo się udusi. Nie widzi pani, jak dzisiaj jest gorąco?”

„A po co ten smok? Nie można wychować bez smoczka?”

„Jak widzę, że dziecko ma smoczek, to od razu wiem, że mamusia musi być leniwa”.

„Chyba podobny do tatusia musi być, bo w panią się nie wdał”.

„Niech pani od razu decyduje się na kolejne, będzie łatwiej”.

„Dlaczego to dziecko jest takie chude?”

„Bez kocyka?!”

„Nie wydaje się pani, że ono jest za grube?”

„Kiedy następne?”

„Niech go pani nie nosi tyle na rękach, bo się przyzwyczai / bo będzie rozpieszczone / bo mu pani kręgosłup wykrzywi / bo będzie miał zeza!”

„Nie przekarmia go pani? Przecież rozepcha mu pani żołądeczek!”

„Chyba karmi go pani tylko chudym mlekiem”.

„Jeszcze nie daje mu pani jabłuszka tartego? To błąd!”

„Oj, mamusia nie obcięła mi pazurków, to co się dziwić, że jestem cały podrapany!”

„Niech pani da mu troszkę krupniku, tylko bez pieprzu”.

„Troszkę kiełbaski mu nie zaszkodzi”.

„Dlaczego pani nie trzyma mu główki?”

„Ale ma pucki! Od razu widać, że po pani”.

„Pani w ciąży czy brzuszka trochę zostało jeszcze do zrzucenia?”

„Oj, chyba chory, bo taki marudny”.

„Niech pani da mu soczku, przecież widać, że pić mu się chce”.

„Chyba jest głodne”.

„Sama pani je, a dziecku nie da?” (Czipsy jadłam, a Filip miał cztery (!) miesiące).

„Nie przewieje go?”

„Czy to dziecko nie jest za cienko ubrane?”

„Niech pani go tak nie buja”.

„Utuczona jak prosiaczek, ale taka słodka!”

„Dlaczego tak płacze? Moje dzieci nigdy nie płakały”.

„A dlaczego ma tylko dwa zęby?”

„Ma za dużo zębów. Będą się szybko psuć”.

„Te skarpetki na pewno go cisną”.

„Te buty są dla niego za małe”.

„Ten wózek jest za duży”.

„Ten wózek już jest za mały”.

„Niech go pani przepaja wodą”.

„Czy już guga?”

„Kolki nie ma?”

„Miał już kolkę?”

„Ma pani mleko?”

„Co on tak tylko w jedną stronę patrzy? O, znowu!”

„Czemu ma taką płaską główkę? Pewnie za dużo leży”.

„Niech pani dobrze trzyma to dziecko, bo wygląda, jakby miała je pani upuścić. To jest pani dziecko czy tylko się nim pani opiekuje?”.

„Przepaja go pani wodą z rumiankiem? To najlepsze na gazy”.

„Jeszcze nie umie zrobić »pa, pa?«” (Słysząc taki tekst, zawsze mówiłam „pa, pa” i w nogi).

A-A-A, KOTKI DWA...

Zdrowy sen to zdrowe dziecko. Problem jednak w tym, że dzieci śpią w innych godzinach niż ich rodzice.

Spał przez cały dzień. Obudził się gdzieś tak o dwudziestej drugiej i zażądał zabawy.

O usypianiu dzieci każda matka mogłaby napisać osobną książkę. Każda matka wie przecież, że sen, to ulubiona czynność dzieci. I mężów.

Bujasz i bujasz już drugą godzinę, a ono nadal ma otwarte oczy. I jeszcze się uśmiecha. Ale ty nie śmiejesz się już do niego wcale. Ty już nawet nie pamiętasz, co to jest śmiech, i masz ochotę je rozszarpać.

– No śpij już! Wiesz, ile mamusia ma jeszcze roboty? Dlaczego nie chcesz spać?

Niby już śpi. Ale tylko spróbuj go położyć do łóżeczka, to od razu oczy się otwierają. Nie sztuką jest uśpić. Każda matka wie, że prawdziwą sztuką jest odłożyć.

Usypianie dziecka może rozbić rodzinę. Dochodzi nawet do tego, że zdesperowani rodzice muszą podejmować czasem druzgocące decyzje, takie jak:

– Kto dzisiaj usypia, a kto robi prasowanie?

– Ja usypiałem wczoraj.

– Wczoraj, mój drogi, to Filip uśpił ciebie. I wyszedł z łóżeczka, kiedy ty spałeś w fotelu.

– Serio? I nie obudziłem się? Muszę być strasznie wykończony w takim razie. No, sama widzisz, że padam na twarz.

– A ja to niby co? Na Bahamach leżakuję sobie?

Potem dziecko nieco podrasta i rodzice kupują mu pierwsze w jego życiu poważne łóżko. Oczywiście to najlepsze. A nuż mu się spodoba i będzie w nim sam spał? Po czym okazuje się, że na niewiele się to zdało.

– No i po co wybieraliśmy mu to łóżko i kupiliśmy najdroższe w sklepie, skoro on i tak śpi u nas?

– Widocznie w naszym jest mu wygodniej.

– To może zacznijmy spać na podłodze?

Dlaczego dziecko musi robić kupę zawsze wtedy, kiedy jest już ubrane w kombinezon i nawet ma czapkę na głowie?

Starasz się, szykujesz dziecko do wyjścia, potem zaczynasz szykować siebie. W tym czasie królewicza, żeby się nie spocił, wystawiasz z wózkiem na klatkę schodową. Przy otwartych drzwiach, żeby ci go ktoś przypadkiem nie ukradł, przygotowujesz się na wyjście do parku, to znaczy wskakujesz w kurtkę i ostatecznie, dla tak zwanej ekstrawagancji, zakładasz nie tę czapkę co zwykle, ale dajmy na to tę sprzed trzech sezonów, co to już dawno wyszła z mody, ale jakoś żal ci ją wyrzucić. Jeszcze przed lustrem w przedpokoju machniesz po ustach szminką ochronną na mróz, aha, i na przegub założysz gumkę do włosów, bo nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać. Iak wyszykowana wyjmujesz klucze, zamykasz dom i właśnie wtedy widzisz tę minkę. A minka mówi tylko tyle, że twój królewicz (lub królewna), właśnie strzelił numer dwa w pieluchę, co zresztą czuć już na całym korytarzu.

– Znowu?! – wołasz w przestrzeń. – Nie teraz.

Gdyby to jeszcze był numer jeden, to ostatecznie można by pójść i pieluszkę zmienić na dole, w kawiarni dajmy na to. Ale z numerem drugim bywają kłopoty, bo jeśli królewicz poszedł na całość po tym tartym jabłuszku, które mu dałaś na śniadanie, to teraz pewnie można je zbierać nawet ze śpioszków, a mogło nawet w skarpetkę polecieć.

Jakby nie było, trzeba wrócić do domu i dziecko przebrać. I cały rytuał wyjścia powtórzyć. Matka da radę.

Na co może być narażona matka z dzieckiem w przychodni?

Tego dnia do siódmego nieba było mi jakoś pod górkę. Nie czułam się nawet w szóstym niebie. Co ja mówię! Nie byłam nawet w drugim! Jeśli miałabym być szczera, to czułam się w niebie minus siedem.

Od rana bolała mnie głowa, w kościach mnie łamało i coś tak czułam, że grypa się zbliża. Najchętniej położyłabym się pod kocem z kubkiem herbaty z cytryną. Niestety, o takich luksusach mogłam sobie tylko pomarzyć.

Helena miała wtedy niewiele ponad roczek i nie miałam nikogo, kto mógłby się nią zająć, żebym ja w tym czasie mogła sobie pochorować jak człowiek. O, nie. Ja mogłam chorować, jak przystało na matkę Polkę: z gilem do pasa, z gorączką, ale przy dzieciach. Chora czy zdrowa, z katarem czy bez, dziecko samo sobie kaszki nie ugotuje.

Pochoruję sobie, jak one trochę podrosną. I tak nie miałam innego wyjścia. Kichając, podeszłam do Heleny, żeby zmienić jej pieluchę, i wtedy zobaczyłam, że ma policzki równie czerwone jak moje. I wszystko jasne: była chora. Na takie wieści ozdrowiałam natychmiast, zadzwoniłam do przychodni i umówiłam się na wizytę tego samego dnia. Na szczęście nas przyjęli.

Zapakowałam Helenę do wózka i szybko pobiegłyśmy do lekarza.

W poczekalni było sporo osób. Kątem oka dostrzegłam kilka babć okupujących krzesła ustawione przy gabinecie zabiegowym. Jedna z nich odwróciła się w moim kierunku i postanowiła zagadać.

– Pani to musi mieć dużo czasu, że tu tak często przychodzi – powiedziała emerytka.

Oho! W głowie zapaliła mi się czerwona lampka.

– Przychodzę tak często, jak jest to potrzebne – odpowiedziałam. – Z tego wniosek, że pani też tu często bywa.

– Ja to co innego – stwierdziła z dumą.

– Tak?

– Ja już mam swoje lata i mam prawo chorować.

– A pani myśli, że dzieci nie chorują?

– Za moich czasów nie było lekarzy, to i dzieci nie chorowały.

– No wiem. Bo od razu umierały.

Spotkanie z emerytkami w przychodni to jak zderzenie z inną planetą.

– Co się dziwić młodym – wtrąciła druga emerytka, która siedziała na krzesełku obok tej pierwszej. – Teraz oni wszystko mają, to nie potrafią tego docenić. Nie to co my, starsze pokolenie.

– Ale po co lekarzom głowę zawracać? I czas marnować! Po witaminki można pójść od razu do apteki, a nie tutaj.

– Bardzo przepraszam, ale nie przyszłam tu po witaminy. – Pociągnęłam nosem i posadziłam sobie Helenę na kolanach.

– Jakim mlekiem go pani karmi, bo jakoś marnie wygląda?

– To jest dziewczynka – poprawiłam emerytkę, która zaczynała działać mi na nerwy.

– Taka chudziutka. Jakim mlekiem pani ją karmi? Jest taka szczuplutka, że chyba podaje jej pani tylko chude mleko, co?

– Nie wiem, czy jest chude – odpaliłam. – Karmię własnym mlekiem, a skoro jestem tłusta, to mleko pewnie też.

Na szczęście lekarka wezwała nas do gabinetu, zwalniając mnie z uczestnictwa w dalszej dyskusji.

Ulubione zajęcie roczniaka podczas spaceru w wózku

Oto, czym może zajmować się roczne dziecko na spacerze:

- ściąganie skarpetek;
- zdejmowanie bucika i wyrzucanie go z wózka;
- zrywanie z głowy czapeczki;
- wyrzucanie czapeczki z wózka;
- zdejmowanie rękawiczki i wyrzucanie jej z wózka;
- wyrzucanie z wózka ulubionej zabawki, bez której niczego nie przełknie na spacerze;
- wyrzucanie z wózka smoczka;
- wyrzucanie z wózka zapasowej pieluchy;
- wyrzucanie z wózka wszystkiego, co da się wyrzucić.

A jeśli matka schowa przed takim roczniakiem wszystkie przedmioty, to dziecko rozbeczy się z wściekłości, że mu matka bez serca taką fajną zabawę zepsuła.

Ogólnie rzecz biorąc, taki roczniak organizuje matce zabawę, która polega na tym, że kiedy matka zorientuje się w końcu, że skarpeta zniknęła (albo but), to musi wracać po śladzie i szukać zguby w trawie, na płocie, bo jak ktoś znalazł, to tam zawsze

zostawia, w krzakach albo w śmietniku. Jeśli to skarpetka zginęła, to jeszcze mała strata. Ale brakujący bucik to już nie jest zabawne.

I nawet wiele lat później po tych wydarzeniach, kiedy szłam na plac zabaw, a Filip jechał tam na swojej hulajnodze, to czasem widząc taki samotny bucik (albo skarpetkę) leżący w trawie, wszystko mi się przypominało. I myślałam sobie o tej biednej matce, która bardzo się zdziwi po powrocie do domu. Wszystkie się dziwiłyśmy, prawda?

Legendy narodowe

– Mamo, jak szła ta legenda?

– Która legenda?

– Ta legenda o Polsce.

– O złotej kaczce?

– Nie o kaczce, tylko o tych chłopach.

– O… chłopach? To wy już Reymonta przerabiacie w szkole? Boże, ale się za was wzięli po tej reformie!

– O tych chłopach, co się nazywali Rus, Prus i Niemiec.

– Co…? Prus i Niemiec to właściwie to samo.

– No to jak im było?

– Lech, Czech i Rus.

– Dzięki!

Ten twój mąż to prawdziwy anioł! Patrz tylko, jak sprawnie zmienił dziecku pampersa!

– Boże, jaki ten twój Piotrek jest cudowny! – powiedziała mama, dopijając kawę.

– Ja bym go tak nie określiła, mamo.

– No, ale zobacz, jak on sprawnie mu tego pampersa zmienił!

– Wielka mi rzecz! To tylko pielucha!

– I kawę nam zrobił, i nawet pyszną!

– Może kup mu za to medal, co? Widziałam w papierniczym, takie od razu ze wstążeczką.

– Sylwia, nie żartuj sobie. Takiego męża to trzeba chwalić.

– Tak? – Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. – A za co?

– Za wszystko. Zobacz, jak on ci pomaga przy dzieciach i w domu.

– Mamo, on jest ich ojcem i moim mężem.

– No właśnie!

– On nie jest jakimś cudownym pomocnikiem krzątającym się po domu. Ma takie same obowiązki jak ja.

– Ale mężczyźni nie są w tym dobrzy. Sama wiesz, jaki jest twój ojciec.

– Bo go rozpieściłaś, mamo.

– On nie umie odkurzać, pieluch też nigdy nie zmieniał.

– A pozwoliłaś mu?

– Tak. I nie wychodziło mu to najlepiej, uwierz mi.

– A ty myślisz, że Piotrkowi wychodziło? Musiał się tego nauczyć. Tak samo zresztą jak ja. No, ale mnie oczywiście nie pochwalisz, a przecież również zmieniam dziecku pieluchę i coś tam w domu robię, mimo wszystko. Właściwie to tylko ja tam coś robię, bo reszta zajmuje się głównie robieniem bałaganu.

– Sylwia, każda kobieta sprząta. Każda! – powtórzyła.

– Ale nikt nas za to nie chwali. Nawet własne matki.

– Bo to jest coś naturalnego.

– Ty, mamo, to w ogóle za nic nigdy mnie nie pochwaliłaś.

– No wiesz! – odpowiedziała oburzonym tonem.

– Mamo, sama wiesz, jaka jest prawda.

– Skoro cię nie chwaliłam, to widocznie nie miałam za co.

– Dziękuję.

– Ojej, nie to chciałam powiedzieć.

– Nie rozumiem, dlaczego chwalenie go – wskazałam na Piotrka – przychodzi ci z taką łatwością. Przecież on nie zrobił niczego nadzwyczajnego.

– No ale to mężczyzna.

– No i co z tego? To ma mieć taryfę ulgową, bo urodził się z dyndadełkiem między nogami?

– Ja chciałam tylko powiedzieć, że masz wspaniałego męża, Sylwia.

– A ja uważam, że mógłby się lepiej postarać i wcale nie jest taki wspaniały.

– Ja mam inne zdanie w tej kwestii.

– I bardzo mi przykro, że uważasz, że nie jestem równie wspaniała co on. Przykro jest usłyszeć coś takiego z ust własnej matki.

– No przecież ja nic takiego nie powiedziałam! – zaprotestowała.

– Ale też nie powiedziałaś, że jestem wspaniała, więc to jakby rozumie się samo przez się.

– Nie wiedziałam, że zrobisz z tego taką aferę.

– Jesteś moją matką i to chyba zrozumiałe, że oczekuję od ciebie wsparcia.

– To też ja cię wspieram, przecież chwalę twojego męża!

– Ale mnie nie chwalisz!

– Dobrze, w takim razie się poprawię. Za co mam cię pochwalić?

– Za cokolwiek. Tak jak Piotrka.

– Na przykład?

– Za to, że doskonale zmieniam pieluchy Filipowi – powiedziałam. – I że jakimś cudem ugotowałam wczoraj całkiem smaczną zupę.

– Boże… nie miałam pojęcia, też bym wam coś przywiozła, mam jeszcze pomidorówkę z wczoraj.

– Miałaś mnie chwalić, mamo.

– Tak, tak… – Chrząknęła. – Świetnie sobie z tym wszystkim radzisz, może nie zawsze ogarniasz wszystko, jak to się teraz mówi, ale…

– Miałaś mnie chwalić.

Spojrzała mi prosto w oczy, jakby szukała w nich odpowiedzi.

– Sylwia – powiedziała w końcu. – Mam najwspanialsze wnuki na świecie. I to wszystko jest wyłącznie twoja zasługa. Matka odgrywa tutaj najważniejszą rolę. Dobrze je wychowujesz. Dobra robota!

– Mamo… – jęknęłam, bo łzy nabiegały mi do oczu.

– Może jest tu czasem bałagan, ale to nie jest najważniejsze. Kochacie się. Jesteście wspaniałą rodziną. I Piotrek to wszystko wytrzymuje, za co ja naprawdę go podziwiam…

– No i znowu zaczynasz. Mamo!

– Przepraszam, powiedziałam to odruchowo. Jesteś wspaniałą matką! Czy to już wystarczy?

– Tak. – Skinęłam głową.

– Doceń to – powiedziała mama. – Mnie nikt nigdy tego nie powiedział. I nie jestem pewna, czy kiedykolwiek usłyszałam takie słowa od mojej matki. A wręcz jestem pewna, że nie. Pamiętasz przecież, jaka babcia była zasadnicza. Chłodne wychowanie, trzymała nas krótko…

– Mamo. – Przerwałam jej. – Popatrz na mnie.

– Co się stało…?

– Mamo – zaczęłam. – Jesteś wspaniałą matką. Byłaś dla mnie i dla Iwony najlepszą mamą na świecie. Pewnie napisałyśmy ci to na jakiejś laurce sto lat temu, ale to samo zdanie powtórzone po latach ma podwójną moc.

– Boże, ale się wzruszyłam… – szepnęła przez łzy. – Dziękuję.

– To ja ci dziękuję, mamo.

I wtedy do pokoju wszedł Piotrek z otwartym pampersem.

– Sylwia, rzucisz okiem na tę kupkę? Nie wygląda to dobrze. Chyba mały ma biegunkę.

– Znowu…? Boże, daj mi cierpliwość…

Nic, tylko siąść i płakać

Tak mówiła moja mama, a właściwie nadal zdarza jej się to powiedzieć, ale wiecie, jak to jest z naszymi matkami: zawsze coś mówią, prawda? Te ich przysłowia, te ich stałe powiedzenia, którymi karmią nas od dzieciństwa. Znamy to na pamięć. I mimo to nic z nich nie rozumiemy. Ja przynajmniej nic z nich nie rozumiałam, dopóki mnie samej coś podobnego nie spotkało. Dopiero wtedy rozumiałam, co mama miała na myśli.

No i dzisiaj nadszedł właśnie taki dzień. Miało być tak pięknie, a wyszło jak zwykle. Filip wysypał mąkę na nowy dywan, wdeptał ją, rozjechał skarpetami, i jakby tego było mało, wylał na to wszystko sok z czarnej porzeczki. Bo bawił się w bitwę morską!

– Gdzie ty tu widzisz morze? – zapytałam go, nieco podniesionym głosem. Niech mi ktoś pokaże matkę, która w takiej sytuacji głosu nie podnosi? No pokażcie mi taką opanowaną, zimną matkę!

– Mąka to były fale – odpowiedział ze spokojem.

– A po co ten sok?

– To była krew z piratów – dodał.

– Aha. I kto teraz ma to posprzątać?

– Ty, mamusiu.

– Boże! Jezu Przenajświętszy i Matko Boska, pomocy!

A wyszłam tylko na chwilę do łazienki i nic nie zapowiadało dramatu. I jeszcze żebym w tej łazience zrobiła sobie pazury albo inną maseczkę rzuciła na twarz, ale nie! Poszłam namoczyć w misce podkoszulki Filipa i Piotrka, które po ostatnim odrabianiu pracy domowej z plastyki nadawały się właściwie do wyrzucenia. Mogłam zanieść je tej przedszkolance, która wymyśliła, że dzieci mają w domu namalować choinkę… rękoma umoczonymi w farbie. A to jeszcze nie koniec zadania! Należało wykonać je z ojcem, bo według pani badania wykazują, że ojcowie spędzają coraz mniej czasu ze swoimi dziećmi, i to miało ich zachęcić do tego typu współpracy. Piotrek nie miał oczywiście nic przeciwko temu, ale skończyło się na tym, że jak zaczęli te dłonie maczać w miskach z farbami, to miałam wrażenie, że pół pokoju zmieniło nagle kolor. Wszystko było zachlapane, ich bluzki też. Pani z przedszkola co prawda zaznaczyła, że przed wykonaniem tego zadania należy założyć stare podkoszulki i fartuchy, ale skąd ja niby miałam wziąć stare podkoszulki, nie wspominając o fartuchach? Nie przechowuję przecież w domu takich rzeczy.

No więc poszłam do łazienki namoczyć w misce te ciuchy zabryzgane farbą. I kiedy już miałam wychodzić, uwagę moją przykuła zmasakrowana tubka pasty do zębów, wykończona oczywiście do ostatniego wyciśnięcia, oczywiście otwarta. Ktoś sobie tak ją po prostu zostawił na zlewie, zamiast wyrzucić do kosza. A skoro postanowiłam ją już wyrzucić, tę pustą tubkę, to na jej miejsce musiałam wyjąć z szafki nową pastę, którą, byłam

pewna, kupiłam ostatnim razem. Otworzyłam szafkę, przejrzałam półkę, na której trzymam zwykle podpaski, tampony i inne kobiece kosmetyki, ale tam jej nie było. Zajrzałam więc na półkę z ręcznikami, bo pomyślałam, że może spadła. Niestety, tam też jej nie uświadczyłam, ale nie byłam stratna, bo przynajmniej znalazłam moją spinkę do włosów, której szukałam od kilku tygodni i ciągle zapominałam kupić sobie nową w sklepie! Pasty nigdzie nie było. No, trudno, pomyślałam, trzeba będzie kupić przy okazji. Wychodząc z łazienki, coś tak mnie tknęło, że ten mój syn coś za długo cicho siedzi, a to nie wróżyło niczego dobrego. I nie pomyliłam się!

Stałam nad tym pobojowiskiem i miałam ochotę siąść i płakać. Dosłownie.

– Wiesz, synku – powiedziałam na głos. – Tak się zastanawiam, czy wszystkie dzieci tak bałaganią, czy tylko moje?

– Ale ja się bardzo ładnie bawiłem, mamo – powiedział. – Byłem grzeczny, prawda?

Skinęłam głową, bo co niby miałam mu powiedzieć? Miał rację. Dziecko jest od bawienia się, a matka od sprzątania po tej zabawie.

Włączyłam Filipowi bajkę, przy której po krótkiej walce z zamykającymi się powiekami usnął, a sama podwinęłam rękawy, przyniosłam miskę z wodą i płynem, i zabrałam się za szorowanie dywanu. Łzy kapały mi do tej miski i na dywan. Z rozpaczy, z bezsilności, z beznadziejności całej tej sytuacji. No przecież nie

mogę zabronić własnemu dziecku się bawić! Nie mogę psuć mu dzieciństwa! Ale też nie mogę spuszczać go z oka, dla własnej równowagi psychicznej chociażby!

Ryczałam jak bóbr. Moje szorowanie szczotką z twardego włosia niewiele dawało. Z mąki zrobiła się gęsta pulpa, którą trzeba było z dywanu zeskrobywać. Sok tylko rozjaśnił się o kilka tonów i teraz zrobił się jakby różowy, ale było mi już wszystko jedno.

Priorytety człowieka zmieniają się wraz z wiekiem. Kiedyś cieszyły mnie wyprzedaże i szminka w kolorze fuksji. Dzisiaj mogę godzinami patrzeć na pusty kosz na pranie. Siedzę, patrzę i oczu oderwać od niego nie mogę, bo wiem, że ten jakże przyjemny widok za chwilę zniknie i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki będę miała znowu stertę brudów do uprania na jutro.

To samo z umytą podłogą. Przyznaję, rzadko mi się ta czynność zdarza, ale jak już ją umyję, to mogę siedzieć i patrzeć, jak błyszczy. Ja wiem, że nikt tego i tak nie doceni, przynajmniej nikt w moim domu. No, ale tyle mojego, co sobie posiedzę i popatrzę na tę czystość, która za chwilę odejdzie w niebyt, rozpłynie się w panującym od dawna bałaganie.

Po półgodzinie szorowania i wyżywania się na tym biednym dywanie zostawiłam to w cholerę dosłownie w ostatniej chwili. Miałam wrażenie, że jeśli nie przerwę tego teraz, to zrobię w nim dziurę i przebiję się do podłogi. Mój wysiłek i tak na niewiele się zdał. Na miejscu zbrodni, zwanej zabawą w bitwę morską, nadal

została całkiem spora plama. I wiecie co? Miałam to w dupie. Otóż to! Wytarłam nos, wytarłam oczy i doszłam do wniosku, że najwyżej przesunę fotel. Co prawda będzie stał trochę na środku i bez sensu, ale przynajmniej będzie zakrywał tę nieszczęsną plamę.

Byłam dumna ze swojej kreatywności. I z tej okazji, ponieważ mój syn nadal błogo spał, postanowiłam wrócić do łazienki i zrobić się na bóstwo. To znaczy bez przesady, aż tyle czasu nie miałam. Akurat, żeby trochę podmalować oczy i przeczesać rzęsy maskarą. Bez okazji, bez powodu. Tak tylko dla siebie. Żeby chociaż te łzy rozpaczy ukryć i zaczerwieniony od płaczu nosek przypudrować.

Wieczorem wszystko wróciło do normy, w domu znowu zrobiło się gwarno, każdy kłócił się o coś z każdym, dzieciaki wyrywały sobie z rąk pilota, a Piotrek zamknął się w toalecie z gazetą.

Zapukałam do niego i zapytałam, czy poszedł tam siedzieć za potrzebą, czy po prostu uciekł od rodziny. Odpowiedział, że to drugie i że potrzebuje chwili spokoju, bo czuje, że za chwilę rozsadzi mu głowę. Zapytałam, czy mogę też tam się schronić. Zgodził się i mnie wpuścił.

– Chociaż chwila spokoju – powiedziałam, siadając na pralce.

– Dobrze, że mamy chociaż taki schron.

– To i tak tylko na chwilę, dopóki się nie zorientują i nie zaczną się tu do nas dobijać.

– Robią się coraz głośniejsze – powiedział Piotrek, kładąc gazetę na kolanach. – Głowa mi pęka od tego jazgotu.

– Ja się dzisiaj rozryczałam nad tym dywanem – jęknęłam. – Przysięgam ci, że coś we mnie pękło i się poryczałam jak dziecko. Tylko że to nie ja w tym domu jestem dzieckiem.

– Nie przejmuj się – powiedział Piotrek. – Mój szef zrobił nam dzisiaj taką jazdę, że też najchętniej bym się popłakał.

– No coś ty…?

– Trzeba się trzymać – powiedział. – Nie damy się im.

– Masz rację. Trzeba być silniejszym! W końcu to nic wielkiego, tylko jakaś głupia plama na dywanie. Po co ja się tym w ogóle przejmuję?

– No właśnie. – Piotrek wzruszył ramionami. – A jak już trochę podrosną, to wyślemy je na obóz albo na kolonie…

– Tylko takie długie, wiesz, chociaż na dwa tygodnie, żebyśmy zdążyli odpocząć.

– I my w tym czasie też weźmiemy wolne!

– No jasne! – Cmoknęłam z zadowoleniem. – Nam odpoczynek też się należy.

– Będziemy leżeć w łóżku, jeść i oglądać filmy!

– I nie będziemy sprzątać!

– Nie będziemy!

– Zadzwonię po mamę, skłamię, że mieliśmy grypę, to przyjedzie pomóc nam odgruzować mieszkanie.

– Dobry pomysł!

Piotrek przyłożył ucho do drzwi łazienki.

– Musimy zacząć korzystać z życia – powiedział. – Trzeba pomyśleć o jakichś wczasach.

– Ale z nimi…?!

– Może uda mi się sprzedać ich do rodziców, chociaż na tydzień.

– Na tydzień to na pewno się nie zgodzą, bo roznieśliby im mieszkanie. Ale na razie możemy poprosić ich chociaż o weekend.

– No właśnie, niech się przyzwyczajają, w końcu są ich dziadkami – stwierdził. – Dziadkowie też mają jakieś obowiązki.

– Pomyśl, taki weekend tylko we dwoje w Kazimierzu! – Rozmarzyłam się.

– I co niby mielibyśmy tam robić?

– Nic – powiedziałam. – Dokładnie nic. Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić, ale marzy mi się bardzo przyjemnie.

I właśnie wtedy, gdy zobaczyłam błysk w oczach Piotrka, taki sam jak w czasach, kiedy jeszcze nie mieliśmy dzieci i nawet o nich nie myśleliśmy, bo nie mieliśmy ich nawet w planach, usłyszeliśmy pukanie do drzwi łazienki i tekst:

– Mamo, kupę mi się chce.

Czy mężowie faktycznie mdleją na sali porodowej?

Dziewczyna napisała na forum dla mam mniej więcej takie słowa:

Kochane mamuśki! Jestem tu nowa, więc z góry sorry za być może głupie pytanie, ale tak się zastanawiam nad porodem rodzinnym. Za dwa miesiące mam termin, dodam, że to moje pierwsze dziecko i kompletnie nie wiem, czego się spodziewać. To znaczy mniej więcej wiem wszystko, jak każda kobieta w ciąży, ale powiedzcie mi, czy ci faceci na sali porodowej to faktycznie mdleją przy porodach, czy to tylko na tych hollywoodzkich filmach tak wygląda? Bo już sama nie wiem, czy mojego tam brać. On jest bardzo wrażliwy i kiedyś, jak był młodszy, to nawet mdlał na widok krwi. A przecież nie da się urodzić bez krwi, prawda? No więc jak to było z waszymi partnerami? Pomogli wam w ogóle czy tylko mdleli i mieli wszystko gdzieś? Bo jak ma tak być, to ja wolę, żeby on tam nie szedł, bo tylko się wkurzę. Jestem przerażona samym porodem i nie mam zamiaru jeszcze się martwić o to, czy mój mąż straci przytomność.

Wydaje mi się, że w naszych polskich warunkach mniej jest na porodówkach Hollywoodu, a więcej reality show, jeśli już mamy mówić językiem show-biznesu. Polscy faceci też mniej mdleją, bo, po pierwsze, mają do tego gorsze warunki, czytaj: nikt nie będzie

ich cucić, bo są ważniejsze sprawy. A po drugie, u nas sam tatuś nie ma czasu na utratę przytomności. Na porodówce ma tyle roboty, że nie wie, w co ręce włożyć, i zwyczajnie o jakimkolwiek mdleniu zapomina. Najpierw trzeba przecież zająć się rodzącą żoną, a dopiero później pomyśleć o sobie, tak przynajmniej powinno być, w tej kolejności, a nie odwrotnie.

Od razu przypomniały mi się moje porody, przy których Piotrek był. Co więcej, nie wyobrażam sobie, żeby go nie było! W końcu jest ojcem i powinien wspierać mnie w tak ważnej chwili, prawda?

Nie każdy facet się jednak do tego nadaje, wiadomo. Tak jak nie każda kobieta nadaje się do porodu naturalnego. Nie zawsze mamy wpływ na takie rzeczy, różnimy się pod względem wrażliwości. Jeden mdleje na widok kropli krwi, a drugi może hipopotama przecinać na pół i nawet powieka mu nie drgnie. Ludzie różnią się między sobą, a mężowie dzielą się na takich, którzy chcą rodzić z żonami, i na takich, którzy tego zdecydowanie nie chcą. Są jeszcze tacy bardziej wahający się, ale o tych nie chce mi się pisać, bo wiadomo, że prędzej czy później muszą zdecydować, czy wchodzą w tę grę, czy nie. Wiele też zależy od samej rodzącej. Jolka, na przykład, nie chciała, żeby jej mąż, Jacek, był przy porodzie. Od samego początku, jak tylko zaszła w ciążę, oświadczyła, że nie życzy sobie, żeby on tam jej zaglądał, między nogi, znaczy się.

– Zwariowałaś! – krzyknęłam na nią. – Nikt nie będzie ci tam zaglądał! Poza personelem medycznym, oczywiście.

– Już to widzę!

– Ja od razu zapowiedziałam Piotrkowi, że jak tylko spróbuje tam spojrzeć z tej samej strony co lekarz, to go zabiję!

– I co? Posłuchał cię?

– Oczywiście! Ale, niestety, kiedy szedł do toalety, to przypadkiem zobaczył krocze innej rodzącej, bo akurat wyprowadzali męża, który zemdlał, i Piotrek wszystko zobaczył. Ale tylko przez ułamek sekundy.

– A nie mówiłam!

– A ja tam się cieszę. Wolę, żeby zobaczył krocze innej niż moje własne. Zwłaszcza w takim stanie!

– Ty chyba samej siebie nie słyszysz! Tak właśnie to się kończy, kiedy zabiera się męża na porodówkę.

– Posłuchaj, mój Piotrek też był tym na początku przerażony, podobnie zresztą jak ja, ale jednak mąż podczas porodu bardzo się przydaje.

– Niby do czego?

– A chociażby do tego, żeby przynieść ci zimny okład na czoło! – Wolałam nie opowiadać Jolce o tym, że w końcowej fazie mojego pierwszego porodu, kiedy Piotrek już ledwo na oczy patrzył, poprosiłam go, by przyniósł mi zimny okład na czoło, i wrócił z… pieluszką jednorazową przygotowaną dla dziecka. Owszem, była namoczona w zimnej wodzie, więc technicznie wszystko się zgadzało. Poprosiłam go tylko, żeby przypadkiem nie robił mi fotki, bo nie chciałabym później oglądać siebie leżącej z mokrym

pampersem na czole! – Jeśli liczysz na to, że zrobi ci to położna, to się mylisz. One są tam tak zaganiane, że to cud, że im się dzieci nie mylą. Kiedy ja byłam w szpitalu, jedna położna obsługiwała dwa porody równocześnie, bo jej koleżanka spóźniała się do pracy i stała w korku, a poprzednia musiała wcześniej zejść z dyżuru, bo dziecko się jej rozchorowało. Zadzwonili ze szkoły i musiała kobieta jechać. No co zrobić? Zdarza się. Więc zapomnij, że ktoś z personelu będzie się z tobą pieścił, bo tam nikt nie ma na takie rzeczy czasu. Na porodówce jest jak w centrum handlowym w godzinach szczytu przed świętami.

– Kiedy są wyprzedaże…?

– Dokładnie tak! Doskonałe porównanie. Drzwi się nie zamykają, bo co jakiś czas wjeżdża na łóżku na kółkach kolejna kobieta z rozwarciem, o jakim ja mogłabym tylko pomarzyć. Rozumiesz, tam się rodzi non stop. Jak jedna kończy, to druga zaczyna.

– Ale ja bym jednak wolała bez niego.

– Ale dlaczego?

– Bo nie chcę, żeby się do mnie zniechęcił.

– Słucham…?

– No wiesz, jak on mnie zobaczy rozkraczoną przed obcymi ludźmi, całą we krwi, jęczącą, to…

– To co? To cię zostawi?

– A ty wiesz, że on mnie chyba nigdy nie widział takiej zapoconej i w ogóle?

– No to zobaczy. Wielkie mi rzeczy. A poza tym, kto powiedział, że będziesz zapocona? Może będziesz miała to szczęście i urodzisz szybko, nie to co ja?

Ostatecznie natura sama podjęła za nich decyzję. Otóż pojechali na grilla za miasto do jakichś znajomych. Jolka oczywiście nic tam nie jadła, bo miała mniej więcej za tydzień termin i już bez tego czuła się jak chodzący balon. Skubała tylko sałatki, a kaszankę i karkówkę zostawiła Jackowi, który z takim zaangażowaniem szykował się do przyszłej roli ojca, że nawet nie pił piwa, chociaż wszyscy mówili mu, że może, że to nie on jest w ciąży, tylko Jolka. Ale on się tak z nią solidaryzował, że przez całe dziewięć miesięcy nawet nie spojrzał na alkohol. I w pewnym momencie ktoś opowiedział jakiś dowcip, wszyscy zaczęli się śmiać, Jolka także. I kiedy wszyscy przestali się śmiać i ocierali oczy mokre od łez, Jolka zorientowała się, że oprócz oczu ma też mokre nogi. No niemożliwe przecież jest, żeby aż tak płakać ze śmiechu! W pierwszej chwili pomyślała nawet, że się posikała, co się przecież może zdarzyć każdemu, zwłaszcza jeśli dowcip jest dobry i opowiedziany przez kogoś o odpowiednich zdolnościach aktorskich. Każdy to wie. Ale nie każdy wie, że wody płodowe mogą odejść w każdej chwili, nawet podczas grilla, nawet jeśli ten grill jest rozpalony na jakimś zadupiu. Jolka krzyknęła, że rodzi, wszyscy zaczęli znowu się śmiać, myśląc, że to dalsza część dowcipu. Widząc minę Jolki, Jacek na szczęście bardzo szybko zorientował się, że to nie dowcip, tylko że właśnie rozpoczął się

poród. Wszystko trwało podobno całe dziesięć minut. Najpierw chcieli wsiadać do samochodu i jechać do szpitala, ale Jolka nie była w stanie nawet do niego dojść. Ktoś zadzwonił po karetkę, ale to też nic nie dało, bo ratownicy nie dotarli na czas. W końcu ktoś przyniósł koc, rozłożył go na ziemi i… Jolka urodziła, kucając. A Jacek trzymał ręce z ręcznikiem pod jej sukienką, bo podobno krzyczała, żeby szybko łapał. Po prostu czuła, że za chwilę coś tam jej wypadnie. Ponoć krzyknęła jeszcze do Jacka, że przecież miało go nie być przy porodzie i że nie tak się umawiali, ale zanim skończyła mówić, maleństwo było już z nimi na świecie. Kiedy przyjechała karetka, lekarz podał Jackowi takie specjalne nożyczki, żeby przeciął pępowinę, żeby tradycji stało się zadość. I było po wszystkim. Szczęściara z tej Jolki, nie ma co! Każda chciałaby mieć taki ekspresowy poród. Niestety, większość z nas musi przeć i jęczeć godzinami, zanim dziecko wypchnie na ten świat. Ja tak właśnie miałam i jestem pewna, że większość matek może powiedzieć dokładnie to samo.

Ojciec, poza udzielaniem wsparcia psychicznego matce, przydaje się też do innych rzeczy. I wcale nie jest to słynna chwila z przecięciem pępowiny, jak pewnie myślą niektórzy. Takie przecinanie to w końcu tylko jeden moment.

Mąż jest potrzebny po to, żeby:

- trzymać rodzącą żonę za rękę;
- masować plecy (rodzącej, a nie sobie!);

- podać poduszkę pod głowę;
- podać zimny okład na głowę, to znaczy na czoło;
- podać coś do picia;
- podać coś do jedzenia, bo po tylu godzinach porodu ma się wilczy wręcz apetyt;
- puścić śmieszny filmik na telefonie, kiedy prze się już szesnastą godzinę z rzędu i końca nie widać;
- podać grzebień, żeby żona mogła przeczesać spocone włosy;
- powiedzieć żonie, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie, nawet z popękanym kroczem, które, pod bacznym okiem doświadczonej pielęgniarki, właśnie zszywa studentka położnictwa.

Mąż przydaje się też do opieki nad maleństwem, kiedy nas zszywają i oglądają nam krocze, które wygląda jakby czołg przez nie przejechał. Przecież w takiej chwili ktoś musi zająć się dzieckiem i ojciec jest najlepszym kandydatem do tego typu spraw. Niech uczy się od samego początku, żeby później było mu łatwiej, kiedy już wrócą całą trójką do domu.

Nie jestem już dzieckiem, mamo!

Siedziałam w kuchni, kroiłam warzywa na sałatkę i żeby czasu nie tracić, jednym okiem czytałam forum na ekranie laptopa, który stał na stole obok słoiczka z majonezem: *Dziewczyny, do jakiego wieku wypada chodzić z synem za rękę? Mój skończył już dwanaście lat i dalej łapie mnie za rękę na spacerze. Trochę głupio, nie?*

Nie. Nie głupio. To przecież nasze dziecko i skoro ma taką potrzebę, to czemu nie? Pomyślałam sobie, że ta mamusia jeszcze zatęskni za takim wyciąganiem ręki. Podobnie było u nas z Heleną. Najpierw uczepiona maminej spódnicy (a raczej dżinsów) nie chciała mnie puścić, bo wiecznie się czegoś bała. Tam gdzie ja, tam ona. „Przylepka", jak nazwała ją kiedyś teściowa. Czasem miałam już tego dość, bo człowiek chciał trochę pożyć własnym życiem, czytaj: iść chodnikiem samemu, a nie z dzieckiem przyklejonym do nogawki jak małpka do drzewa. I w końcu nastąpiła ta chwila. Hela była już w drugiej klasie podstawówki, kiedy poprosiła:

– Czy możesz przestać dawać mi buziaka na pożegnanie przed szkołą?

– Słucham…? – Zatkało mnie normalnie.

– Trochę się tego wstydzę przed koleżankami.

– Aha, rozumiem. – Skinęłam głową – Jesteś już za duża na buziaki?

– Tak.

I już miała iść do klasy, kiedy nagle odwróciła się przez lewe ramię i wypowiedziała zdanie, na które czeka każdy rodzic:

– Nie jestem już dzieckiem, mamo.

I jak tu dalej żyć? Dobrze, że w wózku miałam jeszcze Filipka. Przynajmniej była jakaś nadzieja. Chwilowa, co prawda, bo zanim się obejrzę, już będzie powtarzał wszystko za siostrą. Na razie miałam jednak jeszcze jedno dziecko, które pozostawało tylko dzieckiem!

Dlaczego te dzieci tak szybko nam dorastają? To powinno być zabronione.

I przypomniała mi się taka sytuacja z moim własnym ojcem, z którym poszliśmy kiedyś po zakupach na kawę. Zapakowaliśmy torby z zakupami do bagażnika jego samochodu i postanowiliśmy usiąść w kawiarence naprzeciwko sklepu. Miałam wtedy jakieś dwadzieścia lat i byłam na pierwszym roku studiów. Kawiarnia znajdowała się po drugiej stronie ulicy. Normalna rzecz, nawet przejście dla pieszych tam było, tylko takie bez świateł. I staliśmy, a ojciec złapał mnie ostrożnie za czubek rękawa kurtki. Spojrzałam na niego przerażona.

– Co robisz? – spytałam.

– Pilnuję, żebyś nie wpadła pod samochód.

– Tato! Jestem już dorosła i umiem przechodzić przez ulicę.

– Wiem – odpowiedział. – Kiedy ty tak szybko dorosłaś?

Wtedy pewnie wzruszyłam ramionami, nie rozumiejąc zupełnie, o czym do mnie mówił. A teraz przypomniał mi się tamten dzień i w szoku byłam, że musiało minąć aż tyle lat, żebym zrozumiała, co mój własny ojciec miał na myśli. Nigdy nie rozumiałam go tak dobrze, jak właśnie teraz, kiedy sama miałam dzieci i na własne oczy widziałam, jak szybko rosną. Zdecydowanie za szybko to wszystko się dzieje.

CZY MÓJ MĄŻ MOŻE IŚĆ NA KAWKĘ Z KOLEŻANKĄ Z PRACY?!

Wpadła Jolka, sąsiadka z trzeciego piętra.

– Siadaj. – Zaprosiłam ją szerokim gestem do salonu, ale już po minie widziałam, że coś się dzieje.

– Nie, nie, ja tylko na chwilkę.

– To może do kuchni?

– Do kuchni, to tak.

Usiadłyśmy przy stole, tym samym, przy którym przegadałyśmy niejedną noc. Boże, jak dobrze mieć taki stół, przy którym można wyżalić się koleżance!

– Co się dzieje? – spytałam prosto z mostu.

Jolka bierze głęboki oddech.

– Tylko się nie śmiej.

– No co ty!

– No więc, mam do ciebie pytanie.

– Słucham.

– Czy ty pozwoliłabyś swojemu mężowi pójść na kawę z koleżanką z pracy?

– E tam, myślałam, że to coś poważniejszego. – Skwitowałam i od razu ugryzłam się w język.

– Tak ci się tylko wydaje – odpowiedziała Jolka. – Łatwo powiedzieć, jak problem ciebie nie dotyczy.

– Jaki problem?!

– No bo wyobraź sobie, że twój facet informuje cię, że idzie dzisiaj na kawkę z Zosią albo inną Asią, z którą normalnie pracuje dzień w dzień i napatrzyć się na nią chyba nie może.

– Może to jakaś stara i gruba baba, a ty robisz z tego wielkie halo.

– Może i stara – powiedziała Jolka. – A może młoda i chuda jak patyk. I co wtedy?

Wzruszam ramionami i częstuje Jolkę jabłkiem.

– Przecież nie uwiążesz go na smyczy – stwierdziłam. – Ma swój rozum i chyba wie, co robi.

– A jak nie wie?

– Jolka, przecież znam twojego męża i jestem pewna, że…

– Niczego nie możesz być pewna, bo nie wiesz, jaka jest tamta kobieta. Może ma jakieś sposoby?

– Przesadzasz. Jesteście udanym, zgodnym małżeństwem.

– I to mnie martwi – oznajmiła Jolka. – My jesteśmy tak zgodni, że to już robi się nudne, i może on szuka przygód po prostu.

– Nie wierzę…

– No, ale powiedz mi, co ty byś zrobiła? Puściłabyś go?

– Nie rozumiem, aż tak mu nie ufasz czy jesteś zazdrosna?

– Ja jemu ufam, nawet bardzo – przyznała Jolka. – Ale tej zdzirze to już nie ufam.

– To ty ją znasz…?!

– Nie znam, ale zakładam, że każda kobieta, która proponuje żonatemu mężczyźnie kawę, musi być zdzirą jak nic.

– To fakt. – Wbiłam zęby w soczyste jabłko, aż trzeszczało. – Pamiętasz naszą sąsiadkę, Aneczkę?

– Tę, która wyprowadziła się do Katowic?

– Tę samą. Pamiętasz, jakie nam numery robiła?

– Z sernikiem?

– Dokładnie tak. My tu na babski wypad do kina, a ona, że nie może, bo głowa ją boli, i że niby następnym razem. Tylko pobiegłyśmy do kina, a ta dzwonek do drzwi i do mojego męża z sernikiem, żeby nie czuł się taki samotny, pamiętasz? I chłopina, oszołomiony zupełnie, wpuścił ją, a ta mówi, że przyszła niby tylko do towarzystwa, żeby mu smutno nie było samemu siedzieć.

– Popatrz no, jaką to niektóre kobiety mają opiekuńczą naturę! I jak ta opiekuńczość potrafi objawić się tylko wtedy, kiedy żona jest zbyt daleko, żeby tę opiekuńczość dostrzec!

– Prawda! Takie to pochylą się nad każdą potrzebującą istotą na tym świecie, a najchętniej zaopiekują się cudzym mężem. Wystarczy tylko zostawić go samego.

– No, ale Aneczka była jednak megabezczelna. Żeby tak pod naszym nosem, na własnym terenie?

– Ale że on ją w ogóle wpuścił?!

– A co miał zrobić? On akurat zachował się grzecznie i kulturalnie.

– A ona jak zdzira.

– Fakt.

Wrzuciłam ogryzek do wiadra pod zlewem.

– I co zrobisz z tą kawką?

– Po moim trupie – powiedziała Jolka, stanowczo odgryzając kawałek jabłka. – W życiu. Wiesz, jak to jest: najpierw kawusia, potem spacer i ani się obejrzę, a będą SMS-y od tej pani i Bóg wie, co jeszcze. A ten będzie mi wmawiał, że to niby tylko przyjaźń. Już wiem, jak wygląda taka przyjaźń damsko-męska, napatrzyłam się we własnym biurze.

– W takim razie masz tylko jedno wyjście.

Jolka wbiła we mnie przerażone spojrzenie.

– Niby jakie?!

– Zaproś ją. Albo zaproponuj mężowi, żebyście wspólnie wybrali się na tę kawusię.

Biegł, biegł i wyrżnął! A nie mówiłam!

Dzieci nas nie słuchają. Wiadomo! No ale przecież to dla ich własnego dobra! I dalej nic. Jak grochem o ścianę.

Pamiętam, jak kiedyś Filip poleciał mi w parku w długą i musiałam gonić go z wózkiem po wszystkich alejach.

– Stój! Zaczekaj! – wołałam za nim. – Zaraz się przewrócisz!

Nie musiałam długo czekać. Bach jak nic. Upadł prosto na asfalt.

– Mamo! Mamo, boli!

No wiadomo, że boli! Skoro hamowało się z taką siłą!

– Zaczekaj! Już biegnę do ciebie!

– Ale boli!

Przykucnęłam przy nim. Cały czas leżał na ziemi i ryczał. Nic dziwnego!

– Ręka cię boli?

– Nie.

– A co?

– Zęby…

I kiedy podniósł głowę znad ziemi, oczom moim ukazał się koszmarny wprost widok brody i ust całych ubrudzonych krwią, która sączyła mu się z buzi.

– Jezus Maria…

– Mamo!

– Już, już, Filipku, już, kochanie, mamusia zaraz coś wymyśli. Otwórz buzię, sprawdzimy, czy wszystkie zęby są na miejscu…

– Nie! – krzyknął zdecydowanie.

– Dlaczego?

– Boli! Buzia mnie boli.

– O, Boże! Mam nadzieję, że nie straciłeś zębów…

– Zęby mnie bolą!

– No wiem, wiem. Mówiłam, żebyś nie biegał!

– Boli mnie. Mamo!!!

I wtedy podeszła do mnie jakaś druga matka z córeczką, która trzymała w dłoni lizaka większego od jej głowy.

– Widziałam, co się stało – powiedziała.

– Uciekł mi i teraz mamy mały kłopot. Nie wiem, czy nie skończy się to wizytą u dentysty.

– Ja nie chcę do dentysty! – płakał dalej Filip.

– Ale masz krwotok i trzeba ci przyłożyć zimny okład.

– Nie chcę okładu! Boli mnie!

– Niech się pani nie martwi – powiedziała kobieta. – Moja Zosia też się tak przewróciła w zeszłym tygodniu.

Dziewczynka pomachała do mnie, a ja do niej.

– Bałam się, że wybiła sobie zęba, tego, co to jej dopiero się wyrżnął, ale na szczęście nic się nie stało. A krew jej leciała tak samo, jak pani synkowi.

– Mamo!!!

– Już, już, Filipku. – Pogłaskałam go po głowie, wyjmując z torebki chusteczkę. Zimny okład… No właśnie, tylko skąd go wziąć w parku?

– Polecam pani kupić zimne lody, najlepiej owocowe. Są tutaj w budce obok bramy przy parku. To najlepszy zimny okład na takie upadki.

– Ma pani rację!

Podziękowałam jej szybko za tak prosty i genialny pomysł. Słysząc, że zamiast do dentysty idziemy na lody, Filip oczywiście ozdrowiał w tempie ekspresowym. Krwotok się zatrzymał, chociaż trochę dziwnie było patrzeć na lody o smaku cytrynowym, które nagle zmieniły kolor na bardziej malinowy. Najważniejsze, że sytuacja została opanowana.

I kiedy po południu dał sobie wreszcie zajrzeć do paszczy, okazało się, że zęby były w jak najlepszym porządku. I tak sobie myślę: Co ja bym zrobiła, gdyby wtedy, nagle, nie wyrosła mi jak spod ziemi tamta mamusia, z większym niż ja doświadczeniem w takich sprawach? Byłam jej tak wdzięczna za tę poradę z lodami, że przez chwilę nawet pomyślałam o umieszczeniu odpowiedniego anonsu w prasie. Tylko co ja w nim powinnam napisać? Że dziękuję obcej matce za pomoc po tym, jak mój syn wyrżnął i byłam pewna, że stracił jedynki? Może powinnam takie ogłoszenie umieścić?

Kiedy syn staje się facetem...

– Synku, dzisiaj wracasz do przedszkola pierwszy raz po chorobie.

– No wiem – odpowiedział Filip.

– Nie martw się, ten czas szybko zleci, nie marudź tam pani, ładnie zjedz obiadek i błagam cię, nie bij się z chłopakami. A dziewczynki przepuszczaj w drzwiach i jak będziesz miał katarek, to poproś panią u chusteczkę, pani na pewno ci da. I nie biegaj, bo się zgrzejesz, a jak się zgrzejesz, to cię przewieje, bo oni tam drzwi nie zamykają na taras, i znowu będziesz chory. Zapamiętasz? Obiecaj, mamusi, dobrze?

– Mamo…

– Tak…?

– Możesz już przestać tyle mówić?

Mój syn, jak widać, już stał się prawdziwym mężczyzną. Niestety.

Z WIZYTĄ U KOLEŻANKI, KTÓRA MA DZIECKO W PODOBNYM WIEKU CO NASZE

Mam koleżankę. To znaczy miałam. Znamy się od lat, nasi mężowie również się znają i jakby tego było mało, prawie w tym samym czasie zaszłyśmy w ciążę. Posiadanie dzieci w tym samym wieku wydawało się świetnym rozwiązaniem logistycznym. No bo przecież dzięki temu będziemy mogły razem chodzić do parku, a nasze dzieci będą wymieniać się samochodzikami. Istna bajka. Przynajmniej w teorii.

Początkowo faktycznie wszystko szło gładko. Podczas gdy nasi mężowie ciężko pracowali, my robiłyśmy zakupy, które tradycyjnie kończyły się wspólną kawką w ulubionej kawiarence. Nasi synkowie w tym czasie smacznie spali w wózkach. My plotkowałyśmy i wymieniałyśmy się przepisami na dziecięce miksowane zupki.

– Próbowałaś już brokułów z dynią?

– Na razie jesteśmy na etapie wprowadzania marchewki z groszkiem.

I tak mijały nam popołudnia. Aż któregoś dnia nasze dzieci jakoś tak nagle urosły i zaczęły wychodzić z wózków. I się zaczęło.

Przyjaciółka zaprosiła nas, to znaczy mnie z synkiem, do siebie na przedpołudniowe ploteczki. Dzieci miały się w tym czasie pobawić na dywanie.

Zaraz po przekroczeniu progu jej mieszkania przywitała mnie pytaniem:

– Oczywiście masz swoje zabawki dla Filipa?

Stanęłam jak wmurowana, bo do głowy mi nie przyszło, żeby taskać ze sobą worek osobnych zabawek dla Filipa.

– Bo wiesz – powiedziała przyjaciółka, wieszając mój płaszcz. – Nasz Kamilek teraz ząbkuje i w związku z tym wszystko wkłada do buzi, a to jest takie niehigieniczne. Ja już nie wytrzymuję i nie mogę się doczekać, kiedy skończy się ten niemiły zwyczaj.

Posadziłyśmy chłopców na dywanie. Mój Filip rozglądał się zachłannie po nowym środowisku. Kamilek w tym czasie na czworakach podszedł do pudełka z zabawkami, z którego wyjął gumowego słonika. Zabawka natychmiast znalazła się w buzi Kamilka.

– A nie mówiłam! – powiedziała przyjaciółka.

Po chwili Kamilek podczołgał się do Filipa i z dumą wręczył mu ociekającą śliną zabawkę.

– Fuj! – krzyknęła przyjaciółka nad moją głową i w te pędy rzuciła się wyrywać z ręki Filipa zabawkę.

Swoją drogą mój syn nie widział w niej nic złego.

– Muszę teraz ją zdezynfekować – powiedziała.

– Może ja sama ją umyję? – zaproponowałam, bo zrobiło mi się strasznie głupio.

– Nie, nie! – zaprotestowała – Ja sama. Wiem, jak to zrobić najlepiej.

Wróciłam do chłopców, którzy, w przeciwieństwie do nas, bawili się wspaniale: Kamil gryzł swoją piłeczkę, a Filip bawił się w ściąganie skarpetki (swojej!) z nogi (też swojej).

– Bardzo cię przepraszam – powiedziała koleżanka, myjąc zabawkę w kuchennym zlewie. – Ale sama widzisz, jakie mam urwanie głowy.

Pokiwałam. Skoro mój syn nie mógł bawić się zabawkami Kamilka, wyjęłam z torebki herbatniki i podałam po jednym maluchom. Przyjaciółka w tym czasie kończyła parzenie kawy.

– Z mlekiem? – zapytała z kuchni.

– Poproszę…

Przyjaciółka postawiła nasze kubki na stole, po czym odwróciła się w stronę dzieci i… stanęła jak wryta.

– Co tu się dzieje? – zapytała z przerażeniem w głosie. – Widzę, że sobie nieźle podjadacie, panowie.

– Chłopcy mają przerwę na lunch. – Uśmiechnęłam się.

– Taaa, nie ma to jak przekąska na moim nowym dywanie…

– Ojej, przepraszam, nie wiedziałam… – Schyliłam się i zaczęłam zbierać z dywanu okruchy wilgotnych herbatników, które zdążyły w tym czasie przykleić się do kolan Filipa.

– Nic nie szkodzi, potem odkurzę. Tylko wiesz co?

– Tak?

– My staramy się uczyć Kamila dobrych manier już od małego. I zawsze powtarzamy mu, że jeść należy tylko przy stole.

– Aha.

No, cóż. Okazałam się niechlujną matką, która ma w nosie maniery własnego syna, a do tego służy złym przykładem dla innych. Mój syn uśmiechał się do mnie za to najszerszym uśmiechem, jaki w życiu widziałam.

– O, matko, zrobiło się strasznie późno, a ja jeszcze muszę odebrać Helenę ze szkoły! – powiedziałam, podnosząc moje szczęście z nowego dywanu przyjaciółki.

– No jak to? A kawa…?

– Wiesz, odbijemy sobie kawkę w kawiarni któregoś dnia – odpowiedziałam spokojnie. „Tam przynajmniej można naśmiecić i ktoś posprząta bez tego całego gadania", chciałam dodać, ale w porę ugryzłam się w język.

– A wiesz, że ja też wolę pić na mieście – powiedziała. – Tam można przynajmniej spokojnie naśmiecić, a w domu to jest okropnie stresujące.

Wymieniłyśmy całuski na pożegnanie i wróciłam do domu.

Filip zasnął niemal od razu w wózku, wymęczony tą wizytą nie mniej niż ja sama. Całą drogę zastanawiałam się, czy to ja jestem mało wrażliwa, czy może to ona przesadza? Ale w końcu nie można odmówić komuś zamiłowania do porządku, prawda?

Widocznie to jest dla niej ważniejsze. W każdym razie współczułam jej serdecznie.

Po drodze wstąpiłam do sklepiku i kupiłam ogromne opakowanie ulubionych ciastek Filipa, tych, które kruszyły się najbardziej. Odebraliśmy Helenę, a przechodząc obok sklepiku, zatrzymałam się i zapytałam.

– Helena, jakie słodycze lubisz najbardziej?

– Przecież nie wolno nam jeść słodyczy…? – zapytała podejrzliwym tonem.

– Dzisiaj wolno.

– Naprawdę? – Na jej twarzy od razu pojawił się uśmiech. Boże, jak tym dzieciom niewiele do szczęścia potrzeba.

– Naprawdę – powtórzyłam. – Dzisiaj jest taki dzień, że wolno. Masz tutaj pieniądze i kup sobie coś, na co masz ochotę. Tylko bez przesady, zrozumiano?

Helena zniknęła za drzwiami sklepiku osiedlowego, a ja posłałam całusa Filipowi, który właśnie obudził się w wózku i witał mnie najcudowniejszym uśmiechem pod słońcem.

Pod prysznicem

Do czego to doszło! Żeby wziąć spokojnie prysznic, bo przecież umyć się trzeba – przynajmniej raz na jakiś czas (!) – musiałam brać Filipa ze sobą do łazienki, bo tak się darł, jak tylko wychodziłam z pokoju, że jeszcze ktoś wezwałby policję. Serio! Nie spuszczał mnie z oka, bo inaczej w ryk! Kiedyś wsadziłam go razem ze mną do wanny, ale skutek był taki, że rozdarł się jeszcze bardziej, zanim zdążyłam wycisnąć mydło w płynie, ba, nawet zanim zdążyłam po nie sięgnąć. Masakra jakaś! Aż któregoś dnia wpadłam na pewien pomysł, z rodzaju tych genialnych. Sama się dziwiłam, jak mogłam nie wymyślić tego wcześniej.

Podniosłam młodego z podłogi, zabrałam jego ulubione plastikowe kulki i całe to towarzystwo wsadziłam do pustego… kosza na brudne pranie. I wtedy myk pod prysznic. Filip był zachwycony zabawą w koszu i rzucał kulkami po całej łazience, a ja w try miga uwinęłam się z prysznicem i każdy był zadowolony z takiego rozwiązania.

Kiedy powiedziałam o tym pomyśle Piotrkowi, stwierdził z przekąsem:

– No nieźle, takie widoki młodemu fundujesz już od małego! Ten to ma szczęście. Ja też bym sobie w takim koszu posiedział, kiedy bierzesz prysznic. I obiecuję, że będę grzeczny!

– Ale ty, mój drogi, w przeciwieństwie do Filipa, nie dostajesz ataku histerii, kiedy wychodzę z pokoju, a nawet powiedziałabym, że jest odwrotnie: jesteś megazadowolony, że wreszcie masz chwilę spokoju! Jak będziesz płakał za każdym razem, kiedy wychodzę, to pomyślimy.

Po kilku miesiącach Filip nauczył się zostawać sam w pokoju, bo zrozumiał, że mama idzie tylko pod prysznic – nie porzuca go i nie znika na zawsze. I wtedy coś mi padło na głowę, niestety. Bywało, że cała namydlona, z ekspresową odżywką na włosach (bo tylko takich używają zabiegane matki), wybiegałam spod prysznica i pędziłam z całych sił do jego pokoju, bo słyszałam jego płacz, jego wołanie o pomoc! Wpadałam do pokoiku, żeby zobaczyć, że bawi się spokojnie klockami.

I chociaż minęło już kilka lat, a Filip już sam zamyka się w łazience, robiąc numer dwa, to ja nadal czasem słyszę te głosy dziecka wołającego o pomoc. To samo zresztą mam, kiedy suszę włosy albo odkurzam dywan. Ta matka, która bez przerwy cholernie boi się o swoje dziecko, chyba już nigdy nie wydostanie się z mojej głowy. To tak jak z ruchami dziecka w brzuchu, które moja mama czuje do dzisiaj, o czym powiedziała mi ostatnio. Ona nadal czuje moje kopanie! Chociaż ja mam już własne dzieci.

Chwila spokoju

Relaks to coś, czego każda matka bardzo potrzebuje i o czym zwykle może sobie tylko pomarzyć. A przecież chwila tylko dla siebie potrzebna jest każdemu, a matkom powinny przysługiwać dodatkowe godziny relaksu. Niestety, nasz matczyny pakiet nie przewiduje nawet minimum odpoczynku, a co dopiero dodatkowe darmowe godziny.

Mimo to czasem, kiedy pan domu wróci z pracy, można sobie taki kwadransik wyciąć z życia i wtedy jest cudownie. Zawsze lubiłam moczyć się w gorącej wodzie. Od kiedy urodziły się dzieci, zawsze dbałam o to, żeby kąpieli zażywać w odpowiednim czasie. Nie, bynajmniej nie odpowiednim dla mnie, ale dla dzieci właśnie! Wszystko ustalałam tak, żeby mi nie przeszkadzały, więc moja kąpiel wypadała często w tym samym czasie, kiedy leciała ich ulubiona kreskówka albo szli z Piotrkiem do kina. Wtedy robiłam siup do wanny i miałam wszystko w nosie.

Bywało jednak i tak, że Piotrek nigdzie ich nie zabierał, a ja miałam straszną potrzebę wymoczenia kręgosłupa, obolałego od ciągłego podnoszenia klocków z podłogi.

– Zajmiesz się nimi chwilę? – pytałam Piotrka.

– A co? Wychodzisz gdzieś?

– Tak. Wychodzę na kwadrans do łazienki i proszę cię, żebyś się nimi zajął, żeby nikt mi tam za chwilę nie walił do drzwi.

– Jasne.

Wszystko wydawało się takie proste i zorganizowane. Do czasu, oczywiście. Leżałam w pachnącej wodzie od całych pięciu minut, rozdmuchiwałam pianę, która spadała mi na nos, kiedy do moich uszu dotarło magiczne słowo:

– Mamo!

Nie odzywałam się póki co, bo przecież w pokoju był ojciec tego dziecka i też mógł mu pomóc, gdyby tylko chciał, oczywiście. Po chwili usłyszałam znowu:

– Mamo!

– Co?

– Mamo, mogę wejść?

– Gdzie?

– Do łazienki.

– Nie. Przecież się kąpię. Mówiłam, żebyś się wysikał przed.

– Ale ja nie chcę sikać – powiedział Filip.

– To idź do taty.

– Tata śpi.

– Mogłam się tego domyślić. To go obudź.

– Nie. Ja chcę do ciebie.

– Ale ja ci nie pomogę, bo jestem w wannie, z której nie mam zamiaru wychodzić. Nie po to napuściłam sobie piany z najdroższej butelki…

– Tej, co pachnie kokosem?

– Tej samej.

– Mamo!

– Czego ty ode mnie chcesz, dziecko!

– Mogę też?

– Słucham…? – Nie wierzyłam własnym uszom.

– Mogę też wejść do ciebie?

– Gdzie…?! Do wanny? Do mojej wanny?

– Mamo, proszę. Ta twoja piana jest dużo lepsza niż ta, którą wlewasz, kiedy ja się kąpię.

– Możesz mieć uczulenie na moją pianę.

– Nie mam, bo już kiedyś mnie wpuściłaś i wtedy nie miałem, to teraz też nie będę.

– No i to był błąd, że ci wtedy pozwoliłam wejść.

– Mamo, ale ja już nie mam majtek, to mogę wejść do ciebie, bo mi zimno w pupę…?

To się zrelaksowałam.

Rodzeństwo to niekończąca się walka

– Mamo, ja chcę piętkę!

– O, to ja też chcę.

– Ale ja byłam pierwsza!

– Ale ja też chcę, mamo!

– Spokój! Na szczęście chleb ma dwie piętki, więc każde z was dostanie po jednej. Aż boję się pomyśleć, co by było, gdybym miała jeszcze jedno dziecko.

– Jak to co? – Hela wzruszyła ramionami. – Musiałabyś kupować dwa chleby.

– No! A ja bym dostał na dokładkę tę piętkę, co by została!

– A dlaczego akurat ty, a nie ja, gówniarzu?

– Hela!

– Bo on nigdy nie pomyśli o innych, mamo. Zawsze tylko o sobie.

– Podobnie jak ty, Helenko. Pod tym względem jesteście do siebie bardzo podobni.

– Rozpieszczony bachor!

– Śpiąca królewna!

– Cisza już, bo za chwilę żadne z was nie dostanie piętki. Sama je zjem! I to na waszych oczach!

– Przecież ty, mamo, nie lubisz piętek.

– A skąd wiesz? – spytałam.

– Bo nigdy ich nie jesz.

– Bo mam dobre serce i wam je oddaję. Nikt mnie nawet nie zapytał, czy lubię piętki. Już nawet nie pamiętam, czy je jadłam, zanim, no wiecie, zanim pojawiliście się w naszym życiu.

Przy stole zapadła chwila ciszy i konsternacji. Oho, pomyślałam: wreszcie dałam im do myślenia. Niech ruszą głowami, niech pobudzą wyobraźnię, nie zaszkodzi im w każdym razie. Jak wszystkie dzieci, były skoncentrowane głównie na sobie i na swoich potrzebach, a czasem warto pomyśleć też o potrzebach ich własnej matki.

– Mamo – zaczął Filip.

– Słucham cię, kochanie? – zapytałam z nadzieją w głosie. Przecież chciałam opowiedzieć mu o sobie, o tym, jaka byłam kiedyś i że też lubiłam piętki. Nawet jeśli ich nie lubiłam, to chciałam im teraz o tym opowiedzieć. Prawdę mówiąc, rodzic przez całe życie czeka na ten moment, w którym dzieci odkryją w nim po prostu drugiego człowieka.

– Tę piętkę…

– Tak, synku…?

– To możesz mi zrobić z pasztetem?

– I znowu po mnie małpujesz, gnojku! Ja chciałam z pasztetem!

– Ale ja byłem pierwszy!

– Mamo, po co go w ogóle urodziłaś?!

Czy ktoś w tym domu sprząta?!

Weszłam do kuchni, w której zastałam taki syf, że przysięgam, nie miałam gdzie postawić filiżanki po kawie.

– Czy możecie po sobie sprzątać?! – ryknęłam na całe mieszkanie. – Czy to przerasta wasze możliwości?! Czy ja naprawdę jestem jedyną osobą w tym domu, która po sobie myje…?!

– Tak! – odpowiedzieli mi chórem.

I wszystko jasne.

Kiedyś moja mama wpadła do nas z niespodziewaną wizytą i o mało nie złamała sobie nosa, bo w przedpokoju potknęła się o misia. Do łazienki wejść się nie dało, bo na podłodze leżały plastikowe kulki, które Filip postanowił przenieść do wanny. W kuchennym zlewie myłam właśnie klocki, które mój syn układał przy obiedzie. Były całe w sosie pieczarkowym.

– Widzę, że macie tu teraz centrum rozrywki, a nie dom – powiedziała mama, taszcząc z kuchni do pokoju stołek, jedyny, na którym dało się spokojnie usiąść, nie narażając się na przyklejenie.

– Tylko że mi wcale nie jest rozrywkowo. Nie ogarniam już tego meksyku, mamo.

– Ja to się w ogóle dziwię, że nikt z was sobie jeszcze niczego nie połamał. Przecież tu się nie da przejść.

– Mamo, ręce mi już opadają do samej ziemi od tego wiecznego sprzątania. Ja stawiam, a oni rozwalają, i tak w kółko. Najgorzej jest w weekendy.

– Po prostu musisz uczyć ich sprzątania po sobie – powiedziała mama.

– Myślisz, że to takie proste?

– Myślę, że nie masz innego wyjścia. Tutaj jest tak zagracone, że ja nie wiem, jak ty cokolwiek potrafisz znaleźć.

– Filip mi pomaga, jest w tym całkiem dobry!

– Gdybyś to ogarnęła, od razu zrobiłoby się przyjemniej.

– Komu? Bo na pewno nie im. Nawet by tego nie zauważyli, a gdyby się zorientowali, to szybciutko zrobiliby bałagan od nowa.

– A tobie nie byłoby przyjemniej siedzieć w posprzątanym domu?

– Może i tak. Ale nie mam na to ani czasu, ani ochoty. Już się przyzwyczaiłam, mamo. Chcesz herbaty?

– A znajdziesz czystą filiżankę?

– Są w szafce. W szafkach wszystko jest po staremu, bo tutaj nie dosięgają, na szczęście.

– Słuchaj, a może ja bym ci pomogła tutaj posprzątać? – zaproponowała.

– Nie gniewaj się, mamo, ale nie trzeba. Naprawdę, to nie ma sensu. Porządek trwałby co najwyżej godzinę, kiedy byłabym z

Filipem na spacerze. Szkoda twojego czasu.

I tak siedziałyśmy, pijąc herbatę i wspominając dawne czasy, kiedy dywan służył do postawienia na nim stolika, a nie zamieniał się w Morze Czerwone, jak w zeszłym tygodniu, kiedy Helena wylała na niego sok wiśniowy, a Filip od razu wykorzystał sytuację do zabawy w piratów.

Filip nie spał przez pierwsze dwa lata życia

Tak, nie pomyliłam się. To dziecko nie potrzebowało snu. Owszem, miewał drzemki w ciągu dnia, ale krótkie. W nocy spał. I budził się. I znowu spał. I budził się. I tak w kółko. A ja razem z nim.

Nie mogłam budzić Piotrka za każdym razem, bo przecież rano tak czy siak musiał iść do pracy. Ktoś musiał nas utrzymywać, jakby nie było. Ja snułam się po domu razem z Filipem i kiedy on padał na drzemkę, ja padałam razem z nim.

Wkurzały mnie wtedy, jak nie wiem co, opowieści innych matek, które rozpływały się w zachwycie nad błogim snem swoich dzieci.

– Moja córeczka, kochany szkrabulek, to spała od samego początku! Od pierwszego dnia po powrocie ze szpitala.

– No, ale chyba budziła się na karmienie w nocy? – pytałam z nadzieją.

– A skąd! Napychała się tak o jedenastej wieczorem, że spała do szóstej. Mówię ci, też się dziwiłam, ale przecież nie będę jej budzić, żeby sobie pojadła w nocy, prawda?

– Prawda…

– No właśnie. Uznałam, że nie będę w dziecku rozwijać niezdrowych nawyków do nocnego podjadania, żeby nie miała

problemów w przyszłości, jak ja.

– Jesteś szczęściarą – westchnęłam nad wózkiem, w którym spał Filip.

– A co? Twój nie śpi w nocy?

– Wcale.

– Nocny marek? Imprezę na okrągło przez całą dobę wam urządza?

– Mniej więcej. – Ziewnęłam szeroko. – Już ledwo daję radę. Myślałam, że po kilku miesiącach mu przejdzie, ale najwyraźniej dopiero się rozkręca. Budzi się co kwadrans, w życiu nie przespał jeszcze całej nocy, wyobrażasz to sobie?

– Nawet nie wiem, czy chcę.

– Jak skończył sześć miesięcy, to zaczął ząbkować i wzięliśmy go do siebie, to znaczy do naszego łóżka.

– I co?

– Faktycznie lepiej spał, bo zamiast co piętnaście minut, budził się tylko co godzinę, a to już był sukces! Ale problem jest taki, że teraz w ogóle nie idzie do swojego łóżka, tylko ryczy, że chce z nami. I już tak razem się męczymy drugi rok w jednym łóżku. Ale on nadal nie przesypia całych nocy!

– A pytałaś lekarza? Może coś z nim nie tak?

– Oczywiście, że pytałam! Nie było wizyty, żebym o tym nie wspominała. Przecież on nas wykończy.

– No i co powiedział lekarz? – zainteresowała się koleżanka.

– Powiedział, że niektóre dzieci tak po prostu mają.

– I tylko tyle?

– No wyobraź sobie.

– Ja nie wiem, po co ktoś studiuje medycynę przez sześć lat i jeszcze robi sobie specjalizację z pediatrii, żeby potem mówić coś takiego matce, która pada na twarz! No i jak ty masz teraz z tym żyć dalej?

– Też się zastanawiam, czy to moje życie ma obecnie jakiś sens. Nakarmić, przewinąć i czuwać przy łóżeczku. I tak w kółko.

Pamiętam, że wtedy, kiedy siedziałam w sypialni o czwartej rano, z oczami jak zombi, to do głowy przychodziły mi różne głupie myśli. Byłam niewyspana, zmęczona, a mój syn miał to w nosie. Ja nie wiem, jak w ogóle przetrwałam tamten okres, który, przysięgam, zaliczam do najcięższych doświadczeń życiowych.

Koszmar skończył się dopiero po dwóch latach, kiedy na drugie urodziny kupiliśmy do pokoju nocną lampkę z jego ulubionym samolocikiem. Numer z lampką polegał na tym, że rzucała cień na ścianę, a ponieważ jeszcze się przy tym obracała, było to bardzo efektowne. Filip leżał w łóżku (swoim, bo nabraliśmy go, że ta lampka nie działa w naszej sypialni) i oczu nie odrywał od tych samolocikowych cieni krążących wolniutko po ścianach jego pokoju. I tak zapatrzony zasypiał. Wreszcie! Myślałam, że szampana otworzę z tej okazji, ale ponieważ nikt wcześniej tego nie przewidział, nie mieliśmy go w lodówce. Wystarczyła nam zwykła herbata, którą wypiliśmy z Piotrkiem w spokoju.

– Pierwsza przespana noc po dwóch latach, czujesz? – powiedziałam do Piotrka następnego dnia przy śniadaniu. – Myślałam, że ta chwila nigdy nie nastąpi.

– No widzisz. Teraz przetrwasz już wszystko – pocieszył mnie.

– Teraz to ja będę odsypiać te wszystkie noce i nie jestem pewna, czy do końca życia się wyrobię.

Dlaczego matki narzekają?

– Ciągle na wszystko narzekasz, Sylwia – orzekł pewnego dnia mój mąż.

– Piotrek, jeśli chcesz, żebym nie marudziła ci w dzień, to spraw, żebym jęczała w nocy! Proste.

– Że co…?

– Wszyscy tylko narzekacie na nasze narzekanie!

– Bo narzekacie bez przerwy! – dodał.

– To się wysil i zrób coś, żebym nie narzekała.

– A myślisz, że co ja robię?

– Ja myślę, że coś jednak robisz nie tak – fuknęłam, po czym dodałam: – Nie wiesz, że jeśli chcesz, żeby kobieta nie marudziła w dzień, trzeba zadbać o nią w nocy? Czy ciebie może to zadanie przerasta?

– No przecież mówiłaś, że cię głowa boli…?

– Kiedy?

– Ostatnio!

– To było w zeszłym miesiącu – powiedziałam. – Naprawdę sądzisz, że od miesiąca boli mnie głowa?

– Ja już nic z tego nie rozumiem. – Rozłożył ręce w geście bezradności.

– Boże! Nie dość, że muszę dzieci wychowywać, to jeszcze los mi dał w nagrodę faceta, który też nic nie rozumie i wszystkiego muszę go uczyć! Za jakie grzechy, ja się pytam?

– O, i znowu narzekasz!

– Bo nie jęczałam w nocy – dodałam.

– Aha, czyli to wszystko – tu nakreślił kształt koła przed moim nosem – to jest jakby moja wina?

– Też się do tego przyłożyłeś.

– Słuchaj, a może ty powinnaś pójść do lekarza?

– Znam tańsze sposoby na rozwiązanie tego problemu – westchnęłam.

– Zamieniam się w słuch.

Spojrzałam na Piotrka i jakoś tak zrobiło mi się go szkoda. No przecież to nie jego wina, że urodził się facetem. Jak każdy facet nic nie rozumiał i pojęcia nie miał o potrzebach kobiety. A ja naiwnie myślałam, że po tylu latach małżeństwa już się tego nauczy!

– Czy nie mógłbyś czasem – nie mówię, że co piątek, chociaż byłoby miło – przygotować kolacji, świeczki zapalić, jakiegoś bukietu przytaskać ze sobą, wracając do domu, nie mówiąc o czekoladkach? – westchnęłam. – Naprawdę nie mógłbyś chociaż od czasu do czasu się o coś takiego postarać? To cię przerasta? To jest tak wiele?

– A po co mam świeczkę kupować? Nie żyjemy w czasach przedpotopowych, mamy żarówki w domu…

– Ale świeczka daje nastrój, bałwanie!

– Co daje…?

– Weź już się nie odzywaj lepiej.

– Ale poczekaj, poczekaj! – zainteresował się nagle. – Dlaczego akurat w piątek? Walentynki są?

– O Boże, a czy tylko w walentynki należą mi się kwiaty i czekoladki?

– Nie, oczywiście, że nie.

– No właśnie.

– Są też inne daty, jak na przykład urodziny, Dzień Kobiet, Dzień Matki – zaczął mi wyliczać. – Wiesz, tych dat to jest właściwie sporo, jakby tak się przyjrzeć.

– Ale mi chodziło o kwiaty bez okazji! – Tupnęłam nogą. – Po prostu.

– Ale po co…? – Najwyraźniej dalej nic nie rozumiał.

– Żeby było miło.

– Przecież jest miło. Jesteśmy małżeństwem od tylu lat i chyba nie musimy sobie kupować kwiatów?

– Tak? A dlaczego nie?

– Bo nie widzę sensu…

– To ja w takim razie nie widzę sensu w nienarzekaniu. I będę dotąd ci tu skrzeczeć nad uchem, aż nie zrozumiesz, że nawet ja, nawet po tylu latach, nawet po dwóch porodach, w tym jednym przez cesarskie cięcie, po którym już do końca życia będę miała bliznę, w przeciwieństwie do ciebie, nawet po tym wszystkim

nadal jestem kobietą i jak każda kobieta lubię dostawać kwiaty, lubię, kiedy na stole wieczorem pali się świeczka i kiedy mój mąż kupuje mi czekoladki bez okazji!

I wtedy mój mąż, a jakże, uderzył się dłonią w czoło, po czym powiedział:

– No i wszystko jasne! Ja ci nie kupowałem tych czekoladek, bo myślałem, że jesteś na diecie. No tak mówiłaś…

– Ta, jasne. I na diecie kwiatowej też jestem, co nie? Też sobie wytłumaczenie znalazłeś.

– Dobra, już zrozumiałem. – Pokiwał głową. – Koniec tematu.

– To znaczy…?

– To znaczy, że kupię ci przy okazji te kwiaty…

– I czekoladki.

– I czekoladki, niech już będzie.

– A kiedy to będzie?

– Nie mogę ci powiedzieć, bo to ma być niespodzianka. Bez okazji, jak zaznaczyłaś.

– Cieszę się, że się dogadaliśmy. Masz ochotę na herbatę?

I wiecie co? Czekam na ten zestaw: kwiaty, czekoladki plus kolacja już od kilku miesięcy. I nadal nic. Nawet świeczki nie kupił.

Mój mąż daltonista. Też tak macie?

Piotrek nie rozróżnia kolorów, jak każdy facet zresztą. Tak mi się przynajmniej wydawało. No, ale co byście sobie pomyślały w takiej sytuacji? Wróciłam od fryzjera z nowym kolorem na głowie i pytam go od progu:

– No i jak?

A on taksuje mnie wzrokiem, po czym stwierdza:

– O, widzę, że masz nowe buty!

– Te buty nie są wcale nowe – odpowiedziałam.

– Jakoś wcześniej ich nie widziałem.

– Pocieszę cię, że teraz też nic nie widzisz. Nadal jesteś ślepy.

– Słucham…? – Najwyraźniej zaciekawiła go moja kąśliwa uwaga.

– Słuchaj, a może ty faktycznie powinieneś pójść do okulisty?

– Ja…?! Ja przecież mam sokoli wzrok!

– Chyba ci się zwierzątka pomyliły, mój drogi. Jak dla mnie możesz pretendować co najwyżej do wzroku kreta.

– O co ci znowu chodzi? – westchnął zrozpaczony.

– O to! – Pokazałam palcem na swoją głowę. – Widzisz tu coś?

– No widzę – odpowiedział – głowę widzę. Twoją.

– Jezu…

– A co, to nie jest głowa…?

– Idźmy dalej. – Chrząknęłam. – A na głowie, co widzisz?

– Włosy…? Zgadłem? Uff! – Odetchnął z ulgą.

– Tak się nie ciesz jeszcze, bo to nie jest koniec testu.

– Czapki nie widzę, choćbyś nie wiem, jak mnie dręczyła.

– Chodzi mi o te włosy. Jak myślisz, jakie one są?

– No jak to, jakie…? Ładne.

– Ładne? – powtórzyłam. – I tylko tyle widzisz?

– No tak.

– A kolor? – Nie odpuszczałam. – Jaki kolor widzisz?

– O Boże, a czy to nie wszystko jedno?

– A wyobraź sobie, że nie.

– No takie jakieś…

– No, no…?

– Jakby popielate są.

– Popielate, mówisz?

– Nie, poczekaj! Wiem. Brązowe?

– A nie blond, na przykład ciemny?

– A ty wiesz, że możesz mieć rację. Tak, to chyba będzie blond.

Po co chodzić do fryzjera, skoro on i tak nic nie zauważy? Tylko kasy szkoda.

I właśnie wtedy, kiedy naprawdę zaczęłam podejrzewać go o daltonizm, i to całkiem na poważnie, wydarzyła się pewna sytuacja, nazwijmy to „uliczna”, która jednoznacznie pozbawiła mnie wszelkich wątpliwości co do wzroku Piotrka. On widział wszystko doskonale, czasem nawet aż za bardzo!

Szliśmy sobie tamtego dnia przez park, Piotrek pchał wózek z Heleną, bo Helena wtedy jeszcze nie chodziła. Pogoda była piękna, wczesna wiosna, więc wiadomo, jak kobiety reagują na podniesioną temperaturę otoczenia. No i szła akurat przed nami taka jedna, w spódniczce tak krótkiej, że dosłownie ledwo jej majtki zakrywała. Rzeczoną spódniczkę miała w kolorze wściekle pomarańczowym. Idziemy tak za nią, idziemy w milczeniu, bo facet przecież nie ma podzielnej uwagi i jak się zagapi, to gadać nie potrafi. A tak się składa, że od dłuższej chwili Piotrek wgapiony był w tyłek tej babki. Oczu wprost oderwać nie mógł.

– Możesz przestać się tak gapić…? – Szturchnęłam go w końcu w bok.

– Ale o co ci chodzi? – zdziwił się.

– Już nie udawaj takiego niewiniątka! Przecież widzę, że się gapisz na tyłek tej baby. Naprawdę mógłbyś się opanować, przynajmniej przy własnej żonie albo chociaż przy dziecku!

– Ja po prostu podziwiam tę spódnicę – szepnął.

– Tak? A co tu niby jest takiego do podziwiania, co?

– Kolor – odpowiedział. – Tak się rzuca w oczy, że nie da się nie patrzeć.

– O proszę, to ty nagle widzisz kolory? I nawet je odróżniasz? Ciekawe, że jak ostatnio wróciłam od fryzjera, to nic nie zauważyłeś, a teraz proszę! Nastąpiło cudowne ozdrowienie i przejrzałeś na oczy!

– Tak. Bo to jest kolor prosty w odbiorze, taki nieskomplikowany. Pomarańczowy. Z latem mi się kojarzy. I z sokiem.

– Chyba na mózg ci się ten kolor rzucił.

– A wiesz, że napiłbym się takiego świeżo wyciskanego z pomarańczy.

– Ja ci zaraz dam sok!

– Może usiądziemy w kafejce, na pewno mają tam coś smacznego? – zapytał.

– Jakoś przeszła mi ochota – powiedziałam.

I niech mnie ktoś oświeci, z łaski swojej, jak to jest, że u własnej żony faceci kolorów w ogóle nie widzą. Ale wystarczy, że jakaś obca baba zaświeci im przed oczami tyłkiem, to nawet ślepcy wzrok odzyskują? O co w tym chodzi?

ZDOLNA MAMA

– Mamo, zrobimy dżdżownice z galaretki w rurkach? Wystarczy tam wlać, zastygnie i wyciśniemy, proszę!

Hela zobaczyła to na Instagramie. Dałam się namówić. I co? Wyszła z tego wielka kupa, a nie robaczki.

– Bo oni tak zawsze, córeczko, mamią nas tymi fotografiami. To tylko na zdjęciu tak fajnie wygląda i że niby jest łatwe.

Tak samo jak z kopytkami. No nie ma nic prostszego! To dlaczego to mi się nie chce skleić nigdy? To znaczy klei się, ale do paluchów! Ja tam doceniam fakt, że mogę sobie kopytka kupić w sklepie.

Kim będziesz, jak dorośniesz?

– Filipku, kim chcesz być, jak dorośniesz? – zapytałam.

– Siostrą.

– Kim…?

– Siostrą – powtórzył.

– Nie zrozumiałeś mnie, synku. Ja się pytałem, kim chcesz być, co chcesz robić?

– Chcę być siostrą.

– Poczekaj. Chcesz być… dziewczynką?

– Tak, tak! Chcę być dziewczynką.

– Boże…

– Kupis mi torebkę różową, taką samą jak ma Hela?

– Nie. Kupię ci karabin, taki jak chciałeś w zeszłym tygodniu, a ja, głupi się nie zgodziłem, wiesz dlaczego?

– Nie wiem.

– Bo twoja mamusia mi zabroniła, żebym nie rozwijał w tobie złych instynktów. No to teraz mam za swoje. Mam nadzieję, że nadal chcesz ten karabin.

– A kupis mi?

– Oczywiście! – krzyknął zadowolony. – No przecież jesteś chłopakiem, a chłopcy bawią się w wojnę.

– Będziesz się ze mną bawił w wojnę?

– No pewnie.

A kiedy Piotrek wszedł do kuchni, powiedział mniej więcej tak:

– Wiesz, chyba muszę spędzać więcej czasu z Filipem.

– No, nie zaszkodziłoby…

– Bo jak mnie nie ma, to tu jest istny babiniec. I to na niego źle wpływa.

– Słucham…?

– Chciał, żebym mu… – ściszył głos. – Żebym mu kupił torebkę, wyobrażasz to sobie?

– Co się dziwisz, żyjemy w czasach gender i ma prawo nosić torebkę. Czytałam, że w Szwecji chłopcy raz w tygodniu mogą zakładać do przedszkola sukienkę.

– Gdzie…?!

– No mówię, że w Szwecji.

– Słyszę, że w Szwecji. Gdzie zakładać tę sukienkę, się pytam?

– Jak to gdzie. Na siebie.

– Co takiego…? – Odskoczył jak oparzony. – Na pewno coś źle zrozumiałaś. Wyobrażasz sobie, żeby nasz syn chodził w sukience…? To by dopiero było!

– Gdyby miał taką potrzebę… Sam mówiłeś, że chciał torebkę.

– On sam nie wie, czego chce. Jest na to za mały, a rodzice są od tego, żeby mu takie rzeczy wbić do głowy, a nie jakieś tam przedszkole. Na szczęście nie mieszkamy w Szwecji.

– Ale…

– Jutro prosto po pracy idę kupić mu karabin.

– Po pracy miałeś jechać do mechanika wymienić klocki hamulcowe.

– To może poczekać. I jeszcze czołg mu kupię do kompletu, tak dla pewności. Albo, wiem! Zabiorę go do mechanika.

– Uspokój się, on ma dopiero cztery lata! Co niby miałby robić w warsztacie? Tylko będzie się nudził…

– Niech się przygląda i wdraża.

– W co, przepraszam, ma się wdrażać…?

– W męski świat.

– Zwariowałeś. – Popukałam się w czoło. – Mam nadzieję, że u tego mechanika nie ma żadnych plakatów, no wiesz jakich.

– Spokojna głowa. O plakatach będę z nim rozmawiał za kilka lat, no, może kilkanaście.

Dlaczego w tym domu ciągle jest bałagan?

Dlaczego moja siostra Iwona, w przeciwieństwie do mnie, ma wszystko poukładane w szafach? Bo układa. W przeciwieństwie do mnie, bo ja tylko upycham te ciuchy, upycham i do szczęścia potrzebuję tylko tego, żeby mi zza tych drzwi nie wypadły, co czasem nawet się udaje. Gorzej, jak ktoś czegoś konkretnego potrzebuje, wtedy jest dramat. Piotrek ciągnie za rękaw podkoszulka, który zwisa wciśnięty między spodnie a koszulę, i w ten sposób burzy mi całą przestrzeń. Wszystko wtedy wywala się na podłogę, na której, tak się składa, zawsze leży coś ubrudzone dżemem albo keczupem. Potem nie dość, że muszę te ciuchy zanosić do kosza z brudną bielizną, to jeszcze trzeba szukać nowego podkoszulka dla męża, który się spieszy i nie ogarnia, i jeszcze się do tego przyznaje!

– Dlaczego? – pyta Piotrek w takich chwilach. – Dlaczego, do diabła, za każdym razem, kiedy próbuję coś z tej szafy wyjąć, to ciuchy mnie atakują…?!

– No właśnie też się zastanawiam… – odpowiadam, szybko zbierając z podłogi to, co jeszcze nie wylądowało w kanapce leżącej pod plastikową przyczepką, którą Filip bawił się poprzedniego dnia w dostawcę.

– Czy nie można tu jakoś posprzątać?

– Ależ można. Nawet trzeba, drogi mężu.

– To skoro wiesz, co tu trzeba zrobić, to dlaczego się za to nie weźmiesz?

– Ja…?! Przecież to jest twoja półka. Gdybym chciała tak sprzątać po wszystkich i układać na każdej półce, to do świąt bym się nie wyrobiła.

– Ale ty nawet na swojej półce nie sprzątasz!

– Bo nie mam do tego głowy!

– Bo co?

– Bo mam inne rzeczy na niej, wiesz?

– Ciekawe, jakie?

– Słuchaj, już raz to przerabialiśmy. Mam ci może przypomnieć, jak zostałeś w domu na tydzień, bo miałeś urwany kciuk i dostałeś na niego zwolnienie…

– Zwichnięty, a nie urwany…

– I po dwóch dniach zwiałeś stąd do biura, chociaż kciuk nadal miałeś w gipsie. Powiedziałeś, że tu nie da się wytrzymać, że nie możesz się na niczym skupić, o pracy umysłowej nie wspominając. To wyobraź sobie, że ja w takich warunkach jestem od lat! I nie mam, w przeciwieństwie do ciebie, dokąd uciec. I nikt nie wypisze mi zwolnienia, nawet gdybym miała być cała w gipsie, nawet gdybym dała się dobrowolnie w niego zakuć!

Piotrek pofukał coś tam jeszcze pod nosem i poszedł do pracy w podkoszulku z poprzedniego dnia. Jeszcze w drzwiach mi się

odgrażał, że skoczy sobie do sklepu w drodze do pracy i kupi nowy, i żebym się nie martwiła. Jeszcze czego! Bo ja nie mam się o co martwić? Jeszcze będę sobie głowę nabijać jego podkoszulkami!

No, ale trochę racji jednak miał. Poszedł sobie do tej swojej pracy, a ja zostałam z królewiczem w nie najlepszym nastroju (ma to zapewne po tatusiu!) i z bajzlem wokół, który musiałam ponownie w szafach poupychać.

Jakby nie patrzeć, czekał mnie telefon do Iwony. Ta to była, jest i będzie królową porządku. Co by nie mówić, umiała zapanować nad bałaganem. Owszem, miała dużo łatwiejsze warunki niż ja, bo nie miała ani męża, który po sobie nie sprzątał, ani dzieci, które, jak wiadomo, nigdy nie sprzątają, a zawsze robią bajzel.

Nie zastanawiając się za długo, co groziłoby rezygnacją z jej rad, których teraz absolutnie potrzebowałam, złapałam za telefon i zadzwoniłam do niej.

– Halo?

– Iwona, nie przeszkadzam ci?

– Nie, skąd. – Pociągnęła nosem. – Wysiaduję właśnie przeziębienie w domu na trzydniowym zwolnieniu.

– To się świetnie składa! – zawołałam podekscytowana. – To znaczy, życzę ci oczywiście szybkiego powrotu do zdrowia… – poprawiłam się szybko.

– A co się stało, że dzwonisz?

– No, właśnie… – Chrząknęłam do słuchawki. – Wiesz, zaprosiłabym cię do mnie na kawę, ale rozumiesz…

– Rozumiem. Nie chcę was zarazić katarem.

– Nie chodzi o katar.

– A o co?

– Wstydziłabym się ciebie wpuścić za próg.

– A co? Znowu wybuchło?

– I to jak! Ja już siły nie mam. W tych szafach ciuchy mi urosły, ja nie wiem, skąd to się wszystko bierze. Błagam cię, pomóż mi to jakoś posprzątać.

– No ale przecież nie przyjadę, bo nie mogę.

– Nie, nie. – Wzięłam głęboki oddech. – Mówiłaś mi kiedyś o jakimś systemie.

– O systemie…? – powtórzyła. – Chodzi ci pewnie o wyzwania do sprzątania?

– O to, to, właśnie!

– Mówiłam ci, że dzisiaj na wszystko musisz mieć wyzwanie, bo inaczej ugrzęźniesz w niebycie codzienności. Ja, na przykład, od dwóch dni mam wyzwanie walki z przeziębieniem. I jak postanowiłam, tak robię. Nie wychodzę z domu, leżę w łóżku i się pocę. I żeby się paliło, żeby z pracy dzwonili, to nie ruszę się z tego łóżka, dopóki moje wyzwanie się nie skończy.

– A długo masz zamiar tak leżeć?

– Jeszcze jutro. A potem, jeśli nadal nic, idę znowu do lekarza po coś mocniejszego.

– I wtedy będzie wyzwanie antybiotykowe?

– Mniej więcej – dodała Iwona. – Jak masz wyzwanie, to wszystko idzie łatwiej. Wypisujesz sobie na karteczce zadania do wykonania i przy każdym stawiasz ptaszka, jeśli je zakończyłaś, oczywiście. Na koniec masz nagrodę: pełną satysfakcję z silnej woli, która pozwoliła ci dobrnąć do końca.

– To powiedz, co mam sobie wpisać na tej karteczce z wyzwaniem sprzątania.

– To bardzo proste!

– Już to widzę. Nie ma prostych rzeczy w temacie sprzątania, przynajmniej nie dla mnie.

– Bo nie umiesz się za to zabrać!

– To akurat wiem!

Wyzwanie trzydziestodniowe: oczyszczanie mieszkania!

Kiedyś myślałam, że to się samo sprzątnie jakoś. No i jakoś się nie sprzątnęło. Potem myślałam, że uda mi się wszystko sprzątnąć w jeden dzień, co ja mówię, w jedno przedpołudnie, a nawet w godzinę. Kończyło się to tym, że wywalałam na środek dywanu zawartość szafy i pełna dobrych chęci zabierałam się za segregowanie rzeczy, oddzielanie zimowych od letnich, długich rękawów od krótkich, spódnic od majtek, skarpet od spodni, i tak dalej. Wszystko ładnie i pięknie miało być. I było. Ale tylko przez pierwszy kwadrans. Bardzo szybko okazywało się bowiem, że to sprzątanie, segregowanie, oddzielanie ziaren od plew, a potem układanie wszystkiego na półkach z powrotem jest niezwykle nużące i po prostu trudne do wykonania.

Nerwów starczało mi góra do dwunastego podkoszulka. Przy trzynastym miałam ochotę cisnąć wszystkim o ścianę, a przy dwudziestym po prostu zbierałam całość z dywanu i wpychałam jak leci do szafy, żeby tylko już na to nie patrzeć. Skutek sprzątania był taki, że, po pierwsze, ciuchy nadal były w nieładzie, a po drugie, miałam humor zepsuty do końca dnia. Doszłam więc do wniosku, że dla własnej równowagi psychicznej nie powinnam brać się porządki w szafach i lepiej po prostu o tym nie myśleć. A

co to, ja nie mam większych problemów na głowie niż ciuchy poukładane w słupki? Ja mam dwoje dzieci! I męża, a więc sporo przeszkód do pokonania.

Niestety, przyszedł dzień, w którym wszystko to zwaliło mi się na głowę, jak lawina. Wiedziałam, że tak dalej być nie może, że nawet moja szafa tego dłużej nie wytrzyma, że w najgorszym wypadku Piotrek zadzwoni po teściową i poprosi ją o pomoc w sprzątaniu, a tego bym nie przeżyła. Nikt przecież nie lubi, żeby ktoś obcy układał mu gacie w szufladach, prawda?

Tak mi Iwona nagadała o tym wyzwaniu, że postanowiłam wziąć je na klatę. Oczyszczanie otoczenia miało zagwarantować mi nie tylko porządek w szafach, ale przede wszystkim porządek w głowie, a kto wie, czy tego nie potrzebowałam bardziej! Wyzwanie polegało mniej więcej na tym, że codziennie trzeba było coś sprzątać. Wiem, brzmi to strasznie, ale jakoś musiałam się za ten bajzel zabrać!

– No to od czego mam zacząć? – zapytałam Iwonę, pełna entuzjazmu w obliczu nowego zadania.

– Czyli wchodzisz w to?

– Jasne! Mam dość tej szafy. Nie będą mnie ciuchy atakować za każdym razem, kiedy chcę założyć bluzkę.

– Cieszę się, że doszłaś w końcu do tego wniosku.

– Przyznam ci się do czegoś – powiedziałam ściszonym głosem. – Wyobraź sobie, że ostatnio chodzę w tym samym podkoszulku już trzeci dzień.

– Bo…?

– Bo jak sobie pomyślę, że mam otworzyć szafę, to wolę pojechać i kupić nowy. Widzisz, do czego już doszło.

– Sama do tego doprowadziłaś, bo nie kontrolujesz przestrzeni.

– Obawiam się, że ja już niczego nie kontroluję. Od czego mam zacząć?

Zapadło między nami chwilowe milczenie.

– Pamiętaj, że to jest droga małych kroków – powiedziała Iwona, pokaszlując. – Nie od razu Kraków zbudowano. Chcesz mieć czyste mieszkanie, tak?

– Tak – przyznałam się od razu. – To jest moje wyzwanie. Chcę uporać się z szafą.

– Jeśli masz bajzel w szafie, to mogę się tylko domyślić, że sytuacja wygląda podobnie w szufladach?

– Jesteś jasnowidzem.

– Po prostu szafa z ciuchami jest jednym z ostatnich etapów.

– O, to ciekawe. A co jest na końcu?

– Nie chcesz wiedzieć.

– Chcę, bo może już nawet tam jestem, tylko nie zdaję sobie z tego sprawy?

– Upadek – westchnęła. – Depresja. Załamanie nerwowe. I rozwód.

– O Boże… – jęknęłam. – Czuję, że jestem bardzo blisko. Ale żeby rozwodzić się przez bałagan w szafie…?

– Bałagan w szafie to bałagan w życiu. Nie zauważyłaś jeszcze, że to jest system naczyń połączonych?

– Wiesz, ten bałagan tak mnie oślepił, że przestałam zauważać cokolwiek. Może nawet już nie ma dla mnie ratunku…?

– Jest. Na szczęście ogarnęłaś się w ostatniej chwili. Jest jeszcze czas.

– To od czego mam zacząć?

– Od szuflady – powiedziała.

– Od jakiej szuflady…? Przecież mówiłam ci, że mam problem z ciuchami w szafie. Szafa, takie duże pudło z otwieranymi drzwiami.

– Nie musisz mi tłumaczyć, wiem, jak wygląda szafa.

– No to co mi zawracasz głowę szufladą?

– Bo zanim nauczysz się ogarniać szafę, musisz wziąć się za rzeczy małe, rozumiesz to?

– Nie.

– Właśnie widzę! – westchnęła. – Zrozum, musisz zacząć od rzeczy małych, a nie rzucasz się z motyką na słońce.

– Dobra. – Poddałam się bez dalszej walki. – Niech będzie szuflada. Która?

– A czy to ma jakieś znaczenie? Domyślam się, że w każdej jest podobnie, czyli bajzel.

– Mniej więcej.

– Może zacznij od szuflady z przyprawami – zaproponowała.

– Tylko nie ta, błagam!

– No to zrób porządek w lekach.

– O Jezu…

– Możesz tez ogarnąć dokumenty i powyrzucać stare rachunki.

– Piotrek nie pozwala mi dotykać tych teczek, od kiedy wyrzuciłam mu przez pomyłkę wszystkie dyplomy.

– Dobra, to dokumenty zostaw jemu. Sprzątnij w takim razie przyprawy.

– Co znaczy sprzątnij przyprawy…?

– Przesyp je do słoiczków, a słoiczki podpisz. Jasne?

– Ale po co mam je przesypywać? Przecież są w torebkach firmowych, są już opisane. Do kitu taka podwójna robota. Myślisz, że ja mam na to czas?

– Chodzi o to, żebyś nauczyła się sprzątać. Rozumiesz to?

Nie odpowiedziałam jej.

– Codziennie sprzątasz jedną szufladę. Jedną rzecz – mówiła dalej. – I jak już zrobisz porządek w każdej szufladzie, to za kilka dni zabierasz się za szafę.

– Dopiero za kilka dni…?!

– I to też nie od razu. Koniec z wywalaniem wszystkiego na dywan.

– Skąd wiedziałaś, że tak robię…?

– Bo jestem twoją siostrą i cię znam. Masz sprzątnąć jedną półkę dziennie. Powtórz.

– Jedną półkę dziennie – powiedziałam.

– Doskonale. Codziennie zrobisz coś małego, to się nauczysz. Mam nadzieję, że wejdzie ci to w nawyk.

– Już to widzę…

– Zobaczysz, wszyscy na tym skorzystają. Mózg ci odpocznie, bo w poukładanej przestrzeni łatwiej się myśli. A sama wiesz, jak z tym myśleniem u ciebie było ostatnio…

Co prawda, to prawda. Nie ma się co obrażać, tylko trzeba się brać do roboty.

Postanowiłam, że tym razem dam radę temu wyzwaniu. Podziękowałam siostrze za cenne rady i pożyczywszy jej szybkiego powrotu do zdrowia, pożegnałam się szybko, z solidnym wewnętrznym postanowieniem zabrania się za szufladę w kuchni.

Filip budował z klocków, tym razem twierdzę, więc wiedziałam, że to oznacza wolne pół godziny. Dodatkowo puściłam mu w telewizji jego ulubioną bajkę i cała w skowronkach wróciłam do kuchni.

Wyjęłam zawartość szuflady z przyprawami na stół i pełna entuzjazmu zaczęłam przesypywać je do pustych słoiczków po zupkach Filipa, które jakimś cudem mi zostały i, co ciekawe, czekały na swoją kolej do wyrzucenia już kolejny rok. No i przydały się! Do przechowywania przypraw były jak znalazł. Najpierw wyjęłam na stół wszystkie porozrywane, papierowe torebki z suszoną papryką, mieszankami do grilla i innymi ziołami prowansalskimi, po czym wilgotną szmatką przetarłam dno szuflady do sucha. Byłam z siebie przy tym bardzo dumna.

Muszę przyznać, bez cienia zakłamania, że czynności te nawet sprawiły mi radość, o co nigdy wcześniej bym siebie nie podejrzewała. Jak się okazuje, matce do szczęścia potrzeba naprawdę niewiele. No, ale było przecież z czego się cieszyć: wzięłam sobie na głowę wyzwanie, z którym udało mi się uporać, wszystko przynajmniej na to wskazywało.

Gdzieś tak między przesypywaniem tymianku do szklanego słoiczka (kto kupił tymianek w tym domu i w jakim celu, pozostawało dla mnie tajemnicą) a rozpruwaniem torebki z ziołową mieszanką do kotletów mielonych, Filip zawołał z pokoju:

– Mamo, pić!

Zerwałam się, złapałam butelkę z sokiem, który zamierzałam przelać do kubeczka, i znalazłam się dosłownie trzy centymetry od tragedii. Oczami wyobraźni zobaczyłam już mój zestaw przypraw, który tonie w soku marchewkowo-bananowym. Cała, grubo ponad roczna kolekcja wylądowałaby w zlewie. Na szczęście do tragedii nie doszło.

Zaniosłam picie Filipowi i wróciłam do segregowania przypraw, przesypywania i zakręcania słoiczków. Ostatnim ogniwem mojego wyzwania było oznaczenie słoiczków. W tym celu przygotowałam sobie nawet pomarańczowy plaster opatrunkowy i długopis, którym miałam opisać zawartość pojemników. Patrzyłam z dumą na moją kolekcję i oczu od niej oderwać nie mogłam. Słoiczki stały w równym rządku, jedne były wypełnione zielonymi, suszonymi ziołami, inne czymś w kolorze brunatno-pomarańczowym, a

jeszcze inne były żółtawe lub krwawoczerwone. Opakowania po przyprawach wylądowały już dawno w koszu na śmieci i teraz wystarczyło tylko wszystko odpowiednio podpisać i schować do czyściutkiej szuflady. Ach, pomyślałam, jaka ze mnie doskonała pani domu! Piotrek byłby dumny, gdyby to zobaczył, pomyślałam i chwyciłam w dłonie plaster, gotowa do dalszej walki. I wtedy (tak, dopiero wtedy!) olśniło mnie. Skąd niby miałabym wiedzieć, co mam na tym plasterku napisać? Jeszcze pół biedy z czerwonym proszkiem, bo każdy głupi by się domyślił, że to suszona papryka. Chociaż i w tym temacie istniał kruczek, bo jedna z nich była suszonym chilli, którego mój mąż używał do posypywania pizzy. Ale co miałam zrobić z pozostałymi mieszankami w kolorze zielonym?! Ogarnęła mnie panika. Przecież ja nigdy nie odróżniałam tymianku od majeranku! Kto by sobie tym głowę zawracał? Albo czym miała różnić się mieszanka do grilla od mieszanki do kurczaków, a taką również posiadałam! Doszłam do wniosku, że jedyne, co w kwestii przypraw ogarniam, to odróżnianie soli od pieprzu, pod warunkiem jednak, że jest to pieprz czarny, a nie biały, bo i o takim słyszałam. Już pożałowałam tego wyzwania. Już mi się odechciało. Klęłam na czym świat stoi. No i po co mi to było, ja się pytam? Co złego było w tych papierowych woreczkach? Kto wymyślił te wyzwania do sprzątania? Chyba jakaś bardzo znudzona pani domu, która naprawdę nie ma co z wolnym czasem zrobić!

Nie dość, że straciłam pół dnia na to przesypywanie, to jeszcze teraz nie wiedziałam, jak mam z tego wybrnąć. W końcu rozejrzałam się po kuchni i niewiele się zastanawiając, złapałam reklamówkę. Wrzuciłam do niej zawartość wszystkich tych cholernych słoiczków, potrząsnęłam porządnie, po czym całość przesypałam do pustego i umytego wcześniej słoika po ogórkach konserwowych. Wściekła odcięłam kawałek plastra, nakleiłam go na słoik i podpisałam: „Przyprawy do wszystkiego".

Niby co innego miałam zrobić? Trzeba sobie jakoś radzić, prawda?

Dobrze, że nie zabrałam się za szufladę z lekami. Przecież z tabletkami nie poradziłabym sobie tak łatwo jak z przyprawami. „Uff!", odetchnęłam z ulgą i zabrałam się za obieranie ziemniaków na obiad. Przynajmniej to wyzwanie mnie nie przerasta!

Muszę stąd wyjść

Dzwonek do drzwi:

– Kto tam?

– Przesyłka dla pani.

– Już, już! – wołam. – Chwileczkę, tylko coś na siebie założę.

Chwytam kurtkę, buty zmieniam i lecę otworzyć.

– Tak? – Staję w drzwiach zachwycona, otwieram je szeroko.

– Tutaj pani podpisze.

Podstawia mi pod nos jakiś papier.

– Tak od razu? – pytam. – Śpieszy się pan gdzieś?

Z pokoju dochodzi właśnie ryk mojego syna.

– Mam pełno przesyłek do rozwiezienia.

– A nie wszedłby pan na herbatkę?

– No, właściwie…

– Wie pan co? Herbata jest tam w kuchni na szafce…

– Ale…

– Mi zajmie to tylko chwilę, ja muszę stąd wyjść, proszę pana, muszę uciec, ale nie tak w ogóle, tylko żeby umysł przewietrzyć, pan rozumie? Ja już nie mam do niego siły, ryczy mi tak od rana, bo kolejka mu skręca w prawo, tak jak nakazuje kształt torów, a on się uparł, żeby w lewo mu to szło. Pan rozumie? To dziecko mnie doprowadzi do szału…

– Pani ma synka? – pyta doręczyciel z przerażeniem w oczach.

– Tak, synka – powtarzam z uśmiechem. – On jest taki słodki. Tak pięknie płacze. Nie chciałby go pan sobie wziąć? Na pewno marzy pan o synku.

– Owszem, w domu mam swojego, proszę pani. Teraz siedzi pod okiem swojej matki.

– Ach tak…

– Pani mi tu podpisze i już mnie nie ma.

– Pan jest okropny. Jak może pan tak traktować kobiety! Najlepiej pozamykać nas wszystkie w domach z tymi rozdarciuchami, a samemu sobie latać z przesyłeczkami po obcych mieszkaniach! Tak jest najłatwiej! Pan ma szczęście, że nie urodził się kobietą…!

Krzyczę za nim, ale zniknął już dawno za drzwiami windy. Chyba nawet uciekał. Ciekawe, czy będzie miał odwagę przyjść tutaj z kolejną paczką.

Tymczasem na klatkę wyszła sąsiadka.

– Co, znowu byli ci z administracji z podwyżką czynszu? Też bym ich pogoniła, tak jak pani.

A WIĘC JESTEM MATKĄ?

Cały mój świat stanął na głowie. Wszystko się zmieniło, wszystko straciło swoje dawne znaczenie. Kiedyś najważniejszy był dla mnie odcień lakieru do paznokci. Teraz nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio go użyłam. Dawniej nie wyszłabym z domu bez makijażu. Teraz witam się w panią w warzywniaku, a ona oczu nie może oderwać od mojej białej plamy na ramieniu, bo Helence akurat się ulało, a ja nie zauważyłam i wyleciałam z domu w takim stanie. W dodatku taka „broszka" nieźle daje. Cuchnie starym mlekiem, aż nos wykręca. Ale to nic, luzik, kupuję kilo ziemniaków i pora, i już mnie nie ma.

To nieprawdopodobne, ale nawet pół roku po porodzie nadal nie mogłam przyzwyczaić się, że mam… dziecko. To znaczy, wiedziałam oczywiście, że je urodziłam, że to właśnie mi przydarzył się ten cud. Pamiętałam poród, aż za dobrze, nawet jeśli o wielu jego szczegółach wolałam zapomnieć.

Mimo to przychodziły takie chwile, kiedy nie mogłam po prostu w to uwierzyć. Ja mam dziecko?!

Czasami wychodziłam ze sklepu, pakowałam zakupy na dół wózka i patrzyłam na Helenkę, myśląc: „To jest moje dziecko? To ja jestem jego matką?".

I chociaż ciąża trwa dziewięć miesięcy, a więc w teorii jest to wystarczający czas, by przyzwyczaić się do myśli, że zostanie się rodzicem, to jak widać dla mnie to było za krótko. Zajmowałam się Helenką, każdego dnia uczyłam się jej na nowo, poznawałyśmy się, a ja nadal nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Nadal z lekkim niedowierzaniem wypowiadałam do lustra: „Mam dziecko…".

A potem patrzyłam, jak to moje maleńkie i nieporadne dziecię rosło i stawało się dzieckiem coraz większym. I chociaż od tamtego czasu minęło już dwanaście lat i, jak się okazało, urodziłam już drugie dziecko, to nadal nie mogę w to uwierzyć. Nie wierzę, że mam już dwoje dzieci. I że jestem matką, tak samo jak moja matka.

Było dla mnie niezwykłe, że wydałam na świat kolejne życie i przyczyniłam się do niewielkiego, co prawda, ale zawsze, zaludnienia naszej planety. To wszystko z jednej strony trochę mnie przerażało, a z drugiej napawało dumą.

– Bo ty za dużo o tym myślisz, Sylwia – powiedziała do mnie mama podczas jednej z wizyt, kiedy podzieliłam się z nią moimi przemyśleniami.

– Wcale o tym nie myślę, tylko czasami tak mnie nachodzi. I nadal jest to dla mnie niesamowite.

– Ale co jest niesamowite?

– To, że mam dziecko, że zostałam matką.

Postawiłam przed mamą kubek z kawą z mlekiem, taką jak lubi.

– Popatrz na to jak na coś naturalnego. Roślinki się rozmnażają, zwierzątka też i dzięki temu świat się kręci. I nikt nie robi z tego nic wielkiego.

– Ale dla mnie to jest coś wielkiego.

– No wiem! – powiedziała mama z dumą. – Myślisz, że mi przyszło łatwo zostać babcią?

– Fakt, nie pomyślałam o tym.

– Jestem najmłodsza z rodzeństwa i, jak wiesz, zostałam babcią jako ostatnia w naszej rodzinie. Ale nadal czuję się młoda, tam w środku. – Mama położyła dłoń na dekolcie.

– Bo jesteś młoda, mamo.

– Nadal pracuję i jakoś nie widzę siebie z siwym koczkiem na czubku głowy i z drutami w dłoniach.

– Jakimi drutami…?

– No tymi, co się robi kapcie albo inne czapeczki.

– Mamo, ale ty przecież nigdy nie robiłaś na drutach.

– Bo nigdy nie byłam babcią! – Upiła łyk kawy. – Może czas się nauczyć, co? Może ja też jeszcze nie przyzwyczaiłam się do bycia babcią?

– Mamo…

– No co, mamo? – Wzruszyła ramionami. – Myślisz, że tylko ty masz problemy natury egzystencjalnej? To wszystko dzieje się za szybko, świat zwariował.

– Bez przesady.

– Dawniej było dużo łatwiej. Babcia była babcią, a matka matką. Każdy wiedział, jak babcia ma wyglądać i co ma robić. A dzisiaj? Babcie znamy tylko z bajek i ostatecznie z książek. Nikt nie chce się starzeć, ani babcie, ani matki. Kiedyś łatwiej było sobie odpuścić, pójść na emeryturę i smażyć konfitury dla całej rodziny. Dzisiaj nikt nie chce rezygnować z życia, bo życie stało się dużo bardziej atrakcyjne niż dawniej. Mojej matce nawet się nie śniło, żeby w moim wieku jechać w podróż dookoła świata. A co zrobiliśmy z ojcem rok temu?

– Pojechaliście na wycieczkę do Australii – powiedziałam. – Ależ ja wam tego zazdrościłam!

– Jeszcze sobie pojedziesz. Nie wszystko od razu, Sylwia. Ja na taki wyjazd musiałam czekać pięćdziesiąt pięć lat! Ale przynajmniej się opłaciło.

– A wiesz, że ja to się nawet cieszę, że jesteś taką nowoczesną babcią, że nadal jesteś aktywna zawodowo i w ogóle.

– Teraz się cieszysz. Ale za chwilę będziesz chciała wrócić do pracy i wtedy taka babcia siedząca w domu bardzo by ci się przydała. Moja mama bardzo mi pomagała przy wychowywaniu was, kiedy byłyście małe.

– No ale twoja mama nigdy nie pracowała.

– Pracowała – poprawiła mnie mama. – Tylko że w domu. No, ale takiej pracy nikt nie liczy i nie bierze na poważnie.

– Masz rację.

– Nigdy bym nie pokończyła tych wszystkich kursów i nie awansowałabym, gdyby nie pomoc twojej babci. To było nieocenione wsparcie w tamtym okresie.

– To były inne czasy, mamo – powiedziałam, pocieszając ją, bo atmosfera siadła jeszcze bardziej.

Na szczęście Helenka obudziła się z południowej drzemki i tak nas zajęła swoim zaledwie kilkumiesięcznym żywotem, że nie miałyśmy innego wyjścia, jak tylko skierować na nią całą naszą uwagę. Co zresztą uczyniłyśmy z przyjemnością.

SAMOTNOŚĆ MATKI

Od razu zaznaczam, że nie jestem idealną matką i, co gorsza, nigdy nią nie byłam. Idealna matka to według mnie taka kobieta, która już od dzieciństwa marzy tylko o tym, żeby kiedyś zostać matką, żeby uwić to swoje cudowne gniazdo i tłuc kotlety dla pana domu. Zwykle u dziewczynek objawia się to tym, że bawiąc się lalkami w tak zwany „dom", snują już plany na przyszłość.

– Będę miała domek z ogródkiem – mówi wtedy jedna dziewczynka do drugiej. – A w tym ogródku będą rosły tulipany i żaby, bo ja bardzo lubię, jak one rechoczą.

– A ja będę mieszkać w bloku – dodaje druga dziewczynka. – Będę miała bardzo fajną sąsiadkę, która będzie mieszkać pode mną. A ta nade mną będzie czarownicą i z tą sąsiadką z dołu będziemy miały przynajmniej o czym rozmawiać, kiedy wyjdziemy z dziećmi na spacer. Przynajmniej nie będzie nudno.

Mój problem polega na tym, że nie pamiętam, kiedy bawiłam się w dom. Czy ja w ogóle urządzałam sobie tego typu zabawy? Owszem, miałam lalki, pamiętam nawet taką jedną, którą kuzyn kiedyś pomalował mi długopisem i wyglądała, jakby miała tatuaże nawet na twarzy. Ale czy ja bawiłam się w dom?

Z tego, co pamiętam, lubiłam czytać. Odkąd odkryłam książki, to każdą wolną chwilę spędzałam w swoim pokoju, czytając. No

ale przecież zanim nauczyłam się czytać, musiałam bawić się w dom, prawda?

Tak mnie to męczyło, że w końcu zadzwoniłam do mamy. Akurat była w pracy, ale mimo to odebrała od razu po trzecim sygnale.

– No co tam, Sylwuś? – zapytała. – Coś z malutką?

– Nie, właśnie ją uśpiłam.

– O, to masz chwilę, żeby samej się przespać. Pamiętasz, co ci mówiłam?

– Pamiętam, pamiętam.

– No, to dlaczego nie śpisz razem z nią? – rzuciła szybko. – Przecież tłumaczyłam ci, że teraz, kiedy dziecko zabiera ci tyle snu i jesteś jeszcze osłabiona po porodzie, powinnaś korzystać z każdej wolnej chwili, żeby odespać to wszystko. Nie rób tego samego błędu co ja! Kiedy ty zasypiałaś w łóżeczku, ja brałam się za prasowanie i pranie, zamiast po prostu się zdrzemnąć.

– Ale ja właśnie usiadłam i zrobiłam sobie kawę.

– Kawę…?! – powtórzyła z niedowierzaniem. – Po kawie nie zaśniesz.

– I tak bym nie mogła.

– Dlaczego?

– Bo… – jęknęłam do słuchawki. – Bo jedna rzecz nie daje mi spokoju i męczy mnie od wczoraj.

– Jezus Maria, coś ze zdrowiem? – Przestraszyła się, jak to mama.

– Uspokój się. Z moim zdrowiem wszystko dobrze, z Helenki zdrowiem też.

– No to dlaczego dzwonisz? Co się stało?

– Bo tak się zastanawiam, mamo, czy ja się w ogóle bawiłam w dom.

Strasznie głupio było mi to powiedzieć, ale jakoś tak poczułam się lepiej, kiedy w końcu to z siebie wyrzuciłam. W końcu kogo miałam pytać o takie rzeczy, jeśli nie własną matkę? Matki przecież wiedzą wszystko i, co gorsza, niczego nie zapominają.

– W jaki dom…? – Mama najwyraźniej nie od razu zrozumiała sens mojego pytania.

– No, chodzi mi o to, czy kiedy byłam mała, to czy bawiłam się w dom?

– A dlaczego o to pytasz właśnie teraz?

– Bo jakoś tak przyszło mi do głowy.

– Słuchaj, co ty tam sobie wymyśliłaś, co?

– Nic. – Skłamałam. – Po prostu siedzę teraz z Helenką i mam mnóstwo czasu na takie różne przemyślenia.

– Wiedziałam – westchnęła. – Dziecko, nie możesz tyle rozmyślać, analizować. To wszystko się jakoś ułoży, a Helenka urośnie szybciej, niż myślisz. Wszystkiego się nauczysz, zobaczysz.

– Ale mi chodzi tylko o to, czy ja się bawiłam w dom, mamo?

– Oczywiście, że się bawiłaś! – krzyknęła do słuchawki. – Przecież miałaś lalki, nawet pamiętam taką jedną, w zielonym

pudełku, którą ojciec przywiózł ci z Niemiec.

– Też ją pamiętam.

Przypomniały mi się długie, prawie białe włosy tamtej lalki, które uwielbiałam czesać. No, właśnie. Czesałam ją, prałam jej sukienki, ale jakoś nie mogłam przypomnieć sobie, żebym bawiła się w ten cholerny dom.

– Zawsze dbałaś o swoje zabawki – powiedziała mama. – Zawsze czesałaś lalki i prałaś im ubranka.

– Wiem. Ale czy ja się tymi lalkami bawiłam…? – zapytałam niepewnym głosem.

– No pewnie, że się bawiłaś – odpowiedziała mama, ale jakoś tak bez przekonania.

– Pamiętasz to, mamo?

– Nie. Ale wszystkie dziewczynki bawią się w dom, więc na pewno ty też się bawiłaś.

– No ale sama powiedziałaś, że nie pamiętasz.

– No przecież wiesz, że ja wtedy kończyłam studia, w dodatku zaocznie. Samo pisanie pracy magisterskiej zajęło mi pół roku. Z małym dzieckiem nie było mi łatwo, powinnaś mnie rozumieć.

– Rozumiem, mamo – westchnęłam. – Ale skoro ty też nie pamiętasz…

– Coś ty się tak uczepiła akurat tej zabawy? Wiem, że biegałaś pod blokiem bez przerwy, bo wtedy jeszcze dzieci biegały same po osiedlu, nie to co teraz.

– No właśnie. Biegałam, zamiast bawić się w dom.

– Grałaś też w warcaby z ojcem.

– Warcaby się nie liczą.

– A piłka ręczna? Pamiętam, że bardzo lubiłaś grać w siatkówkę, na koloniach cię nauczyli i bardzo to polubiłaś.

– Ale dlaczego ja się nie bawiłam w dom…?!

– O co ci chodzi, co? – fuknęła do słuchawki lekko poirytowana.

– Bo to wszystko tłumaczy…

– Co tłumaczy?

– No właśnie wszystko, mamo. Skoro nie bawiłam się w dom, to teraz nie umiem tego domu stworzyć. Wszystko mi leci z rąk, a ostatnio okazało się nawet, że zrobienie kanapki z pomidorem przekracza moje możliwości! Ja się do tego po prostu nie nadaję.

– Do robienia kanapek…?

– Do prowadzenia domu, do wychowywania mojej córki. Już nawet żoną być nie potrafię.

– Co ty pleciesz?

– Mamo, gdybyś zobaczyła ten syf, wokół którego dzisiaj sobie siedzimy z Helenką, to też by ci ręce opadły, zapewniam cię. Ja po prostu nie wiem, w co ręce włożyć. I jeszcze wkurza mnie to, że Piotrek codziennie rano wskakuje sobie w najlepsze w garnitur i wybiega do tej swojej pracy. Tak, mamo. On od nas ucieka, jestem tego pewna. Inne kobiety potrafią utrzymać przy sobie męża, i to na długie lata, a ja czuję, że za chwilę go wystraszę tak, że któregoś dnia po prostu nie wróci do nas z pracy. I wcale nie będę zdziwiona. Sama ledwo wytrzymuję już w tym bajzlu.

– Słuchaj, to może ja wpadnę do was dzisiaj wieczorem, bo widzę, że to jest dłuższa rozmowa, co?

– Broń Boże! – krzyknęłam do słuchawki. – Pod ziemię bym się zapadła, gdybyś teraz do mnie przyszła. Mamo, tu jest meksyk, zapewniam cię, nie wiem, czy będę w stanie dotrzeć do drzwi.

– No to może posprzątaj to jakoś, no nie wiem…

– Łatwo ci powiedzieć.

– A co mam powiedzieć?

– Myślisz, że ja nie sprzątam? – Cisnęłam pieluszką tetrową w fotel. – Cały czas sprzątam. Nic innego nie robię od rana do wieczora, a i tak jest bałagan. Wszędzie walają się ciuchy, te czyste też. Wczoraj o mało nie wywinęłam orła w przedpokoju, bo ktoś postawił na podłodze słoiczek po zupce warzywnej. Dwa dni temu nie mieliśmy czym zjeść obiadu, bo wszystkie sztućce nam jakimś cudem wyszły z szuflady. Tu się nie da żyć, mamo. Ja nie wiem, gdzie popełniłam błąd, ale najwyraźniej bycie matką słabo mi wychodzi.

– A Hela? – zapytała mama niespodziewanie.

– Co Hela?

– Czy jest zdrowa?

– Tak.

– I jest wesoła czy raczej smutna?

– Wesoła. Wesolutka, przynajmniej ona nie ma z niczym problemów, odpukać.

– No widzisz! – zawołała mama radosnym głosem. – Czyli wszystko w porządku.

– Ale jak w porządku, kiedy tłumaczę ci, że padam na twarz i nie ogarniam tego wszystkiego!

I wtedy moja mama wzięła głębszy oddech, po czym powiedziała mniej więcej tak:

– Dziecko jest najważniejsze, Sylwia. Jeśli Helenka jest zdrowa i szczęśliwa, to wszystko inne jest nieważne.

– No, ale ja… – jęknęłam. – Ja już się nie liczę?

– Liczysz się, liczysz. I do wszystkiego się przyzwyczaisz. I nauczysz się szybciej, niż myślisz. Albo może powinniście zatrudnić pomoc domową, skoro sobie nie radzisz?

– Tak, ciekawe, za co?

– No to musisz nauczyć się ogarniać to wszystko jakoś.

– Łatwo ci powiedzieć.

– Sylwia, ja też przez to przechodziłam i to nie jest takie straszne. No, może na początku, ale początki zawsze są trudne. Może powinnaś więcej wychodzić z domu?

– Przecież wychodzę codziennie. W życiu nie byłam tyle razy w parku co teraz. Wydeptuję te alejki w tę i z powrotem.

– Ale może powinnaś wyjść z domu sama, bez dziecka.

– Bez dziecka…? – Zdziwiłam się – A po co?

Życie jest tak cholernie trudne. Nic nie leży podane na talerzu, wszystkiego trzeba się uczyć i na wszystko trzeba mieć czas. A co jeśli nigdy nie nauczę się być dobrą matką? Moje dziecko nie

będzie mnie szanować? Nienawidzę sprzątać. Ani gotować. Czy to jest powód do rozwodu? A co, jeśli mój mąż przejrzy na oczy i zacznie rozglądać się za kimś bardziej zaradnym i zdolnym? Są przecież takie kobiety, nieraz o nich czytałam, co to i ugotują, i upiorą, i w locie potrafią sobie jeszcze rzęsy dokleić. To są kobiety doskonałe, piękne i pachnące perfumami, a nie kaszką. Dzieci takich matek też są doskonałe, zawsze czyściutkie i rumiane, nigdy z gilem do pasa, jak moje… Jak one to robią, że ich dzieci nigdy nie mają kataru ani skazy białkowej, no jak?

Jakieś trzy miesiące po urodzeniu Helenki, kiedy siedziałam przysypana górą pieluch i kaftaników czekających na wyprasowanie, dotarła do mnie smutna prawda o macierzyństwie: mimo że mój kochany, cudowny i jedyny mąż wracał do nas codziennie po pracy, to jednak byłam samotną matką. Tak przynajmniej się czułam. Całe dnie spędzałam sam na sam z moim dzieckiem. I ta samotność zaczynała mnie wkurzać, a potem dobijać. Czułam się jak wilk zamknięty nagle i niespodziewanie w klatce. Jakby życie złapało mnie w swoje wnyki i nie chciało z nich wypuścić za żadne skarby świata. I wcale nie pocieszał mnie fakt, że inne matki znalazły się w podobnej sytuacji, a nawet jeszcze gorszej, bo część z nich faktycznie była samotnymi matkami, zupełnie bez męskiego wsparcia. A facet jednak bardzo przydawał się w domu. Mój zabierał na przykład Helenkę na spacer do parku i przynajmniej tyle miałam od życia. Ja wiem, że gdybym powiedziała o tym

koleżankom z biura, popukałyby się w czoło, ale prawda była taka, że póki co ta godzinka z kawałkiem wolnej chwili dla mnie w zupełności mi wystarczała. Mniejsza już o to, że wtedy zamiast leżeć z maseczką na twarzy i pachnieć, robiłam najpierw przejście przez salon, a potem przez kuchnię. Odgruzowywanie mieszkania trwało czasem nawet po ich powrocie z parku. Teraz, kiedy o tym myślę, to sama pukam się w czoło. Po co ja to robiłam? Co ja chciałam udowodnić i komu? Bo co? Bo świat się zawali, jeśli nie sprzątnę? Moje dziecko przestanie mnie kochać, bo zamiast pichcić zupę na następny dzień, poszłam sobie spać?! No faktycznie, grzech śmiertelny. Bo matka niby snu nie potrzebuje?

Wizyty gości w szpitalu po porodzie

Po porodzie czułam się tak, jakby ktoś rozjechał mi brzuch czołgiem. No więc trudno się dziwić, że w takim stanie nie miałam ochoty na żadne wizyty. Nawet mojemu ojcu zabroniłam przychodzić do szpitala. Były tylko moja mama i siostra. No i Piotrek, ale Piotrek to co innego. No i właśnie Piotrek powiedział mi, że teściowa dobija się do mnie, że wydzwania i pyta, kiedy może wpaść zobaczyć malutką.

– No przecież mówiłam ci, że nie chcę tu przyjmować żadnych wycieczek! Zwłaszcza że zaraz wracamy do domu, tam mogą przyjść – syknęłam zza główki Helenki, która wbiła się właśnie w moją obolałą pierś.

– No przecież wiem!

– To co jej w końcu powiedziałeś?

– Że… że…

– No, wyrzuć to wreszcie z siebie – poganiałam go.

– Że z tobą porozmawiam.

– Wiedziałam.

– Sylwia, zrozum ją. Ona pierwszy raz została babcią, więc co się dziwisz?

– Rozumiem, że chce tu przyjść.

– Tak.

– To niech przychodzi.

– Zgadzasz się? – zapytał zachwycony.

– Jest mi już wszystko jedno.

– A kiedy chce przyjść? – zapytałam, przytulając malutką do siebie.

– Zaraz.

– Zaraz…?!

– No, tak.

Czułam, że i tak nie da się tego uniknąć, więc zgodziłam się, żeby przyszła tego samego dnia. Ale zaznaczyłam, że wizyta ma być krótka, bo jestem jeszcze całkiem osłabiona po porodzie i nie mam ochoty na pogaduszki. Teściowa miała przyjść, zobaczyć dziecko i sobie pójść. Wizyta miała być krótka.

Około południa ktoś zastukał do drzwi mojej sali.

– Proszę – powiedziałam i po chwili zobaczyłam w nich najpierw siatki, a potem postać mojej teściowej.

– Witajcie, moi kochani – powiedziała już od progu. – Nareszcie jesteście prawdziwą rodziną!

– Czyli wcześniej to było tylko na niby? – zdziwił się Piotrek, ja zresztą też.

– A żebyś wiedział, synku. Rodzina bez dzieci to jak tort bez świeczek.

Teściowa umyła dłonie w zlewie, wytarła je w papierowy ręcznik i dopiero wtedy podeszła do plastikowej kołyski, w której spała nasza córeczka.

– Jak ładnie śpi – orzekła.

– Właśnie ją nakarmiłam – powiedziałam, poprawiając sobie poduszkę pod głową.

– Karmisz piersią, oczywiście?

– Spróbowałabym nie. – Wzruszyłam ramionami – Te pielęgniarki laktacyjne są gorsze niż terroryści. Nie ma mowy o odmowie. Wszystkie muszą karmić cycem i już.

– I słusznie, to najzdrowszy pokarm dla dziecka.

– Ale ta presja jest okropna – dodał Piotrek. – Przecież to powinna być decyzja matki, czy chce karmić piersią, czy butelką, prawda?

– A czy krowę albo wiewiórkę ktoś się pyta o to, jak chce karmić swoje młode? – wypaliła teściowa z grubej rury.

– Ale ja nie jestem krową! – krzyknęłam. – Ani tym bardziej wiewiórką.

– Masz rację, kochanie. – Teściowa podeszła do mnie. – I się nie denerwuj, bo to zaszkodzi malutkiej. Twoje mleko jest teraz najbardziej wartościowe i wszyscy musimy o nie dbać.

Poczułam się, jakbym była co najmniej małą mleczarnią, w dodatku obwoźną. Tymczasem teściowa szybko zmieniła temat, no i dobrze zresztą.

– Mam dla ciebie podkłady – powiedziała, schylając się po siatki.

– Dziękuję, mamo.

Uśmiechnęłam się, bo przyniosła ich aż kilka. I skąd wiedziała, jaki mam odcień cery?

– Boże, jak tu gorąco. – Teściowa postawiła siatki na moim łóżku, a sama tymczasem zdjęła z głowy wełniany beret.

– To gdzie mama ma dla mnie ten podkład? – zapytałam, niecierpliwiąc się. Marzyłam o tym, by w końcu pięknie się uczesać i umalować.

I wtedy teściowa wyjęła z jednej z reklamówek wielką, ogromną paczkę, na której wielkimi literami było napisane: PODKŁADY HIGIENICZNE. Cały mój entuzjazm dodatkowo opadł, kiedy zobaczyłam ich rozmiar: XXXL.

– Kupiłam ci więcej, żebyś w razie potrzeby miała na zapas.

– Ale one są za duże…

– Będą w sam raz. Przecież teraz dużo krwawisz, a w nie bardzo ładnie krew wsiąka.

– Boże, mamo! – Piotrek przewrócił oczami.

– No co! – Oburzyła się. – Jesteśmy na porodówce, to co się dziwisz!

– To jest sala poporodowa, mamo.

– No więc te podkłady będą idealne – powiedziała, ignorując Piotrka. – Sama zobaczysz. Za moich czasów to się cięło ligninę w takie paseczki i…

– Ale te podkłady będą sięgać mi łopatek. Są za duże. Będę się w nich czuła jak w pampersie dla dorosłych.

– To może ja ci je poprzecinam nożyczkami? Piotrek, skoczysz po nożyczki?

– Nie! – zaprotestowałam. – Nic nie będziemy tu wycinać. Dziękuję mamie za troskę, trudno, będę nosić podpaski w rozmiarze XXXL, jakoś to przeżyję.

– No właśnie – skwitowała teściowa. – I żeby było do kompletu, to jeszcze coś ci kupiłam, moja kochana synowo.

Wyjęła z reklamówki kolejną paczkę. Tym razem nie były to podkłady higieniczne, ale coś znacznie gorszego.

– Co to jest…? – zapytał Piotrek

– Majtki jednorazowe – odpowiedziała jego matka.

– Pampersy dla dorosłych…?

– To dla mnie?! – Z wrażenia aż usiadłam na łóżku.

– Zobacz tylko, jakie to praktyczne! – Teściowa rozpakowała jedną parę majtek i włożywszy do nich obydwie dłonie, rozciągnęła je maksymalnie na wysokości oczu. – I jakie elastyczne są.

– Mamo, aż tak mi dupsko nie urosło, bez przesady.

– Kochanego ciała nigdy za wiele. – Puściła oko do Piotrka. – Zobacz, tu jest napisane, że doskonale oddychają i są bardzo przewiewne, jeszcze bardziej od bawełnianych.

Na samą myśl o wietrze w tamtych okolicach zrobiło mi się słabo.

– Tu jest też napisane – teściowa założyła na nos okulary – że doskonale podtrzymują podkład.

– To bardzo interesujące… – jęknęłam cicho.

– Bo podpaska potrafi wędrować między nogami, a tak będzie ci idealnie przylegać do krocza.

– Jezus Maria! – wykrzyknęłam, a Piotrek wyprostował się na łóżku i aż podskoczył. – Czy mama może już przestać czytać te instrukcje obsługi majtek?

– Kiedy to takie ciekawe – powiedziała, zdejmując okulary. – Za moich czasów to się nam nawet nie śniło o takich rzeczach. Nie to, co teraz. Według mnie to bardzo dobry wynalazek. Skoro jest na rynku, to trzeba korzystać, prawda? Kupiłam ci cztery opakowania po sześć sztuk. Wystarczy?

Wyjęła z reklamówki wszystkie opakowania i zaczęła ustawiać je na szafce. A ja, głupia, myślałam, że po porodzie wcisnę sobie tampon w rozmiarze XXL i będzie po sprawie! Naiwna ja.

– W razie czego Piotrek ci dokupi, bo widziałam, że tu na dole w szpitalnym kiosku też je mają.

– Myślę, że na razie to mi w zupełności wystarczy.

– Ja to ci powiem, Sylwia, że najbardziej krwawiłam w pierwszej dobie. A potem to już tak normalnie, aż przez sześć tygodni.

– Tak długo będziesz w tych majtkach chodzić…? – jęknął Piotrek, przykrywając Helenkę kocykiem.

– Przyzwyczaicie się. – Teściowa uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– To chyba niezdrowe tak długo krwawić?

– Mój drogi, po porodzie naturalnym Sylwia ma tam jedną wielką ranę i organizm musi się jakoś oczyścić.

– Niech mama przestanie już opowiadać tak obrazowo, bo czuję, że dłużej tego nie wytrzymam – jęknął Piotrek. Faktycznie tak jakoś zbladł.

– No przecież to są normalne rzeczy. To się nawet fachowo nazywa „odchody poporodowe", a krew leje się z rany po łożysku. To potrzebuje czasu, żeby się zagoiło.

– Mamo, prosiłem…

– No, dajcie mi to słońce na ręce, niech no sobie popatrzę.

Teściowa podeszła do Piotrka i odkryła małą.

– Właśnie ją przykryłem, mamo.

– Widziałam i dlatego przyszłam, żeby ten kocyk zabrać. Nie czujesz, jak tutaj jest gorąco?

– Mamie zawsze jest gorąco – rzucił Piotrek, bo to akurat była prawda. – To dziecko nie ma jeszcze menopauzy.

– Ale nie można przegrzewać. Boże, jakie to śliczne, jakie oczka ma malutkie i te paluszki. Widziałeś?

– Tak, widziałem, mamo.

– A ty, Sylwia, widziałaś?

– Tak, tak… – odpowiedziałam, chowając do szuflady paczki z majtkami jednorazowymi, żeby ich widok nie kłuł mnie w oczy.

– Napatrzeć się nie mogę na moją wnuczkę! Ależ to jest kochane dziecko. I jak ładnie śpi.

– Zaraz ją obudzisz, mamo – upomniał ją Piotrek.

– No to się obudzi. Niech pozna babunię.

– Jaką babunię? – Zdziwił się mój mąż.

– No jak to, jaką? Mnie, oczywiście. Jestem jej babcią.

– No tak. – Piotrek stuknął się otwarta dłonią w czoło. – Jestem nieprzytomny. To przez ten brak snu.

– Przyzwyczaisz się. – Teściowa skinęła głową. – Teraz w ogóle nie będziesz spał, zobaczysz.

Hurra!!! Pierwsza kupka na nocniku!

Tylko rodzice wiedzą, co to oznacza. Normalny człowiek (czytaj: bezdzietny) nie ma pojęcia, o co chodzi i czym ci biedni rodzice tak się ekscytują. No bo co niby jest takiego super w zasraniu nocnika?

– Wiesz, nienawidzę tych wszystkich wpisów na Facebooku od moich dzieciatych koleżanek, których mózg zamienił się w kaszkę, odkąd urodziły dziecko – powiedziała kiedyś moja siostra, która oczywiście dzieci nie posiada.

– Mówisz tak, bo sama nie masz dzieci – odpowiedziałam, podając jej filiżankę. Pewnej wiosennej niedzieli zabrała mnie na herbatę, zaznaczając, że ma to być wyjście bez dzieci, nawet jednego! Zgodziłam się, bo potrzebowałam takiej chwili tylko dla siebie: herbata i ja.

– I bardzo dobrze! – powiedziała. – Wystarczy, że inni je mają. Ja wolę cieszyć się życiem.

– Ja też cieszę się życiem – zaprotestowałam.

– Nie! – warknęła. – Ty najpierw cieszysz się życiem swoich dzieci, ich sukcesami, a dopiero potem swoim. To nie jest radość. To jest desperacja.

– Co ty pleciesz!

– Och, Sylwia, sama przecież pamiętam, jak zadzwoniłaś do mnie, żeby się pochwalić, że Filip powiedział „baba”.

– No… – Rozmarzyłam się. – A teraz buzia mu się nie zamyka, Helenie zresztą też. Zagadaliby nas najchętniej na śmierć.

– No to po co się tak podniecałaś? Przecież masz normalne dzieci, zdrowe, więc to było oczywiste, że kiedyś zaczną mówić, a nawet pyskować! Ale po co od razu zawiadamiać o tym fakcie pół świata?

– Nie rozumiesz, Iwona, że rodzica rozpiera w takiej chwili duma?

– Ja to bym była dumna, gdyby moje dziecko zrobiło coś pożytecznego, a nie po prostu się rozwijało. Czy taka kaczka, dajmy na to, albo kura, podskakuje w zachwycie wokół siebie, bo jej małe zaczęło dziobać ziarna z ziemi? Wyobrażasz to sobie?

– Porównujesz dzieci do kurcząt…?

– Po prostu już nie mogę patrzeć na Facebooka, gdzie królują zdjęcia maluchów ubabranych marchewką, którą właśnie wrąbały, hurrra!

Wbiłam łyżeczkę w porcję szarlotki, która czekała na mnie obok herbaty.

– Chyba masz za dużo znajomych z małymi dziećmi, co? – Spojrzałam na Iwonę, która aż się zaczerwieniła od tego narzekania.

– Tak się składa, że wszystkie moje koleżanki mają właśnie dzieci.

– No widzisz, co się porobiło? Może powinnaś poszukać sobie bezdzietnych koleżanek, skoro aż tak cię to frustruje?

– Nie frustruje mnie to. Tylko wkurza.

– A co? Może też chciałabyś się pochwalić jakimś bobasem?

– Nie! – zaprzeczyła zdecydowanie. – Już mi wystarczy, jak sobie popatrzę na twoje dzieci.

– Iwona, ale tak serio pytam. Nigdy nie będziesz mieć dzieci?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – A co to jest? Jakiś obowiązek?

– Nie. Ale myślałam, że kiedyś chciałabyś mieć…

– Żeby mieć dziecko, to najpierw trzeba mieć kogoś, z kim się je zrobi. A sama wiesz, że ja nie mam szczęścia w miłości.

– Ale nawet kiedy byliście małżeństwem z twoim byłym, to nigdy nie było rozmowy o dzieciach?

– Wszystko przez ciebie – powiedziała znad swojej filiżanki.

– Słucham…? Przeze mnie?!

– Wpadliście z Piotrkiem i wszystko tak szybko się potoczyło, nie pamiętasz?

– Staram się nie. Wiesz, to nie był najlepszy moment w moim życiu. W ciąży z Heleną ledwie udało mi się skończyć studia.

– No właśnie – powiedziała – A ja zawsze chciałam mieć dobry zawód, pracę…

– I to wszystko masz, Iwona. Ale nie masz ani męża, ani dzieci. Warto było?

– No jasne! – odpowiedziała nieco za szybko. – Poza tym teraz są takie metody, że można ostatecznie urodzić nawet po

czterdziestce.

– Ostatecznie – powtórzyłam. – Wszystko można. Tylko trzeba chcieć.

– No to ja nie chcę. Przynajmniej na razie. Jest mi dobrze tak, jak jest. Za miesiąc lecę do Tajlandii i będę leżeć na niebiańskiej plaży, podczas gdy ty będziesz zmieniać pieluchę Filipowi.

– Już nie! – odpowiedziałam podnieconym głosem.

– A co? Zagoniłaś do tej lekko cuchnącej czynności Piotrka? No, brawo!

– Nie. Nie zagoniłam. Nie musiałam, bo sam to robił.

– No to o co chodzi?

– Filip nie robi już w pieluchy.

– Aha. – Upiła łyk herbaty. – Jak myślisz, powinnam kupić sobie kapelusz słomkowy u nas czy lepiej już na miejscu?

Patrzyłam na nią i oczu nie mogłam oderwać od kocich, czarnych kresek nad jej górnymi powiekami. Iwona zawsze o siebie dbała i zawsze miała na to czas. Ja nie mogłam sobie nawet przypomnieć, gdzie była moja maskara. Bezskutecznie szukałam jej od zeszłej jesieni.

– I to wszystko? – zapytałam.

– Skąd! Myślałam jeszcze o bikini i może o jakiejś chuście na plażę…

– Nie o to pytałam.

– Nie? – zdziwiła się. – A o co…?

– O to, że Filip załatwia się już na nocnik. Nawet nie zapytałaś. I powiem szczerze, że jest mi przykro.

– Sorry, ale ja nie mam głowy do tych spraw dzieciatych, przecież wiesz.

– Ale dla twojego siostrzeńca to wielki dzień. To tak jak ty byś awansowała, chociaż nie jestem pewna, czy akurat u ciebie w firmie to jest jeszcze możliwe, bo ty chyba przeszłaś już przez wszystkie szczeble kariery.

– Zawsze można wspinać się jeszcze wyżej…

– No właśnie! A Filip zrobił swój pierwszy milowy krok.

– I chcesz mi o tym teraz opowiedzieć, rozumiem? – westchnęła ciężko.

– Oczywiście! – wykrzyknęłam, cała rozpromieniona. – Nie wkleiłam z tej okazji zdjęcia na Facebooka, więc powinnaś to docenić.

– Doceniam.

– Wyobraź sobie, że kupiliśmy mu nocnik już pół roku temu. Ale stał tak bez sensu w łazience, pod zlewem, a Filip nawet na niego nie zwracał uwagi…

– Dlaczego ty mi o tym wszystkim opowiadasz?

– Bo jesteś jego ciocią. Słuchaj, zaraz akcja się rozkręci.

– Mam nadzieję, bo już zaczęłam przysypiać. – Ostentacyjnie ziewnęła.

– No więc ten nocnik stał sobie w kącie, ale że wczoraj było ciepło, pamiętasz jaki był upał?

– Pamiętam.

– To puściliśmy go bez pieluchy, żeby sobie biegał po domu bez majtek, rozumiesz?

Iwona skinęła głową.

– Siedzimy sobie w salonie z Piotrkiem i gapimy się w jakiś serial, Helena odrabia akurat lekcje i nagle…

– Tylko błagam, bez szczegółów, bo jeszcze się tu porzygam…

– I nagle nasz Filip wchodzi do pokoju z wyciągniętymi przed siebie rękami, w których trzyma nie zgadniesz, co?

– Nie… – Iwona zakryła usta z obrzydzeniem.

– Tak! Nocnik trzymał! Wyobrażasz to sobie?

– Boże, przyniósł nocnik do pokoju! Łał! – Przewróciła perfekcyjnie podkreślonymi oczami.

– Poczekaj, to nie wszystko!

– No to mów.

– W tym nocniku było to, na co wszyscy czekaliśmy od tylu miesięcy!

– Co…? No nie mów, że tam była…

– Tak! Kupa była! Wyobrażasz to sobie, Iwona?

– Jezu, ciszej, bo zaraz wypłoszysz stąd klientów.

– Taka nie za duża, rozumiesz, bobek prawie, ale udało się!

– Matko Boska, Sylwia, przestań…

– Postawiliśmy ten nocnik na stole…

– Z tą kupą…?!

– No, a jak! Oczywiście, że z trofeum! A potem całą rodzinką zatańczyliśmy triumfalnie wokół stołu.

– Zupełnie was powaliło!

– Tacy byliśmy szczęśliwi! Nie pamiętam już, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłam, Iwona.

– Z tobą naprawdę jest fatalnie, Sylwia. Obawiam się, że już nie ma dla ciebie ratunku, kobieto.

– Ze mną? – powtórzyłam, ocierając łzy. – To nieważne. Najważniejsze, że mój syn nie będzie już walić w pieluchy! Zwycięstwo! Ty nie masz pojęcia, jaka to będzie oszczędność.

– No to może wreszcie kupisz sobie nową maskarę?

– Myślisz, że nie ma już sensu szukać tej starej? Jak znam życie, to pewnie leży gdzieś pod tapczanem i wysycha z tęsknoty za moimi rzęsami.

Iwona pokiwała głową z wyraźnym politowaniem.

– Nie chciałabyś pojechać tam ze mną? – zapytała po chwili.

– Dokąd?

– Do Tajlandii. Pomyśl tylko, leżeć na piaseczku, który parzy cię w plecy…

Uśmiechnęłam się do niej i powiedziałam:

– Kochana, ja jestem w piaseczku co najmniej raz w tygodniu. Nawet babeczki czasem w nim stawiam, żeby Filipowi nie było smutno. Chadzam po piasku częściej niż ty.

– Ale to nie to samo.

– Wiem – stwierdziłam. – I wiesz, co ci powiem? Że pojechałabym.

– Serio?

– Aha. Zostawiłabym w cholerę cały ten karawan i pojechała na drugi koniec świata. A jeszcze z tobą, to miałabym gwarancję, że będziemy się świetnie bawić, prawda?

– No jasne! – Ożywiła się. – Ty wiesz, jakie oni tam mają drink bary? W morzu, przy plaży. Czujesz? Siedzisz sobie na stołku z drinkiem w dłoni, a fale łaskoczą cię po plecach.

– Tak – westchnęłam. – Wyobrażam to sobie.

– To lecimy?

– Nie – odpowiedziałam. – A wiesz dlaczego? Bo chociaż czasami dałabym wszystko, żeby móc się wyrwać z domu, to jednak wiem, że i tak nie umiałabym się bez nich zrelaksować.

– Bez nich…?

– Tęsknota zepsułaby całą zabawę. Wiem o tym. Pewnie już w samolocie wyłabym z tęsknoty, zwłaszcza za Filipem, który właśnie teraz potrzebuje mnie najbardziej.

– Ale przecież ty nie lecisz tam na całe życie! Przecież do nich wrócisz!

– Jeszcze nie teraz – powiedziałam. – Może za jakiś czas będę gotowa na takie rozstanie, ale nie w tej chwili.

– Boże! – Iwona załamała ręce z rozpaczy. – Ty jesteś ich niewolnicą! Jak ta Isaura, też masz swojego Leoncia, czy jak mu tam było na imię!

– Mam rodzinę, Iwona. I jeśli mam gdzieś jechać na wakacje, to wolę jechać z nimi niż bez nich.

– Ale odpoczęłabyś! Przydałoby ci się.

– Pewnie masz rację, ale nie.

Sama nie mogłam uwierzyć w to, co powiedziałam.

Przecież byłam przemęczona, ręce opadały mi do ziemi pod koniec każdego dnia, a czasem to już nawet od rana. A mimo to nie umiałabym tak po prostu zostawić tego wszystkiego i wyjechać. Ale obiecałam sobie, że musimy zaplanować z Piotrkiem jakiś wspólny letni wyjazd. Może w Bieszczady? Przecież fajnie byłoby pokazać dzieciom nasze polskie góry. Wycieczki szkolne to nie to samo.

Pożegnałam się z Iwoną serdecznie i życząc jej udanego pobytu na drugim końcu świata, wróciłam do swojego mikrokosmosu, który wkurzał mnie co prawda i dobijał każdego dnia, ale bez którego żyć już nie potrafiłam.

Czy córka to nieszczęście?

Zanim zostałam matką, w ogóle nie myślałam o płci dziecka. To znaczy bez przesady, odróżniam dziewczynkę od chłopczyka, ale jakoś nigdy nie ustawiałam się psychicznie na to, jakie chcę mieć dziecko: czy chłopca, czy dziewczynkę. Ja wiedziałam tylko jedno: ma być zdrowe. Płeć nie miała dla mnie znaczenia. W przeciwieństwie do moich koleżanek, które już od wczesnych lat marzyły o córeczce albo o syneczku. Mało tego, oczami wyobraźni widziały już te dzieci pięknie ubrane, śpiewające piękne piosenki i wcinające z uśmiechem na twarzy każdą, podkreślam, każdą potrawę, którą dla nich ugotowały własnoręcznie.

Zauważyłam też, że podział na to, czy chcemy synka, czy córeczkę rozkładał się po równo. Były też dziewczyny, które, podobnie jak ja, „zamawiały" dziecko obojętnie jakiej płci, ale żeby koniecznie było zdrowe.

Takie rozmowy dotyczyły oczywiście kobiet, które jeszcze nie doczekały się potomstwa. Bo te bardziej doświadczone w macierzyństwie chciały oczywiście mieć przeciwieństwo tego, co przyniósł bocian. Czyli jeśli już miały w domu chłopczyka, to tym razem modliły się o córeczkę, i odwrotnie. Co ciekawe, raczej nikt nie chciał mieć parki tej samej płci, jakby było w tym coś złego. A może po prostu rodzicom wydawało się, że dziecko innej płci

będzie jeszcze lepsze, jeszcze grzeczniejsze i tak dalej? Nie żeby to pierwsze było złe, broń Boże! Ale przecież zawsze można być jeszcze lepszym, prawda?

Nigdy nie zapomnę spotkania w parku z pewną straszą panią, która, jak się okazało, przyszła ze swoim wnuczkiem na plac zabaw. Byłam wtedy młodą i pękającą z dumy matką. (Nie to, co teraz! Teraz jestem sponiewieranym przez własne dzieci strzępem tego, kogo kiedyś nazywałam matką). Helenka miała wtedy jakieś pół roczku. Było lato, słońce świeciło prosto w oczy. I co z tego, że się nie wyspałam! Pchałam ten mój wózek pełen szczęścia i jakoś tak sama z siebie skręciłam w kierunku placu zabaw. Moje dziecko było wtedy za małe, by z niego korzystać, ale ja, jako młoda mamusia, chciałam się już niejako do niego przyzwyczaić. Wiedziałam, że wkrótce to miejsce będę odwiedzać z nią regularnie i chciałam rzucić okiem na stan czystości piaskownicy i takie tam. Poza jednym, zdaje się, psim bobkiem, wokół było raczej czysto.

Usiadłam na ławce, Hela spała, więc wyjęłam z torebki jakiś kolorowy magazyn sprzed trzech miesięcy, którego do tej pory nie miałam okazji nawet otworzyć, i postanowiłam spędzić najbliższe minuty na leniwym czytaniu.

Kątem oka zobaczyłam jakiegoś chłopca na huśtawce, którego pilnowała owa starsza pani. Przyszło mi nawet do głowy, że to bardzo miły widok: babcia z wnuczkiem w parku.

– Przepraszam, że tak zaglądam do wózeczka – zagadnęła kobieta – ale nie mogę dostrzec, czy kocyk niebieski, czy różowy.

– Biały – odpowiedziałam. – A dlaczego interesuje panią kolor kocyka?

– Bo wtedy wiedziałabym, jakiej płci jest pani skarb.

– No tak. – Posłałam jej uśmiech. – Nie przykładamy z mężem do tych kolorów aż takiej wagi. A odpowiadając na pani pytanie, to dziewczynka.

– Dziewczynka…? – Kobieta załamała ręce.

– Tak. Dziewczynka – powtórzyłam.

Kobieta miała taką minę, jakbym powiedziała coś mało przyjemnego.

– To pani pierwsze dziecko? – zapytała głosem pełnym współczucia.

– Tak. – Skinęłam głową z dumą.

– I co na to pani mąż?

Nie, nie przesłyszałam się. Mimo to zapytałam:

– Słucham…?

– Przepraszam, że pytam tak wprost – powiedziała kobieta – ale od razu wydała mi się pani jakaś taka normalna, rozumie pani?

– Normalna…?

– Bo tutaj to takie matki przychodzą, że aż strach – powiedziała, ściszając głos.

– O co pani chodzi? – Rozejrzałam się.

– No mówię pani, spódnice, o, takie krótkie. – Tu kobieta przejechała otwartą dłonią po swoim udzie. – A na nogach szpilki, o, takie! Wyobraża sobie pani, w takim stroju na plac zabaw! Nie to, co pani, trampki i dres, jak prawdziwa matka Polka!

Aż mi się gorąco zrobiło.

– Pawełek, nie tak wysoko! – zawołała kobieta do chłopczyka, który huśtał się żwawo. – No więc, o czym to rozmawiałyśmy?

– O dresach… – powiedziałam bez entuzjazmu.

– No właśnie. Przecież do dzieci trzeba mieć wygodne ubranie i akurat pani to, jak widzę, nie muszę do takich spraw przekonywać. To jest normalne. Ale jak tak sobie tutaj popatrzę, to z moich obserwacji wynika, że teraz te matki to sobie jakieś pokazy mody tu urządzają.

I właśnie w tamtej chwili pożałowałam, że akurat tego dnia nie założyłam na spacer swojej ulubionej dżinsowej spódniczki, tylko z wygody wskoczyłam w stare, lekko rozciągnięte dresy. Miałam za swoje.

– A przecież tych ciuchów dziecko i tak nie zobaczy! – ciągnęła temat kobieta. – Co innego dla męża się tak ubrać, to rozumiem. Ale tak dla samej siebie się wystroić?! Po co, ja się pytam. Pawełek, Pawełek! No co ja do ciebie mówiłam!

Babcia pogroziła wnuczkowi palcem.

– Skaranie boskie z tymi chłopakami. – Postawiła na kolanach torebkę, z której wyjęła czekoladowego batonika i soczek w

plastikowej butelce. – Zaraz zawołam go na przekąskę, to raz dwa przybiegnie. Z dziećmi trzeba krótko, proszę pani.

– Rozumiem, że chce go pani przekupić jedzeniem?

– Za kilka lat sama się pani przekona – dodała, nie kryjąc złośliwości. – Chociaż pani akurat może nie mieć takich doświadczeń.

– Jakich…?

– Jeśli dobrze zrozumiałam, ma pani dziewczynkę, tak?

Skinęłam głową.

– No to ma pani szczęście.

– Wiem – odpowiedziałam z dumą.

– Dziewczynki są o wiele grzeczniejsze, nie to co chłopaki! No masz, znowu się rozhuśtał! Pawełek, ostatni raz mówię, że masz się huśtać powolutku, tak jak cię uczyłam.

Spojrzałam w stronę chłopca, który, najwyraźniej zachwycony, poszedł na całość i w ogóle babci nie słuchał.

– Dziewczynka to się lalkami będzie bawić, zamiast ganiać po drzewach, jak ten mój wnuczek. Chłopak to musi sobie codziennie kolana pozbijać, bo inaczej spacer się nie liczy, mówię pani.

– W takim razie cieszę się, że mam dziewczynkę.

Kobieta spojrzała na mnie z góry.

– Ale z dwojga złego – stwierdziła – to powiem pani, że lepiej mieć chłopaka.

– Jak to? – Zaciekawiłam się.

– No bo jednak chłopak to chłopak – odparła babcia, poprawiając pod szyją apaszkę w błękitno-różowe prążki.

– No przecież przed chwilą mówiła pani, że jednak z dziewczynkami jest łatwiej. Przynajmniej tak to zrozumiałam…

– No tak. Ale koniec końców, to jednak chłopak jest dziedzicem.

– Zapewniam panią, że nasza córka również wszystko po nas odziedziczy, o ile w ogóle będzie co.

– Ale chłopak, na ten przykład, nie zmienia nazwiska, a kobieta przejmuje je po mężu. Tak samo jej dzieci.

– No tak to już jest – powiedziałam, wzdychając. – I nikt nie widzi w tym nic złego.

– Ale jednak syn to syn.

– A córka to córka.

– Ale syn jest ważny, zwłaszcza dla ojca.

– Co pani opowiada? Mój mąż oszalał na punkcie naszej córki, zapewniam panią.

– O właśnie, oszalał! – powtórzyła. – Za dziewczynami się szaleje. A z chłopaka byłby dumny. Zwłaszcza z pierwszego, pierworodnego. No, ale tego to już mu pani raczej nie załatwi, bo urodziła mu pani córkę.

– A czy to jest moja wina? – Rozmowa coraz mniej mi się podobała, ale nie chciałam odchodzić, nie wyraziwszy własnego zdania. – Równie dobrze można powiedzieć, że to ojciec zrobił córkę zamiast syna.

– No właśnie! Pani mąż okazał się, jak widać, damskim krawcem.

– Jakim krawcem…? – Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– Ależ niech się pani tak nie gorączkuje. – Kobieta machnęła ręką. – Na pewno następnym razem uda mu się spłodzić syna. W końcu każdy mężczyzna chce mieć syna, dom i drzewo, prawda?

– Wie pani co? – Wstałam z ławki najszybciej, jak umiałam. – Ja nie mam problemu z tym, że mam córkę. I zapewniam panią, że mój mąż również nie ma z tym problemu. Nie żyjemy w trzecim świecie, bo, zdaje się, właśnie tam narodziny córek nie spotykają się z entuzjazmem. Nie wiem, skąd pani przyjechała, ale tutaj jest normalny kraj, gdzie dziewczynki mają takie same prawa jak chłopcy.

Kobieta coś tam jeszcze za mną krzyczała, chyba nawet mnie przeprosiła i powiedziała, że wcale nie o to jej chodziło, ale ja już nie miałam ochoty na dalszą konwersację z kimś, kto wyznawał takie, a nie inne poglądy. Zepsuła mi humor i byłam za to na siebie zła. Po co ja się w ogóle wdawałam w tę rozmowę? Tylko namieszała mi w głowie.

Z tego wszystkiego w drodze powrotnej do domu wzięłam do ręki telefon i zadzwoniłam do męża.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego – odpowiedział mój specjalista od spraw komunikacji w bardzo ważnej firmie.

– Oczywiście, że to jest ważne. Inaczej nie zawracałabym ci głowy, prawda?

Usłyszałam w słuchawce głośne westchnienie, tak typowe dla wszystkich mężów.

– Co się stało? – zapytał, bo moje milczenie chyba go trochę zaniepokoiło. – Coś z Helenką?

– Tak. – Przełknęłam ślinę. – Słuchaj, Piotrek, właściwie nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale czy ty ją kochasz?

– Sylwia, co się stało…? Miałyście wypadek, tak? Poczekaj, gdzie ty teraz jesteś? Ja zaraz do was przyjadę…

– Nic się nie stało – zaczęłam. – Po prostu jedna baba w parku nagadała mi jakichś głupot, że facet to chciałby mieć syna, zwłaszcza pierwszego, żeby był pierworodny, a przecież ja już ci tego nie załatwię, prawda?

– I po to do mnie dzwonisz…?! – Zdawało mi się, że czuję przez słuchawkę, jak skacze mu ciśnienie.

– Kochasz Helenkę, prawda?

– Oczywiście! – krzyknął do słuchawki. – Jak w ogóle mogłaś pomyśleć, że jest inaczej?

– I nie masz pretensji o to, że urodziła nam się dziewczynka…?

– Posłuchaj, nie wiem, z kim ty tam się spotykasz, ale chyba powinnaś lepiej dobierać swoich znajomych.

– To była obca kobieta, zrozum…

– To dlaczego się tym tak przejęłaś?

– Sama nie wiem.

Piotrek westchnął do słuchawki bezradnie.

– Helenka jest dla mnie najważniejsza na świecie. I ty.

– A syn? – nie odpuszczałam.

– Jaki syn? Przecież nie mamy syna, no chyba że mnie coś ominęło?

– Czy wolałbyś mieć syna?

– Nie. Nie wolałbym. I od razu odpowiem na twoje kolejne pytanie: nie zamieniłbym naszej córki na nic innego.

– I nie uważasz, że syn jest ważniejszy od córki?

– Nie. Nie uważam.

Urwał nagle, po czym zapytał niespodziewanie:

– Sylwia…?

– Tak?

– Czy ty czasem nie jesteś, no wiesz…?

– Słucham…?

– Jesteś w ciąży?

– Oszalałeś?!

– Tak zaczęłaś mówić o tym synu, że pomyślałem sobie, że właściwie, to czemu nie?

– Chyba na głowę upadłeś, człowieku!

– Ale pomyśl tylko, teraz jest najlepszy czas na drugie dziecko!

– Jakbym słyszała twoją matkę!

– Może czasem warto jej posłuchać?

– Już nie pamiętasz, jak się męczyłam na tej sali porodowej, jak mało nie umarłam z bólu i jak ten lekarz powiedział, że mam za małe rozwarcie?! I chcesz, żebym przechodziła przez to po raz kolejny…?

– Może tym razem będzie ci łatwiej.

– Najłatwiej będzie mi się z tej zabawy wycofać. Poza tym nie czuję potrzeby ponownego rodzenia.

– No, ale pomyśl tylko…

– Do widzenia!

– Sylwia, pomyśl o synku…

Rozłączyłam się cała roztrzęsiona.

Nie dość, że miałam głowę nabitą durnymi przemyśleniami jakiejś mocno zacofanej baby, to jeszcze ten mi zaczął gadać o kolejnym dziecku. *Never ever!* Nigdy.

A przynajmniej nie w tym roku. Jeszcze nie teraz.

Kawały o blondynkach

Jakiś roztrzęsiony kierowca zadzwonił właśnie do radia, którego słuchałam, sprzątając łazienkę. Opowiadał, że samochód, który przed nim jechał, nie miał włączonych świateł, więc on, najwyraźniej strażnik porządku na drogach publicznych, zmusił kierowcę do zatrzymania się, wysiadł, podszedł do niego i zwrócił mu uwagę. Niby przy okazji ów oburzony brakiem świateł słuchacz zaznaczył, że kierowcą była kobieta o włosach koloru blond.

No jasne! Bo facetom o włosach koloru blond, czyli blondynom, jazda bez świateł nigdy się nie zdarza? Ja w ogóle bojkotuję te wszystkie kawały o blondynkach, bo są upokarzające nie tylko dla blondynek, ale również dla brunetek. Dla wszystkich kobiet! Co myśmy wam zrobiły, że ciągle sobie z nas kpicie? Dawniej mówiono, że przychodzi baba do lekarza. A teraz padło na blondynki. Czemu nie przychodzi chłop do lekarki, na przykład? Albo dlaczego nie ma kawałów o blondynach? Może czas zacząć? Może same jesteśmy temu winne, bo powielamy te dowcipy o innych kobietach i nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, że kalamy własne gniazdo? Bo co? Bo kawały o blondynach nie będą już takie śmieszne jak o blondynkach? Serio?

No to spróbujmy. Pierwszy lepszy kawał o blondynce: „Dlaczego blondynka siedzi na zegarze? Bo chce być na czasie”. Spokojnie możemy zamienić na blondyna. I śmiem twierdzić, że też będzie śmiesznie.

Niestety, nie ze wszystkimi kawałami sprawa jest taka prosta, jak choćby w tym przypadku: „Co mówi blondynka na porodówce, kiedy urodzi bliźnięta? Cholera, z kim to drugie?”. Trudno, żeby blondyn, choćby nawet był brunetem, urodził bliźnięta.

Ale zawsze można się wysilić i kawał odwrócić następująco: „Przychodzi blondyn do żony, która urodziła mu bliźniaki, i pyta: A kto jest ojcem tego drugiego?”.

Można? No pewnie, że można!

Dwulatek i fryzjer

Nie ma to jak wizyta u fryzjera z dzieckiem, które nie znosi, kiedy obcina mu się włosy. Normalnie drze się, jakby go ze skóry obdzierali! Na początku obcinaliśmy mu włosy sami w domu i jakoś to jeszcze wyglądało. Darł się, no ale przecież od czasu do czasu trzeba dziecko ostrzyc. Niestety, odkąd skończył dwa lata, nie daje do siebie nikomu podejść.

– Włosy wchodzą mu już do oczu! – krzyknęłam do Piotrka. – Weź zrób coś z tym dzieckiem, w końcu to twój syn jest!

– Filip! – zawołał Piotrek zdecydowanym tonem.

– Nie chcę! Nie chcę! – odpowiedział mu na to Filip, który właśnie kończył swoją wieżę z klocków.

– Poczekaj, jeszcze nie wiesz, o co chciałem cię zapytać.

Piotrek usiadł obok niego na dywanie.

– Bo widzisz, chłopie – zaczął. – Jest taka sprawa. Jesteś już dużym chłopcem, a każdy duży chłopiec obcina włosy u fryzjera, a nie w domu.

– Tak jak tata – dodałam.

– Poczekaj, nie wtrącaj się – skarcił mnie mąż. – To są sprawy między ojcem a synem, więc daj mi dokończyć.

– Dobrze. – Podniosłam ręce w geście rezygnacji. – Już się nie wtrącam. Skoro ma to na niego zdziałać…

– No więc widzisz, stary, mam taki plan.

– Ale ja nie chcę…

– Poczekaj. Posłuchaj mnie chociaż. Słyszałem, że lubisz lizaki.

Filip po raz pierwszy oderwał się od swojej wieży i spojrzał na Piotrka.

– Ale tylko te z kulką – powiedział.

– Tak, tak! – zawołał Piotrek. – Właśnie te z kulką miałem na myśli. No więc, co byś powiedział, gdybym tak zaproponował ci dwa, nie, co ja mówię, niech będą trzy lizaki z kulką…

– Dobrze…

– Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. – Piotrek wziął głębszy oddech. – I do tego dodałbym jeszcze batonika czekoladowego o smaku kokosowym? A przecież wszyscy wiemy, jak ty strasznie lubisz te batoniki, prawda?

– Prawda. – Filip rozpromienił się już na samą myśl o jego ulubionych łakociach.

– Ale poczekaj, poczekaj. To jest umowa. Rozumiesz? Nasza męska umowa.

Filip skinął głową.

– Cieszę się, że już się zgadzasz, zanim jeszcze usłyszałeś, co jest celem naszej męskiej umowy. Myślę, że się domyślasz, synu.

– Tak, tato.

– No więc, dla jasności, pójdziesz jutro z mamą do fryzjera, usiądziesz ładnie na krzesełku…

– Takim wysokim, co się podnosi?

– Dokładnie na takim – powiedział Piotrek z nieukrywaną satysfakcją. – Dasz sobie przyciąć grzywkę i boki, a potem mama da ci trzy lizaki z kulką i twojego ulubionego batona. Umowa stoi?

– Stoi.

– To przybij piątkę, skoro się dogadaliśmy. Brawo. Jestem z ciebie dumny, synu!

Dwadzieścia cztery godziny później siedzieliśmy w tym samym pokoju, wokół tego samego synka, który miał tak samo długie włosy wchodzące mu do oczu.

– Co poszło nie tak? – zapytał Piotrek wściekły.

– Wszystko! – krzyknęłam, bo emocje jeszcze nie opadły.

– A konkretnie?

– Obiecałam mu te wszystkie smakołyki, ale skubany podszedł mnie.

– Co znaczy „podszedł”?

– Obiecał, że da się obciąć, ale najpierw musi je zjeść.

– Nie mów, że się zgodziłaś?

– A co miałam zrobić? Już widziałam, że zaczął się nakręcać, a tam była kolejka i nie chciałam, żeby robił scenę. To dla świętego spokoju dałam mu te łakocie przed.

– Super.

– Zjadł wszystko, po czym zaczął tak wrzeszczeć na widok fryzjerki i tak ją wystraszył, że kazała mi najpierw pójść z tym dzieckiem do psychologa. Wyobrażasz to sobie? W życiu moja noga nie postanie w tamtym salonie. Co za brak profesjonalizmu.

– Dobrze, że ty wykazałaś się profesjonalnym podejściem – fuknął Piotrek.

– Ale wiesz co? – dodałam, bo akurat przyszedł mi do głowy pewien pomysł. – Nie ma się czym martwić.

– Tak? A widziałaś jego kudły?

– No właśnie coś wymyśliłam.

– Ciekawe co?

– Obetniemy mu grzywkę w nocy, jak będzie smacznie spał. Że też ja wcześniej na to nie wpadłam.

– Już i tak mi wszystko jedno. – Wzruszył ramionami. – A co zrobimy z włosami po bokach?

– Poczekamy, aż zmieni bok, i wtedy machnę mu jedną stronę…

– A jak się przekręci na drugi, to obetniesz mu drugą?

– No właśnie!

– Tylko żebyś w tych ciemnościach przy okazji nie obcięła mu uszu.

– Poradzę sobie, nic się nie martw.

– Poczekaj, a tył? – zapytał. – Jak zamierzasz obciąć mu włosy z tyłu? Chyba nie masz zamiaru czekać, aż położy się na twarzy, co?

– Fakt, nie pomyślałam o tym.

– No widzę właśnie…

– Ale wiesz co? Z tyłu obetnę mu w dzień, jak będzie oglądał te swoje latające żółwie. Zawsze jak to puszczają, to nie może od nich

oczu oderwać. Spoko! Damy radę. Po co nam fryzjer?

Dwadzieścia cztery godziny później nasz syn wyglądał, jakby uciekł z zakładu zamkniętego, z grzywką obciętą za mocno nad lewym okiem i w ogóle nieruszoną nad okiem prawym, bo w nocy nie pozwolił mi się tam nawet zbliżyć. Z tyłu za to miał wyciętą prawie kwadratową dziurę, bo kiedy chciałam go ostrzyc podczas seansu latających żółwi, to tak podskoczył, że poleciałam z nożyczkami za wysoko. A potem, kiedy się już połapał, co się dzieje za jego plecami, to w ogóle nie dał mi do siebie podejść.

Tego samego dnia wieczorem, nie mając innego wyjścia, Piotrek złapał swoją maszynkę do golenia brody i obleciał mu głowę na tak zwane „zero". Nie muszę dodawać, że w tym czasie musiałam albo puszczać Filipowi jakieś bajki na moim telefonie, albo trzymać go za ręce, bo w końcu zaczął się koncert i darcie wniebogłosy. W tym czasie daliśmy Helenie przyzwolenie na puszczenie muzyki na cały regulator, żeby sąsiedzi nie poczuli się w obowiązku zawiadomić policję o ewentualnym znęcaniu się nad dzieckiem. Prawda była taka, że to nie my, tylko on, czyli nasz syn, znęcał się nad nami i zmuszał nas do tak drastycznych posunięć. Ale przynajmniej z włosami udało nam się jakoś uporać.

Cała akcja trwała nie dłużej niż kwadrans i po jej zakończeniu przybiliśmy sobie z Piotrkiem piątkę. Tym razem udało nam się pokonać przeciwnika całkiem sprawnie.

SKLEP Z ZABAWKAMI, CZYLI DOKĄD DZIECKA NIE ZABIERAMY ABSOLUTNIE NIGDY

– Mogę tę kolejkę, mamo?

Spojrzałam na cenę, która tak mnie walnęła po oczach, że aż musiałam spojrzeć raz jeszcze. Ale nie pomyliłam się. Zabawka była droga – cholernie droga jak na takie „gie" prosto z Chin.

– Miło, że pytasz, ale nie – odpowiedziałam stanowczo.

– Ale ja chcę tę kolejkę!

– Oho, zaczyna się – zauważył roztropnie Piotrek.

– Dziecko, masz przecież w domu bardzo podobną. Nie potrzebujemy drugiej!

– Mama ma rację. Chodźmy obejrzeć pluszaki.

– Ale ja chcę kolejkę.

– Filipku, ale zobaczymy psiaki. Przecież tak je lubisz, prawda? – Piotrek puścił do mnie oko.

Pomyślałam, że spoko, w końcu pluszaki są zwykle tańsze od tej kolejki, i to o wiele.

– Dobrze.

Nasz syn łaskawie się zgodził, na co odetchnęliśmy z ulgą.

– O, zobacz, jaki fajny piesek! – Sięgnęłam po buldoga, który stał na półce, wciśnięty między kurczaka a świnkę.

– Wolę delfina – powiedział Filip.

– Dobrze, niech będzie delfin. Podoba ci się?

– Tak.

– Jaki fajny delfin! Zobacz, jaką ma długą płetwę. Chyba go kupimy, co?

– Super!

Byliśmy szczęśliwi, bo kosztował o połowę mniej niż kolejka. Piotrek uniósł kciuk i dodał po cichu:

– Dobra robota, kochanie.

– Zawsze chciałam zostać psychologiem.

Filip tymczasem pobiegł do działu z plastikowymi pojazdami.

– A możemy jeszcze kupić ten ambulans? – zapytał.

– Daj, zobaczę. – Piotrek wziął ambulans do ręki i zaczął mu się przyglądać. – Fajny.

– Ile? – Posłałam mu jednoznaczne spojrzenie.

– Powiem ci, że okazja.

– Dobra. – Zgodziłam się. – Weź go i spadamy stąd, bo to jest wór bez dna. Nasz synuś z torbami nas puści, bez mrugnięcia okiem.

Już szliśmy w kierunku kasy, kiedy nagle mu się przypomniało.

– Jednak chcę tamtą kolejkę – powiedział, zatrzymując się na środku alejki sklepowej.

– Filip, no przecież ustaliliśmy coś, tak? – zapytał Piotrek.

– No już, szybciutko, do kasy idziemy, bo chyba za chwilę zamykają sklep. – Próbowałam go ponaglać, co niestety przyniosło skutek wręcz odwrotny.

– Ja chcę kolejkę – powtórzył Filip.

– Masz delfina i ambulans! – powiedziałam – Zamiast kolejki.

– Nie! – krzyknął Filip.

– Jak to?

– Chcę delfina, ambulans i kolejkę!!!

– Co takiego…?!

– Tak! Chcę kolejkę! – krzyknął na cały sklep. – Ja chcę kolejkę!

Tak długo tupał nogami i skakał jak oszalały, aż w końcu doszedł do fazy końcowej swojej histerii, która polegała na położeniu się na plecach na podłodze i darciu się wniebogłosy!

Ludzie w sklepie gapili się na nas, jakbyśmy byli najgorszymi, najbardziej skąpymi i podłymi rodzicami na całej kuli ziemskiej. No, żeby własnemu dziecku żałować jednej głupiej kolejki?

– Filip, wstawaj… – Szarpnęłam go za rękę, ale wyrwał mi się sprytnie.

– Ja chcę kolejkę!!!

– No, proszę – powiedział Piotrek, coraz bardziej czerwieniejąc na twarzy. – Proszę, wykaż się teraz swoim psychologicznym talentem.

– Sam się wykaż!

– Ja chcę kolejkę!

– Wstawaj z ziemi, natychmiast! – rozkazał. – Ojciec do ciebie mówi!

– Ja chcę kolejkę!

– Ja ci zaraz dam taką kolejkę, że do końca życia jej nie zapomnisz!

– Piotrek, uspokój się…

– Sama się uspokój. Widzisz, jak go wychowałaś?

– Ja…?

– To są właśnie te twoje metody!

– Ty też go wychowujesz czy tylko mi się zdawało?

– Ale ty siedzisz z nim całymi dniami, to mogłabyś czasem go nauczyć chociaż słuchania własnych rodziców!

– Jak jesteś taki mądry, to sam go tego naucz.

– Oczywiście, że go nauczę.

– Ja chcę kolejkę!

I wtedy, jak spod ziemi, wyrósł przed nami jakiś obcy mężczyzna z przypiętym do garnituru identyfikatorem, na którym napisane było: „Kierownik sklepu”.

– Przepraszam, czy mogę państwu w czymś pomóc? – zapytał stanowczym tonem.

– Dziękujemy – odpowiedział Piotrek, luzując szalik pod szyją. – Poradzimy sobie.

– Nie chcę się wtrącać, ale czy mogą państwo uciszyć to dziecko?

– To nie jest radio, proszę pana – odpowiedziałam. – Gdyby dało się go wyłączyć jednym przyciskiem, już dawno bym to zrobiła.

– Mimo to nalegam…

– Ja chcę kolejkę!

– Proszę pana – zaczął Piotrek tym swoim bojowym tonem, jakim czasem zwraca się do pracowników sklepów, zwłaszcza jeśli są upierdliwi, a ten tutaj najwyraźniej nie wiedział, w co się pakuje. – Mamy prawo sobie tu stać i nawet wyć. W końcu to jest sklep z zabawkami, prawda?

– Państwo przyszli coś kupić?

– No chyba widzi pan, że właśnie mamy zamiar kupić…

– Ja chcę kolejkę! – Filip nie przerywał swojego wystąpienia, jakby się, kurna, zaciął.

– Dobrze – powiedział Piotrek, poddając się. – Sylwia, przynieś mi tę cholerną kolejkę, bo zaraz mnie szlag trafi.

– No chyba nie zamierzasz mu jej kupić? – Popukałam się w czoło. – Widziałeś, ile ona kosztuje? Upadłeś na głowę?!

– Dobrze, w takim razie sam po nią pójdę! – odpowiedział. – Gdzie jest ta cholerna kolejka?

– Tutaj, tato. – Nasz synek w cudowny sposób odzyskał głos i, co więcej, nawet się uspokoił. Alleluja!

Przy kasie zapłaciliśmy nie tylko za strasznie drogą kolejkę, ale również za delfina i ambulans. I, szczerze mówiąc, dopłacilibyśmy drugie tyle, żeby tylko stamtąd w końcu wyjść.

Jaki z tego wniosek? Ano taki, że należy się zgadzać na wybraną zabawkę od razu, bez kombinowania, bo słabo się na tym wyjdzie, zwłaszcza finansowo. O uszczerbku natury psychicznej nie wspominając. Nie muszę dodawać, że wychodząc z tego sklepu, czuliśmy się, jakby czołg po nas przejechał, w przeciwieństwie do naszego syna, który tryskał radością. Tym razem ten mały człowiek nas pokonał. Jeden do zera dla niego. Jeszcze się odegramy! Potrzebujemy tylko trochę czasu na odzyskanie sił.

Parówki

No i jak ma mnie szlag nie trafić? No jak? Jak mam nakłonić dziecko do zjedzenia czegokolwiek poza bułką i parówkami?! No jak to zrobić, się pytam? I skąd ono już wie, że to nie będzie mu smakować, skoro nawet tego nie spróbowało? To moje dziecko nie chce jeść nic innego i koniec. Chyba ma to po swoim ojcu. Jego też do niczego nie można normalnie przekonać, bo uparty jest jak osioł!

Co te parówki mają takiego w sobie, że dzieci tak je kochają? Przecież to jest podobno jakiś przemielony mięsnoskórny bełt. Ble… I kto to wymyślił, żeby takie rzeczy dzieciom podawać? Jak ja mam teraz dziecko odzwyczaić od jedzenia tych okropnych, podobno, parówek? Czy to jest w ogóle możliwe, że moje dziecko jest od nich uzależnione? I czy takie uzależnienie może rzutować na jego przyszłość? Czy są jakieś grupy wsparcia dla matek oduczających swoje dzieci diety parówkowej? Jak sobie z tym radzić?

Próbowałam te cholerne parówki zastąpić naleśnikami, które Filip na szczęście uwielbia, ale sukces był tylko połowiczny. Owszem, zjadł naleśnika, ale już drugiego zażyczył sobie z… parówką w środku! Jak żyć?

ŚMIERĆ ŁÓŻECZKOWA CZY ŚMIERĆ MATKI?

Wystarczyło, że zakwiliła, a ja już zrywałam się na równe nogi, jak większość matek zresztą. Jako młoda i niedoświadczona matka bałam się przeraźliwie śmierci łóżeczkowej, o której w tamtym czasie rozpisywano się w gazetach. Wstawałam wyczulona na wszelki szmer w łóżeczku Heleny. Musiałam sprawdzić, czy:

1. Nic jej się nie stało, bo przecież stać się mogło wszystko! W dzisiejszych czasach żadne miejsce nie jest bezpieczne, nawet własne łóżko. Przecież może nam na głowę spaść choćby żyrandol, czytałam o takich przypadkach!

2. Czy nie jest głodna? Mój mąż zapytał kiedyś „Ile to dziecko może jeść? Przecież dopiero jadło…", na co odpowiedziałam mu, że skoro chce jeść, to przecież nie odmówię mu własnej piersi!

3. I najważniejsze: czy w ogóle żyje!

Bo przecież mogło już nie żyć.

– Posłuchaj – powiedział pewnej nocy Piotrek, kiedy odkryłam już kołdrę, by pobiec do pokoju Helenki. – Skoro płacze, to znaczy, że żyje. Nie musisz się tak zrywać co noc.

– Właśnie, że muszę – powiedziałam, celując po omacku stopami w bambosze.

– No przecież słyszysz, że żyje. To ci nie wystarcza? Musisz zobaczyć na własne oczy?

Zapaliłam nocną lampkę, która jasnym blaskiem oświetliła nasze wyrwane ze snu twarze.

– Przecież to nasze jedyne dziecko – powiedziałam.

– Zgadza się. A my jesteśmy jej jedynymi rodzicami.

– No właśnie dlatego idę sprawdzić, dlaczego płacze…

– Nie rozumiesz, że musimy się wyspać?

– Wybacz, ale nie rozumiem.

– Popłacze, popłacze i w końcu zaśnie. Zrozum, ja już nie mogę, te nieprzespane noce mnie wykończą – jęknął. – Od roku do niej wstajesz.

– No przecież ty możesz sobie spać!

– Ale budzisz mnie. Poza tym za chwilę będziesz mnie wołać, żebym przyniósł ci butelkę albo zabrał pieluchę do śmieci.

– Dobrze, mogę cię nie wołać, skoro nie masz ochoty wstawać do własnego dziecka. Jedynego, jakie masz, przypominam!

Wstałam i pobiegłam do pokoju Heleny, który znajdował się za ścianą naszej sypialni. Podeszłam do drewnianego łóżeczka, zapaliłam lampkę i pochyliłam się nad moim dzieckiem.

„Żyje”, mówiłam sobie w myślach, patrząc na jej pyzatą buzię. Dziecko leżało w swoim łóżeczku, oddychało spokojnie, ale ja mimo to poprawiałam jej kołderkę. Zsuwałam ostrożnie spod brody, żeby Helenka się przypadkiem w nocy nie udusiła. No przecież mogłaby się w nią zawinąć, przekręcając się z boku na

bok, prawda? Mogłaby się tak nieszczęśliwie ułożyć, że omotałaby sobie kawałek materiału wokół szyi. No przecież nieszczęścia się zdarzają!

I chociaż moje dziecko żyło, to ja i tak drżałam z nerwów. Bywały noce, kiedy przykładałam głowę do jej główki, żeby usłyszeć jej oddech, żeby poczuć go na policzku, bo tylko to dawało mi gwarancję, że moja córka nadal żyje. Czasem leżała tak nieruchomo, że wyglądała jak lalka.

– I co? Żyje? – pytał Piotrek, kiedy wracałam do sypialni.

– Tak, możesz spać spokojnie.

– Mówiłem, że nic jej nie jest.

– Ale trzeba było to sprawdzić – powiedziałam, gasząc lampkę.

– Ty masz jakąś obsesję.

– Po prostu czytałam o takich przypadkach.

– To zmień gazetę, dobrze ci radzę, zanim kompletnie sfiksujesz.

– Posłuchaj, ja sobie tego nie wymyśliłam. To jest śmierć łóżeczkowa, rozumiesz?

– Kolejny wymysł specjalistów od bzdurnych informacji.

– Nieprawda.

– Dziecko śpi spokojnie, a ty nie śpisz, bo musisz sprawdzić, czy na pewno śpi. No przecież to jest chore.

– Możesz mówić ciszej? Bo ją obudzisz.

Przez to nocne czuwanie byłam tak niewyspana, że nie raz i nie dwa stałam na przejściu dla pieszych i nie wiedziałam, co oznacza

zielone, a co czerwone światło. Szłam po prostu za ludźmi, naśladowałam ich. I to mnie prawdopodobnie uratowało.

A tak w ogóle, to który mamy rok?

Smoczek

Jeszcze przed urodzeniem pierwszego dziecka byłam przeciwna smoczkom, tyle się o nich naczytałam. Zdanie zmieniłam bardzo szybko, bo już na porodówce. Jak tylko Helenka zaczęła się drzeć, od razu pożałowałam, że tego skubanego smoka nie kupiłam zawczasu! Trudno, najwyżej będzie mieć w przyszłości krzywe zęby, ale przynajmniej będzie cicho! Poza tym są teraz takie aparaty do prostowania zębów. Jakoś sobie z tym problemem poradzimy.

Wstawanie do dziecka w nocy – ciąg dalszy

Każda matka zna ten moment, kiedy dzień zamienia się w noc i odwrotnie. Dziecko sprawia, że tak dobrze znany nam rytm słońca i księżyca zostaje raz na zawsze zaburzony. Nie ma tak, że noc jest do spania, a dzień do pracy i zabawy. Dla wielu dzieci noc jest najlepszym czasem do robienia wszystkiego poza snem właśnie. Rodzice wstają do dziecka w nocy i to jakby wchodzi już nam w krew, zwłaszcza matkom. Ojca trzeba w tym zadaniu nieco oszczędzić, bo on musi tak czy siak rano pójść do pracy. W końcu ktoś musi przynosić do domu pieniądze.

Kiedy byłam w ciąży, wszyscy mówili mi, że mam się wyspać, bo po urodzeniu dziecka o spaniu będę mogła tylko pomarzyć. Nie bardzo wtedy rozumiałam, o co im chodzi. Jak większość matek uważałam, że przesadzają, że moje dziecko będzie inne. No przecież to od nas zależy, jak je wychowamy, prawda? Jeśli nauczymy dziecko spać w nocy, to będzie spało, prawda? Kilka miesięcy później, kiedy Helenka regularnie budziła nas w nocy, okazało się, że ci wszyscy ludzie mieli rację. Dziecka, a przynajmniej takiego poniżej pierwszego roku życia, nie można nauczyć spania przez całą noc. Co więcej, okazało się, że to nie my nauczyliśmy ją spania przez całą noc, ale to ona nauczyła nas, jak

wstawać do niej i automatycznie wykonywać kolejne czynności, często z zamkniętymi oczami.

Przecież całe noce wstawałam do tej cudownej istotki, jaką była moja mała córeczka! Czy może być coś piękniejszego niż wstawanie w nocy do dziecka? Tak, może być. Sen. Długi i nieprzerywany rykiem. Ale tak się składa, że w tamtym okresie swojego życia zapomniałam (i całe szczęście!), czym jest długi sen, czym są noce przespane do rana. Wstawałam do dziecka jak robot.

Zobaczywszy mnie, Helenka uśmiechnęła się.

– Chodź tutaj, mały głodomorze. – Wzięłam ją na ręce i przystawiłam do cyca.

Helenka wbiła się we mnie swoimi bezzębnymi dziąsełkami i przyssała się niczym pijawka. Oparłam się łokciem o łóżeczko i zamknęłam oczy. Zawsze w takich chwilach bałam się, żeby nie zasnąć z dzieckiem przy piersi.

– To nie jest normalne, żeby jeść w nocy. – Usłyszałam nad głową głos Piotrka, który stał w drzwiach do pokoju Helenki. – Trzeba coś z tym zrobić.

– No przecież kiedyś z tego wyrośnie, prawda?

– Tylko kiedy? – westchnął. – Do tego czasu zamienimy się w zombi.

– Skoro wszyscy dają radę, nam też się uda. To nie jest takie trudne.

– Ale ona ma już kilka miesięcy i powinna spać w nocy.

– Już śpi – powiedziałam, wkładając ją ostrożnie do łóżeczka. – I cicho bądź, bo ją obudzisz.

Najpierw matka wstaje do dziecka, bo dziecko chce jeść w nocy, bo ząbkuje, bo boi się klasówki i nie może spać. A potem matka nie śpi, bo czeka, aż dziecko wróci z imprezy w jednym kawałku. I podobno nerwy są wówczas o wiele większe niż wtedy, kiedy wstawało się, by je tylko nakarmić!

Kiedyś byłam tak zmęczona, że zrobiłam sobie kawę z samej wody. To nie koniec! Zorientowałam się dopiero, wypijając ostatni łyk…

Po kolejnej nieprzespanej – tym razem przez ząbkującego Filipa – nocy byłam rano tak nieprzytomna, że założyłam śliniak Piotrkowi, bo siedział obok Filipa. I nawet go nie zdjął, żeby nie pobrudzić płatkami krawata!

To było zresztą w tym samym czasie, kiedy pierwszy raz w życiu zapomniałam o własnych urodzinach! Mama zadzwoniła i powiedziała: „sto lat”, a ja spytałam: „że co”?

Piątek, czyli środa, czyli wszystko jedno

Odkąd zostałam matką, dni jakby skróciły się o dobrych kilka godzin.

Miałam dzisiaj tak cudownie zaplanowany dzień. Wstałam z uśmiechem na ustach, z nadzieją i planem. Śniadanie zrobiłam, potem pozmywałam, wyszłam z Filipem na sanki na górkę, potem wróciliśmy i zrobiła się osiemnasta. Chyba ciśnienie musiało być niskie, bo nic z tego nie rozumiem.

Jak wygląda zwyczajny dzień matki? Wstaję i od razu jest dziewiętnasta. Matki tak mają. Codziennie.

Piątek. Jak ja kocham piątki. To znaczy kiedyś kochałam, kiedyś, zanim wydałam na świat dwa trolle, które życie mi przewartościowały i od tamtego czasu piątek tak naprawdę od środy nie różni się niczym. No, ale nie dobijajmy się, na to zawsze przyjdzie odpowiedni czas. Tak więc dawniej kochałam piątki. Po pracy szło się z chłopakiem (bo kiedyś mąż był moim chłopakiem!) do klubu i szalało się do białego rana. A potem spało się przez dwa dni. Boże, jak ja uwielbiałam sobotę w łóżku! Cały dzień w piżamie przed telewizorem. Trzeba zaznaczyć, że w tamtych czasach łóżko było czyste, jak z katalogu. Nie to co teraz, kiedy zamieniło się w plac zabaw dla naszych dzieci, a pod poduszką

zawsze można liczyć na niespodzianki typu paczka z niedojedzonymi czipsami. Moja piżama wtedy też była perfekcyjnie czysta, pachnąca płynem do płukania, a nie uwalana kaszką i purée warzywnym ze słoiczka.

Leżałam na sofie (tak, tak, leżałam, nie siedziałam, to znaczy najpierw siedziałam, ale nawet nie zauważyłam, kiedy moje ciało się osunęło i teraz leżałam). Korzystając z wolnej chwili ciszy i spokoju, leżałam i marzyłam sobie o piątkach, które pewnie już nigdy nie wrócą, kiedy nagle do salonu wpadł mój syn z szablą w jednej dłoni i przykrywką od patelni w drugiej. I nagle zaczął tą szablą (na całe szczęście plastikową!) okładać szafę z książkami, a potem sofę. Z całej siły, a jak! I kiedy ta jego szabelka gwizdnęła mi tuż koło skroni, złapałam ją w powietrzu i powiedziałam:

– Synu, ja rozumiem, że bawisz się teraz w pana Michała Wołodyjowskiego, ale bardzo cię proszę, żebyś jednak walki toczył na terenie swojego pokoju, dobrze?

– Najpierw muszę pokonać potwora Sziraka! – wrzasnął.

– Jakiego potwora…?

– No tego z książki, którą dostałem od babci na urodziny.

– I jesteś pewien, że ten Szirak jest akurat na mojej sofie? – zapytałam, wstając.

– Widziałem go tam przed chwilą – powiedział, wywijając mi przed nosem szablą.

– Tu go widziałeś…?

– Tutaj! – Walnął z całej siły w poduszkę.

– Przestań! – krzyknęłam. – Marsz do swojego pokoju.

– Ale Szirak jest tutaj!

– Nie widziałeś, że właśnie wrócił do ciebie?

– Kiedy? – zapytał podejrzliwie.

– Przed chwilą. Sama widziałam.

– Poczekaj, tylko sprawdzę.

I wtedy mój syn ostrożnie podszedł do sofy i jednym ruchem podniósł poduszkę.

– Wiedziałem! – powiedział, uderzając z całej siły szablą w mój beret, który nie wiadomo skąd się tam wziął. – A masz, ty wstrętny potworze!

– Natychmiast przestań! – zawołałam, zabierając mój beret. – Nie widzisz, że to jest moja czapka?!

– To nie żadna czapka, tylko odwłok Sziraka. Zawsze mu odpada, kiedy się chowa.

– Posłuchaj – powiedziałam, czując, że krew odpływa mi z głowy. – Jeśli natychmiast się nie uspokoisz i nie przestaniesz walić tą szablą gdzie popadnie, to przysięgam, że dostanę wylewu i umrę. A wtedy wiesz, co się stanie?

– Co?

– Umrę i zostaniesz tylko z tatą. Tak, tak. – Pokiwałam głową.

– Z tatą…? – powtórzył syn, jakby nie dowierzając.

– No, niestety.

– Jak z tatą, to będzie super.

I tak oto w bardzo szybki sposób dowiedziałam się od mojego syna czegoś, czego wcale wiedzieć nie chciałam.

Miłego piątku wszystkim mamom!

Każda matka ma swoją grupę wsparcia

Bez tego byłoby naprawdę ciężko. Trzeba sobie znaleźć kogoś lub coś, co nigdy matki nie zawiedzie i zawsze stanie po jej stronie. Nie będzie jej oceniać ani krytykować. Od tego są mąż i rodzina. Grupa wsparcia ma podtrzymywać matkę na duchu, kiedy ten duch upada wdeptany w dywan przez stópki małoletnich, których osobiście wydała na świat.

Moja grupa wsparcia to: krem czekoladowy w słoiku i wino. Ponieważ na wino nie miałam akurat ochoty, to tym razem padło na krem. Tak. Na słodkie mam ochotę zawsze, tak już jest, niestety. W końcu trzeba się czymś ratować, no nie?

Szłam właśnie w wiadomym kierunku, zostawiwszy dzieci w salonie przed bajkami (starsza oglądała jakieś bzdety na telefonie). Powoli wycofywałam się z pokoju, na paluszkach, żeby mnie nie zauważyły, bo nie ma przecież nic gorszego, niż zostać nakrytym na podjadaniu słodyczy przez własne dzieci! Jak większość matek, wychowuję je zdrowo, to znaczy tłumaczę, że cukier szkodzi, że to biała śmierć i takie tam. No i za namową naszego dentysty staram się słodyczy nie kupować i nie znosić ich do domu. W końcu kto jak kto, ale matka musi dbać o zdrowie swoich dzieci.

A kto zadba o zdrowie matki lepiej niż krem czekoladowy? Już na samą myśl dostałam ślinotoku. Czym prędzej wpadłam więc do kuchni, by uściskać się z moim ukochanym słoiczkiem wypełnionym brązowym kremem, kiedy nagle całą moją radość zburzył widok męża.

No przecież nie będę wyjadać czekolady przy nim, bo jeszcze pomyśli sobie, że mam zaburzenia odżywiania albo depresję. A przecież nic mi nie jest, po prostu od czasu do czasu potrzebuję wsparcia kalorycznego, to chyba nie grzech? Nie miałam zamiaru się przed nim tłumaczyć, nie jestem dzieckiem i mogę robić, co mi się podoba. Mimo wszystko wolałam, żeby nie był świadkiem mojego występku i cholernie nie pasowała mi jego obecność.

– Co ty tu robisz? – wypaliłam od razu z grubej rury.

– Ale że co…? – zapytał mąż tym swoim tonem niewiniątka, bo oczywiście nie miał pojęcia, w jakim miejscu się aktualnie znajdował.

Prawda była taka, że nieświadomie wlazł na minę, która za chwilę mogła eksplodować. Nie wiedziałam, jak powiedzieć mu najdelikatniej, żeby się stamtąd jednak ewakuował.

– Po co przyszedłeś do kuchni? – zapytałam.

– Jak to po co? Po to samo, co ty.

Przez chwilę zaczęłam nawet bać się, że odkrył mój zakup, który dla niepoznaki pieczołowicie zakamuflowałam w szafce za puszką fasolki. Gdybym schowała go przy paczce z cukrem, dzieci

od razu by wywąchały i wyżarły wszystko za jednym posiedzeniem.

Już kiedyś zresztą im się to zdarzyło i przysięgam, że wolałabym nie doświadczyć tego uczucia ponownie. Moje dzieci zresztą też.

– Znowu jesteś głodny?

– Jakoś tak mnie ssie w żołądku, to chyba po tych flakach ze słoika, które dzisiaj odgrzałaś na obiad.

– To nie były flaki.

– Nie? A co to była za zupa?

– Gołąbki w sosie własnym – odpowiedziałam, zerkając na brudny słoik, który nadal stał obok zlewu i czekał, aż go ktoś wreszcie wrzuci do kosza.

– Serio? Dałbym głowę, że to flaki. Oni muszą chyba dodawać do nich te same przyprawy.

– Pewnie tak. – Pociągnęłam nosem.

Nie chciałam być niemiła, ale w tamtej chwili zależało mi bardzo na tym, żeby Piotrek jak najszybciej opuścił kuchnię. Tak się składa, że nie miałam ochoty na dyskusje kulinarne. Jedyne, o czym marzyłam, to wreszcie wbić łychę w krem czekoladowy.

– A może one były przeterminowane? – zapytał z lekkim niepokojem w głosie. – Przeterminowane dania smakują jednakowo. Sprawdziłaś, czy termin im się nie skończył?

– Nie, nie sprawdziłam – westchnęłam. – Masz tu ten słoik, to sobie sam sprawdź.

– Dzieci też to jadły? – Chwycił słoik, który cały był umazany czerwono-brunatną mazią. – Fuj, obrzydliwe to jest.

– To wyrzuć ten słoik do śmieci i będzie po sprawie.

– Poczekaj, skoro już wziąłem do ręki, to pozwól, że sprawdzę termin przydatności do spożycia.

– Po co? – Wzruszyłam ramionami. – Już i tak zjedliśmy. Okaże się w praniu, czy było warto. Już i tak tego nie cofniesz.

– Czuję, że jeszcze dałbym radę. Jest! – Ucieszył się jak dziecko, dostrzegając jakieś cyferki tuż przy zakrętce.

– No i co tam wyczytałeś?

– Niestety, napis jest tak rozjechany, że nic nie da się odczytać. A gdzie kupiłaś te flaki?

– Jak to gdzie? W sklepie kupiłam te gołąbki.

– W jakim konkretnie?

– A czy to ważne?

– Dla mnie tak.

– Posłuchaj… – Wzięłam głęboki oddech. – Nie wiem jak ty, ale ja nie bardzo mam czas na takie dyskusje nad rozlanym mlekiem. Chcesz coś z kuchni, to sobie weź, a jak nie, to zapraszam cię do salonu. Może popatrz sobie w telewizor, to ci przejdzie?

Spojrzał na mnie z góry.

– A co ty jesteś taka nerwowa dzisiaj? – zapytał, wrzucając słoik do kosza. – To już zapytać nie można o datę ważności?

– Weź mnie już nie denerwuj, dobrze?

– Dobrze, dobrze.

Odliczałam w głowie sekundy do jego wyjścia.

Tymczasem Piotrek odwrócił się do mnie plecami i otworzył szafkę, w której znajdował się mój przysmak, mój jedyny ratunek na trudne chwile i najlepsze lekarstwo dostępne od ręki w każdym spożywczaku. Boże, jak długo musiałam jeszcze czekać?! Cierpliwości uczyłam się każdego dnia.

– Po co otworzyłeś szafkę? – zapytałam go zza ramienia.

– Bo czegoś widocznie szukam.

– Czego konkretnie?

Piotrek odwrócił się do mnie.

– Co ty mnie tak o wszystko wypytujesz, dzisiaj? – Obrzucił mnie mało przychylnym spojrzeniem. – I w ogóle zdaje mi się, że masz jakieś rozbiegany wzrok. Dobrze się czujesz?

– Dobrze. Pytałam tylko, czego tam szukasz.

– Jeszcze nie wiem. Jak znajdę, to ci powiem. Musisz stać mi za plecami?

Czułam, że za chwilę wybuchnę.

– Może ja coś ci ugotuję – powiedziałam, chrząkając. – A ty sobie idź i usiądź z dzieciakami.

– Pozwól, że ja się tym zajmę, ale jeśli chcesz usiąść, to idź…

– Postoję.

– To stój. – Zanurzył głowę w szafce. – Co my tu mamy? Jest makaron…

– O, ugotuj sobie makaron. Chcesz garnek?

– Nie, dziękuję. Makaron to będzie za dużo.

– Za dużo…?

– Mam ochotę na coś na ząb.

– To może kanapki?

– A chciałoby ci się kroić? – zapytał.

– No przecież mówiłeś, że sam sobie zrobisz.

– Z kanapkami będzie za dużo krojenia… Co my tu jeszcze mamy…

Niebezpiecznie zawiesił wzrok na puszce z fasolką.

– Dobra, pokroję ci ten chleb. To z czym chcesz? – poddałam się.

– Mam! – krzyknął. – Mogłem od razu na to wpaść. Mam ochotę na fasolkę po bretońsku.

– Ale to nie jest fasolka po bretońsku… – jęknęłam, widząc, co się szykuje.

– A co to jest?

Odetchnęłam z ulgą, bo widziałam, że Piotrek nie zauważył mojego kremu, który czaił się tuż za fasolką. Na szczęście wstawiając go tam wczoraj, odwróciłam go bokiem, żeby nie walił po oczach etykietą z rysunkiem kanapki posmarowanej brązowym masełkiem, „mniam mniamek", jakby powiedział nasz syn.

– Zwykła fasolka. Bez „bretońsku".

– To nic – stwierdził. – „Bretońsku" sobie wyobrażę. Posolimy, popieprzymy, dodamy keczupu i będzie git!

Aż cmoknął głośno z tego szczęścia.

– Poczekaj, starym zwyczajem sprawdzimy datę zdatności do spożycia…

Nie byłam zachwycona jego pomysłem, bo to oznaczało oczywiście, że będzie mi się kręcił po kuchni jeszcze co najmniej przez dobry kwadrans, zanim ta nieszczęsna fasolka mu się ugotuje. O moich potrzebach, oczywiście, nikt nie pomyślał.

– Na szczęście można ją jeść jeszcze przez kolejne dwa lata! – Ucieszony już zamykał szafkę, kiedy nagle jego wzrok zatrzymał się jeszcze na czymś.

Miał taką minę, jakby zobaczył obok kaszy farbę do malowania ścian. Już było po mnie.

– A co to… jest? – zapytał powoli.

– Co takiego? – udawałam głupią.

– Ten słoiczek… – Odstawił fasolkę i wyjął mój słoik. – Czy to jest to, o czym myślę…? Sylwia!

– O Jezu, no co?

Chciałam mu wyrwać mój krem, ale szybko cofnął rękę.

– Dlaczego to tu stoi?

– A gdzie ma niby stać? Na telewizorze?

– Kupiłaś krem czekoladowy? No ale przecież jeśli dzieci zobaczą, to…

– Nie krzycz tak, bo zaraz usłyszą!

– Sylwia – powiedział, patrząc mi głęboko w oczy. – Czy ty przypadkiem nie kupiłaś tego tak wiesz, tylko na własny użytek?

– Skąd ten pomysł? – Obruszyłam się, a przynajmniej tak udawałam.

– No bo to trochę dziwne, że chowasz ten krem przed wszystkimi. To trochę nieuczciwe. Nawet nie zauważyłem, kiedy go kupiłaś.

I wtedy spojrzałam na tego mojego męża i po prostu ulało mi się jak nigdy.

– Czy ty myślisz, że ja to kupiłam dla siebie…?! – Czułam, że zamieniam się w Krystynę Jandę, stoję na scenie i odtwarzam bardzo ważny monolog, tym razem dla ekskluzywnej, bo jednoosobowej publiczności.

– A nie jest tak? – zapytał Piotrek z przekąsem.

– Idioto. Ja to kupiłam na myszy.

– Słucham…?

– Czytałam, że myszy uwielbiają czekoladę. Wystarczy posmarować pułapkę i złapią się natychmiast.

– To u nas są myszy…? Nie wiedziałem.

– Przecież mieszkamy w dużym mieście i nigdy nic nie wiadomo. Pamiętasz, jak którejś wiosny zagnieździły nam się na balkonie gołębie?

– No, sorry, gołębie to jednak nie myszy.

– Nigdy nic nie wiadomo i lepiej być przygotowanym. Zwierzęta są teraz bardziej inteligentne, niż myślisz. Taka mysz może podobno wejść po murze i dostać się do mieszkania przez otwarte okno.

– Ale my mieszkamy na szóstym piętrze!

– No i co z tego! Dla miejskiej myszy to żaden problem. Może nawet przyjechać windą i wejść razem z tobą, i nawet tego nie zauważysz. Brrrr… – Aż mną zatrzęsło na samą myśl.

– Cały słoik kremu czekoladowego dla myszy, której w życiu tu nie widziałem…

– Jesteś… – Miałam w oczach łzy wściekłości.

– Ale cię nakryłem, co?

– Jesteś beznadziejny!

Wyrwałam mu krem, który sobie (i tylko sobie!) kupiłam poprzedniego dnia, i uciekłam do łazienki. Tego już było za wiele, nawet jak dla mnie.

Zamknęłam się i usiadłam na dywaniku, ściskając w dłoniach mój ukochany słoiczek.

– Mam cię! – Cmoknęłam go i muszę przyznać, że w tamtej chwili ten szklany pocałunek był bardzo przyjemny.

Usłyszałam walenie do drzwi.

– Sylwia, wyjdź stamtąd!

– Już się za mną stęskniłeś?

– Uważam, że powinnaś się ze mną podzielić – powiedział, ściszając głos. – Nie wydam cię przed dziećmi, ale, na Boga, chyba nie zamierzasz zjeść całego słoika?!

– A dlaczego nie?

– Bo nie dasz rady.

– Chcesz się założyć?

– To niezdrowe.

– Życie w tym domu też jest niezdrowe, a popatrz, jakoś daję radę.

– Będzie cię bolał brzuch.

– Nie będzie. Mam już w tej kwestii pewne doświadczenie. – Odkręciłam wieczko, które przyjemnie pyknęło.

– Pomyśl o zębach!

– Mam dobrego dentystę. Poradzi sobie, w końcu za coś mu płacę.

Podsunęłam sobie otwarty słoiczek pod nos. Pachniał lepiej niż moje ulubione perfumy, przynajmniej w tamtej chwili.

Pod przykrywką znajdowało się jeszcze owalne pozłotko, w jakie nadal pakowane są czekolady. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego w świecie słodyczy tylko czekolada zasłużyła sobie na noszenie halki. Oprócz kartonika, który stanowił główne opakowanie, tabliczka czekolady zawsze zawijana była dodatkowo w srebrną lub złotą halkę.

Paznokciem ostrożnie podważyłam pozłotko. Czubkami palca wskazującego i kciuka chwyciłam wystającą końcówkę wieczka i delikatnie za nią pociągnęłam. Oczywiście mogłam sprofanować całą strukturę i natychmiast przebić je palcem albo łyżeczką i przyznam się, że nie raz, w chwilach desperacji, kiedy musiałam natychmiast zażyć czekolady, tak właśnie postępowałam. W łazience nie miałam jednak łyżeczki. Poza tym lubiłam delektować się tym momentem powolnego otwierania bram do

jaskini grzesznej słodkości, do tego piekła kalorycznego, od którego powinnam stronić i trzymać się z daleka. Akurat! Ciągnęło mnie do tej czekolady jak Stasia i Nel uciekających przez pustynię do kropli wody. Jak psa do kiełbasy, jak kiełbasę do grilla, jak ząbkującego niemowlaka do gryzaczka!

Ostrożnie odrywałam pozłotko od słoika, jak zwykle obiecując sobie, że jeśli zerwę je w stanie nienaruszonym, to wszystko mi się uda.

A kiedy udało mi się już zerwać wieczko, zwinęłam je w palcach i patrzyłam na to istne dzieło sztuki cukierniczej.

Uwielbiałam delektować się widokiem nienaruszonej chwilowo, gładkiej struktury kremu. Jego powierzchnia była płaska, bez najmniejszych śladów, bez kropek, kresek i dołków, które powstają w skutek grzebania w nim łyżeczką. *À propos* łyżeczki, to już jakiś czas temu odkryłam, że do wylizywania słoika najlepiej nadają się łyżki silikonowe albo jeszcze lepiej takie szpatułki, które można do woli wyginać, tak, żeby nic się nie zmarnowało. Ostatecznie, z braku narzędzi, idealnie nadają się do tego zadania palce. Kiedyś tak wyczyściłam słoik, że mogłabym sobie przyznać medal. Byłam z siebie taka dumna! Słoik wyglądał jak czysty, jak nowy. Czego to nie zrobi matka w chwili słabości. No, ale ja miałam wtedy dobry powód, bo z tego, co pamiętam, wróciłam właśnie z zebrania, na którym wychowawczyni córki poinformowała mnie nie tylko o jej wagarach, ale także o tym, że została przyłapana na paleniu papierosów za szkołą. Nigdy nie zapomnę słów wychowawczyni:

„To dziecko ma dopiero dziesięć lat i już się stacza. Co będzie dalej, proszę pani? Szkoda dziecka”. No to co miałam zrobić po powrocie do domu? Strzelić sobie w łeb czy udusić córeczkę gołymi rękoma? Z dwojga złego wybrałam krem czekoladowy, który kupiłam sobie przezornie w drodze powrotnej do domu. Wtedy też zamknęłam się w łazience, wzięłam długą kąpiel i wyjadłam czekoladę ze słoika. Tak zrelaksowana, przeprowadziłam rozsądną rozmowę z naszą latoroślą. Bez nerwów i na spokojnie, a jak! Jak chcę, to potrafię. Ale bez wsparcia ze strony czekolady byłoby słabiutko.

Piotrek zapukał znowu do drzwi łazienki.

– Czego chcesz? – warknęłam.

Mój palec zatrzymał się tuż nad gładką powierzchnią kremu, w który za chwilę miałam się wbić.

– Mam dla ciebie pewną propozycję – powiedział szeptem na wysokości dziurki od klucza.

– Co ty bredzisz?

– No przecież nie będziesz wyjadać tego szczoteczką do zębów.

– Poradzę sobie – odpowiedziałam.

– Słuchaj, obiecuję nie powiedzieć o tym znalezisku dzieciom, ale mam jeden warunek.

– Niby jaki? – Zaciekawiłam się.

– Przyniosę łyżeczki, ty mnie wpuścisz i razem załatwimy ten krem. Co ty na to?

Nie miałam pojęcia, że ojcowie też mają chwile słabości do czekolady. No cóż, nawet własny mąż bywa czasem człowiekiem. Zgodziłam się, bo zrobiło mi się go szkoda.

I tak, ramię w ramię dokonaliśmy wspólnej zbrodni, upewniwszy się wcześniej, że dzieciaki spokojnie oglądają telewizję, nieświadome grzechów, jakich dopuszczają się za ich plecami rodzice.

NA NAJGORSZE DNI NAJLEPSZA JEST MASA KRÓWKOWA

Pewnego dnia przyznałam się mamie do mojej słabości, którą, jak wiadomo, jest krem czekoladowy w słoiku.

– Ja nie wiem, jak ty sobie dawałaś radę, mamo – powiedziałam. – Przecież kiedyś nie było w Polsce czekolady.

– No nie było. Nie było też wielu innych rzeczy – stwierdziła.

– To jak wy sobie radziłyście? – zapytałam.

– Z czekoladą?

– Ja bym sobie nie poradziła, jestem tego pewna.

– Wiesz co, jakbyś była przybita do muru, to znalazłabyś sposób – powiedziała mama z uśmiechem.

– No przecież nie da się zrobić w garnku czekolady, jeśli nie ma… czekolady ani kakao!

– Ale cukier był. I mleko w proszku albo kondensowane w puszce. Co jak co, ale te składniki były zawsze, przynajmniej wtedy, kiedy wy byłyście z Iwoną małe.

– I co ty z tego robiłaś?

Mama aż oblizała usta na samo wspomnienie.

– Krówki się gotowało – powiedziała.

– Pamiętam… – westchnęłam i od razu przypomniał mi się zapach masy krówkowej.

– Gotowałam to w garnku, a potem przelewałam do naczynia, żeby zastygło. I kroiłam w kosteczki.

– Albo smarowałaś tym wafle, pamiętam!

– Ta masa tak przyjemnie przyklejała się do brzegów garnka. Skrobało się to i oblizywało łyżkę. A w gorszych momentach, które zdarzają się każdej matce – tu posłała mi znaczące spojrzenie – bywało, że nie miałam już czego studzić, bo całą masę wyjadałam od razu z garnka. Trochę parzyło w język, ale czego nie robi się dla dzieci, prawda?

– Zgadzam się.

– Dzieciom już co prawda nic nie zostało, ale przynajmniej ja byłam w lepszym nastroju. A szczęśliwa matka to…

– Szczęśliwe dziecko – dokończyłam.

– Musimy kiedyś sobie urządzić taki wieczór przy gotowaniu masy na krówki – zaproponowała mama. – Wtedy rozmawia się nawet lepiej niż przy winie.

– Nie musisz mnie do tego długo namawiać, mamo. Mogę nawet zasponsorować produkty. To kiedy się umawiamy?

PRZEPIS NA MASĘ KRÓWKOWĄ:

Do przygotowania najsmaczniejszej masy krówkowej, zwanej też kajmakową, potrzebny będzie nam tylko jeden składnik. I to jest właśnie w tym przepisie najlepsze! Owym cudownym składnikiem jest puszka mleka skondensowanego, koniecznie słodzonego! Następnie puszkę (zamkniętą!) umieszczamy w garnku, zalewamy ją wodą i gotujemy przez trzy godziny na wolnym ogniu. Sprawdzamy, czy woda się nie wygotowuje, w razie potrzeby dolewamy. Chodzi o to, żeby puszka gotowała się cały czas w kąpieli wodnej. Następnie wylewamy wodę i studzimy puszkę. Otwieramy ją dopiero, kiedy będzie zimna.

Uwaga: Nigdy nie otwieramy puszki gorącej, bo grozi to wybuchem.

Jest jeszcze jeden sposób dla tych, którzy mają coś przeciwko gotowaniu puszek. Mleko przelewamy do naczynia żaroodpornego, naczynie przykrywamy pokrywą i zapiekamy mleko skondensowane w piekarniku przez godzinę w temperaturze 200 stopni. Jest o wiele szybciej niż z gotowaniem puszki, zresztą dla chcącego i zdesperowanego nie ma nic trudnego!

Kawa czy herbata?

– Napiłbym się kawy – powiedział Piotrek zza gazety.

– Przecież dopiero wypiłeś jedną! – zawołałam. – O, nawet filiżanka jeszcze stoi na stole.

– Tak? – Zdziwił się, zerkając w kierunku pustej filiżanki. – Nawet nie poczułem, że ją wypiłem. Dziwne.

– Dziwne to jest to, że ty żłopiesz te kawy jedna za drugą bez przerwy. I widzisz, do czego się doprowadziłeś?

– No, do czego?

– Że nawet nie czujesz, że wypiłeś. Ta kofeina robi ci sieczkę z mózgu.

– Co ty pleciesz, Sylwia? Ostatnio czytałem, że kofeina ma zbawienny wpływ na mózg człowieka i w znacznym stopniu opóźnia starzenie się organizmu.

– Ciekawe, że ja czytałam to samo, tyle że na temat zielonej herbaty, która jest bardzo zdrowa. Chińczycy piją ją od tysięcy lat.

– Ale ja nie jestem Chińczykiem, na szczęście.

– Ale mógłbyś od czasu do czasu wlać w siebie jakiś zdrowy płyn, a nie w kółko tylko ta kawa. Ja piję trzy filiżanki zielonej herbaty dziennie. Co najmniej! No sam powiedz, kiedy ty ostatnio piłeś zieloną, zdrową herbatę?

– Zapamiętaj sobie, kobieto, że nic, co jest zielone, nie jest zdrowe. To wszystko to propaganda tych…

– No kogo, kogo?

– Tych koncernów produkujących jakieś świństwa i wmawiających takim jak ty, że to jest zdrowe.

– Puknij się w czoło.

– Zielona herbata jest okropna. I w smaku, i w wyglądzie.

– Super. To idź zrobić sobie kolejną kawkę, przecież to samo zdrowie.

– A żebyś wiedziała.

I jak powiedział, tak też zrobił. A nasz spór o to, co jest zdrowsze: kawa czy zielona herbata, pozostał nierozstrzygnięty.

Trzy miesiące po porodzie, a ja ciągle ryczę

Rozpaczam, bo:

- rano nie zaświeciło słońce;
- moje dziecko wyrosło z tych śpioszków w paski, które myślałam, że wystarczą co najmniej na rok;
- zaświeciło słońce, a ja muszę iść po czystą pieluchę dla Heli;
- nie mam nic na obiad;
- chociaż mam pełną lodówkę, to i tak nie wiem, co mam ugotować na obiad;
- nawet jak już ten obiad ugotowałam, to i tak nikomu nie smakuje;
- jestem beznadziejnie gruba;
- i tak mi na pewno już zostanie;
- ostatnie i najważniejsze: mąż już mnie nie kocha i chociaż mówi, że kocha, to ja jednak słyszę coś innego.

Życie nigdy nie męczyło mnie tak, jak właśnie trzeciego miesiąca po porodzie. A przecież własna matka powiedziała mi, że nie mam się co przejmować, bo to hormony i to normalne. Ale żeby tak codziennie ryczeć?! Zauważyłam, że ta rozpacz dopada

mnie najczęściej z rana, chociaż bywa, że zaczynam ryczeć też po południu. Zdarza się też wieczorem, przy podgrzewaniu mleka, przy mieszaniu chochlą w garnku z pomidorówką. Potrafię również ryczeć w poduszkę tuż przed zaśnięciem. Płaczę poza tym w nocy, wstając do dziecka. No cóż, wygląda na to, że ryczę bez względu na porę dnia, bez przerwy, jak to się mówi. Chwyta mnie wtedy coś za gardło i wyciska łzy z oczu.

Kiedyś, zanim zostałam matką, byłam tylko żoną. Wtedy też ryczałam. Ale zawsze miałam ku temu wystarczająco wiarygodny powód, tak przynajmniej mi się wydaje. Ryczało się głównie przez faceta, wiadomo. Bywały takie dni, kiedy mój ślubny doprowadzał mnie do szału, i wtedy własna poduszka była najlepszą przyjaciółką, która przyjmowała morze łez bez słowa sprzeciwu. No, ale ja wtedy miałam poważne powody do płaczu, nie to, co teraz. Teraz po prostu mam bez przerwy wilgotne oczy. Strasznie to wszystko jest głupie, bo przecież jestem szczęśliwa. Mam męża, którego kocham i który też mnie kocha, tak myślę. Jestem pewna, że mnie kocha. Kochamy się, dzieci mamy! No to dlaczego ja tak bez przerwy ryczę?

Nigdy wcześniej świat mnie tak nie bolał. Doszło w końcu do tego, że Piotrek zabronił mi oglądać wiadomości w telewizji. Dlaczego? Bo na widok scen z frontu, a przecież zawsze gdzieś toczy się jakaś wojna, wpadałam w panikę.

– Boże, Piotrek, co z nami będzie? – pytałam, patrząc w ekran, na którym jakaś matka tuliła dziecko i uciekała przed

spadającymi na nią bombami. – Co będzie z naszym dzieckiem…?

– Weź się uspokój, kobieto – mówił wtedy mój mąż.

– Jak mam się uspokoić, kiedy jest wojna na świecie. Nie widzisz?! Ślepy jesteś?

– No przecież ta wojna nie jest u nas.

– Ale może być. Żyjemy w takich czasach, że wszystko jest możliwe.

– Zwariowałaś?

– Ja się ciebie pytam, co z nami będzie? Czy tutaj, w tym bloku, jest chociaż jakiś schron? Babcia mówiła, że jak była wojna, to schodziła ze swoją mamą do schronu…

– Odbiło ci – stwierdził.

– Nic na to nie poradzę, że od kiedy Hela pojawiła się na świecie, przejrzałam na oczy.

– Właśnie widzę. – Pokiwał głową z politowaniem.

– Wiesz, ja wcześniej nie widziałam tego wszystkiego.

– Czego?

– Tego zła, które panuje na ziemi. Świat jest taki niebezpieczny. Co myśmy zrobili, Piotrek? To nie jest najlepsze miejsce do życia, zwłaszcza dla małych dzieci.

– Znasz lepsze? – zapytał z uśmiechem.

– Co my teraz zrobimy…?

– Przestań panikować – powiedział, biorąc Helenkę na ręce. – Zobacz, jakie to dziecko jest wesołe, jakie zdrowe.

– Jest wesoła, bo jeszcze nie wie, jaki ten świat jest okropny!

– Ale ona taka nie będzie. I kto wie, może to właśnie nasza córka zmieni ten okropny świat w coś lepszego?

Zastanawiałam się, skąd w nim tyle optymizmu. Chociaż, z drugiej strony, kiedy tak patrzyłam na to moje rumiane, pyzate szczęście, to przyznam, że wszelkie rozpaczliwe myśli jakoś tak mijały. Hela uśmiechała się do mnie i trzeba by było być z kamienia, żeby jej tego uśmiechu nie odwzajemnić. Fakt, potrafiła mnie chwilowo uspokoić. W takich chwilach była najlepszą tabletką na chwilowe załamanie. Aż do kolejnego wodospadu łez.

Póki co i tak miałam zakaz oglądania wiadomości i ciężkich filmów, zwłaszcza wojennych, zwłaszcza z udziałem dzieci.

Któregoś dnia po pracy mój mąż wrócił z prezentem. Postawił na stole w salonie coś, co było zapakowane w papier do pakowania i nawet przewiązane wstążką. Muszę przyznać, że się postarał. Byłam pewna, że to czekoladki, w każdym razie wielkość na to bardzo wskazywała.

– Nie otworzysz? – zapytał.

– Co tam jest?

– Sama zobacz. Pomyślałem, że bardzo ci się przyda w twoim… stanie – chrząknął.

Nie mogłam już dłużej czekać.

Podeszłam do stołu i rozpakowałam prezent, który był dla mnie równie niespodziewany co wiadomość o ciąży. Szczerze mówiąc, nadal nie mogłam uwierzyć, że mam dziecko.

– *Seks w wielkim mieście*… – przeczytałam na głos, wyjmując z opakowania płytę z filmem.

– Od razu kupiłem ci wszystkie sezony, żeby nie było.

– Myślisz, że aż tak mi będą potrzebne?

– Babka w sklepie powiedziała, że to jest najlepszy serial do oglądania po porodzie, zwłaszcza pierwszego dziecka.

– Ty z nią rozmawiałeś… o mnie?! – Spojrzałam na niego wściekłym wzrokiem.

– Wybacz, ale gdyby nie jej rady, wróciłbym tu co najwyżej z *Conanem Barbarzyńcą*. I powiem ci więcej. Ta babeczka polecała też kilka innych seriali. Jakieś *Przyjaciółki* chyba i *Plotkarę*. I chyba jeszcze *Brzydulę*.

– Widzę, że pani jest nieźle zorientowana.

– Powiedziała, że jak urodziły się jej bliźniaki, to przez pierwsze dwa miesiące obejrzała wszystkie sezony w nocy, kołysząc wózek.

– Aha.

– I że nic jej tak nie odprężało jak właśnie te seriale. Ale i tak powiedziała, że ten cały *Seks w wielkim mieście* zajmuje w jej rankingu pierwsze miejsce. No właśnie, a dużo tam seksu? – zapytał, czytając opis serialu na odwrocie opakowania.

– Jak obejrzę, to ci powiem.

– Ale cieszysz się, prawda?

– Prawda. – Skinęłam głową. – Zawsze to miło popatrzeć sobie, jak żyją normalni ludzie. I jakie mają zupełnie inne problemy.

– Kochanie, ty też jesteś normalna. I ja jestem normalny. Jesteśmy normalni. A Hela szybko urośnie i wszystko wróci na swoje miejsce.

Tylko gdzie to miejsce w ogóle było? Już zapomniałam, jak ono wyglądało.

PO PORODZIE KAŻDA MATKA NAJBARDZIEJ POTRZEBUJE SNU

Poród Filipa zakończył się cesarskim cięciem. A miało być tak pięknie! Miałam urodzić go siłami natury, tak jak Helenę. Niestety, natura spłatała mi figla. Miałam tak małe rozwarcie, że mowy nie było o wypchnięciu go na świat o własnych siłach. Poza tym tętno zaczęło mu drastycznie spadać, więc po dwudziestu godzinach moich i jego męczarni lekarze w końcu podjęli decyzję o cięciu.

– Zgadza się pani? – zapytał lekarz, pochylając się nad moim brzuchem.

– Jest mi wszystko jedno – jęknęłam, ocierając spocone czoło. – Niech to się już skończy.

– Oczywiście – powiedział lekarz. – Pani tu podpisze.

Podsunął mi pod nos jakieś kartki, na które Piotrek rzucił okiem i skinął głową.

– Podpisuj – nakazał. – Nie ma się co zastanawiać.

– To też ja się nie zastanawiam, tylko szukam długopisu!

– Proszę. – Lekarz podał mi długopis, podpisałam, co trzeba było podpisać, i zachwycona położyłam głowę na poduszce.

Potem zawieźli mnie na salę operacyjną na takim łóżku na kółkach. Piotrek szedł obok mnie.

– Nic się nie martw – mówił. – Wszystko będzie dobrze.

– Ja się wcale nie martwię. Ja już chcę mieć to wszystko za sobą.

Kiedy byliśmy już na sali, lekarz powiedział, że za chwilę da mi zastrzyk znieczulający w kręgosłup i że mam się nie ruszać, bo jak mu ten płyn poleci nie w tę dziurkę, co trzeba, to mogę być sparaliżowana od pasa w dół. I wiecie co? Było mi wszystko jedno. To jest taka chwila w życiu kobiety, kiedy mogłaby chodzić z bólu po ścianach. Gdyby ktoś wtedy zapytał mnie, czy ma mnie znieczulić, nawet jeśli potem miałabym się w ogóle nie obudzić, to strzelam, że bym się na to zgodziła. Po prostu chciałam, żeby już mnie nie bolało. No i żeby dziecku nic się nie stało, wiadomo. A że ja doznałabym jakiegoś uszczerbku na zdrowiu, nie miało wtedy dla mnie najmniejszego znaczenia. O sobie się wtedy zupełnie nie myśli. Powiem więcej, bardziej martwiłam się o Piotrka, czy przypadkiem nie zemdleje albo czy ten kawałek niebieskiego materiału, za którym mieli mnie rozcinać, nie spadnie, i czy on nie zobaczy moich kiszek. Założyli mu na głowę niebieski czepek i pozwolili, żeby siedział obok i patrzył. Straszny to był widok. Miał tak bladą twarz, że myślałam, że za chwilę zejdzie.

– Nic się nie martw – powiedziałam. – Za chwilę będzie po wszystkim.

I szast-prast, stało się.

Dziecko urodziło się zdrowe. Tak przypuszczałam, bo od razu zaczęło się drzeć wniebogłosy, a wiadomo, że to dobry znak.

Położyli mi go na piersiach, takiego czerwonego, ociekającego wodami płodowymi, przywiązanego do mnie nadal grubym sznurkiem pępowiny.

Patrzyłam na niego, na mojego synka, i nie mogłam oderwać oczu od jego maleńkiej buzi, od noska wielkości paznokcia i głowy pokrytej meszkiem. Płakałam razem z nim. Nic już mnie nie bolało, niczego nie czułam, poza szczęściem, które spadło na mnie tak niespodziewanie. Oni mnie tam na dole zszywali, a ja byłam w siódmym niebie. Tamtej chwili nie oddałabym nikomu i z nikim bym się nie zamieniła.

– Pan przecina. – Usłyszałam nad głową słowa pielęgniarki, która podawała właśnie Piotrkowi nożyczki. – Śmiało!

Piotrek wziął nożyczki w dłoń i ciachnął raz, a porządnie.

– Mam nadzieję, że nie bolało… – jęknął.

– I tak nic nie czuję od pasa w dół – odpowiedziałam.

– Pan potrzyma – powiedziała pielęgniarka, zabierając ode mnie synka i kładąc go Piotrkowi na rękach. – Teraz jest czas dla tatusia i jego syna.

– Mam syna… – powiedział Piotrek łamiącym się głosem.

– Chłop jak dąb – dodała położna. – Trzy osiemset dziesięć! No już, wystarczy, teraz pan pójdzie na korytarz, my małego umyjemy i musimy pozaszywać żonę, prawda?

– Prawda – palnął Piotrek.

I kiedy zostałam sama, tylko z lekarzami, to nagle zrobiło mi się tak strasznie zimno. Czułam się, jakby wiatr hulał mi po tych

pustych trzewiach. Miałam dreszcze, czułam się samotna i było mi strasznie źle. Na szczęście lekarze uwinęli się całkiem szybko, pozszywali, co mieli pozszywać, i zawieźli mnie na salę poporodową.

– A gdzie mój syn…? – zapytałam niepewnie pielęgniarkę.

– Proszę się o nic nie martwić – odpowiedziała. – Pani mąż się teraz nim zajmuje.

– Myślałam, że będzie tutaj ze mną, na sali.

– Pani jest po operacji, jest dziesiąta wieczorem i musi pani odpocząć. Rano przywieziemy pani dziecko.

– Dopiero rano…?

– Niech pani śpi. Pani teraz potrzebuje snu. Za cztery godziny przyniosę pani kolejną porcję leków przeciwbólowych, bo rana na podbrzuszu może ciągnąć. Dobranoc.

Co było robić, zamknęłam oczy, ale nie mogłam zasnąć. Zresztą za chwilę wwieźli na łóżku kolejną matkę i położyli ją obok mnie.

– Dobry wieczór – przywitała się.

– Dobry wieczór – odpowiedziałam sennie.

– Pani też po cesarce?

Skinęłam głową.

– Powiem pani, że marzyłam o tej chwili – powiedziała. – W domu mam jeszcze trójkę i nie mam jak się wyspać. Tutaj to ja mam królewskie warunki. Niech pani też się zdrzemnie, bo potem to sobie tylko będziemy mogły o takiej chwili pomarzyć…

Zasnęła, wypowiadając ostatnie słowo.

Do świtu nie zmrużyłam oka. Ta kobieta obok mnie tak strasznie chrapała, że nie dałam rady spać. Budzić jej też nie chciałam, bo to nie była jej wina, że chrapała. Poza tym nie miałam serca budzić matki, na którą w domu czekało troje dzieci plus noworodek. Pomyślałam, że ja nie mam aż tak okropnych warunków i jeszcze zdążę się wyspać.

Nigdzie też nie czułam takiej solidarności między kobietami, jak na sali poporodowej właśnie. Wszystkie starałyśmy się pomagać sobie nawzajem. Jeśli któraś szła do łazienki albo pod prysznic i akurat nie było jeszcze męża, to pilnowałyśmy sobie nawzajem dzieciaczków. Matki, które miały większe doświadczenie, uczyły te młodsze, jak i kiedy karmić, a także jak przystawiać pierś do ust dziecka, żeby zaczęło ssać, bo nie wszystkie dzieci miały ten odruch. Czasem trzeba było go wywołać. Przychodziły do nas pielęgniarki laktacyjne, ale miały tyle roboty, że ciężko było doprosić się o jakąkolwiek pomoc.

Filip miał wilczy apetyt. Rzucił się na mnie jak wilkołak, wbił się tymi bezzębnymi dziąsłami w moje sutki i jak już się przyssał, to puścić nie chciał. Ciągnął tak długo, aż najadł się do syta. Nie miałam problemu z laktacją, co wszyscy tłumaczyli tym, że było to już moje drugie dziecko. Nawet cesarskie cięcie w niczym nie przeszkodziło. Niestety, bardzo szybko okazało się, że wydzielam za mało mleka.

Ja i moje mleko

Karmiąca matka czuje się jak mleczarnia na kółkach. Po pierwsze, musiałam to mleko wydzielać, po drugie, musiałam dostarczać je dziecku w odpowiedniej ilości, a po trzecie, to mleko musiało mu smakować. Nie było to wcale takie łatwe zadanie.

Wszystkim wydaje się, że skoro natura dała kobiecie piersi, to oznacza, że żadnych problemów z karmieniem nie będzie. Gdyby to było takie proste, to faceci też karmiliby piersią, bo przecież sutki mają, tak? A nie karmią.

Przy Helenie miałam tak straszne problemy z laktacją, że po dwóch tygodniach nieudanych prób w końcu się poddałam i zaczęłam ją karmić mlekiem w proszku. Wydawało mi się, że tego mleka mam za mało, a ona jest ciągle głodna.

Przy Filipie sytuacja była inna, bo urodziłam go przez cesarskie cięcie.

– Pani musi karmić piersią – powiedziała pielęgniarka laktacyjna, którą wśród innych dziewczyn na sali nazywałyśmy po prostu terrorystką laktacyjną.

Bo w istocie tak było! Kobieta ta nie brała pod uwagę innej możliwości karmienia poza piersią matczyną. A mnie cały czas się wydawało, że mam wybór. Już wkrótce okazało się, jak bardzo się myliłam.

– Myślałam, że żyjemy w wolnym kraju – powiedziałam do niej już na samym początku naszej znajomości.

– To nie ma nic wspólnego z wolnością, proszę pani – orzekła. – Pani musi zrozumieć, że mleko z piersi jest naturalnym pożywieniem dla dziecka. Z piersi, a nie w proszku, jak wmawiają nam reklamy.

– Ja to rozumiem – dodałam. – Ale mleko w proszku to przecież nie trucizna!

– Ale mleko matki ma same plusy, czy pani tego nie rozumie?

– Mój syn najwyraźniej domaga się więcej, niż moje piersi są w stanie mu dać.

– Bzdura! Musi go pani częściej przystawiać, wtedy pierś będzie więcej tego mleka wydzielać.

– To też przystawiam go bez przerwy, za każdym razem, kiedy płacze.

– I bardzo dobrze.

– Ale czasem lekarze zalecają jednak dokarmianie dzieci mlekiem sztucznym…

– I to jest błąd, proszę pani. Dziecko nie może poznać smaku sztucznej mieszanki.

– Bo co? Będzie mu już moje mleko mniej smakować?

– Bo pani stanie się bardziej wygodna i zamiast przystawiać pierś, raz dwa zrobi pani mieszankę w butelce. Proszę przystawić pierś, chcę to zobaczyć.

– Może nie w tej chwili?

– No przecież dziecko płacze. Na co mamy czekać?

– My…?

– Nie ruszę się stąd, dopóki nie zobaczę, że pani karmi piersią.

Poddałam się i wywaliłam cyca, którym wycelowałam w usta Filipa.

– Ała! – krzyknęłam, zaciskając powieki z bólu.

– Początki są trudne, ale nie poddajemy się, tak?

Skinęłam głową. Było mi już i tak wszystko jedno.

Pielęgniarka siedziała jeszcze przez chwilę i patrzyła, czy wszystko robię tak, jak trzeba. Filip ssał mnie zachwycony i wszystko było jak należy.

Pokarm faktycznie się ustabilizował i wszystko jakoś poszło zgodnie z naturalnym rytmem. Karmiłam go jeszcze przez kilka miesięcy, a kiedy zaczął wcinać zupki słoiczkowe i tarte jabłuszka, odstawiłam go od piersi i zaczęłam serwować mu mieszanki mleka sztucznego. Taka okropna ze mnie matka jest!

Cały dom chodzi na paluszkach, bo dziecko śpi

Po powrocie ze szpitala Filip ryczał bez przerwy. Czy był najedzony, czy wyspany, czy z czystą pieluchą, nieważne. Ryk był na okrągło, bez względu na okoliczności. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi i co mu się nie podoba, ale doszliśmy do wniosku, że pewnie po prostu życie go wkurza.

– A może jemu się u nas nie podoba? – zapytała pewnego dnia Helenka, jego starsza siostra.

– Co ty pleciesz, dziecko? – zapytała moja mama, która przyszła z pomocą, bo już ledwie żyliśmy. – On nie zna innego domu. Musi mu się tu spodobać.

– I tak nie ma innego wyjścia – dodałam, łykając paracetamol, bo piersi tak mnie bolały, że tchu brakowało.

– W brzuszku u mamusi na pewno było mu lepiej – stwierdziła Hela. – Biedaczek.

– No, niestety. Powrotu już nie ma! – zawołałam, masując ranę po cesarce, która dopiero zaczynała się goić.

– Słuchaj, a może on ma kolkę?

– Mamo, on ma dopiero cztery doby na karku, w tym wieku nie ma się jeszcze kolek, po prostu ryczy się dla zabawy.

– A co powiedziała lekarka?

– Że nic mu nie jest i żebyśmy się nie przejmowali. Łatwo powiedzieć.

– No to skoro jest zdrowy – stwierdziła moja mama – to trzeba się do tego wycia przyzwyczaić. Nic nie poradzimy.

– Ale nam już bębenki pękają!

– To może smoczek mu kupić?

– Od smoczka wykrzywiają się zęby.

– Ale on jeszcze ich nie ma.

– Ale będzie miał i nie chcę wykrzywiać mu dziąseł.

Nie mieliśmy wyjścia. Trzeba było zacisnąć zęby i przeczekać jego wycie.

Ale się opłaciło. Bo po jakimś tygodniu nieustannego ryku Filip nagle i bez większego powodu zwyczajnie się uspokoił. I wtedy zaczęło się coś jeszcze gorszego: był okropnie wyczulony na każdy, najmniejszy nawet szmer. Wszyscy musieliśmy chodzić wokół niego na paluszkach, a najlepiej gdybyśmy fruwali, żeby go nie obudzić. I jeszcze gdyby tylko chodziło o nas samych, to znaczy o mnie i Piotrka, to dałoby się jakoś nad tym zapanować. Ale przecież w domu była jeszcze Helenka! Jak niby mieliśmy wytłumaczyć pięciolatce, że ma nie krzyczeć, nie śpiewać do swojego plastikowego mikrofonu, nie skakać na ulubionej skakance i nie oglądać głośno bajek, bo to budzi jej braciszka, który mógł spać tylko w absolutnej ciszy? No jak?! A Filip był tym rykiem wcześniejszym kompletnie wykończony i teraz, kiedy mu przeszło i pogodził się z życiem, to chciał sobie tamten czas

zwyczajnie odespać. Niestety, w naszym domu nie było to takie proste. W końcu ustaliliśmy wspólnie pewien rytm, który polegał mniej więcej na tym, że Filip spał wtedy, kiedy Helena była w szkole, to znaczy w zerówce. Miał wówczas przynajmniej kilka godzin spokoju. I spał jak król! Boże, nareszcie! Uwielbiałam na niego wtedy patrzeć, jak leżał tak sobie spokojniutko w łóżeczku! No coś pięknego po prostu! Mogłabym tak patrzeć i patrzeć bez końca. Bo każda matka wie, że nie ma nic bliższego jej sercu niż widok jej własnego dziecka, które śpi sobie spokojnie. Nie wydziera się, nie jest głodne, tylko sobie śpi. Jak na obrazku! Jak na zdjęciu. Dlaczego ten widok tak nas kręci? Bo wiemy, że za chwilę królewicz się obudzi i będzie koniec bajki. I znowu pójdzie mu w ryk!

I kiedy Filip tak sobie smaczniutko spał, cały dom chodził na paluszkach. Skubany budził się przy najmniejszym szmerze. Nie mogłam w tym czasie nic robić, bo bałam się, że nawet skrobanie marchewki wyrwie go ze snu! No więc spałam razem z nim, bo nic innego nie pozwalał mi zrobić. I w ten sposób odzyskiwałam siły utracone przy porodzie: mama śpi razem z dzieckiem, i to w każdej chwili! I nikomu nie dałam sobie tej chwili snu odebrać. Należała mi się tak samo jak Filipowi.

Kiedyś, zasypiając przy jego łóżeczku, zobaczyłam Piotrka, który trzymając dłoń przy ustach, pobiegł w te pędy na balkon. Tak mnie zaciekawiła ta sytuacja, że zwlekłam się z łóżka i na palcach pobiegłam do salonu, żeby zobaczyć, co takiego napadło

mojego męża. I co się okazało? Ano to, że Piotrek musiał wyjść na balkon, żeby się spokojnie wykaszleć. Bo przecież nie dało się kaszleć w domu, żeby Filipka nie obudzić. Nieważne, że na balkonie było wtedy jakieś minus piętnaście. Najważniejsze, żeby królewicz się nie obudził. Tak więc chodziliśmy na balkon kaszleć, chrząkać i kichać. Żeby tylko go nie obudzić. To cud, że nikt z nas się wtedy nie przeziębił!

Dlaczego to dziecko bez przerwy płacze?

Za to, że dziecko płacze, matka obwinia przede wszystkim siebie. Co się dzieje, że ono bez przerwy ryczy? Pół biedy, jeśli chodzi o głód czy zmęczenie. Wtedy wystarczy szybko zaspokoić jego potrzebę, którą jest:

A: głód;

B: brak snu i zmęczenie;

C: brudna pielucha.

Co jednak zrobić, jeśli dziecko ma wszystkie te sprawy załatwione, a nadal się drze? Nigdy nie zapomnę chwil, kiedy ryczałam razem z nim. Nie wiedziałam, co się dzieje, z czym jest mu tak źle. Brałam go na ręce, kołysałam, chodziłam z nim po pokoju, zabierałam na spacery, a on nadal wrzeszczał. Przyznaję, że na dworze płakał najmniej, więc zwiedziliśmy z wózkiem pół miasta. Odwiedziłam najdalsze parki i dzielnice, w których w życiu wcześniej nie byłam. Nie miałam innego wyjścia – skoro najlepiej zachowywał się na dworze, to trzeba było jak najdłużej z nim chodzić. Kiedyś nawet pobiliśmy rekord i do domu wróciliśmy po pięciu godzinach. W tym czasie zaliczyliśmy nie tylko parki, ale również wizyty w sklepach, w dwóch kawiarniach i nawet podeszliśmy pod bank, w którym pracuje Piotrek. Kilometry

przeszłam z tym dzieckiem, ale czego się nie robi, żeby tylko tego wycia nie słyszeć?

Po kilku tygodniach przyzwyczaiłam się, że on po prostu tak już ma. Może lubi sobie pokrzyczeć? Może płuca sobie wietrzy? Zauważyłam zresztą, że większość dzieci zachowuje się podobnie, więc kupiłam sobie zatyczki do uszu i działałam dalej.

O USTĘPOWANIU MIEJSC W AUTOBUSIE

Kiedy byłam w ciąży, to rzadko zdarzało się, żeby ktoś ustąpił mi miejsca. I wcale nie jest to wina zdziczenia obyczajów czy ludzkiej znieczulicy. Nie ustępowano mi z tej przyczyny, że mało podróżowałam środkami komunikacji miejskiej. A jeśli już nimi jechałam, to zwykle nie w godzinach tak zwanego „szczytu", kiedy miejsc siedzących było do woli.

Sytuacja zmieniła się diametralnie, kiedy już urodziłam. Zdarzało się, że musiałam zostawić dziecko pod opieką męża i ruszyć do apteki na drugi koniec miasta, bo tylko tam mieli jeszcze maść na odparzenia albo bezzapachowy płyn do kąpieli. I wtedy, jak na złość, wszyscy mi miejsca ustępowali, chociaż już wcale nie byłam w ciąży! Niestety, mój brzuch miał inne zdanie i chyba postanowił, że nadal musi być taki sterczący i wielki. No masakra jakaś.

Dla matki będącej świeżo po porodzie nie ma nic bardziej żenującego i upokarzającego, niż usłyszeć: „Proszę, niech pani usiądzie".

Ostatnia rzecz, o jakiej marzy młoda matka, to fakt, że ktoś chce ustąpić jej miejsca. To może bowiem oznaczać tylko jedno: wyglądasz, jakbyś była w ciąży. Uczucie to jest tak dobijające, że

matka woli wysiąść i przejść tych kilka przystanków piechotą, niż po raz kolejny przeżyć podobne upokorzenie.

Jesteś w ciąży! Moje gratulacje!

Poszłam do fryzjerki. To było cztery miesiące po porodzie. Pojechałam tylko na drugi koniec miasta, bo koleżanka poleciła mi to miejsce, a czułam się, jakbym odbyła co najmniej podróż zagraniczną. Wszystko mnie dziwiło, wszystko było takie inne i takie egzotyczne, nawet suszarka, którą fryzjerka kończyła suszyć włosy klientce przed mną. Czułam się bosko!

– To co będziemy robić? – zapytała, kiedy usiadłam już na fotelu.

– Mogłaby pani mi podciąć końcówki? – zapytałam, rozanielona.

– Oczywiście.

Rozłożyła mi na folię na ramionach i zaczęła rozczesywać mi mokre włosy, które pachniały balsamem.

– Gratulacje! – powiedziała, puszczając do mnie oko.

Zaskoczyła mnie, bo przecież byłam w tym miejscu raz i nie mogła wiedzieć, że mam już dziecko. Nim zdążyłam jej odpowiedzieć, zapytała:

– Ile dzidziuś ma już miesięcy?

– Cztery – odpowiedziałam z uśmiechem. – Wciąż nie mogę się przyzwyczaić – dodałam.

– To pani pierwsze dziecko?

– Nie, drugie. Ale miałam sporą przerwę i wszystko teraz przeżywam podwójnie.

– Wiadomo! Ale wszystko będzie dobrze, zobaczy pani.

– Tak, wiem. Ale sama pani wie, jak to jest. My, kobiety, boimy się o wszystko.

– Skąd ja to znam? – pokiwała głową fryzjerka.

– Wczoraj, na przykład, nie chciał zasnąć, a ja już odchodziłam od zmysłów, że coś mu jest.

Fryzjerka zatrzymała się nagle z nożyczkami nad moją głową.

– Jak to nie mógł… zasnąć? – zapytała.

– Normalnie. Nie chciał i już, dzieciom to się zdarza.

– To pani takie rzeczy… wyczuwa?

– Proszę pani, pół bloku też to czuje, niestety. On strasznie krzyczy, jak nie może spać.

– I pani go słyszy…? Przez brzuch?

– Słucham? – Spojrzałam na nią zdziwiona. – Przez jaki brzuch?

– Oj, przepraszam – zaczęła się tłumaczyć. – Ja myślałam, że pani jest w ciąży… Ale ze mnie gapa. To co? Końcówki tylko czy grzywkę też?

Do końca wizyty nie odezwałam się do niej ani słowem.

I nigdy więcej nie wróciłam do tego zakładu. I żadnej przyjemności z tej wizyty nie miałam, a wszystko przez mój brzuch, który znowu nabrał wszystkich dookoła. Tak, obcy

mężczyzna też ustąpił mi miejsca w tramwaju. Właściwie to już powinnam się do tego przyzwyczaić.

Chcę, żebyś nie żyła, mamo!

Stałam pod przedszkolem i czekałam na mojego księciunia razem z innymi matkami, które już wyciągały szyje w kierunku drzwi. To był dopiero pierwszy tydzień przedszkola, więc wiadomo, jakie były emocje.

– Nie uważa pani, że to przedszkole odbiera im dzieciństwo? – Usłyszałam od matki, która stała obok mnie.

– Słucham…? – wymamrotałam.

– One są jeszcze takie malutkie i powinny siedzieć z nami, a nie u obcych bab.

Była to, zdaje się, jedna z tych mam-kwok, która najchętniej wysiadywałaby swoje dzieci niczym pisklęta.

– No wie pani – odezwałam się. – Nam też się coś od życia należy, prawda?

– Nie bardzo rozumiem, co pani na myśli.

– Kiedy one są w przedszkolu, my możemy wreszcie zająć się sobą! – powiedziałam z wyraźnym akcentem na „wreszcie”, żeby ta babka zrozumiała, co konkretnie miałam na myśli.

– Pani nie tęskni za swoim dzieckiem? – zapytała, ale nim zdążyłam odpowiedzieć, dodała: – Bo ja strasznie, przeraźliwie, normalnie jakby mi ktoś rękę odjął.

– No widzi pani, a ja mam dokładnie odwrotnie. Czuję się doskonale.

I wtedy dzieci wysypały się z przedszkola niczym gruszki z koszyka.

Do tej pani, co stała obok mnie podbiegła, córeczka.

– Moja księżniczka! – zawołała matka na jej widok. – Moje maleństwo, no chodź już do mamusi. A wiesz, co mamusia ugotowała dzisiaj na obiadek? Placuszki z jabłuszkami, twoje ulubione!

Tymczasem mój Filip poszedł do mnie i z całej siły kopiąc mnie w łydkę, oświadczył:

– Nienawidzę cię.

– Też cię kocham, Filipku – powiedziałam, podając mu kurteczkę.

– Chciałbym, żebyś umarła.

Aż się zatrzymałam, słysząc tę mowę, która padała z ust mojego własnego dziecka.

– Chcę, żebyś nie żyła, matko! – burknął.

– Ale dlaczego…?

– Bo mnie tu przyprowadzasz! I zostawiasz na cały dzień w tym okropnym przedszkolu!

– Mówiłam pani – odezwała się ponownie mama-kwoka, zawiązując córeczce szalik tak mocno, że ta powiedzieć już nic nie mogła, choćby chciała. – Mówiłam pani, że one są jeszcze za malutkie na tak długą rozłąkę.

– Mamo, znasz tę panią? – zapytał Filip bez ogródek, jak to czterolatek.

– Tak, to jest mamusia twojej koleżanki z grupy.

Filip spojrzał w kierunku dziewczynki.

– Ach, to ta, co sika w majtki – powiedział z wyraźnym obrzydzeniem.

– Filipku! – upomniałam go głośno.

– No co, sika w majtki i jeszcze zjada własne gluty, sam widziałem!

– Boże!

– Idziemy, Marcysiu, co się tak guzdrzesz. – Mama-kwoka odwróciła się od nas na pięcie i zniknęła w tłumie innych mam i dzieci, które opuszczały przedszkole.

Pochyliłam się i pocałowałam Filipa w policzek.

– Nie musiałeś mówić tego wszystkiego tak głośno – powiedziałam.

– Ale to jest prawda!

– Wiem. Ale…

Dzieci i przekleństwa

Jak już wszystkie moje dzieciory pójdą sobie z domu i wreszcie wszyscy zostawią mnie w spokoju, i nikt nie będzie ode mnie nic chciał, to wtedy będę miała czas dla samej siebie. Będę sobie popijać martini z prawdziwego kieliszka rozszerzanego ku górze, takiego z wąską nóżką, będę trzymać tę nóżkę między palcami. Dorzucę jeszcze oliwkę, żeby było jak na filmie. I będę pić z klasą, na jaką zasługuję. Koniec kubków i filiżanek, które służą do picia herbaty i kawy! Boże, znowu będę pić jak człowiek! Boże, Boże!

A tymczasem mój syn odezwał się w piaskownicy do nowo poznanego kolegi tymi słowy: „Ty chuju”.

Małe dzieci i problemy z sąsiadami

Gdzieś tak około południa zadzwonił dzwonek do drzwi. Spojrzałam w lustro i szybko poprawiłam włosy. Niech chociaż raz ten listonosz zobaczy we mnie normalną kobietę, a nie tylko bez przerwy mało rozgarniętą matkę.

Otworzyłam drzwi z uśmiechem, który niestety szybko zbladł na widok jakiejś starszej pani. Pani miała na nogach kapcie, a nie buty, co zauważyłam od razu. Oj, nie jest dobrze, pomyślałam, bo wiadomo było, że pani ta musi mieszkać w tym samym bloku, co my.

– Słucham… – wydusiłam z siebie.

– Bardzo panią przepraszam – powiedziała kobieta oschłym tonem.

– Nie ma za co.

– Jestem państwa sąsiadką.

– Tak…? Nigdy wcześniej pani nie widziałam.

– A ja państwa owszem, i to wielokrotnie.

– Coś się stało?

– No właśnie w tej sprawie do państwa przychodzę – powiedziała.

– Słucham.

W tym czasie Filip przesuwał za moimi plecami stołek z kuchni do pokoju, bo budował właśnie wieżę obronną, a stołki nadawały się do tego idealnie.

– Ja właśnie w tej sprawie. – Sąsiadka wskazała palcem na Filipka.

– Ma pani jakąś sprawę do mojego… syna?

– Niezupełnie.

– No więc, o co chodzi?

– Widzi pani – zaczęła. – Pani syn lubi tymi stołkami szurać. Po podłodze – dodała.

– No, a po czym ma szurać? Po suficie?

– Chodzi o to, że dobrze by było, gdyby w ogóle nie szurał tak tymi stołkami.

– Proszę pani…

– Ja nie wiem, czy pani zdaje sobie sprawę, jak to się niesie po piętrach.

– Co pani powie?

– To jest taki dźwięk, że aż ciarki przechodzą po plecach.

– Nie miałam pojęcia.

– Ja oczywiście rozumiem, że pani ma małe dziecko, ja też kiedyś miałam małe dzieci, więc…

– Więc doskonale mnie pani rozumie. Cieszę się! – odpowiedziałam.

– Ja nawet coś dla pani przyniosłam – powiedziała, sięgając do kieszeni swetra. – Gdzie ja to miałam. O, jest!

Wręczyła mi jakieś niewielkie opakowanie, w którym były dwa komplety czterech kółeczek.

– Co to ma być? – spytałam rozkojarzona.

– Sama je wycięłam z filcu, który mi został z kapci. Wystarczy tylko podkleić butaprenem i przymocować do stołków. Przynajmniej nie będzie tyle hałasu.

– Ach, tak… – westchnęłam.

– Bardzo panią o to proszę. Mi już głowa pęka.

– Dobrze – powiedziałam. – Porozmawiam z mężem.

– Bardzo bym prosiła. I jeszcze te bajki, które pani syn ogląda o tym wojowniku, gdyby pani mogła mu puszczać nieco ciszej. To jest jakaś potworna bajka! A to jest w końcu pani syn…

– Do widzenia – powiedziałam stanowczo, bo tego było już za wiele.

Zamknęłam drzwi i weszłam do pokoju. W telewizorze właśnie leciała bajka o wojownikach.

– Podkręcić głośność, synku? – zapytałam.

– A mogę? – Ucieszył się. – Będzie głośno jak w kinie!

– No pewnie! Nie będzie nam tu obca baba mówić, co mamy oglądać, a czego nie. A te filcowe kółeczka niech sobie sama przyklei. Na czole!

Plan dnia

Zaprowadzić młodego do przedszkola, odwieźć córkę do szkoły, kupić rosół na obiad, wykończyć słoik kremu czekoladowego, o ile coś tam jeszcze w nim zostało, wyspać się chociaż ze dwadzieścia minut! O!

Jeśli chodzi o zakupy niezbędne młodej matce, to polecam przede wszystkim zaopatrzyć się w taką malutką silikonową szpatułkę. Będzie jak znalazł do wylizywania kremu czekoladowego ze słoika. Odkąd na rynku pojawiły się silikony, metalowe łyżeczki wymiękają. Jeszcze będziecie mi dziękować!

Po powrocie z przedszkola znowu to marudzenie i wycie. Jakby go ze skóry obdzierali. Jakby mu było źle. A wszystko dlatego, że klocek na dachu garażu jest żółty, a nie siwy. Czarna rozpacz na pół osiedla z powodu jednego klocka!

Nic tylko siąść i płakać. Albo udać się do kuchni po krem czekoladowy. Już po pierwszej łyżeczce widać światełko w tunelu. Wiem z doświadczenia.

A niech marudzi, niech sobie wyje! Przynajmniej się dotleni. No jak nic muszę udać się do kuchni po ten krem czekoladowy. Wtedy będzie mi już i tak wszystko jedno. A ten dalej wyje, jakby się kto pytał.

Jeden słoik czekoladowy mniej i wszystko wróciło na dawne miejsce. Synuś zmęczony rozwalił garaż z klocków i zasnął. Żyć nie umierać!

Dylematy każdej pani domu: Co jutro na obiad?

Pytam męża, co chce jutro na obiad.

– Jest barszcz czerwony od mamy, więc może ugotuję do niego ziemniaki i wystarczy?

Po minie już widzę, że nie bardzo mu ta opcja pasuje.

– Mamy jakieś mięso? – pyta.

– Jakie mięso?

– Czerwone najlepiej – odpowiada. – Mam niebywałą wręcz ochotę na czerwone mięso.

– Przecież jutro jest piątek – tłumaczę mu – więc nie je się mięsa, rybę się jada w piątki.

– Ale że ze względów religijnych? Od kiedy ty jesteś taka wierząca? Zauważyłem, że tylko w piątek wierzysz w te ryby.

– Ryby są zdrowe.

– Więc niech sobie zdrowo pływają w morzu czy w innym stawie.

– Ale jesteś śmieszny! Po prostu nie można jeść tyle mięsa.

– Nic na to nie poradzę, że człowiek zalicza się do gatunków mięsożernych. Nawet kształt naszych zębów na to wskazuje.

– Trochę czasu minęło, odkąd wyszliśmy z jaskini, ale widzę, że niektórzy jakby tego nie zauważyli. To co ma być jutro na obiad?

Jest barszcz… – powtarzam. – To zdrowa zupa, buraki trzeba jeść, a nie mięcho. I też jest czerwona!

– Jakoś nie mam ochoty na ten barszcz.

– To może jajko sadzone z ziemniakami?

– Czuję, że się tym nie najem.

– No to co mam ci ugotować?! Jest barszcz, mama przyniosła, to trzeba go zjeść.

– Wiesz co? To ty sobie zjedz barszcz, skoro mama go przyniosła i koniecznie trzeba zjeść.

– A ty…?

– A ja kupię sobie w drodze z pracy kebab. Tak że mną sobie głowy nie zawracaj. I wszyscy będą zadowoleni.

Czy tylko mój mąż jest taki wspaniałomyślny?

Nerwowe matki rodzą nerwowe dzieci

Taka sytuacja zastała mnie wczoraj na placu zabaw: bujałam Filipa na huśtawce, a obok mnie stała młodsza ode mnie mamusia z dwójką maluchów. Dzieci biegały, normalnie, jak to dzieci w tym wieku. I nagle jedno z nich wyrżnęło, a ta z pyskiem! Na to dziecko, rzecz jasna.

– Jak ty biegasz! – krzyknęła, – Tyle razy ci mówiłam, że masz wolniej biegać! Głuchy jesteś czy co?!

No nic, pomyślałam, że skoro tak się drze na własne dziecko, to chyba wie, co robi. W końcu to jej dzieci. Chwilę po tym zdarzeniu młodsza córka podeszła do niej i szarpnęła ją ze rękaw. A że mamusia była akurat zajęta przeglądaniem czegoś w telefonie, to ryknęła do dziecka:

– Czego?!

– Kupę mi się chce… – powiedziała dziewczynka.

– To rób! – krzyknęła do niej mamusia.

– Ale nie wiem gdzie.

– Idź sobie w krzaki i zrób!

Dziewczynka powoli odeszła w kierunku zagajnika, a mamusia dalej gały w komórkę i coś tam sobie pisała. Była w innym świecie.

A dziecko poszło w krzaki, w których przecież mógł być jeszcze ktoś. Ja nie mówię, że od razu jakiś zboczeniec, choć i tacy nadal się zdarzają. Ale mógł w tych krzakach spać, dajmy na to, ktoś bezdomny albo pijany, albo leżeć jakiś bezpański pies. No samo zło mogło tam przecież być! Ja w każdym razie obserwowałam tę matkę z bólem serca, bo wiem, że co jak co, ale nie posłałabym dziecka samego w krzaki. Ale idźmy dalej, bo to jeszcze nie koniec historii.

Otóż w czasie, kiedy dziewczynka zniknęła za krzakami, jej młodszy brat wyrwał drugiemu dziecku z rąk hulajnogę. Matka tamtego chłopczyka podeszła do niej i grzecznie zapytała, czy mogłaby zabrać swojemu synowi hulajnogę, którą sobie przywłaszczył.

– No to jak pani syn pilnuje swoich rzeczy, skoro dał sobie zabrać? – zapytała mamuśka, chowając telefon do tylnej kieszeni spodni. Oho, pomyślałam, zaraz się zacznie bitwa.

– Czy może pani zawołać swojego syna i poprosić, żeby oddał nam hulajnogę? – zapytała ponownie tamta, ignorując najwyraźniej pytanie rozmówczyni, które było zgoła bezczelne.

– Zaraz. Niech sobie chwilę pojeździ, skoro już dorwał. Chyba korona pani z głowy nie spadnie, co?

– Słucham…? – Tamta matka wyraźnie zbladła.

– Wielka mi rzecz, hulajnoga.

I wtedy mamuśka wydarła się na cały park. Syn faktycznie szybko wrócił i grzecznie oddał koledze hulajnogę.

– Tyle razy ci mówiłam, debilu, żebyś się cudzych rzeczy nie czepiał. Mówiłam czy nie?

Zamachnęła się tuż nad główką chłopca i wtedy uznałam, że tego już za wiele.

– Bardzo panią przepraszam! – krzyknęłam, – Ale chyba nie zamierza pani uderzyć tego dziecka w twarz?

– A co to panią obchodzi? – odburknęła mi. – Czy to jest pani dziecko?

– Jeżeli pani to zrobi, zadzwonię na policję.

– Nie strasz mnie, idiotko. Lepiej zajmij się własnym dzieckiem, jak nie masz co robić.

– Może mnie pani obrażać, skoro to sprawi, że poczuje się pani lepiej. Proszę bardzo. Ale nie będzie pani bić dzieci na moich oczach.

Odburknęła coś, rzuciła w moją stronę jakieś niecenzuralne słowo i odwróciła się plecami. Po chwili jej córeczka wróciła z krzaków, na szczęście cała i zdrowa. „Uff", odetchnęłam z ulgą.

Filip chciał już wracać do domu, ja zresztą też straciłam ochotę na dłuższe przebywanie w tym parku. I obiecałam sobie, że nieprędko tam wrócimy, bo nie miałam zamiaru denerwować się po raz kolejny.

Serio, wiele mogę zaakceptować, nie dziwi mnie już nic, nawet widok kobiety w ciąży z papierosem. Ale są rzeczy, na które nie zgodzę się nigdy, i jedną z nich jest przemoc wobec dzieci. Skoro tamta matka miała odwagę tak się wydzierać na swoje własne

dzieci w miejscu publicznym i miała zamiar uderzyć syna, to nawet nie chcę myśleć, co dzieje się w jej domu, w czterech ścianach. Szkoda dzieci.

Można powiedzieć, że matka, którą spotkałam na placu zabaw, była niedojrzała emocjonalnie. Tak to się ładnie nazywa. Pewnie naoglądała się dzieci w reklamach i w telewizji, a tam dzieci są zawsze uśmiechnięte, a jeśli dokuczają, to matka obraca to w żart. Rzeczywistość bywa brutalna i nie ma nic wspólnego z obrazem kreowanym przez telewizję. Oto nagle okazuje się, że dzieci mają biegunkę, bywa że przez kilka dni. Mąż, który był fajny, nagle okazuje się zupełnie innym człowiekiem. Macierzyństwo to nie film.

W drodze do domu miałam różne myśli. A może ta matka potrzebowała mojej pomocy? Może mieszka w domu pełnym przemocy i sama już nie wie, co ma robić i dokąd uciec po pomoc? Może kocha swoje dzieci, a dzisiaj miała po prostu zły dzień i tak to z boku wyglądało?

Przecież ja sama też miewałam takie dni, kiedy nie powinnam do dzieci podchodzić. Każda matka ma takie dni, kiedy przeraża nas wszystko i z niczym nie możemy sobie poradzić. Dlaczego nikt nam nie powiedział wcześniej, co mamy w takich sytuacjach robić? I jak radzić sobie z agresją, która właśnie w takich chwilach się w nas rodzi?

Doszłam do wniosku, że w szkołach rodzenia zamiast technik wypychania dziecka na świat powinni przyszłych rodziców uczyć

radzenia sobie z emocjami towarzyszącymi takim sytuacjom. Nie mam nic przeciwko szkołom rodzenia, ale od dawna wiadomo, że nawet jeśli nie uda się dziecka urodzić siłami natury, to zawsze jest wyjście przez cesarkę. A co zrobić, kiedy matka jest na granicy wytrzymałości i bije dziecko z własnej słabości i rozpaczy? Jakie wtedy jest wyjście? Wszyscy by na takich warsztatach rodzicielskich więcej skorzystali, a dzieci najbardziej.

Przyszłość narodu

Poszłam z Filipem do parku, a w drodze powrotnej wstąpiliśmy do parkowej kafejki. Filip dostał sok, którym chwilę potem się oblał, a ja zamówiłam wodę, w dodatku w butelce, bo nie miałam przecież pewności, czy syn da mi w ogóle kawę dopić.

Przy stoliku obok siedziały akurat jakieś panienki, które pochylając się nad swoimi kawusiami z mlekiem sojowym bez cukru, kątem oka spoglądały na mojego trzylatka. Ten właśnie leżał na plecach i darł się wniebogłosy, że on nie będzie tu już siedział, że chce do piasku i że jestem najgorszą matką na świecie, a następnym razem przyjdzie tu z tatą.

Tak, to są takie chwile, kiedy wiesz doskonale, co myślą tamte panienki. Ja też kiedyś znałam dzieci tylko z telewizyjnej reklamy pieluszek i też myślałam, że zawsze są uśmiechnięte. I wcale się nie dziwię, że odechciało im się mieć dzieci.

– Widzisz, co narobiłeś? – powiedziałam do Filipa, kiedy panienki już odchodziły. – Przez ciebie te panie nigdy nie urodzą ci kolegów, z którymi mógłbyś się bawić w parku.

Porywacze dzieci

Odliczałam dni do chwili, kiedy młody miał rozpocząć przedszkole.

– Pójdziesz do ludzi, to się wreszcie wszystkiego nauczysz! – Pogroziłam mu palcem. – Filip, ty w ogóle mnie nie słuchasz.

– No przecież cię słucham, mamo.

– Teraz mnie słuchasz – powiedziałam, sięgając po kurtkę. – Ale jak się do ciebie mówi, to mnie w ogóle nie słuchasz.

– Bo jest rozpieszczony! – zawołała Helena ze swojego pokoju. – I to wszystko twoja wina, mamo.

– Dzięki. Wiedziałam, że na ciebie zawsze mogę liczyć, córeczko.

– Na wszystko mu pozwalacie, to co się potem dziwisz?

– Pozwól, że własne dzieci będę wychowywać po swojemu. A ty poczekaj ze swoimi ideami, aż urodzisz własne dzieci, wtedy zobaczysz, jakie to piękne zadanie. Nie idziesz jeszcze do szkoły? – zapytałam, patrząc na zegarek. – Dochodzi dziesiąta.

– Dzisiaj nie mamy biologii, więc zaczynamy o jedenastej.

– Och, to się wspaniale składa, pójdziesz z nami do spożywczego, a potem na plac zabaw – zaproponowałam.

– Nie pójdę.

– A to dlaczego?

– Bo kończę wypracowanie. Poza tym nie mam zamiaru ganiać za tym szatanem po całym parku.

– Super. W takim razie ja będę za nim ganiać.

– No przecież to twoje dziecko!

– Mamo, możemy już iść? – Filip szarpnął mnie za kurtkę. – Gorąco mi w tej bluzie.

– Nie musisz mi mówić, czy to jest moje dziecko, czy nie! – krzyknęłam w kierunku Heleny. – Ty jesteś jego siostrą i…

– Mamo, Filip wyszedł na korytarz…

– …i korona by ci z głowy nie spadła, gdybyś od czasu do czasu pobiegała z nim po parku.

– No przecież biegam!

– Kiedy?

– Regularnie.

– Ciągle mi tylko zwracasz uwagę i się wymądrzasz. Chciałam przypomnieć, że również jesteś moim dzieckiem.

– Może byś się teraz jednak zajęła Filipem, a nie mną?

– Będziesz miała swoje dzieci, to zobaczysz!

– Mamo!

– I w ogóle to nie jest twoja sprawa. Twoja sprawa to jest słuchać i szanować rodziców!

– Filip już pewnie wsiada do windy.

– Co…?!

– Mówiłam ci, że wyszedł na korytarz, ale oczywiście wolałaś się ze mną w tym czasie kłócić!

– Boże! – krzyknęłam, wybiegając na korytarz. – Filip! Filipku!

Na szczęście udało mi się go złapać za kaptur kurtki w ostatniej sekundzie, kiedy właśnie otwierały się drzwi windy.

– Filip, tyle razy ci mówiłam!

– Wsiada pani?

Podniosłam głowę i dopiero teraz zauważyłam, że drzwi się otworzyły. W środku stał jakiś samotny mężczyzna w średnim wieku, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Co ciekawe, miał na sobie długi płaszcz, a na głowie kapelusz, co wzbudziło moje podejrzenie. No bo kto dzisiaj nosi kapelusze? Serce stanęło mi na jego widok, bo wiadomo, co każda matka ma na myśli, widząc dziecko wsiadające samotnie do windy, w której stoi kompletnie obcy mężczyzna, w dodatku w płaszczu i w kapeluszu.

– Nie – odpowiedziałam szybko. – Proszę jechać, syn właśnie uciekł mi z mieszkania.

– W takim razie proszę puścić drzwi – powiedział mężczyzna.

– Przecież ich nie trzymam.

– Ale pani syn blokuje.

– Filip! – krzyknęłam.

– Przecież mieliśmy jechać do parku… – powiedział mój syn, cały czas przytrzymując rączką drzwi windy.

– Pojedziemy inną windą… to znaczy innym razem – poprawiłam się szybko.

– Ale ja chcę teraz!

Puścił drzwi i z całym impetem wbiegł do windy, ledwo zdążyłam za nim wbiec. Drzwi zamknęły się za moim plecami i mechanizm ruszył. Odwróciłam się do tego obcego mężczyzny plecami i w duchu obiecałam sobie, że tym razem naprawdę rozszarpię własnego syna.

Winda jechała na dół, a mi z każdym piętrem złość przechodziła. Co ten szkrab zawinił? Zachowywał się w końcu tak jak większość chłopców w jego wieku.

W drodze do spożywczaka zrezygnowałam więc z planów rozszarpywania własnego dziecka na strzępy. Ale gadki wychowawczej nie mogłam mu odpuścić.

– Słuchaj no, kawalerze – powiedziałam, kucając naprzeciwko niego.

Zawsze starałam się zniżać na poziom jego oczu, odkąd usłyszałam w telewizji, że tak właśnie trzeba rozmawiać z dziećmi, żeby nas słuchały. Metodę tę stosowałam zresztą już przy Helence i, jak widać, na niewiele się zdała. Ale pozostała mi chociaż nadzieja, że u chłopca zadziała.

– Filip, posłuchaj, dobrze?

– Słucham.

– Nie wolno uciekać od mamy – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy. – Dzisiaj zrobiłeś bardzo źle. Wiesz dlaczego.

– Wiem.

– No właśnie. Mądry chłopczyk. Sam widziałeś, że w tej windzie stał jakiś dziwny pan i nie wiadomo, co mógł ci zrobić.

– Przecież nic nam nie zrobił.

– Ale nie wiesz, jak by się zachował, gdyby mamy tam nie było.

– No jak? – Mój syn zawsze interesował się nie tą częścią przekazu, na której najbardziej mi zależało.

– Mógł cię skrzywdzić, na przykład.

– Ale jak?

– Mógł cię nawet gdzieś porwać. Czytałam o takich przypadkach.

– Ale gdzie?

– W gazecie.

– Porwałby mnie w gazecie?! Super! Podoba mi się.

– Czytałam o tym w gazecie – poprawiłam się szybko. – Porwałby cię do jakiejś ciemnej piwnicy, w której byłoby bardzo zimno. Rozumiesz już?

– Tak.

– I co obiecujesz mamusi? – zapytałam z uśmiechem, bo już miałam ochotę go wyściskać.

– Że będę uciekał jeszcze szybciej…

– Słucham…? – Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– No, żeby ten pan nie mógł mnie złapać.

– Nie! Nie będziesz uciekał przed mamusią. Wtedy nikt cię od mamusi nie porwie.

Następne pół godziny spędziliśmy na placu zabaw.

Minęło kilka dni i znowu szłam z Filipem do sklepu. Czekaliśmy właśnie na windę, która w końcu nadjechała. Jakież

było moje zdziwienie, kiedy w środku zastaliśmy tego samego człowieka, w tym samym płaszczu i kapeluszu na głowie. Szarpnęłam Filipa za rękę i chciałam odwrócić jego uwagę od mężczyzny, ale niestety było już za późno.

– Mamo…? – zaczął Filip.

– Tak, syneczku?

– Czy to jest ten pan, który miał mnie porwać i trzymać w ciemnej piwnicy?

To był ten moment, kiedy miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Skąd. O czym ty mówisz, synku? – Udawałam głupią, bo i tak nic innego mi już nie zostało.

– Tak mi przecież powiedziałaś ostatnio o tym panu! – Nie ustępował Filip.

Spojrzałam na mężczyznę, o którym mówił Filip, i wyrzuty sumienia spadły na mnie nagle jak majowy grad.

– Bardzo pana przepraszam – wydusiłam z siebie.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział nasz potencjalny porywacz.

– Nie miałam pojęcia, że pan się wprowadził do naszego bloku.

– To pan porywacz będzie teraz mieszkał nad nami?

– Filip!

– Nic nie szkodzi, proszę pani – odpowiedział pan porywacz, który okazał się całkiem sympatycznym starszym panem.

– Pan rozumie, żyjemy w takich czasach, że musiałam porozmawiać z moim synem o ewentualnych zagrożeniach. Musiałam go jakoś przestraszyć, bo inaczej poleciałby…

– Prosto w ręce porywacza – dokończył mężczyzna.

– No właśnie.

– Mamo… – zaczął Filip.

– Tak, synku?

– Dlaczego ty rozmawiasz z panem porywaczem? Czy to są negocjacje?

– A skąd ty znasz takie mądre słowa, młody człowieku? – zapytał mężczyzna.

– Z telewizji – odpowiedział szybko Filip. – Pan wcale nie wygląda na porywacza.

– Filipku, pan nie jest porywaczem. – Uśmiechnęłam się.

– Nie…? – odpowiedział, wyraźnie zawiedziony. – To kim pan jest?

– Sąsiadem – odpowiedział mężczyzna.

I weź tu, człowieku, bądź mądry i ucz dziecko!

Strasznie mi było głupio wobec tego sąsiada i pewnie powinnam w ramach przeprosin zanieść mu domowy placek z wiśniami, tak jak pokazują to w amerykańskich filmach. Niestety, po pierwsze, nie umiałam takiego placka upiec, a po drugie i tak nie miałabym odwagi tego zrobić. Na szczęście już nigdy więcej tego mężczyzny u nas nie spotkałam. Dziwne, prawda?

ORGAZM PODCZAS PORODU

Dziwne? No też się zdziwiłam. Niestety, powiem od razu, że nie zaliczam się do tych szczęściarek, które w czasie porodu przeżywają podniecenie natury seksualnej. Powiem więcej: już na samą myśl o tym robiło mi się jakoś tak dziwnie. No bo gdzie jak gdzie, ale na porodówce, z nogami zawieszonymi pod sufitem i w towarzystwie wielu gapiów w postaci lekarzy i pielęgniarek po prostu nie wyobrażam sobie orgazmu. Do tego potrzebne są intymne warunki i osoba, którą się kocha. Orgazm w szpitalu?! Boże.

– Czytałam, że zdarza się to całkiem często – powiedziałam, podając wiaderko Filipowi.

Magda, moja znajoma, z którą wybrałam się tego dnia na spacer z dziećmi, poprawiła kocyk w wózku. Jej córeczka spała akurat błogim snem, więc przestawiła wózek w cień pod kasztanem i wróciła do mnie na ławkę.

– Co się zdarza, bo nie dosłyszałam? – zapytała, wachlując się gazetą, bo dzień był niezwykle upalny.

– Orgazm – powiedziałam, ściszając głos.

– Faktycznie, nawet po porodzie czasem nam się to zdarza, pod warunkiem, że w ogóle znajdziemy na to czas między wstawaniem do karmienia.

– Nie o tym mówiłam.

– Nie?

– Chodziło mi o orgazm podczas porodu.

Starsza pani, która siedziała obok nas na ławce, usłyszawszy, o czym rozmawiamy, przesiadła się na ławkę obok, a potem z bezpiecznego dystansu patrzyła na nas jakoś tak dziwnie.

– Wyobrażasz to sobie? – parsknęłam. – Leżysz rozkraczona, ze wszystkim na wierzchu, jęczysz jak zarzynane zwierzę i masz mieć orgazm…?! Czego to w tych gazetach nie wymyślą, żeby tylko zwiększyć sprzedaż.

– Tak myślisz? – spytała Magda.

– No, a co mam myśleć? – Wzruszyłam ramionami. – Sama rodziłaś, to wiesz. To jest niemożliwe.

Pomachałam Filipowi, który właśnie klepał odwrócone do góry dnem wiaderko celem zrobienia tak zwanej babki.

Magda chrząknęła.

– Nie mogę się z tobą zgodzić – powiedziała niespodziewanie.

– Słucham…?

– Nie mogę się zgodzić, bo ja akurat taki orgazm przeżyłam.

– No co ty, Magda? – Nie mogłam oderwać od niej oczu.

– No co się tak na mnie gapisz, jakbyś mnie pierwszy raz widziała?

– Bo nigdy mi o tym nie powiedziałaś!

– Bo nie pytałaś.

– No jasne, miałam się tak po prostu zapytać: „Magda, miałaś orgazm w czasie porodu”?

– Gdybyś zapytała, to musiałabym odpowiedzieć ci zgodnie z prawdą. A prawda jest taka, że miałam orgazm na porodówce.

– Nie wierzę…

– A co? – Uśmiechnęła się – Zazdrościsz mi?

– Nie – odpowiedziałam. – Znam lepsze miejsca do przeżywania takich rzeczy.

– To było ode mnie niezależne – odpowiedziała. – Tego nie da się kontrolować.

– No przecież wiem. Ale jak to w ogóle możliwe…?

– Nie miałaś nigdy orgazmu?

– Miałam! Mam nadzieję, że miałam. Ale nie na porodówce…

– Nie masz czego żałować. – Magda machnęła ręką. – To trwało tylko chwilę, ale i tak było przyjemne. I takie zaskakujące.

Jakby rozmarzyła się na to wspomnienie.

– Przynajmniej te cholerne skurcze przestały być takie bolesne.

– Serio? To już coś.

– No niby tak, ale mówiłam ci, że to trwało tylko kilka sekund.

– Ja nawet tych kilku sekund nie dostałam od losu – westchnęłam.

– Nie będziemy przecież się teraz o to kłócić, co?

– No pewnie, że nie. – Wzruszyłam ramionami. – Ale myślę, że to trochę niesprawiedliwe, że niektóre kobiety mają takie doznania, a inne nie.

– Będziesz się kłócić z losem? Niektóre matki mają grzeczne dzieci, a inne nie.

– Serio? – Uśmiechnęłam się. – Gdzie są te matki z grzecznymi dziećmi? Chciałabym kiedyś chociaż jedną taką zobaczyć.

CHOROBA W DOMU, CZYLI JESTEM PIELĘGNIARKĄ DLA WSZYSTKICH, DLA SIEBIE SAMEJ TEŻ, CHOCIAŻ DOPIERO NA KOŃCU

Najgorszemu wrogowi nie życzyłabym, żeby jego mieszkanie wyglądało tak jak moje po tygodniowej grypie. Dzieci przetrzymywane przez tydzień w domu, bez szkoły czy przedszkola, to dla domu istny kataklizm! Dla rodziców zresztą też. Ja nie wiem, jak to się dzieje, że kiedy my z Piotrkiem chorowaliśmy w czasie kiedy dzieci nie było jeszcze na tym wspaniałym świecie (to znaczy nie było na nim naszych dzieci!), to nigdy nie zostawialiśmy po sobie takiego sajgonu! Owszem, wokół łóżka zawsze walały się chusteczki higieniczne, co zrozumiałe. a dywan nie był odkurzany. Wiadomo! Nikt nie będzie się przecież zarzynał z powodu kurzu na szafce, kiedy ma się gorączkę, a z nosa cieknie jak z kranu. Tamto chorowanie było jednak niczym w porównaniu do chorowania naszych dzieci. Mam wrażenie, że wtedy byliśmy jakby w sanatorium, podczas gdy teraz mamy istne trzęsienie ziemi.

Sytuacja wygląda zwykle tak samo i przeważnie rozgrywa się gdzieś tak pod koniec września, kiedy zaczyna się szkoła, i trwa

czasami nieprzerwanie do późnej wiosny. Najpierw Filip przywleka coś z przedszkola albo Hela ze szkoły.

– Wszyscy w naszej klasie kaszlą, mamo.

„Zaczęło się”, myślę z rozpaczą, bo już wiem, co to oznacza.

Szpital w domu to inny stan świadomości. Jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym jest wtedy telewizor, ale i na niego nie da się długo patrzeć, bo spojówki zaczerwienione od kataru nie pozwalają obejrzeć w spokoju do końca nawet ulubionego serialu. Pudło chodzi jednak na okrągło, żeby chociaż w ten sposób jakoś umilić dzieciakom trudne chwile.

Za każdym razem kiedy dzieci nam chorują, a tak się składa, że zawsze chorują razem, czuję się tak, jakby sufit spadł nam na głowę. To znaczy mi, bo Piotrek jest, oczywiście, tak chory, że w niczym mi nie pomaga. Nie daje rady, biedak, tak go katar męczy. Kończy się to tym, że ja, chociaż mi też kaszel rozrywa płuca, latam od jednego łóżka do drugiego z syropem i antybiotykami. Zanim obskoczę wszystkich i właśnie zabieram się za połknięcie swoich tabletek, to już trzeba oblecieć z drugą turą każdego. Przerabiałam to już nie raz. Bywało, że w takim stanie brakowało w całym domu czystej szklanki czy talerza, wszystko lepiło się od syropów i trzeba było wzywać pomoc.

Zadzwoniłam kiedyś nawet do mamy i powiedziałam od razu:

– Czy możesz przynieść mi czystą łyżeczkę?

– Że co…? – Mama nie wiedziała, o co chodzi.

– Szpital w domu od środy, a dzisiaj piątek i ja już nie mam żadnych czystych naczyń.

– Aha.

– Nawet nie wiem, gdzie się podziały brudne, a przecież muszę czymś odmierzać te syropy. Poczekaj, chyba namierzyłam jedną!

Mój wzrok zatrzymał się na kuchennej ścierce wiszącej na haczyku przyklejonym do kafelków. I do tej ściereczki właśnie przywarła metalowa łyżeczka. Wisiała sobie w najlepsze, dyndając tak w powietrzu. Musiała być przyklejona na ten cholerny syrop albo na miód, którym karmiłam domowników, wierząc święcie w domowe sposoby na przeziębienie.

– Słuchaj, a może ja wpadnę tam do was i pomogę? – zaproponowała mama.

– Nie – odpowiedziałam stanowczo. – Dopiero miałaś zapalenie oskrzeli i nie możesz się tak narażać.

– Daj spokój.

– Mamo, nie chcę, żebyś się od nas zaraziła. Poza tym jestem uratowana, bo właśnie znalazłam łyżeczkę. Wyobraź sobie, że przykleiła się do ścierki! Że też wcześniej jej tam nie zauważyłam!

Dzieci różnie reagują na szpital w domu. Początkowo nawet się cieszą, bo przynajmniej nie muszą chodzić do szkoły, a wiadomo, jak takie wiadomości potrafią cieszyć w ich wieku! Radość znika jednak już po pierwszym dniu, kiedy okazuje się, że w domu jest całkiem nudno. Wyjść z takiej twierdzy też się nie da, bo na dworze wieje i leje, i nikt nie chce, żeby znowu coś złapały. Tak

więc jeśli już decydujemy się chorować, to dzieci muszą wiedzieć, że przez ten czas nie ma żadnego wychodzenia z domu pod żadnym pozorem, przynajmniej przez cztery dni. I to jest naprawdę straszne. Dla wszystkich.

Pół biedy jeszcze, jak jest to zwykłe przeziębienie, nawet z wysoką gorączką. Takie przeziębienie to jest nic przy trzydniówkach, które wylewają z nas wszelakie płyny, wszystkimi możliwymi otworami, jakimi w swej hojności obdarzyła nas natura. Oczywiście słyszało się co nieco o takich wirusach, co to ja, reklam w telewizji nie oglądam? Ale nigdy nie przypuszczałam, że spotka to również naszą rodzinę, i to tak niespodziewanie.

Razu pewnego rozłożył nas bowiem wszystkich na łopatki tak zwany „rotawirus". Przysięgam: to właśnie wtedy mój mąż powiedział, że nigdy nie przypuszczał, że zobaczy sceny rodem z *Egzorcysty* na własne oczy. Potwierdzam, tak właśnie było. Wirus przetrzepał porządnie każdego domownika, z góry na dół, że się tak wyrażę. Organizm jakby oczyszczał się od środka i bywało, że człowiek nie zdążył do toalety dobiec. Muszę również zaznaczyć, że w skrajnych przypadkach robiło się dwie rzeczy równocześnie i nie wiadomo było, czy ma się siedzieć na toalecie, czy nad nią pochylać. Nie pytajcie mnie, jak to przetrwaliśmy, bo sama nie wiem.

Na szczęście Filipek miał wtedy już trzy latka, więc nie trzeba było jechać z nim na pogotowie. Zadzwoniłam do przychodni i pani

wyjaśniła mi przez telefon spokojnym głosem, że po trzech dniach powinno minąć.

– Po ilu…?! – powtórzyłam z niedowierzaniem, obmyślając już w głowie plan ucieczki. – Pani wie, co tu się dzieje? Sraczka na zmianę z rzyganiem i ja mam to znosić jeszcze przez dwa dni!

– Mówię, ile zazwyczaj trwa taka sytuacja.

– Matko Boska…

– Proszę w tym czasie odpowiednio się odżywiać i przyjmować dużo płynów.

– Jakoś na nic nie mamy ochoty.

– Zwłaszcza o dzieci musi pani dbać, żeby się nie odwodniły, pani rozumie.

– Tak, dzieci są najważniejsze. – Spojrzałam na Piotrka, który biegł właśnie z Filipem do łazienki. – Wie pani co, może ja jednak wpadnę do przychodni po jakieś leki? – zapytałam z nadzieją.

– Proszę tego nie robić – odparła pielęgniarka stanowczo. – Na to nie ma żadnego lekarstwa, a tylko niepotrzebnie pozaraża pani pacjentów. To trzeba przeczekać.

– Ale jak…? – jęknęłam do słuchawki.

– Pocieszę panią, że w tej formie ten sam wirus już do państwa nie wróci.

– To on może wrócić? Niech mnie pani nawet tak nie straszy.

– Nabiorą państwo odporności i następnym razem będzie już o wiele łagodniej.

– O ile przeżyjemy tym razem. W każdym razie gdyby pisali o nas później w gazetach, to niech pani pamięta, że dzwoniłam.

– Proszę pani – westchnęła do słuchawki. – W razie pogorszenia objawów lub jeśli nie przejdzie po trzech dniach, proszę dzwonić po karetkę. Przynajmniej podłączą państwa do kroplówek.

Oczami wyobraźni zobaczyłam już całą naszą rodzinę na szpitalnych łóżkach, podłączoną do woreczków wiszących nad naszymi głowami, i aż mi się słabo zrobiło. Pożegnałam się z panią z przychodni, bo czułam, że w brzuchu już szykuje mi się kolejna dawka rewolucji. Na szczęście Piotrek z Filipem właśnie wychodzili z łazienki, bo inaczej byłoby nieszczęście, które musiałabym sprzątnąć.

I tak oto przetrwaliśmy wirusa, który zgodnie z instrukcją opuścił nas po trzech dniach. Daliśmy radę, chociaż każdy był tak wykończony, jakbyśmy rodzinnie wrócili z pola bitwy. Bo tak też było w istocie. Przeżyć coś takiego to jak wygrać wojnę.

Ale są też plusy takiego wirusa: w trzy dni schudłam cztery (!) kilo. Z wrażenia aż trzy razy wchodziłam na wagę, bo początkowo myślałam, że bateria siada albo mam coś ze wzrokiem. Czytałam, że pogorszenie widzenia może być skutkiem ubocznym wirusa. Ale nie. Z oczami wszystko było dobrze. Ja naprawdę schudłam aż cztery kilo! Nie muszę dodawać, że cieszyłam się jak dziecko. Każda by się cieszyła, no nie? Niestety, z tego szczęścia i głodu po

tylu dniach niejedzenia tak się rzuciłam na bułki z serem i z szynką, że szybciutko odzyskałam utraconą wagę, i to z nawiązką.

Dzieci też wróciły do szkoły i przedszkola. Aż do następnego wirusa, którego przywleką z placówki edukacyjnej do domu.

Królowa matka ma tysiąc talentów

Padam w tym tygodniu na twarz, jak to na wiosnę. Właśnie walczę z trzecim przeziębieniem w tym miesiącu, ale najważniejsze, że dzieci zdrowe! Wszystko mi leci z rąk, w zeszłym tygodniu stłukłam dwie szklanki i wazon, w tym tygodniu na szczęście dostało się tylko szufladzie w kuchni, której rączka została mi w… rączce. Teraz otwieram ją przy użyciu paznokci, które warto było zapuszczać. Może nawet sztuczne sobie w końcu zrobię? Teraz przynajmniej by się przydały.

Wieczorem oczy same mi się zamykają ze zmęczenia, przy czym dla jasności zaznaczę, że dla mnie wieczór zaczyna się gdzieś tak około czternastej. Zasypiam na stojąco. Najgorzej jest, kiedy już siądę na kanapie, bo wiem, jak to się skończy. Po chwili jednak Filip postanawia urządzić pobudkę i wali mnie samochodem, albo innym traktorkiem, w głowę.

– Już, już, synku. Mamusia już idzie, już leci…

A potem mąż przychodzi z pracy i niemalże od progu pyta:

– Co jest na obiad, bo strasznie głodny jestem?

I jeszcze doda, potykając się o nocnik, na szczęście pusty, że brudno tu jakoś.

Co mi w tym tygodniu wyszło najlepiej?

Wiem! W tym tygodniu całkiem fajnie narysowałam drzewo dla Heleny na plastykę. Jestem dumna.

Przecierając oczy, wchodzę do kuchni, w której muszę, no muszę (!), wyczarować coś z niczego. Tak. Bywam czarodziejką, nawet całkiem często. Wyjmuję z szafy paczkę makaronu i słoik z gotowym sosem pomidorowym i śmigam ostatkiem sił do palników. Nastawiam wodę w garnku, w drugim gotuję sos pomidorowy, to znaczy podgrzewam go tylko. I gotowe. Jeszcze tylko podam to wszystko ładnie w salonie. I mogę się założyć, że po raz kolejny usłyszę słynne:

– Znowu bez mięsa?

Dogodzić się wszystkim nie da, więc nawet nie będę próbować.

Czasem czuję się jak matka bez serca, bo ratuję moje własne dzieci z opresji, niszcząc w ten sposób im najlepszą zabawę pod słońcem.

Afera na cały sklep, bo jak śmiałam zabrać go z mokrej podłogi w sklepie, kiedy on akurat chciał się tam ślizgać?! Jestem matką bez serca, bo zepsułam dziecku rewelacyjną zabawę. Nogi by sobie połamał, ale ile przy tym radości, co nie?

A teraz będzie mi tu wył na cały sklep. I to wszystko moja wina. Moja! Stoję i zastanawiam się, czy ja w ogóle jestem gotowa na dziecko. Nawet jeśli to dziecko ma już trzy latka…

Chyba czas udać się w kierunku półek z czekoladą. No jakoś muszę się ratować.

Czasem każda matka zamienia się też w odkrywcę. Czuję się wtedy jak Newton, któremu na głowę spadło jabłko i odkrył teorię względności. Nie, zaraz, do tego doszedł Einstein, a Newton odkrył grawitację. No więc ja także mam swój udział w podobnych odkryciach. Może nie na skalę światową, ale jak na mój mikrokosmos domowy jest w sam raz. Otóż razu pewnego, kiedy Helenka miała już kilka miesięcy i spała spokojnie, wracałam do kuchni z tą jej maleńką, plastikową butelką po mleku. Stanęłam przy zlewie i myjąc tę butelkę, i potrząsając nią pod strumieniem bieżącej wody, nagle mnie olśniło. Dokonałam niebywałego odkrycia, że taka butelka to genialny sprzęt do robienia drinków. Wstrząśnięte niezmieszane smakują bombowo, co nie?

I jesteśmy w domu, mamusiu!

Najlepszy obiad, gdy nic nie ma w domu? Hot dogi ze stacji benzynowej. My mieliśmy je w naszym domowym menu już wielokrotnie. Królowa matka może i nie umie gotować, ale przynajmniej wie, jak dobre jedzonko zorganizować. I to się liczy!

Uciekłam z własnego domu

Dlaczego on, ten mój ślubny, ojciec moich dzieci, nie zna mnie wcale? Czy on nie może zrozumieć takiej prostej zasady, że po całym dniu siedzenia w domu, któryś tam już rok z rzędu w dodatku, jedyne, co mi przychodzi do głowy po jego przyjściu z pracy, to zwianie stąd? Czy on nie rozumie, że ja chcę się wyrwać z tego piekła pod tytułem „gniazdo domowe" chociaż na kwadrans? No przecież wrócę, zawsze wracam. Ale kiedy widzę go w tym garniturze, jak stoi w progu i z uśmiechem wita się z dziećmi, to ja w tym czasie mam ochotę czmychnąć za próg i zniknąć w normalnym świecie, udać się na zwiedzanie sklepów, podziwiać wystawy, podotykać sobie torebki, na które i tak nigdy nie będzie mnie stać, ale chociaż zobaczę sobie, jakbym z nimi wyglądała, gdybym przypadkiem dorobiła się fortuny!

Parę razy złapałam się na tym, że stoję w przedpokoju z uchem przyklejonym do drzwi i słucham muzyki klatki schodowej. Ta cisza tak mnie relaksuje, że mogłabym ją sobie właściwie nagrać i odtwarzać w chwilach lawiny emocjonalnej, których każda matka doświadcza średnio sześć razy w ciągu doby. No więc stoję przy tych drzwiach i czekam na dźwięk windy. Patrzę na zegarek: dochodzi piąta, czyli czas powrotu pana domu. Za chwilę Piotrek przyjdzie i zajmie się całym towarzystwem, a ja będę miała

wychodne! Jezu! Czekam na ten dźwięk, jestem już ubrana, gotowa do wyjścia, chcę rzucić się w wir życia pozadomowego, pozadzieciowego, życia, które nie zna zapachu brudnych pieluch i kaftaników, na które się ulało. Chcę znowu być tylko kobietą, a nie matką. Tak tylko na chwilę krótką.

Jest! Słyszę dźwięk windy, wskakuję w buty. Słyszę kroki zbliżające się do naszego mieszkania, słyszę głos Piotrka, który rozmawia przez telefon ze swoim szefem.

– Tak, panie prezesie. Wywiążemy się ze zobowiązań, cały nasz dział stanie na głowie…

Otwieram drzwi. Piotrek szybko żegna się z prezesem czy innym kierownikiem, i patrzy na mnie oszołomiony.

– Gdzie ty się wybierasz…? – pyta.

– Ja tylko na chwilę muszę wyskoczyć…

– Ale jak to?

– Zaraz wracam – mówię, biegnąc do windy.

– A obiad…? – woła za mną.

Zatrzymuję się, odwracam i odpowiadam mu:

– Dziękuję za troskę, ale już coś przekąsiłam w biegu.

– A ja? – pyta drżącym głosem. – Cały dzień nic nie miałem w ustach!

– No to sobie coś zrobisz, masz chyba ręce? Pa!

Wsiadam do windy, w której jedzie ze mną jakaś babka i taksuje mnie wzrokiem. Myślę, o co jej chodzi? Dopiero po chwili widzę, że mam na nogach szpilki. Niby nie ma w tym nic złego, są

nawet bardzo kobiece. Pod warunkiem, że nie zakłada się ich do rozciągniętych dresów.

Za szybko chciałam uciec i te szpilki mnie wydały. Nie ma siły, nie wyjdę tak na miasto, co najwyżej przed blok, zrobię dwa okrążenia, odetchnę, odświeżę się w tej wieczornej bryzie i wrócę na górę. Tak zrobię. Póki co to musi mi wystarczyć. A kiedy już jest po wszystkim i można odetchnąć, i znowu jest dobrze, wtedy można wracać.

Mamo, kogo kochasz najbardziej?

– Mamusiu – zapytał mnie pewnego dnia Filipek, wdrapując mi się na kolana, kiedy akurat obierałam ziemniaki na obiad.

– Tak synku? – zapytałam, wrzucając obierkę do kosza na śmieci.

– Kogo kochasz najbardziej na świecie?

– Coś przeskrobałeś? – Rzuciłam okiem na kuchenkę, ale kurki nie były ani poodkręcane, ani urwane, ani nawet ubryzgane keczupem.

– Chcem wiedzieć.

– Mówi się „chcę", a nie „chcem".

– Ale nasa pani w pseckolu mówi „chcem".

– Ale w domu mówimy „chcę". – Wrzuciłam obranego ziemniaka do garnuszka z wodą, żeby nie ściemniał mi od razu. Zauważyłam też, że bez tej skórki był jakby dwa razy mniejszy niż ze skórką. To chyba wina tego nożyka.

– No to chcę wiedzieć, kogo kochasz najbardziej, mamusiu.

– Kocham ciebie, Filipku – odpowiedziałam, posyłając mu całuska w powietrzu.

– A Helenę?

– Helenę też kocham.

– No widzisz! – Tupnął nogą.

– Dobrze, dla ułatwienia powiem tak: kocham moje dzieci.

– Jednakowo?

– Jednakowo.

Odpowiedź najwyraźniej go nie satysfakcjonowała.

– Ale kogo kochasz bardziej, mamo?

– Chyba zaczynam rozumieć, o co ci chodzi. – Skinęłam głową.

– To kogo kochasz najbardziej, mamusiu?

– Tego – pociągnęłam nosem – kto dzisiaj wkurzył mnie najmniej.

– Helena nie odrobiła lekcji, sam słyszałem.

– A ty, Filipku, kopnąłeś mnie dzisiaj w łydkę. O, tutaj. – Podciągnęłam nogawkę od spodni dresowych. – Tak że sam widzisz, jak to jest. Ja zamówiłam sobie dzieci grzeczne, które będą mnie słuchały, mnie i taty. Niestety, żadne z was nie spełnia tych warunków. Nie znoszę was obojga!

Nie wypowiedziałam tego ostatniego zdania, choć miałam je na końcu języka. Nie jestem matką bez serca. Choć pewnie na taką właśnie wyglądam.

Przemoc domowa

Poszłam do manikiurzystki. Czasem nawet matka musi wziąć się za remont samej siebie, zanim zamieni się w gruzowisko.

– A co pani ma takie posiniaczone nadgarstki? Już wiem! Kupiła sobie pani pieska? Jak mój był szczeniakiem, to strasznie nas gryzł. Ale niech pani się nie przejmuje, to mu przejdzie.

– To nie pies… – odpowiedziałam ze spokojem.

– Nie…? – Spojrzała na mnie jednoznacznie, a jej wzrok mówił jedno: przemoc domowa. – Mąż tak panią załatwił…? – spytała szeptem.

– Gorzej. Proszę sobie wyobrazić, że pogryzł mnie trzylatek. W dodatku mój własny, wyhodowany na tych oto piersiach. Pani ma dzieci?

– Nie.

– Więc niech pani sobie dobrze zapamięta ten widok, gdyby kiedykolwiek rozważała pani chęć powiększenia rodziny. Zapewniam panią, że z pieskiem jest mniej kłopotów.

Do końca wizyty nie odezwała się już do mnie ani słowem.

Rozwód, przez który przechodzę co najmniej raz w tygodniu

– I pamiętaj! – krzyknęłam za Piotrkiem. – Jeśli się rozwiedziemy, ty dostaniesz dzieci! Ja zadowolę się samochodem. Niech będzie moja strata.

Zwolnienie chorobowe dla matki

Kiedyś złapałam potworną anginę. Poszłam do przychodni i lekarz po wypisaniu antybiotyków zapytał:

– Wypisać pani zwolnienie z pracy?

– Tak poproszę – odpowiedziałam. – Przykleję je na łóżeczku i pokażę mojej szefowej, która właśnie skończyła szósty miesiąc życia. Myśli pan, że puści mnie do domu?

Nie ma nic gorszego, niż usłyszeć dźwięk telefonu tuż po położeniu dziecka do łóżeczka. Wówczas całą procedurę trzeba niekiedy powtórzyć od początku. Ale i wtedy są niespodzianki. Otóż kiedyś, wychodząc z sypialni Filipa na paluszkach, nadepnęłam na klocek Lego. Tylko ktoś, kto tego doświadczył na własnej, gołej stopie, wie, jaki to ból. W dodatku musiałam cierpieć w całkowitym milczeniu, żeby księcia nie obudzić. W takich chwilach ma się ochotę wypieprzyć wszystkie klocki z domu.

Widzieliście kiedyś kurę biegającą po podwórku z odciętą głową? Tak właśnie czułam się dzisiaj rano, kiedy mój syn oświadczył przy śniadaniu, że owszem, chce płatki i nawet je ostatecznie zje, ale pod warunkiem, że w miseczce nie będzie ani mleka, ani płatków. To wtedy je zje. Żyć nie umierać, normalnie.

Do tego dochodzą te dni, kiedy pijesz sok albo wodę z filiżanki, bo wszystkie szklanki czekają brudne w zlewie.

Nuda, która potrafi zabić matkę na śmierć

– Nudzi mi się! Mamo!

– To weź klocki.

– Ale są porozrzucane.

– To je pozbieraj.

– Nie chce mi się.

– To niech ci się chce.

– Ale mi się nie chce! – woła z pokoju. – Mamo! Nudzi mi się…

– To może poczytam ci bajeczkę.

– Nie! Nienawidzę bajeczek! Nie jestem małym dzidziusiem.

– To może porysujemy…?

– Nie! Nie!

– To może coś zjesz?

– Już jadłem.

– To może napuszczę ci wody do miski i pobawisz się w statki?

– To nudne!

– A kolejka? Przecież lubisz pociągi…

– Nie!!! – drze się.

– To może dam ci mój telefon? – pytam, chwytając się rozwiązań ostatecznych.

– Nie!!!

– Może bajkę w telewizorze?

– Nieeeeeeeeeee!!!

I wtedy wpadam na genialny wręcz pomysł. Przecież i tak układałam właśnie koszule Piotrka w szafie. Otwieram drzwi i po prostu wchodzę do środka.

– Mamo!

Powoli zamykam drzwi, zostawiając je lekko uchylone.

– Mamo! – woła nadal – Nudzi mi się!!!

Siadam w szafie. Ciemność panująca w jej wnętrzu jest jak matczyny brzuch. Czuję się bezpiecznie. Już nawet Filip mnie nie wkurza. Moja jaskinia jest doskonałym schronieniem przed własnymi dziećmi.

Po chwili przez uchylone drzwi widzę, że wchodzi do pokoju i najwyraźniej mnie szuka.

– Mamo! – nadal krzyczy.

Widzę, że wychodzi z pokoju i krąży po mieszkaniu. I nagle jego ton się zmienia.

– Mamo…? – pyta – Gdzie jesteś?

Nie odpowiadam.

Delektuję się chwilowym zniknięciem. Że też wcześniej na to nie wpadłam! Przecież każda, podkreślam, każda matka ma takie chwile w swoim życiu, kiedy najchętniej zniknęłaby w czarnej dziurze czasoprzestrzeni. I ja właśnie taką dziurę odnalazłam, co więcej, wcale nie musiałam jej daleko szukać!

– Mamo?

Głos zaczyna mu się łamać, więc ulegam, ale nie tak od razu.

Wystawiam głowę i wołam:

– Zajmij się czymś, pobaw się w coś, bo inaczej nie wracam.

– A gdzie jesteś?

– Zniknęłam, wykończona ciągłym wyszukiwaniem ci zabaw. I jeszcze się zastanawiam, czy opłaca mi się wrócić.

Początkowo Filip nie odpowiada, ale w końcu poddaje się. Po jakiejś minucie słyszę, że uruchomił kolejkę.

Zadowolona wychodzę z szafy. Filip przybiega do mnie przerażony.

– Mamo, gdzie byłaś? – pyta podekscytowany.

– To moja tajemnica – odpowiadam. – Wracaj się bawić. A potem wyjdziemy na plac zabaw.

Wychodzi wolno, nadal przyglądając mi się z lekkim niedowierzaniem. Właśnie przekonał się, że ma matkę czarodziejkę, która potrafi wszystko! I o to chodziło!

KOGO KOCHAJĄ NASZE DZIECI

– Filipku, kochasz mnie? – zapytałam, tuląc mojego syneczka przed snem.

– Tak, mamo.

– Ja też cię kocham, Filipku.

Już miałam wychodzić z jego pokoju, kiedy usłyszałam:

– Ale muszę ci o czymś powiedzieć, mamo.

– Słucham? – zapytałam, odwracając się.

– Kocham cię, ale nie tak jak tatę.

– Aha…

– Tatę kocham bardziej, a ciebie mniej, mamo.

– No trudno – westchnęłam. – Jakoś to przeżyję, chociaż wolałabym tego nie usłyszeć.

– Ale zawsze powtarzasz, że trzeba mówić prawdę.

– Fakt.

– I to jest prawda.

– Dobrze.

– Ale to się nadal liczy, prawda? – zapytał. – Bo ja ciebie cały czas kocham. Tylko tatę trochę bardziej.

– Dobranoc, synku. Zawsze będziesz dla mnie najważniejszym mężczyzną na świecie.

ŚWIAT NALEŻY DO MNIE!

Oto ja dzisiaj: mąż chrapał całą noc i ani walenie w bok, ani głośne gwizdanie nie pomogły. On wstał rano radosny jak skowronek, a ja musiałam walczyć z opadającymi powiekami, które za cholerę nie chciały się otworzyć. A nie da się żyć z dwójką kaszlących i smarkających dzieci z zamkniętymi oczami. Piotrek poszedł do tej swojej pracy cały wyprasowany i wypachniony, a ja tymczasem zostałam zamknięta w zasmarkanym domu. Bronię drzwi przed:

A: ucieczką dzieci na dwór;

B: ucieczką Filipa do Janka spod szóstki;

C: ucieczką mnie samej po krem czekoladowy, który czeka w sklepie na dole.

Dzieci kłócą się w salonie o pilota, wyrywając sobie z rąk ostatnią paczkę czipsów, jaka została w tym domu, a ja na kolanach pod stołem wydłubuję z dywanu plastelinę, która została tam wdeptana chyba zeszłej jesieni i do tej pory nikomu nie przeszkadzała. Ech!

Ale co tam! Świat należy do mnie! Będę szczyty zdobywać, jak nie dzisiaj, to najdalej jutro! Poradzę sobie ze wszystkimi problemami świata i nawet ta głupia plastelina w dywanie nie

wyprowadzi mnie tak łatwo z wewnętrznej równowagi! Nie dam się! Kto, jak nie ja?

Wstając z podłogi, uderzam się solidnie głową w stół.

– Nic ci nie jest? – pyta córka, nie odrywając wzroku od telewizora.

– Nie, nic mi się nie stało, nawet nie boli – mówię, pocierając czubek czoła.

– To dobrze. Przyniesiesz mi chusteczki z kuchni?

– A dla mnie sok – dodaje Filip. – Ten marchewkowy.

– Jasne.

Już lecę. W końcu od czegoś tu jestem, prawda?

Listonosz u drzwi

– Polecony do pani.

– Mam podpisać?

– Tutaj, poproszę.

Kątem oka zobaczyłam Filipa, który wybiegł właśnie ze swojego pokoju.

– Cześć, maluchu! – Listonosz pomachał w jego stronę. – W co się bawisz?

– Jestem potworem! – warknął. – I mam na głowie magiczną maskę, która zamieni cię w proch!

– Filip!

Odwróciłam się przerażona w jego stronę i co zobaczyłam? Wsadził sobie na głowę moje czarne stringi i latał z nimi po domu!

– Bardzo pana przepraszam… – jęknęłam w stronę listonosza.

Na szczęście zmył się szybciutko.

A ja zapadłam się pod ziemię. Kurtyna.

ROZMOWY WNUCZKA Z BABCIĄ

– Babciu, ile masz lat? – zapytał mój syn pewnego dnia moją teściową.

– Filip! – upomniałam go. – Nie pyta się kobiet o wiek. Mamo, przepraszam cię.

– Daj spokój, Sylwia, ja nie mam z tym problemu.

– Ale ja mam – jęknęłam.

– Niech dziecko pyta.

– To ile masz lat, babciu? Mogę zapytać?

– Możesz. Sześćdziesiąt trzy.

– Niemożliwe!

– Dlaczego?

– Bo tyle świeczek nie zmieściłoby się na torcie.

Innym razem mama przyszła do mnie.

– Sylwia, pójdziesz ze mną jutro na zakupy?

– A co chcesz kupować?

– Myślałam o nowym dywanie. Ten stary jest już taki zniszczony.

– Fakt.

– Babciu? – odezwał się Filip.

– Słucham cię, kochanie?

– Po co ci nowy dywan?

– Żeby było ładnie.

– Ale ty przecież i tak niedługo umrzesz – wypalił z grubej rury.

– Przepraszam cię, mamo. Ostatnio przerabiali w przedszkolu temat przemijania i starości.

– No cóż, ma trochę racji.

– Mamo!

– Babciu, a ty już wiesz, kiedy umrzesz?

Myślałam, że go zastrzelę.

– Nikt tego nie wie, Filipku.

– A jak byś chciała, babciu?

– Chciałabym szybko. I żeby nie bolało.

– To umieranie może boleć?

– Czasem boli.

Życie też czasem boli. Zwłaszcza jak się ma pod nosem mało taktownego czterolatka, który nie boi się zadawać żadnych pytań. Ratunku! Czułam, że to jeszcze nie koniec. I nie myliłam się.

– Ale nie martw się, babciu – dodał Filip na dobicie.

– O co mam się nie martwić?

– Jak już umrzesz, to zrobimy z mamą wielką, wypasioną stypę.

Mamo, gdzie ja byłem, kiedy mnie nie było?

– Mamo, gdzie ja byłem, kiedy mnie nie było?

– Byłeś w niebie, kochanie.

– I co tam robiłem?

– Przygotowywałeś się do zejścia na ziemię. Najpierw zamieszkałeś w moim brzuchu.

– Tak jak Helenka wcześniej?

– Tak samo.

– Ale moja siostra urodziła się przede mną?

– Tak. I to wiele lat wcześniej.

– I co robiła Helena, jak mnie nie było na świecie?

– Czekała na ciebie. Wszyscy na ciebie czekaliśmy, kochanie.

– I co było dalej?

– Rosłeś w moim brzuszku, rosłeś, aż w końcu zrobiło się tam dla ciebie za ciasno…

– A czym ja tam oddychałem?

– Tym samym powietrzem, co ja. W brzuchu mamy wszystko jest tak zorganizowane, że dziecko czuje się tam bardzo dobrze.

– Ale w brzuchu u ciebie czy u każdej mamy?

– U każdej. Nie jestem jakaś nadzwyczajna w tej kwestii. Ale mam szczęście. Wiesz dlaczego?

– Nie.

– Bo mam najsłodszego, najcudowniejszego synka pod słońcem. A nie każdemu się tacy trafiają.

– Tak? A zawsze mówisz, że jestem taki niegrzeczny i że wcale nie jestem cudowny.

– Bo czasem nie jesteś. Sam dobrze o tym wiesz. Ale i tak kocham cię najmocniej na świecie.

– Ja ciebie też, mamusiu. I tatę.

– I Helenę – podpowiedziałam.

– No dobra, niech ci będzie. Helenę też.

Nie jestem już dzieckiem!

Ten dzień, w którym dowiadujesz się o sobie czegoś, o czym nie miałaś bladego pojęcia. Boli tym bardziej, że padło z ust własnego dziecka.

– Jesteś najgorszą matką na świecie.

– Bo co? Bo nie pozwoliłam ci pomalować ust moją czerwoną szminką?

– Tylko tak potworna matka jak ty mogła mi to zrobić.

– Przecież idziesz do kina, a nie na bal przebierańców. Poza tym, dziecko, masz dopiero dziesięć lat!

– Nie jestem już dzieckiem!

– Dorosła też jeszcze nie jesteś. I nie będziesz się malować!

– To kiedy mam to robić? Może wtedy, kiedy będę taka stara jak ty? Nigdy!

Mama jest od wszystkiego

I tylko mama zrobi to najlepiej. Nikt inny!

Biegnie do mnie, przerzucając gorącą frytkę z jednej rączki do drugiej. W końcu kładzie mi ją przed nosem z pytaniem:

– Podmuchas mi, mamusiu?

No pewnie, że podmucham! Mama to najlepszy lekarz na świecie. Boli? Daj, pocałuję albo podmucham. I już nie boli.

Zaginięcie ulubionej przytulanki

Ulubiona misia Pysia. Każde dziecko, no, prawie każde, ma w pewnym wieku fiksację na swoją ulubioną przytulankę. I choćby to był szarak z marnej jakości bawełny, w dodatku najtańszy z supermarketu, to jeśli właśnie na niego padnie bycie ulubionym, tak już zostanie. Matki dobrze wiedzą, o co w takiej przytulance chodzi. Jest to namiastka domowego komfortu, bezpieczny zapach, który ułatwia dziecku adaptację w nowych warunkach. Taki pluszak doskonale się sprawdza podczas pierwszych dni w nowym przedszkolu i jest idealny do podróży w nowe miejsce, zwłaszcza długiej. Okazuje się też świetnym towarzyszem zabawy podczas wizyty u nudnej dla dziecka cioci, której mieszkanie nie ma nic ciekawego do zaoferowania. Ulubiona przytulanka zastąpi wszystkie zabawki. Bywa też tak, że dziecko nie umie zasnąć bez swojej ulubionej misi, tak jak było to w przypadku naszej córki.

Helenka upatrzyła sobie taką misię, której nadaliśmy imię Pysia, bo to akurat przyszło nam do głowy. I tak pluszak, po pierwsze, zyskał płeć, bo okazało się, że jest dziewczynką tak jak Helena, a po drugie, od tej chwili stał się czymś więcej niż zwykłą zabawką. Zawsze miał swoje honorowe miejsce, nie tylko w jej pokoiku, ale również w jej sercu. Misia Pysia dostawała najlepsze kawałki ciasta do spróbowania jako pierwsza! Pajacyk i

plastikowa lalka musieli poczekać na swoją kolej, misia Pysia zawsze miała pierwszeństwo. Misia Pysia spała z Helenką i trzeba tutaj zaznaczyć, że była jedyną zabawką, którą spotkał ten zaszczyt. No, ale misia Pysia to przecież nie zwykła zabawka. To ktoś znacznie lepszy. Nie muszę dodawać, że misia Pysia wyruszała z nami we wszystkie podróże, zarówno te większe, na przykład na wczasy do Chorwacji, jak i te małe, do osiedlowego supermarketu. Helena pakowała ją wtedy w plastikowy wózek i dumnie pchała po chodniku. Była przy tym taka szczęśliwa, że aż miło popatrzeć.

I pewnego razu stało się nieszczęście. Podczas wyjazdu nad jezioro, które położone było jakąś godzinę jazdy samochodem od naszego domu, misia Pysia zawieruszyła się gdzieś i przepadła. O wszystkim dowiedzieliśmy się, oczywiście, już w domu, kiedy rozpakowaliśmy ręczniki i składane fotele oraz dmuchane materace.

– A gdzie moja misia Pysia? – zapytała Helena, ziewając, bo dzień chylił się wreszcie ku końcowi.

– Tam, gdzie ją spakowałaś – odpowiedział Piotrek, wciskając do szafy gumowe naramienniki, w których pływała Helenka i z których nie spuścił powietrza.

– Ale tu jej nie ma. – Rozłożyła bezradnie rączki, zerkając do swojego małego słomkowego koszyka.

– Poszukaj dokładniej – powiedziałam, rozglądając się po całym bajzlu, który właśnie wylądował w naszym przedpokoju.

Wszędzie było pełno piachu, skóra na plecach piekła nas od słońca i jedyne, o czym wtedy marzyłam, to relaks przed telewizorem z balsamem do skóry w jednej dłoni i kieliszkiem wina w drugiej.

– Nie ma! – krzyknęła Hela. – Nie ma mojej Pysi!

– Jak to nie ma? – zapytał Piotrek, który w tej świeżej opaleniźnie zaczynał niebezpiecznie przypominać jaskiniowca.

– Poczekaj, sprawdzę w moim koszyku!

Otworzyłam tym razem mój koszyk plażowy. Niestety, poza wilgotnym strojem do pływania, książką (również w połowie wilgotną, niestety!), kluczami do mieszkania, telefonem, chusteczkami, tubką kremu do opalania i ręcznikiem nie było nic.

Miałam ochotę zgłosić jej zaginięcie na policji, żeby tylko się znalazła!

Czułam, jak zimny dreszcz przebiega mi po plecach. Szybko spojrzałam na Piotrka, który też miał nietęgą minę.

– Wygląda na to, że…

– Tylko mi nie mów – oparł się plecami o szafę – że będę musiał zapieprzać z powrotem nad to cholerne jezioro…?

– Na to wygląda, niestety – westchnęłam.

– No ale jak to się mogło stać?! Przecież pakowałaś wszystko, tak?

– A ty nie mogłeś spojrzeć?

– Patrzyłem. Ale byłem pewien, że masz wszystko pod kontrolą.

– Bo miałam! Jak widzisz, wszystko spakowałam: ręczniki, stroje, kremy, nawet kółka dmuchane…

– Wiesz, gdzie możesz sobie te kółka teraz wsadzić?

Piotrek był wściekły, ja zresztą też. Helena stała oszołomiona pod lustrem.

– Gdzie jest moja Misia…? – zapytała ze łzami w oczach.

– Zaraz ją znajdziemy, nic się nie martw – powiedział Piotrek.

– Chyba została nad jeziorem, ale tatuś zaraz pojedzie i nam ją przywiezie.

– Po nocy mam jechać…?!

– To moja Misia będzie spać w nocy nad jeziorem?! Na ziemi?!

– Kurde, no przecież nie będę znowu jechał godzinę w jedną stronę i godzinę w drugą! Zwariowałaś?! – Gdyby potrafił zabijać wzrokiem, to w tamtej chwili już bym nie żyła.

– Masz lepszy pomysł? – zapytałam. – Przecież ona nie zaśnie bez misi Pysi.

– No właśnie, ja nie zasnę, tatusiu. – Wygięła usta w podkówkę, a to oznaczało, że tatuś już jej niczego nie będzie w stanie odmówić.

Czasem zazdrościłam Helenie tego triku, bo sama chciałabym mieć taką moc. Piotrek wziął głęboki oddech, sięgnął po kluczyki do samochodu i zszedł na dół bez słowa.

– No widzisz – powiedziałam, kiedy zostałyśmy same – za dwie godziny tata będzie z powrotem z twoją Misią. Nic się nie martw.

Uspokojona Helena pobiegła do swojego pokoju.

Ja jednak wcale nie byłam spokojna. Przecież Piotrek mógł jej wcale nie znaleźć. Mogło zabrać ją jakieś dziecko, któremu akurat nasza maskotka wpadła w oko, mogli wyrzucić ją do śmieci, słowem: mogło stać się absolutnie wszystko. Wszystko, co najgorsze, oczywiście. Istniała też mała iskierka nadziei, że Misia znajdzie się i wszystko będzie dobrze.

Tymczasem poszłam do kuchni nastawić wodę na herbatę.

Po jakichś pięciu minutach od wyjścia Piotrka z domu usłyszałam przekręcanie klucza w zamku. Tylko mój mąż miał do nich klucze.

– Nie mów, że się rozmyśliłeś…? – Spojrzałam na niego załamana – Przecież ona nie zaśnie…

– Zaśnie, zaśnie – powiedział ze spokojem.

I dopiero teraz wyprostował rękę, którą cały czas miał za plecami.

– Gdzie była?

– Wyobraź sobie, że pod samochodem.

– Musiała wypaść, kiedy wysiadaliśmy. – Pokiwałam głową.

– Całe szczęście, że poszedłem sprawdzić bagażnik przed wyjazdem. Tłukłbym się tam tylko niepotrzebnie.

– Moja Misia! – zawołała Helena, wybiegając ze swojego pokoju. – Tato, jesteś najlepszym tatusiem na świecie!

Rzuciła się Piotrkowi na szyję.

– No, proszę – powiedział. – Opłaciło się jechać taki kawał, żeby usłyszeć takie słowa od własnej córki. – Puścił do mnie oko.

Ale kiedy Helena poszła spać, ja przez pół nocy szukałam w internecie drugiej misi Pysi.

– Po co nam druga…? – Zdziwił się Piotrek, widząc, co robię.

– Na wszelki wypadek – odpowiedziałam. – Nie chcę przeżywać podobnych chwil po raz drugi. Pomyśl tylko, kupimy drugą maskotkę, dokładnie taką samą, i schowamy gdzieś w domu na czarną godzinę. Sprytnie to wymyśliłam, co?

– W sumie, niegłupie.

Trochę czasu mi to zajęło, ale w końcu udało mi się namierzyć sklep, który na szczęście miał jeszcze w swojej ofercie pluszaki kropkę w kropkę jak misia Pysia. Na wypadek gdyby nie mieli, przygotowałam plan awaryjny: szukanie misiów na aukcjach, tylko że wtedy kosztowałoby nas to znacznie więcej. Na szczęście szybko zamówiłam maskotkę i po pięciu dniach paczka przyszła, tak jak obiecali. Rozpakowałam zabawkę i stwierdziwszy, że nie różni się absolutnie niczym od naszej misi Pysi, schowałam ją do szafy na półkę z pościelą, czyli tam, gdzie Helena nigdy nie zagląda.

Minęło kilka tygodni od tamtej sytuacji i wszystko wróciło do normy. Aż pewnego dnia Helena wpadła na pomysł, żeby w swoim pokoju pobawić się w pustynię.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz przynieść do mieszkania piasku z piaskownicy…? – zapytałam z lekkim przerażeniem.

– A mogę?

– Nie. Nie możesz.

– W takim razie potrzebne mi będą białe prześcieradła – odparła rezolutnie. – Przykryjesz mi nimi łóżko i podłogę i będę się bawić, że to jest pustynia!

– Na prześcieradła mogę się zgodzić – odpowiedziałam, otwierając szafę.

Jednym ruchem wyciągnęłam z niej kilka prześcieradeł, a nawet jedną poszewkę na kołdrę, którą zamierzałam położyć na stolik.

I wtedy, zupełnie niespodziewanie, z szafy wypadła zapasowa misia Pysia. Nie zdążyłam jej zabrać. Bystre oczy mojej córki szybko ją wychwyciły. Podbiegła do pluszaka, podniosła z ziemi i zapytała:

– Co tutaj robi moja misia Pysia? Przecież miała czekać na mnie na łóżku, aż wszystko przygotuję do naszej pustynnej przygody.

– Helenko, posłuchaj… – Podeszłam do niej.

– A może to nie jest moja misia…?

– Jest! To znaczy, nie jest…

Helena szybko pobiegła do swojego pokoju, z którego wróciła z misią Pysią. Muszę przyznać, że nie dała mi zbyt wiele czasu do namysłu, a przecież musiałam za chwilę wszystko jej jakoś wytłumaczyć. Boże! Ratunku!!!

– Mamo, co w twojej szafie robiła siostra mojej misi Pysi? – zapytała nagle.

– No właśnie… – jęknęłam. Właśnie nie mam pojęcia.

W myślach przeklinałam mojego męża, którego, przysięgam, nigdy nie ma wtedy, kiedy jest naprawdę potrzebny!

– Mamo, czy możemy ją zatrzymać?

– Oczywiście. – Pociągnęłam nosem, wściekła na siebie – Przecież jej nie wyrzucimy, prawda?

– Super! Misiu Pysiu – zwróciła się do starej maskotki. – Będziesz miała siostrzyczkę, będziemy się razem bawić!

Już w podskokach wracała zachwycona do swojego pokoju, trzymając w rękach obydwie misie, kiedy nagle odwróciła się i spytała:

– A wiesz, mamusiu, że teraz będziemy musieli wszystko dokupić, prawda?

– Wszystko? – powtórzyłam. – To znaczy, co?

– Druga misia musi dostać osobne łóżeczko i plecak. Przydałyby się jej też inne sukienki. Nie mogę jej przecież ubrać w te stare.

– Aha…– jęknęłam. – Kupimy, wszystko kupimy.

– Ale super! Teraz będę zabierała na wyjazdy obie misie! Będą z nami wszędzie podróżować!

– Już nie mogę się doczekać…

Usiadłam zrozpaczona na sofie.

Nie mogłam sobie podarować, że tej cholernej misi nie zapakowałam chociaż w pudełko. Cały plan legł w gruzach. Zamiast zabawki w ewentualnym zastępstwie doszedł nam tylko

dodatkowy kłopot do pilnowania. No przecież jakby teraz się zgubiły, to trzeba będzie odkupić obie!

Tak właśnie sobie ułatwiłam zadanie wychowawcze. Mogłabym siebie zrugać, ale nie wiedziałam, jaką miałabym sobie przyznać karę. Może zakaz sięgania po krem czekoladowy do końca tygodnia? Nie, nie można być tak okrutnym, zwłaszcza wobec samego siebie. Czułam, że po ten krem z czekolady zmuszona zaistniałą sytuacją będę musiała sięgnąć jeszcze tego samego dnia. Ostatecznie nie wybrałam dla siebie żadnej kary. Byłam tylko wściekła na Piotrka (na kogoś w końcu trzeba być!), że nie odwiódł mnie od tego pomysłu wcześniej.

Zgadnijcie, co się stało z tymi misiami po latach: Helenka już dawno z nich wyrosła, a mimo to nadal stoją na półce, obok książek. I pewnie długo tam jeszcze posiedzą, jako jedne z ulubionych pamiątek z dzieciństwa.

Widzę, że sobie pani nie radzi...

Rozpacz na cały, kuźwa, park, bo w ciastku były rodzynki. A jak już mu przeszło i pogodził się ostatecznie z tym ciastkiem, to znalazł sobie kolejny powód. Tym razem położył się na płasko przy śmietniku i w ryk, że on nie będzie wracał do domu, bo jeszcze nie czas. I dyskutuj z takim, zwłaszcza pod czujnym okiem mijających nas babć, których o tej porze dnia jest spory wysyp. A niech to diabli wezmą! Po co mi to było do szczęścia potrzebne? Co mi odbiło, żeby drugi raz wchodzić do tej samej rzeki? Dlaczego nie wystarczyło mi tylko jedno dziecko? Ale nie, znowu mi się tych pieluch zachciało, no to teraz mam za swoje! Jak nic, w tych warunkach nie dożyję pięćdziesiątki. Co ja mówię, nawet czterdziestka mi nie grozi! Zejdę na zawał przez trzyletniego gnojka i opiszą mnie w gazetach! A on, mój własny synalek, będzie miał mnie na sumieniu do końca życia.

– Wstawaj natychmiast z ziemi! – krzyknęłam.

– Nie!!! – rozdarł się na całego. Miałam wrażenie, że przed szeroko otwarte usta widzę jego żołądek.

– W takim razie ja idę do domu, a ty sobie tu leż.

– To sobie idź!

– No to pa!

Obróciłam się na pięcie i ruszyłam przed siebie. Tylko patrzeć, aż pojawią się jakieś panie, gotowe do zwrócenia mi uwagi. Bo tak się dziwnie składa, że te babcie, czasem bardzo młode babcie, czują się w obowiązku wychowywać wszystkie matki w naszym parku! Dzieciom nigdy nie zwracają uwagi, bo wiedzą, że to i tak się nie opłaci. Lepiej upokorzyć biedną matkę, co nie?

Długo nie musiałam czekać. Ja nie wiem, jak to się dzieje, że zawsze w takich, nazwijmy to, awaryjnych sytuacjach, babcie wtrącalskie wyrastają jakby spod ziemi, czasem nawet stadami, a wtedy wiadomo, że żadna matka, nawet najbardziej pyskata i wytrzymała psychicznie, jest bez szans.

– Widzę, że sobie pani nie radzi – zwróciła się do mnie obca kobieta, którą pierwszy raz na oczy widziałam.

I to nie było pytanie, skąd! To było twierdzenie. „Pani sobie nie radzi!”. Twierdzenie podobne do twierdzenia Pitagorasa czy innego Sokratesa. Założenie, z którego jasno wynikała określona treść. Nawet nie chciało mi się jej odpowiadać, przynajmniej na początku. Zresztą i tak byłam zmasakrowana psychicznie przez mojego syna, więc pomyślałam sobie, że już nic mnie nie dobije. A niech sobie baba używa do woli. Pewnie i tak nie ma się do kogo odezwać, skoro prowokuje rozmowy z obcymi!

– Z dziećmi trzeba krótko i konkretnie, proszę pani – powiedziała.

I wtedy nagle odzyskałam mowę i chęć nawiązania konwersacji, a co mi tam!

– To z panią trzeba krótko i konkretnie! – odpowiedziałam.

– Pani jest niegrzeczna!

– Tylko powtórzyłam pani słowa, chciałam zauważyć.

– Ale ja jestem dorosła!

– Ale widzę, że niewychowana – stwierdziłam. – Kto pani dał prawo do oceniania innych?

– Dobrze, niech pani sobie wychowuje po swojemu…

– Cieszę się, że tak szybko się dogadałyśmy.

– Potem wejdzie pani na głowę taki synalek i nie będzie już dla pani ratunku.

– Widzę, że ma pani w tym temacie doświadczenie.

– Ja nie mówię o sobie, proszę pani! – odpowiedziała oburzona. – Mówię ogólnie, mówię to, co ludzie mówią, co każdy by pani powiedział w takiej sytuacji.

– Niech się pani zajmie swoim życiem, dobrze? – Po czym wypaliłam z grubszej rury: – Bo chyba niewiele już go pani zostało, co? Niech się pani skupi na mówieniu matkom czegoś miłego, zamiast ciągle nas pouczać!

Uciekła ode mnie, jakby usłyszała co najmniej szatańskie wersety!

Filip tymczasem wstał, podszedł do mnie i spytał:

– Czy możemy już wracać?

– Możemy. Ale myślałam, że wolisz leżeć na plecach koło śmietnika. Już ci się znudziło to fascynujące zajęcie?

– Nie – stwierdził. – Ale tam jest strasznie twardo.

Problemy z dwulatkiem

Afera, bo zatrzymałam go, kiedy akurat chciał wybiec na ulicę pod nadjeżdżający właśnie autobus! Mało serce mi nie stanęło, a ten mnie teraz kopie w łydkę i krzyczy, że mnie już nie kocha. Tak. Zła matka to ja.

Ratunku!

Wybrałam się do sklepu tylko po kaszki i pieluchy, na tak zwanego „szybciocha”, ale kiedy odeszłam od kasy, okazało się, że w koszyku siedzi sobie i patrzy na mnie tylko pół kilo kremu czekoladowego (mniejszych słoików wziąć się nie opłaciło, bo tylko duże były w promocji). Nie zmarnuje się przecież w warunkach panujących obecnie w moim domu! Dla towarzystwa miałam dorzucić jeszcze chociaż jednego browarka na wieczór, ale doszłam do wniosku, że trzeba się szanować, przynajmniej na początku tygodnia. A po pieluchy wyślę najwyżej Piotrka, niech się wykaże.

Jestem matką. Czego ja chcę? Chcę, żeby moje dzieci były zdrowe, żeby mnie słuchały i nie miały problemów w przedszkolu i szkole. Chcę, żeby moje dzieci były szczęśliwe. Ale czego ja chcę dla siebie? Sama już nie wiem.

Małżeńskie zbrodnie kulinarne

Ugotowałam obiad! Tak, tak. Zrobiłam wielki gar gulaszu z marchewką i czerwoną fasolą, wszystko podlałam sosem pomidorowym i zapiekałam w naczyniu żaroodpornym przez dobrą godzinę. Byłam z siebie bardzo dumna, bo nawet wyszedł mi ten obiad i nawet w smaku okazał się podobny do gulaszu. Doszłam też do wniosku, że po tych wszystkich latach nieudanego krzątania się po własnej kuchni wreszcie nauczyłam się gotować, dodajmy, ze smakiem. Bo gotowanie bez smaku do tej pory wychodziło mi najlepiej. Nieważne. Dumna byłam i nie mogłam się doczekać powrotu Piotrka z pracy, żeby mu ten gulasz domowy zaprezentować, a co!

Mąż zwykle wraca do domu głodny jak wilk. Niestety, dobrze wie, że nie umiem gotować, więc najczęściej już od wejścia rzuca się na kanapki. „No to się tym razem zdziwi!", pomyślałam, zadowolona. Pamiętam, jak kiedyś przyłapałam go na zbrodni kulinarnej. A wydały go właśnie te nieszczęsne kanapki, których nie podjadał i nawet się na nie nie rzucił, co było bardzo dziwne.

– Nie jesteś głodny? – zapytałam zaskoczona.

– No jakoś dzisiaj nie… – bąknął pod nosem.

– Może chory jesteś? Pokaż czoło.

Wyciągnęłam rękę, ale odsunął się, mówiąc:

– Właściwie, to mam ochotę na coś słodkiego.

– Deser będziesz jadł przed obiadem…? – Zaczynałam robić się coraz bardziej podejrzliwa, i słusznie zresztą, jak miało okazać się już wkrótce.

– I kawy bym się napił.

– Byłeś na obiedzie z kolegami z biura?

– Nie – zaprzeczył, ale tak bez przekonania.

I wtedy zobaczyłam plamę na jego białej koszuli. Plama była czerwona, ale od razu wiedziałam, że to nie szminka. Pachniała pomidorami, a nie perfumami.

– A to co? – Pokazałam palcem na ubrudzoną koszulę.

– Ojej, zaplamiło się.

– To jest plama z sosu pomidorowego.

– No, widocznie się zachlapałem.

– Pewnie szybko jadłeś, co?

– No wiesz, jak to jest.

– Czyli jadłeś?

– Ojej, jadłem, ale tylko trochę – poddał się, przyparty do muru.

– A co, jeśli można spytać?

– Gołąbki – jęknął, bo miał do tych gołąbków słabość, w przeciwieństwie do mnie.

– Gołąbki się jadło? – zapytałam. – A można wiedzieć gdzie i z kim?

– Nigdzie. – Wzruszył ramionami.

– Nigdzie nie jadłeś? Tak ci te gołąbki z nieba spadły?

– Nie chciałem ci mówić, żebyś się nie wkurzyła od razu.

– Za późno.

– Byłem u mamy.

– Słucham…? – Nie mogłam uwierzyć. – Matka cię dokarmia…?

– Ojej, raz zadzwoniła, żebym wpadł…

– A nie powiedziała, że pewnie z głodu przymierasz na mojej kuchni?

– Nie. Powiedziała, że ma akurat gołąbki, a wiesz, jak ja uwielbiam gołąbki mamy w sosie pomidorowym.

– Wiem, niestety. I nie mam nic przeciwko gołąbkom.

– Naprawdę? – Ucieszył się jak dziecko.

– Tylko czemu robisz to za moimi plecami? I dlaczego nie pomyślałeś o nas?

– Jak to nie pomyślałem? No przecież jestem, wróciłem…

– Dlaczego dla nas nie wziąłeś tych gołąbków, idioto?

– Jakoś nie pomyślałem…

– Może twoje dzieci też miałyby ochotę.

– No, fakt…

– Więc następnym razem, jak już wyrwiesz się na te gołąbki, to masz mi nie wracać bez pudełka również dla nas, czy to jest jasne?

I w ten oto prosty sposób załatwiłam sobie raz w tygodniu danie dostarczane przez Piotrka, od jego matki. Raz były to

gołąbki, innym razem placki ziemniaczane. Wszystko jedno, najważniejsze, że chociaż jeden dzień w tygodniu nie musiałam stawać na głowie w kuchni, żeby ugotować coś, co dałoby się zjeść.

Wracając do gulaszu, z którego naprawdę byłam dumna, czekałam właśnie na powrót Piotrka.

– Już jestem! – zawołał z przedpokoju.

– To świetnie. Idź do łazienki myć ręce, zaraz podam ci obiad.

Odpowiedziała mi najpierw cisza, a potem Piotrek wszedł do kuchni i zapytał zdziwiony:

– Ugotowałaś… obiad?

– Wyobraź sobie, że tak.

Nie odezwawszy się słowem, z dziwną miną poszedł opłukać dłonie i wrócił do pokoju. Kiedy już siedział przy stole, powiedział:

– Tylko dla mnie nie za dużo…

– Nie jesteś głodny? – zapytałam, nakładając mu gulasz na talerz.

– Nie, nie…

– Rozumiem. Wolisz się zabezpieczyć i nie rzucać się tak od razu na moją kuchnię, zanim nie będziesz pewny, że da się to w ogóle przełknąć, tak?

– Mniej więcej, kochanie. A co dzisiaj jest, że się tak zapytam z ciekawości?

– Gulasz wołowy z fasolą.

– Brzmi nieźle.

– I smakuje nie najgorzej.

Podałam mu talerz, na którym była odrobina gulaszu.

– Co tak mało? – zapytał, biorąc widelec.

– No wiesz, wolę nie ryzykować.

Spróbował.

– Kochanie, to jest pyszne! – powiedział.

Nie muszę dodawać, że wpałaszował trzy dokładki i dodał nawet, że gdybym takie rzeczy podawała codziennie, to by już nie musiał stołować się w tym ich barku zakładowym, w którym podobno gotowali jeszcze gorzej niż ja.

Muszę przyznać, że nawet zrobiło mi się miło. Nie ma żadnej przesady w powiedzeniu, że do serca faceta najłatwiej trafić przez żołądek. Tamtego dnia, kiedy dobrze go nakarmiłam, był dla mnie jakiś taki bardziej łagodny i nie przeszkadzała mu nawet sterta brudnych ręczników, która zebrała się przy pralce i czekała na swoją kolej. Może faktycznie powinnam nauczyć się gotować? Może to jest prosty klucz do udanego małżeństwa?

Ogarnij się, kobieto!

Dzisiaj Helena wściekła się na swoją nauczycielkę od historii i od powrotu ze szkoły rzucała zeszytami. W tym czasie młody skakał zachwycony po tapczanie, powtarzając za swoją starszą siostrą wszystkie obelgi. Piotrek zadzwonił, że wróci później z pracy, a sąsiadka z dołu znowu zaczęła walić w kaloryfer, co oznaczało, że mam uspokoić dzieci, bo ona telewizora już nie słyszy. I co ja na to? Weszłam do kuchni, otworzyłam drzwi lodówki i sięgnęłam po pomoc. Zjadłam jeden baton czekoladowy, a potem drugi. Tak wzmocniona psychicznie wróciłam na pole walki w całkiem odmienionym nastroju. Co więcej, zamiast zabrać się za uspokajanie dzieci, usiadłam na sofie i włączyłam sobie serial. I tak zleciało mi popołudnie.

Kiedy mąż widzi, że mam bojowe nastawienie, chwyta się ostatecznych rozwiązań i mówi wprost:

– Weź ty się, kobieto, ogarnij! Może brakuje ci witamin? Może magnezu ci brakuje?

– Myślisz, że powinnam jeść więcej czekolady? Czekolada ma całe mnóstwo magnezu!

– Nie wiem! – krzyknął. – Może nawet powinnaś się napić, jeśli to ma cię uspokoić, ale, na miłość boską, nie możesz zamęczać nas tym narzekaniem bez przerwy. Przecież to są tylko dzieci, w

dodatku twoje, i mają prawo broić, jak to dzieci! Każdemu puszczają nerwy, ale jesteś dorosła i powinnaś nad sobą panować.

– Masz rację, pójdę nalać sobie winka.

– Mi też nalej.

– A co, nerwy ci puściły, kochanie?

– Nie, po prostu należy mi się lampka wina, przynajmniej od czasu do czasu. Nie będziesz pić sama, jeszcze tego by brakowało. Potem powiedzą, że zrobiłem z ciebie alkoholiczkę.

– Kto?

– Co „kto”?

– No, kto tak powie?

– Jak to kto? Nasze dzieci, oczywiście.

Matczyna migrena

Sobota. Dzisiaj strasznie bolała mnie głowa. Taka sytuacja: siedziałam w salonie z kompresem, narzekając na życie, tak ogólnie. Piotrek poszedł do kuchni zaparzyć kawę.

– Wiesz – krzyknęłam do niego przez ścianę – taką mam migrenę weekendową, że nie wiem, jak się nazywam. Ale myślę sobie, że ta pani z przedszkola Filipa, ta, wiesz, co powiedziała, że on jest zbyt nerwowy i że to pewnie odreagowanie sytuacji w domu, to jakaś dziwna musi być, co nie? Przecież u nas nic takiego się nie dzieje, jesteśmy normalną rodziną, przynajmniej w porównaniu do innych, przynajmniej tak mi się wydaje, co? Co za wścibskie babsko! Ja już nie wiem, co robić z takimi ludźmi, tak mnie dobijają, jakbym i bez tego miała mało problemów. Wiesz, może ja powinnam wrócić do pracy, jakąś karierę zrobić? Może nasze dzieci byłyby wtedy szczęśliwsze? Może ja faktycznie za dużo z nimi siedzę w domu? Może ja za dużo z nimi czasu spędzam, a za mało sama ze sobą, co? Może to jest źródłem wszystkich konfliktów?

I wtedy mój mąż zadał zza ściany to swoje słynne pytanie:

– Mówiłaś coś?

Jakoś trzeba sobie radzić

Moja starsza siostra jest taka mądra. I wie wszystko.

– To ty w ogóle trzymasz alkohol w domu, przy dzieciach? – Zdziwiła się.

– A gdzie mam niby trzymać? U sąsiadki?

– Nie powinnaś pić przy dzieciach, bo w ten sposób dajesz im zły przykład.

– Jasne. Powinnam zejść na dół i obalić piwko pod sklepem, wtedy co prawda całe osiedle weźmie mnie na języki, ale dzieci będą miały matkę idealną. No trudno, wypiję tego drinka przy nich, i tak nie jestem dla nich dobrym przykładem w żadnej dziedzinie.

– Po prostu uważam, że picie alkoholu przy dzieciach, w dodatku własnych, jest nieprzyzwoite! – powiedziała.

– No przecież nie robię tego codziennie!

– Ale czasem pijesz, kiedy są w domu?

– Ale nigdy na widoku! – broniłam się. – Zawsze w kuchni, żeby mnie nie widziały.

– No widzisz!

– I jeśli już sięgam po wino, to tylko i wyłącznie z ich powodu, bo doprowadzają mnie do szału!

– Nie panujesz nad emocjami. Jako matka powinnaś się tego nauczyć.

– Jestem doskonałą matką, bo, uwierz mi, są takie chwile, że miałabym ochotę udusić ich gołymi rękoma, ale nie. Nie zrobię tego, nie dam ich skrzywdzić. Wystarczy, że krzywdzę siebie, i to tylko od czasu do czasu, poza tym, daj spokój, Iwonka, to tylko kilka łyków. Nawet nie czuję, że piję.

– I właśnie to zaczyna mnie martwić.

– No co ty!

– Pomyślałaś, co będzie, jeśli uzależnisz się od alkoholu?

– Lampka wina tygodniowo to dawka zalecana nawet przez lekarzy! A ja jestem matką, więc możliwe, że przysługuje mi nawet więcej. Ze względu na dzieci, oczywiście.

– Uważam, że powinnaś poszukać innych sposobów na rozładowanie emocji.

– Ciekawe jakich? – parsknęłam. – Może powinnam strzelić sobie w łeb? Relaks gwarantowany. Wiesz, co ja robiłam wczoraj, kiedy ty leżałaś w spa, gdzie nakładali ci na twarz tę maskę z soku ślimaka?

– Ze śluzu ślimaka – poprawiła mnie szybko.

– No, właśnie! To ja, wyobraź sobie, w tym samym czasie wdepnęłam w jego cholerny garaż z klocków Lego, który rozdeptałam na amen i w jednej chwili miałam milion malutkich kosteczek na dywanie. A wiesz, jak Filip nie lubi, kiedy ktoś zburzy jego misterną budowlę. I jak wyglądało moje popołudnie?

Musiałam szybko zbudować ten garaż od początku, zanim Filip wróci z przedszkola. To był najszybciej zbudowany garaż na świecie. Pięćdziesiąt minut na kolanach i gotowe! I nawet się nie zorientował po powrocie.

– Może joga by ci pomogła?

– Wiesz co, Iwonka? Ja nie jestem aż tak wymagająca.

– Więc co by ci pomogło? Może seks?

– Z własnym mężem?

– W to już nie wnikam. – Rozłożyła ręce.

– Poczekaj. – Wzięłam głęboki oddech. – Jak się tak zastanowię, to jedyne, co mi przychodzi do głowy, to sen. Mówiłam ci, że nie jestem zbyt wymagająca. Ja po prostu marzę o tym, żeby w końcu się porządnie wyspać. A to nie jest możliwe, kiedy ciągle czegoś ode mnie chcą.

– Jesteś ich matką, to niby kogo mają pytać, jak nie ciebie?

– Ale jestem też człowiekiem, Iwona. I jak każdy człowiek muszę jakoś się ratować. Heloł! I też nadal mam swoje marzenia, takie tylko moje.

– Tak? No więc o czym marzysz, jeśli mogę spytać?

– Tylko się nie śmiej. No więc marzę o tym, żeby pójść wieczorem do sklepu, w którym sprzedają łóżka.

– Oho-ho! – Aż cmoknęła. – Robi się całkiem ciekawie.

– Poczekaj, daj mi skończyć. Taki sklep, gdzie są wystawione łóżka, a na nich piękna, czyściutka pościel w najlepszym gatunku.

– Chyba wiem, co masz na myśli.

– Aha. I ja się tam kręcę po tym sklepie, wybieram, szukam niby najlepszego łóżka dla siebie i nagle zbliża się godzina zamknięcia tego sklepu…

– I zamyka go przystojny kierownik działu sprzedaży indywidualnej, z którym ty…

– Nie. Mówiłam ci, że mam małe wymagania. Kierownik, bez względu na to, czy jest przystojny, czy nie, zamyka ten sklep, nie zauważa mnie i ja także zostaję w nim zamknięta na całą noc! Rozumiesz to, Iwona? Spędzam całą noc w sklepie z wygodnymi łóżkami i zamieniam się w śpiącą królewnę. Aż do rana. Sama! I nikt mnie nie woła, nie budzi! Nikt niczego ode mnie nie chce… – dokończyłam rozmarzona.

– I tylko tyle…? – zapytała siostra lekko zawiedzionym tonem.

– No widzisz – westchnęłam. – A dla mnie to jest „aż” tyle. Jak się jest matką, człowiek zaczyna cieszyć się z każdej minuty wolności.

List

– Kochanie, czy widziałaś ten list, który Filip napisał?

– Nie czyta się cudzej korespondencji, Piotrek!

– Ale to jest list do Świętego Mikołaja.

– Aha, to czytaj. Chętnie posłucham, co też sobie zamówił.

– No to uważaj. – Odchrząknął. – „Mikołaju święty, bardzo cię proszę w tym roku o rower, ale taki dla starszych dzieci, i książkę o robotach, kredki, flamastry, i kulki gumowe do rzucania".

– Kochane dziecko – powiedziałam wzruszona.

– Uważaj, najlepsze będzie na koniec. – Znowu chrząknął – I jeszcze piwko dla mamusi. Filip.

Zatkało mnie, nie powiem, ale po chwili dodałam:

– No widzisz, jakie dobre dziecko. Pomyślał o starej matce.

I PO ŚWIĘTACH

– Mamo?

– Słucham?

– Dlaczego rozebrałaś choinkę?

– Bo skończyły się święta, synku.

– Ale choinka mogła przecież jeszcze stać…

– Nie mogła, bo się sypała.

– Ale ja chciałem, żeby jeszcze stała…

– Ale ja nie chciałam, bo…

– Mamo! – Zaczął ryczeć. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Już powiedziałam.

– Ale ja chciałem choinkę jeszcze… buuuu….

– Jezu, daj mi cierpliwość, bo oszaleję!

– Dlaczego to zrobiłaś, mamo?

– Idź się pobawić.

– Chcę, żeby choinka była znowu…

– Będzie za rok.

– No to dlaczego nic nie mówisz!

I w podskokach poleciał do swojego pokoju.

Boże!

Niedziela w wesołym miasteczku

– Synku, wsiądziesz na karuzelę?

– Nie.

– No przecież chciałeś, już kupiliśmy żeton!

– Ale mi się odechciało.

– Wiedziałem, że tak to się skończy – skomentował mąż.

– Piotrek, nie pomagasz, więc chociaż nie dobijaj mnie jeszcze bardziej, dobrze?

– Masz lepszy sposób?

– Filipku, a może mogłoby cię coś przekonać? Zobacz, to są takie fajne filiżaneczki, do których się siada i one się kręcą. Fajne, prawda?

– A wsiądziesz tam ze mną, mamusiu?

– Ja…?!

– No pewnie, że mama wsiądzie, prawda?

Myślałam, że walnę Piotrka w łeb.

– Nigdzie nie idę. Poza tym ja się tam nie zmieszczę – odpowiadam. – Może tatuś spróbuje?

– Nie chcę z tatusiem. Chcę, żeby mama weszła ze mną do filiżanki.

– Filip, ale ja…

– To ja nie wsiadam sam!!!

– Boże, kobieto, zlituj się nad nami. – Mój mąż zaczął mnie błagać. – Ja już nie mogę dłużej słuchać jego wycia.

– Mamo!!!

I w taki oto sposób wylądowałam w za ciasnej filiżance, która kręciła się nie tylko po okręgu, ale również wokół własnej osi, żeby było weselej. W każdym razie Filip był zachwycony. Mojej miny wolę nie opisywać. Jedno wiem na pewno: od tej pory do wesołego miasteczka nasz syn będzie chodził tylko z Piotrkiem. Ja już się swoje nakręciłam.

Autobus czerwony
przez ulice mego miasta mknie...

W drodze na basen postanowiliśmy podjechać autobusem kilka przystanków. Filip był już w tym czasie „odwózkowany" i uciekł mi w długą, to znaczy wyrwał się na przód autobusu, bo chciał zobaczyć kierownicę (!). Oczywiście pobiegłam za nim i mijając miejsce, w którym inna matka zostawiła pusty wózek, bo wzięła dziecko na kolana, na zakręcie dosłownie, na chwilę straciłam równowagę i upadłam. Pech chciał, że zamiast na podłodze autobusu, wylądowałam w tej pustej spacerówce właśnie. Nie chcielibyście widzieć miny tej obcej kobiety, która podniósłszy głowę, zobaczyła w wózku swojego dziecka dorosłą kobietę o wadze znacznie przewyższającej wagę dopuszczalną do przewożenia w owej spacerówce. Podniosłam się szybko i wstałam … razem z wózkiem, który nie chciał wypuścić mojego tyłka ze swoich szponów. Trochę to trwało, zanim się z niego uwolniłam. Dałam radę tylko dzięki pomocy jakiegoś starszego pana.

Matka dziecka była przerażona i w myślach już pewnie obliczała straty. No przecież moje dupsko na sto procent rozciągnęło wózek tu i ówdzie. Moje: „Bardzo panią przepraszam, ale to nie była moja wina" w ogóle jej nie obchodziło. Całe szczęście, zdążyłam dogonić Filipa i szybko wysiąść z tego

felernego autobusu, chociaż to wcale nie był nasz przystanek. Tak minął mi dzień, jakby się kto pytał. Same przygody plus ucieczka z miejsca zbrodni.

Dobrze, że w domu czekała na mnie cała zgrzewka wiecie czego.

Najwięcej wypadków zdarza się w domu

Boże, jak ja kocham te sobotnie poranki! Jedyny dzień, kiedy można sobie pospać, ale właśnie wtedy Filip już od szóstej rano biega po całym mieszkaniu z rurą od odkurzacza, która służy mu za miecz!

– Weź z nim coś zrób, bo go zabiję… – jęczałam do Piotrka, na co odpowiedział mi łaskawie:

– O co ci chodzi? Chciałaś, żeby był kreatywny, to masz. Nie będę mu przecież psuł dzieciństwa! Też się tak bawiłem w jego wieku.

– O szóstej zero osiem rano…?! Może idź do niego i razem się pobawicie, zanim stłucze ostatnią w tym domu doniczkę…

I wtedy usłyszeliśmy wielkie „łup”!

– Obawiam się, że już za późno – powiedział Piotrek, nakrywając się kołdrą.

– No masz! I może ja mam iść i sprzątać? Dlaczego zawsze ja?!

– Poczekaj… – Położył mi palec na ustach. – Słyszysz?

– Nic nie słyszę…

– No właśnie – szepnął. – Może się przestraszył, że zbił tę doniczkę i teraz udaje, że śpi.

– Już to widzę.

– Ciszej…

– Jezus Maria! – Odsunęłam kołdrę i wyskoczyłam z łóżka jak oparzona.

– Co ty robisz?

– A jeśli on się walnął o parapet i leży teraz z zakrwawionym czołem?! Pomyślałeś o tym? Mówiłam, żebyś do niego poszedł! Mówiłam!

Pobiegliśmy razem do pokoju Filipa, rzuciłam się na klamkę, chociaż drzwi były uchylone i wcale nie trzeba było ich wywarzać.

– Matko Boska… – jęknęłam.

– Co się stało?! – krzyknął Piotrek zza moich pleców, bo jeszcze nie dobiegł do Filipa.

– To się stało.

Pokazałam palcem na naszego syna, który siedział w najlepsze przy rozbitej donicy z bluszczem. Umazał sobie ręce ziemią i właśnie smarował tymi czarnymi paluchami po buzi, włosach, brzuchu, a na koniec, a co tam, po ścianach!!!

– Co tu się stało, Filipku? – zapytał Piotrek, łapiąc się za głowę.

– Jak to co? – Zdziwił się nasz syn. – Nie widzicie, że zabiłem potwora?

– Przepraszam – powiedziałam, podnosząc obie dłonie w geście bezradności. – Ale ja tu widzę tylko jednego potwora, który nie dość, że nadal żyje, to jeszcze wykazuje się nadprzyrodzoną wręcz

aktywnością jak na tę porę dnia. Ciekawa jestem, kto to będzie teraz sprzątał?

I wtedy Filip wstał i podszedł do mnie cały czarny jak diabeł.

– Nawet się do mnie nie zbliżaj w tym stanie! – Wyciągnęłam przed siebie rękę. – Nie ma mowy, żebyś dotykał mnie tą czarną łapą!

– Pseplasam, mamusiu – powiedział tym swoim słodkim głosikiem. – Tak mi się ta lula sama zamachnęła, że poleciało plosto w tego kwiatuska.

– No, niestety… – westchnęłam.

– Ale cieszysz się, prawda? – zapytał Filip.

– Niby z czego? Bo nie bardzo wiem, o czym mówisz…?

– No, że nie wybiłem szyby. Bo byłem bardzo blisko.

ODZYSKAĆ WOLNOŚĆ OD... DZIECI

Iwona wpadła z niezapowiedzianą siostrzaną wizytą i już od progu poprawiła mi humor pytaniem:

– Sylwia, kiedy ty byłaś u fryzjera?

Dodam, że jej pytaniu towarzyszyło spojrzenie pełne przerażenia. Rzuciłam okiem w lustro, ale przysięgam, żadnej tragedii na mojej głowie nie dostrzegłam, co więcej, nawet mi się wydawało, że akurat tego dnia moje włosy były w całkiem przyzwoitym stanie.

– Najważniejsze, że czyste – powiedziałam z dumą. – Wczoraj umyłam je na noc i zasnęłam właściwie na stojąco przy desce do prasowania. Jezu! Mam nadzieję, ze Piotrek odłączył żelazko od prądu…?

– No, chyba musiał! – parsknęła Iwonka, wchodząc do salonu. – Inaczej cuchnęłoby tu spalenizną.

Zmarszczyła nos, wciągając powietrze.

– Czujesz to…? – zapytała.

– Nic nie czuję. A co?

– No tak, własnego smrodu podobno się nie wyczuwa.

– No przecież mówiłam ci, że wczoraj się kąpałam…

– W tym pokoju cuchnie. – Ostentacyjnie wzięła w dwa palce pieluchę tetrową i podniosła ją z kanapy. – Dlaczego ta szmatka

jest taka sztywna?

– To… to jest pielucha. – Wyrwałam jej pieluchę, która faktycznie już nieco stwardniała.

– Miejsce pieluchy jest albo na pupie dziecka, albo w szafie, albo w pralce. A ja żadnego dziecka tutaj nie widzę.

– Piotrek akurat wziął małego na spacer, żebym sobie trochę odpoczęła.

– Och, to się cudownie składa. – Usiadła na sofie. – Nie lubię rozmawiać z tobą przy dzieciach, bo jesteś wtedy jakby nieobecna.

– Bo jestem ich matką i słucham, czego ode mnie chcą.

– Teraz – założyła nogę na nogę, a tego dnia miała na nich takie cieniutkie pończoszki czy rajstopy, jakich ja w życiu już pewnie nie założę, bo przecież Filip od razu by mi je porwał, jak nie samochodzikiem, to inną koparką – Teraz jesteś moją siostrą, słyszysz?

– Taaak – odpowiedziałam, lekko zamyślona.

– Nareszcie sobie normalnie porozmawiamy, jak dawniej, kiedy jeszcze nie zaczęłaś się rozmnażać.

– Może kawy ci zrobię? – zaproponowałam.

– A może lepiej pójdźmy gdzieś na kawę.

– Ale tutaj będzie taniej, raz, dwa i zrobię nam dwa kubki, co?

– Taniej?! – Spojrzała na mnie zaskoczona i dodała: – Od kiedy to stałaś się taka oszczędna?

– Nie chodzi o pieniądze, Iwona.

– A o co?

– No wiesz.

– No właśnie nie wiem! Zawsze lubiłaś szlajać się po kawiarniach, co ty, już nie pamiętasz, jak co piątek po pracy wypijałyśmy litry kawy w galeriach handlowych?

– Boże, kiedy to było?

– Przed tym, jak na świecie pojawiła się Helenka.

– Jezus Maria… – jęknęłam.

– No właśnie! – Pokiwała głową. – Widzę, że przyszłam w odpowiednim momencie. Ty się lepiej opamiętaj, Sylwia, zanim będzie za późno.

– Za późno na co…? – wymamrotałam.

– A jak myślisz? Na życie, dziewczyno! Na normalne życie, na jakie zasługuje każda kobieta, nawet ta, która poświęciła swoją gładką skórę na brzuchu i rozciągnęła ją w cudowny sposób, żeby zmieściło się tam nowe życie.

– Ja jej nie rozciągałam – zaprzeczyłam szybko. – Ona tak sama z siebie…

– No widzisz, jakbyś lepiej z nią współpracowała, to może nie zrobiłoby ci się tyle rozstępów? Nieważne. Chodzi mi o to, że się, jakby, zapuściłaś.

– To fakt – odparłam w zadumie. – Przy dwójce dzieci łatwo nie jest.

– Ale co ty do mnie mówisz, Sylwia? Łańcuchem cię ktoś przykuł w tym domu?

– Jakim łańcuchem…?

– To ja pytam, jakim? Nawet na kawę nie można cię wyciągnąć.

– Bo… bo… – jęknęłam.

– Bo co? Bo musiałabyś się ogarnąć, tak? Zrzucić ten dres powyciągany i założyć jakieś przyzwoite wdzianko, w którym można by się ludziom pokazać?

– No właśnie!

– Bo te podkoszulki, które pamiętają chyba jeszcze twoją podstawówkę, to rozumiem, że trzymasz tylko dla oczu twojego męża? Szczęściarz, nie ma co. Wcale mu się nie dziwię, że zwiał z dzieciakiem do parku. Jest wiosna i przynajmniej będzie miał na kim oko zawiesić. Mam nadzieję, że pamiętasz jeszcze, jak normalne kobiety ubierają się na wiosnę?

– Ale ty myślisz, że mój Piotrek mógłby…?

– A co, oślepł nagle? Czy może urwało mu się to coś między nogami? Bo jeśli nie, to znaczy, że nadal jest mężczyzną. A każdy mężczyzna lubi sobie popatrzeć. – Rozejrzała się po pokoju. – Im dłużej tu przebywam, tym bardziej zaczynam nabierać do niego szacunku.

– Ale że co…?

– Że jeszcze cię nie zostawił. Przecież tu jest jak po wybuchu! A wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze?

– No co?

– Ty.

– Ja…?!

– Ty jesteś najgorsza. Bo zamiast panować nad tym zjawiskiem…

– Chyba ogniskiem. Domowym!

– Wszystko jedno! Nie panujesz nad tym, nie panujesz nad sobą i do tego źle wyglądasz. Tylko patrzeć, jak on sobie znajdzie jakąś lafiryndę w pracy, która szybko się nim zaopiekuje.

– No to niech sobie znajdzie – odpowiedziałam apatycznie.

– I tu cię mam! – Iwona klasnęła w dłonie. – Ty się poddałaś. Jest ci wszystko jedno. Tu ci wisi i tam ci wisi.

– Mniej więcej.

– Tak nie można, kobieto!

– Posłuchaj, ja mam dzieci, a ty ich nie masz, więc raczej się nie zrozumiemy.

– Zaraz, zaraz – przerwała mi stanowczo. – Czy to, że zostałaś matką, ma od razu oznaczać, że nie jesteś już dłużej kobietą…?!

– Mam po prostu więcej na głowie, więcej obowiązków i mniej czasu.

– Ale o głowę też musisz czasem dbać!

Boże, jak ta moja siostra potrafi mnie wkurzać, to wiem tylko ja jedna. Jak już się czegoś uczepi, to na amen. Zadepcze człowieka na śmierć. Zawsze zresztą taka była, ale mam wrażenie, że odkąd się rozwiodła, zrobiła się jeszcze bardziej natarczywa w tym zarażaniu wszystkich swoją wizją świata. Ja wiem, nie chciała dla mnie źle, ale akurat tamtego dnia nie miałam najmniejszej ochoty na wychodzenie z domu. Każdy ma

zresztą takie dni, a matki najczęściej ze wszystkich. Bo są ku temu poważne powody.

Po pierwsze, matka nie ma czasu na kawusie na mieście, bo zawsze są sprawy ważniejsze od jej potrzeb. A po drugie, i najważniejsze, matka nie ma się w co ubrać i we wszystkim wygląda beznadziejnie źle.

Zamierzałam poinformować o tym moją siostrę jak najprędzej.

– Posłuchaj, Iwona. – Wzięłam głęboki oddech. – Ja wiem, że jako starsza siostra…

– Tylko o rok!

– No właśnie. Ja wiem, że chcesz mi pomóc, wyrwać mnie z tej jaskini cuchnącej zaschniętym mlekiem i kupami, ale ja chyba nie mam takiej potrzeby. W każdym razie nie dzisiaj. Ale dziękuję za dobre chęci! I naprawdę je doceniam.

Iwona zacisnęła mocniej usta.

– Kiedy byłaś u fryzjera? – strzeliła pytaniem jak z pistoletu.

– W zeszłym tygodniu.

– Akurat ci uwierzę! – Pokiwała głową.

– Serio! Byłam z Helą, bo chciała podciąć sobie grzywkę.

– Wiedziałam. Ja się nie pytam o wizytę u fryzjera dziecięcego. Kiedy byłaś u fryzjera ze sobą?

– Nie wiem, nie pamiętam.

– No właśnie!

– Ojej, może zapuszczam?

– Chyba się zapuszczasz, moja droga. Siebie zapuszczasz.

– Być może.

– Nie być może, tylko na pewno. I mam dla ciebie fatalną wiadomość, siostra.

– Słucham – westchnęłam.

– Biorę się za ciebie. Nie będziesz mi się tu zamieniać w jakiegoś potwornego babona!

– Ale mi jest dobrze tak, jak jest…

– Właśnie widzę, niestety. Ale koniec z tym. Weźmiemy się za ciebie, i przywrócę cię do życia szybciej, niż myślisz.

– Wiesz, ja nawet chętnie poszłabym do tego fryzjera czy na kawę.

– No to co cię powstrzymuje?

– Nie mam w co się ubrać.

– To tak jak ja. Powiem więcej, jak każda z nas, a jakoś nie widzę, żebyśmy nago po ulicach latały.

– No tak, wiem. Ale dawniej jakoś umiałam sobie dobrać spodnie do swetra, jakoś lepiej mi to wychodziło, a teraz jak otwieram szafę, to mnie taka rozpacz ogarnia, że wolę już nigdzie nie wychodzić, niż szukać odpowiednich ciuchów. Nie mówiąc o tym, że dupsko mi tak urosło, że jak się domyślasz, w połowę z tych ciuchów nie uda mi się wcisnąć już pewnie nigdy.

– To zacznij biegać – odpowiedziała zachwycona.

– Kochana, jak ja się nabiegam za dziećmi, żeby to wszystko jako tako ogarnąć, to ostatnią rzeczą, o jakiej myślę, jest bieganie dla przyjemności.

– Ale pomyśl tylko, wskakujesz w adidasy, w słuchawkach puszczasz sobie ukochaną muzę i masz wszystko w dupie. Biegasz sobie po parku i wcale nie musisz robić tego szybko. Po prostu jesteś sama dla siebie! Czy to nie piękne?

– Nie – warknęłam. – Ja chcę spać! To jest jedyne, o czym marzę.

– To może pójdziemy na masaż.

– Myślałam o tym nawet.

– No to czemu się nie umówisz? Na pewno są jakieś fajne spa w tym mieście!

– Ale ja się boję, że im tam zasnę i mnie nie dobudzą. Nie przeżyłabym takiego wstydu!

– Boże, trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam! – krzyknęła Iwona.

– Ciszej, bo obudzisz Filipa!

– Przecież go tu nie ma. Zapomniałaś?

– Przepraszam, jestem taka skołowana. Już mi się dzień z nocą myli.

– Właśnie widzę.

Iwona rozejrzała się znowu po pokoju.

– Kiedy oni mieli wrócić?

– Za dwie godziny – odpowiedziałam, spoglądając na zegarek.

– Świetnie. To zrobimy tak: ty się teraz położysz spać, a ja tutaj poodkurzam.

– Serio…? – Ucieszyłam się jak dziecko.

– A jak wstaniesz, umówimy się do fryzjera. Od czegoś trzeba przecież zacząć, prawda?

Nie miałam siły przeciwstawić się jej decyzji. Oczy same mi się zamykały już od dłuższej chwili. Zasnęłam od razu na sofie, bo nie chciałam tracić cennego czasu, który właśnie zyskałam, na przejście do sypialni.

MATKA I LEKARZE

Kiedy Filip miał jakiś roczek, przeżyłam prawdziwą traumę związaną z jego zdrowiem. Ale po kolei.

Byłam wówczas młodą matką. To znaczy młodą matczynym stażem, a nie pod względem własnego wieku. Rocznikowo nie byłam już „taka" młoda, choć oczywiście dużo młodsza niż teraz. Ale mimo to, kiedy patrzę na tamtą siebie z dzisiejszej perspektywy, wydaje mi się, że byłam wtedy taka młodziutka i niedoświadczona. Nie to co teraz, styrana matrona, której już nic nie zdziwi, bo przecież wie o życiu wszystko!

No więc wtedy, kiedy Filip miał niecały rok, przeżyłam traumę, której nikomu nie życzę. Jak każda matka małego dziecka byłam przerażona jego chorobami. I nie chodzi mi tutaj o zwykłe katarki czy przeziębienia. Mam na myśli choroby poważne, ciężkie, a nawet śmiertelne, które wręcz prześladowały mnie w myślach. Wystarczyło, że mój syn przewrócił oczami, a ja już widziałam u niego pierwsze objawy padaczki dziecięcej.

– Nie wydaje ci się, że on się jakoś dziwnie trzęsie, zwłaszcza przed snem…? – pytałam Piotrka. – Czytałam, że takie dreszcze u niemowlaka to pierwsze objawy epilepsji. Musimy być czujni…

– Weź ty się, babo, uspokój! – karcił mnie mąż za każdym razem. – Gdzie to wyczytałaś?

– No jak to gdzie? W internecie, oczywiście.

– Tyle razy ci mówiłem, żebyś przestała tam zaglądać. Mówiłem ci?

– Mówiłeś, ale…

– Jak nie masz co robić, to idź na spacer do parku z dzieckiem, zamiast krążyć po tych wszystkich forach.

– Ale ty wiesz, ilu ja praktycznych rzeczy się stamtąd dowiedziałam?

– A ilu bzdur się dowiedziałaś, przy okazji, to już nie liczysz?

– Nie odwracaj kota ogonem – rzuciłam. – Ty się lepiej zainteresuj zdrowiem własnego dziecka. Nie wydaje ci się, że jakoś tak dziwnie się trzęsie…?

Piotrek zerknął w stronę łóżeczka.

– No widzę – odpowiedział.

– Trzęsie się, prawda?

– Tak.

– I ciebie to nie martwi?

– Zimno mu, to się trzęsie. Tak tu wywietrzyłaś przed spaniem, że ja też mam gęsią skórkę, o, proszę! – Podsunął mi pod nos swoje gołe ramię.

Nie minął tydzień, kiedy odwiedzili nas znajomi Piotrka z pracy. Tak się złożyło, że żona tego kolegi była lekarzem. Nie muszę dodawać, jak bardzo ucieszyłam się z ich wizyty. Przecież nie ma nic lepszego niż wizyta lekarza! Ucieszyłam się, że

wreszcie będę mogła rozwiać wszelkie wątpliwości dotyczące zdrowia mojego synka, które coraz bardziej mnie niepokoiło.

Zaczekałam na odpowiednią chwilę. Nastąpiła ona po kawie i cieście z malinami, które kupiłam w cukierni, bo nie chciałam ich katować moimi domowymi wypiekami z obawy o ich uzębienie, które mogło doznać uszczerbku, i to znacznego, bo zwykle wychodziło mi ciasto twarde jak stół.

A to z cukierni było idealnie puszyste i mięciutkie. Czekałam, aż Ewa, bo koleżanka tak właśnie miała na imię, skończy ostatni kęs, a wtedy zabiorę ją na pogaduszki. Filip spał sobie smacznie w swoim łóżeczku i w niczym nam nie przeszkadzał, więc sytuacja była bardzo sprzyjająca.

– Ewa – powiedziałam w końcu. – Chodź ze mną do drugiego pokoju, bo chciałam cię o coś zapytać.

Zgodziła się i przeszłyśmy do pokoju Filipa.

– To nasz synek – powiedziałam szeptem.

– Cudowny! Ile ma?

– Skończył osiem miesięcy – powiedziałam z dumą.

– Fajny chłopak – powiedziała, rozglądając się po pokoju. – Zdrowo się chowa?

Przyznam, że czekałam na to pytanie.

– No właśnie – zaczęłam, wzdychając. – Wiesz, niepokoi mnie to, że on ciągle śpi na tej samej stronie.

– Słucham…?

– No że główkę układa tylko na lewym boku, tak jak teraz. Widzisz to?

– I to cię niepokoi?

– A ciebie nie? – zdziwiłam się. – Przecież będzie miał płaską czaszkę z jednego boku, a to może zniekształcić mu mózg! Czytałam, że to może też uszkodzić słuch z tej płaskiej strony, powieka może też mu opadać, nie mówiąc już o uzębieniu. Podobno nawet szczęka rozwija się inaczej, jeśli dziecko ciągle śpi na jednym boku.

– To może kładź go na drugi bok – zaproponowała ze spokojem. Od razu się zorientowałam, że nie ma pojęcia o dzieciach.

– Oczywiście, że go kładę. Ale on po chwili i tak się przekręca. Boję się, że weszło mu to już w nawyk. Co myślisz?

– O czym?

– O tych ewentualnych zniekształceniach mózgu?

– Mózg jest otoczony czaszką, która chroni go przed ewentualnymi zniekształceniami.

– No właśnie. Ale jeśli czaszka się zniekształci, to może mózg też…?

– Nie sądzę – odpowiedziała, ale jakoś tak bez przekonania.

Zaczęłam poważnie powątpiewać w jej umiejętności lekarskie. Była młoda i pewnie o niczym nie miała jeszcze pojęcia.

– Ale wiesz, mam takie małe pytanie – powiedziała w końcu.

Serce mi stanęło z nerwów, jak każdej matce na moim miejscu. W końcu chodziło o mózg mojego dziecka!

– A więc jednak coś zauważyłaś…? – jęknęłam, tracąc wszelką nadzieję.

Wiadomo przecież, że każda matka, która podejrzewa jakąś jednostkę chorobową u swojego dziecka i idzie z tym do lekarza, udaje się do niego nie po to, by potwierdzić swoje obawy i uzyskać diagnozę, ale tylko i wyłącznie po to, by lekarz powiedział jej, że się pomyliła i że jej dziecku nic nie jest!

– Tak, zauważyłam – stwierdziła doktor Ewa.

– I co cię niepokoi?

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć…

– A więc jest aż tak źle…? – Byłam przerażona.

– Jeszcze nie – odparła. – Ale może być.

– Jezus Maria…

– Zauważyłam, że ten karnisz nad łóżeczkiem na jednym końcu prawie całkiem wyrwał się ze ściany i wisi na jednym gwoździku. Widzisz to…?

Pokazała palcem pod sufit.

– O Boże! – krzyknęłam. – Przecież gdyby tak się urwał, to…

– No właśnie.

– Piotrek! – zawołałam męża i zabrałam Filipa z łóżeczka.

– Co się dzieje…? – zapytał, wchodząc do pokoju.

– Czy ty widziałeś, że ten karnisz ledwo wisi? Za chwilę się urwie, a łóżeczko stoi tuż obok.

– To od tego szarpania zasłonami – powiedział. – Mówiłem ci, żebyś delikatniej to robiła.

– Całe szczęście, że Ewa to zauważyła! Przecież Filip mógł zginąć, i to we własnym domu! Boże! Ja bym tego nie przeżyła.

Kiedy ponownie usiadłyśmy z Ewą przy stole z kawą, a Filip zaczął się wybudzać, powiedziała:

– A wracając do naszej rozmowy o główce waszego synka…

– No, no… – Podnieciłam się, bo wreszcie zaczynała mówić na temat, który interesował mnie najbardziej. – Zobacz, ona już się zniekształciła, nie sądzisz?

– Nie chcę się wypowiadać, bo nie jestem specjalistą w tej dziedzinie.

– Myślałam, że jesteś… lekarzem?

– Bo jestem. Ale to nie jest moja specjalizacja.

– No, ale myślałam, że mogłabyś rzucić na niego okiem, skoro już tu jesteś…

– Posłuchaj, Sylwia, jestem tu na kawie i ciastku, tak?

– Tak.

– Nie jestem tutaj z wizytą lekarską, co więcej, nie mam bladego pojęcia o dzieciach.

– No, ale czegoś tam was jednak uczyli na tej medycynie?

– Tak. Ale to nie jest moja specjalizacja i nie wolno mi się wypowiadać na tematy, na których się nie znam.

– No ale jak myślisz? – Nie odpuszczałam.

– Myślę, że jeśli masz jakieś wątpliwości, to powinnaś umówić się z Filipem do lekarza, który się na tym zna. Tak byłoby najprościej.

Po tamtej wizycie postanowiłam, że już w życiu za próg nie wpuszczę żadnego lekarza, no chyba, że będzie to wizyta wcześniej zamówiona. Ja w ogóle nie jestem pewna, czy ta Ewka ma odpowiednie powołanie do tego zawodu, o kwalifikacjach już nie wspominając. Na szczęście nie musieliśmy ich już więcej do siebie zapraszać, bo jej mąż przeniósł się do oddziału we Wrocławiu, a ona przeprowadziła się tam razem z nim.

Wzywanie pogotowia do chorego dziecka

Od tamtego nieszczęsnego spotkania minęły dwa miesiące. Filip miał tego dnia całkiem dobry humor. Śmiał się nawet, i w ogóle. Hela chodziła wtedy do zerówki i przed pójściem do szkoły bawiła się z nim na łóżku. Poprosiłam ją, żeby popilnowała brata, zanim uszykuję wszystko do wyjścia. Miałam najpierw przygotować wózek, a potem sprawdzić, czy Hela spakowała wszystko do tornistra. Uwinęliśmy się raz, dwa i wyszliśmy z domu. Odprowadziliśmy Helenę do szkoły, potem skoczyłam na pocztę, a w drodze powrotnej do warzywniaka po marchewkę na rosół. Filip mi wtedy zasnął.

Pokręciliśmy się jeszcze chwilę po parku, zdążyłam nawet przeczytać pół artykułu w gazecie, po czym wróciliśmy do domu.

Filip przebudził się już w windzie, ale wzrok miał jakiś mętny. Myślałam, że to może od tego sztucznego światła. Wtedy jeszcze niczego nawet nie podejrzewałam.

W pokoju położyłam Filipa do kojca, poszłam do kuchni rozpakować zakupy i nastawić wodę na kawę i kaszkę dla niego. Potem wróciłam do pokoju, wyjęłam go z kojca, żeby zmienić mu pieluchę. Położyłam go na przewijaku, rozpięłam śpiochy, zabieram się za zdejmowanie pieluchy i… i wtedy to zobaczyłam.

Zmroziło mnie natychmiast. Brzuch miał cały w kropkach, czerwonych, jedne były większe, drugie mniejsze, ale było ich całe mnóstwo.

– Jezus Maria… – jęknęłam i nogi się pode mną ugięły.

Mogłabym, oczywiście, wziąć to za zwykłą wiatrówkę czy inny wirus trzydniowy. Przecież taka wysypka zdarza się każdemu dziecku. Ale nie! Jak zwykle musiałam wziąć pod uwagę tylko najgorszy scenariusz. Matczyna intuicja podpowiadała mi tylko jedno: zapalenie opon mózgowych, którego jednym z objawów jest nagła i niespodziewana wysypka.

Natychmiast zadzwoniłam po karetkę. Dyspozytorkę poinformowałam, że dziecko ma wszystkie książkowe objawy i że jeśli za chwilę nie będę miała w domu karetki, to wysadzę tę ich centralę w powietrze!

Potem zdążyłam jeszcze zadzwonić do Piotrka. Nie odebrał, jak zwykle zajęty wtedy, kiedy potrzebujemy go najbardziej! To takie typowe dla wszystkich mężów. Wysłałam mu więc SMS-a o treści: „Filip ma zapalenie opon mózgowych. Chyba. Karetka już w drodze”. Wysłałam i dokładnie w tej samej chwili zadzwonił dzwonek do drzwi.

Pobiegłam otworzyć.

– Dobrze, że pan już jest – powiedziałam, wpuszczając ratownika do środka.

– Gdzie jest dziecko? – zapytał od progu.

– Tutaj, bardzo proszę, nie ma czasu, trzeba go jak najszybciej zawieźć do szpitala.

– W jakim jest stanie?

– Ma zapalenie opon mózgowych, mówiłam już tej pani przez telefon. Nie powtórzyła panu?

– Powtórzyła. A jakie są objawy?

– No jak to jakie? Ma wysypkę na brzuchu.

– A zawroty głowy, wymioty?

– Oczami przewracał mi już w windzie.

– A wymioty?

– Jeszcze nie zdążył, bo dopiero miałam mu dać kaszkę, to czym niby miał wymiotować?

Pracownik pogotowia wszedł do pokoju i spojrzał na Filipa, który zadowolony bawił się gumową kaczką w swoim łóżeczku.

– No sam pan widzi, biedne dziecko, chociaż ta kaczka nieco zmyla stan faktyczny, w jakim jest to dziecko… – powiedziałam, nieco zdziwiona, bo faktycznie całkiem nieźle się trzymał.

– Jak wysoką ma gorączkę?

– Gorączkę…? – zapytałam. – Nie mierzyłam.

– Przy zapaleniu opon mózgowych oprócz wysypki jest też bardzo wysoka gorączka. Nie doczytała tego pani?

– Ale wysypkę ma, proszę bardzo! – Pokazałam palcem na brzuch Filipa. – A rano nie miał! Zauważyłabym. Czy możemy jechać już do szpitala?

– Proszę pani – powiedział ratownik. – To dziecko nie wygląda mi na poważnie chore.

– Słucham? – Byłam wściekła. – Od dawna pracuje pan w pogotowiu? Pan w ogóle jest lekarzem?

– Wie pani co? – odpowiedział, ignorując moją kąśliwą uwagę. – Może mi pani podać wilgotną chusteczkę?

– A po co ona panu?

– Chcę pani coś pokazać.

Szybkim ruchem dłoni wyrwałam chusteczkę z pudełka i podałam mu.

– Proszę – powiedziałam.

Wtedy ratownik delikatnie potarł chusteczką brzuch Filipa. Następnie podniósł chusteczkę i zamachał mi nią przed nosem. Była cała czerwona.

– Jezus Maria – jęknęłam. – On krwawi… przez skórę?

– Nie – westchnął lekarz. – To flamaster.

– Nie słyszałam o takiej chorobie…

– Ktoś wymalował pani dziecku brzuch w czerwone kropki, najprawdopodobniej flamastrem.

– Ale kto…? Co pan w ogóle mówi? To niemożliwe…

– Czy ma pani jeszcze jakieś dzieci?

– Oczywiście, że mam. Ale pan nie myśli chyba… że…

Dopiero teraz przypomniało mi się, że poprosiłam Helenę, żeby przypilnowała Filipa, kiedy ja pakowałam wózek.

Wszystko stało się jasne.

– Ja ją chyba zabiję… – Wyrwało mi się.

– Słucham?

– Nie, nic – odpowiedziałam cicho.

Mężczyzna spakował wszystkie sprzęty z powrotem do torby.

– Następnym razem, zanim zadzwoni pani po pogotowie, proszę udać się do najbliższej przychodni – powiedział.

– Dobrze…

I kiedy był już w drzwiach, odwrócił się i dodał:

– A odpowiadając na pani pytanie, to w pogotowiu pracuję już dziesięć lat. Ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. No cóż, w tej robocie człowiek uczy się każdego dnia.

Zamknęłam za nim drzwi.

Kamień spadł mi z serca, to fakt, ale myślałam, że zapadnę się pod ziemię ze wstydu. A, i jeszcze jedno. Obiecałam sobie, że dam Helenie zakaz zabawy w lekarza z Filipem, aż do jego pełnoletności.

Za to kiedy Filip naprawdę jest chory, bywa niewesoło.

– Chciałbym mieć inną rodzinę, mamo!

– Bo co? Bo powiedziałam, że nie pojedziesz na basen z gilem do pasa i z gorączką, tak? To jest powód do zmiany rodziny?

– Tak!

– Też cię kochamy, syneczku.

MAMO, ZRÓB MI KANAPKĘ, CZYLI O TRUDNEJ SZTUCE SAMODZIELNOŚCI

Lubiliście jeździć na kolonie? Ja nie bardzo, ale rodzice i tak każdego lata wysyłali mnie na tego typu wyjazdy, które za moich czasów były bardzo popularne. I właśnie podczas jednej z takich kolonii poznałam niejakiego Mareczka. Przyznam, że Mareczek zrobił na wszystkich tak mocne wrażenie, że pamiętam go po dziś dzień.

Minęło tyle lat, a ja wciąż nie mogę zapomnieć tego chłopaka, który wtedy mógł mieć nie więcej niż dziesięć lat. Niestety, stał się pośmiewiskiem całej kolonii, bo nie umiał nic zrobić samodzielnie. A trzeba zaznaczyć, że nie był ułomny czy niepełnosprawny. Mareczek po prostu nauczył się od małego, że wszystko robiły za niego albo mama, albo babcia. Ojca nie miał, z tego, co pamiętam. I w związku z tym, jak widać, kobiety z jego najbliższego otoczenia starały się mu tego ojca we wszystkim zastąpić. Mareczek nie miał też rodzeństwa, niestety. Piszę: „niestety", bo wiem, że gdyby jego matka urodziła więcej dzieci, to nie miałaby zwyczajnie czasu ani siły wyręczać syna we wszystkich pracach domowych. Poza tym rodzeństwo, żądne naturalnej rywalizacji, chociażby o zwrócenie na siebie uwagi

matki czy babci, automatycznie zmusiłoby Mareczka do większego wysiłku w zakresie tak zwanej „samoobsługi”.

Mareczek wyręczany był we wszystkim i nie umiał nawet sam się ubrać. Potrzebował kogoś do pomocy, żeby pozapinać guziki albo zawiązać sznurowadła. Nie potrafił też sam posmarować kanapki masłem. Z myciem zębów również miał niemały kłopot, bo, jak sam się przyznał, w czynności tej pomagała mu mama, chcąc mieć pewność, że zostanie to zrobione porządnie.

Zastanawiam się, czy Mareczek umiał się, że tak powiem, sam podetrzeć w toalecie, ale może lepiej nie wnikajmy w ten temat zbyt głęboko. Dwutygodniowy turnus kolonijny sprawił, że Mareczek nauczył się wszystkich tych czynności, i to bardzo szybko. Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że kolonie okazały się dla niego szkołą życia, żeby nie powiedzieć, szkołą przetrwania. Jakież pewnie było zdziwienie jego matki i babci po powrocie! Teraz, po latach, zaczęłam nawet myśleć, że może owe kobiety nie zrobiły tego specjalnie? Jakże często zdarza się bowiem, że otaczając bezkresem miłości swoich najbliższych, zapominamy o zgubnych skutkach takiej miłości, w myśl przysłowia „zagłaskać kotka na śmierć”. W taki właśnie sposób mamuśka wychowuje na własnej piersi życiowego nieudacznika, żeby nie powiedzieć księcia, który to żadną pracą rączek sobie nie pobrudzi. Wiadomo, mama zrobi wszystko za niego, i to jeszcze z uśmiechem na ustach. „Bo ja lubię czuć się potrzebna!”, myśli

sobie mama. Albo: „To mój matczyny, święty obowiązek, a ty sobie odpocznij, dziecko!”. I dziecko odpoczywa.

I tak sobie myślę, czy ja aby przypadkiem z własnego syna takiego Mareczka nie zrobiłam. No bo drze mi się taki ośmiolatek ze swojego pokoju: „Mamo, zrobisz mi kanapkę!” i nie jest to pytanie, ale rozkaz, jakże dobrze znany każdej matce. I ja, zamiast odpowiedzieć mu, żeby sobie tę kanapkę sam przyrządził, to z uśmiechem na ustach, choćbym padała na twarz, w te pędy zabieram się za smarowanie chleba masełkiem. Jak każda matka zresztą. Nie jestem przecież bez serca.

A może właśnie jestem? Może wyręczanie dziecka we wszystkim powoduje, że wychowuję kalekę? Może od małego powinnam uczyć go samodzielności, bo przecież nie zawsze będzie mieć mnie przy sobie? I wtedy, kiedy mnie zabraknie, jemu będzie łatwiej, bo nauczony wszystkiego poradzi sobie z różnymi życiowymi zakrętami…

I wtedy moje matczyne serce pęka i zaczyna krwawić. Jak to mnie nie będzie? Wówczas zaczynam wyobrażać sobie taką chwilę. I oczami matczynej wyobraźni widzę samo zło. Widzę moje biedne dziecko stojące samotnie na jakiejś obcej ulicy, zagubione, niewiedzące, dokąd pójść. I wchodzę na paluszkach do jego pokoju i patrzę, jak siedzi spokojnie przy swoim biurku w naszym domu. Siedzi i gra na komputerze. Nic nie robi, co jest typowe dla jego wieku. I mówcie, co chcecie, ale ten widok akurat tego dnia napełnia mnie spokojem i radością.

I już zamierzam pogonić młodego do kuchni w celu zrobienia sobie kanapki, lecz zamiast tego z moich ust wydobywają się słowa:

– A z czym chcesz tę kanapkę, kochanie? Z serkiem czy z szyneczką?

Na co mój dzieciak odwraca się w moim kierunku i jakby od niechcenia rzuca:

– A, z czymkolwiek. Wszystko jedno.

I te słowa sprowadzają mnie na ziemię. I całe szczęście.

– No to skoro jest ci wszystko jedno – mówię, otwierając szerzej drzwi do jego pokoju – to łaskawie wstań i sam sobie zrób tę kanapkę. Ręce masz, prawda?

– Ale mamo! – protestuje syn.

– Ale synu! – kontynuuję. – To nic trudnego. I wiesz co? Przy okazji zrób też jedną dla mnie. Marzę o kanapce przygotowanej przez mojego syna.

– To niesprawiedliwe!

„Być może, synku", dodaję w myślach. Ale cóż, życie jest ciężkie. I trzeba się uczyć sobie z nim radzić od małego. Zacznijmy więc od kanapki.

Matka ma wychodne

Złapałam się na tym, że jak wyrwałam się w końcu z domu i sama (!) pojechałam do galerii po nowe buty, to w autobusie zaczęłam się odruchowo kiwać, jakbym cały czas usypiała Filipa na swoim ramieniu. W galerii też wcale nie było lepiej. Buty, owszem, jakieś tam kupiłam, ale nic specjalnego. Za to wypatrzyłam fantastyczne klocki, takie wciskane, w dodatku w promocji, więc dla syna, jak podrośnie, będą jak znalazł!

Niestety, wybiegając już z tej galerii, wpadłam na moją siostrę, Iwonę.

– Cześć! – zawołała. – Co ty tutaj robisz…?

– A jak myślisz?

– I tak sama tu jesteś? Bez dzieci? Bez męża? – Zaczęła się rozglądać.

– No wyobraź sobie, że jakimś cudem udało mi się zerwać z domowego łańcucha.

– No i super! Powinnaś robić to częściej.

– Wiesz co, dostałam takiej migreny, że nie wiem, czy będzie mi się chciało to powtarzać. Odzwyczaiłam się od tych tłumów, a to światło daje mi po oczach!

– Zdziczałaś po prostu.

– Mówiłam ci, że głowa mi pęka.

– Kochana, na ból głowy najlepsza jest kawa, a tutaj jest świetne miejsce…

– Ale ja już powinnam wracać do domu.

– Bo co? – Obruszyła się. – Dzieci są z ojcem, tak?

– Tak.

– No to my idziemy na kawę.

No i mnie namówiła.

Siedziałyśmy przy stoliku, który był tak mały, że bałam się, czy nasze filiżanki się na nim zmieszczą.

– Obawiam się, że nawet kawa mi nie pomoże – westchnęłam. – Mam taki deficyt snu, bo Filip ząbkuje.

– To niech Piotrek do niego wstaje.

– No przecież on rano musi iść do pracy.

– A ty to sobie śpisz w łóżku do południa, jak śpiąca królewna może?

– Nie, ale to co innego.

– Powiem ci jedno, wstajesz do dzieci w nocy i wstajesz do nich od rana. A ten twój mężuś to nie dość, że się wyrelaksuje za biurkiem przez osiem godzin, to jeszcze się w nocy wysypia. On ma za dobrze, mówię ci! Ja swojego lenia od razu pogoniłam i przynajmniej mam spokój.

– Ja mojego jednak nie pogonię. – Przełknęłam łyk kawy. – Aż taki zły nie jest.

Iwona spojrzała na moje zakupy. Jej wzrok zatrzymał się na plastikowym opakowaniu.

– A to co niby jest? – spytała.

– Klocki.

– A po co ci klocki?

– To nie dla mnie – rzuciłam.

– Przyjechałaś taki kawał drogi po klocki…?

– Nie. Przyjechałam, żeby kupić sobie buty.

– A wracasz z klockami.

– Były w dobrej cenie.

– Niech ci będzie. – Machnęła ręką. – A buty? Pokazuj, co znalazłaś?

– To nic takiego. Zwykłe buty do latania.

– Myślałam, że do tego służą samoloty.

– Chodziło mi o bieganie.

– To ty wreszcie zdecydowałaś się ćwiczyć?

– Nie! – zaprzeczyłam szybko. – To są buty do chodzenia. Ale takiego z dziećmi, za wózkiem, po placu zabaw. Rozumiesz, wygodne.

– Nie. Nie rozumiem. Buty mają zdobić nogę, mają być piękne. Wygodne to są kapcie.

– No widzisz, a ja sobie kupiłam wygodne buty.

– Nie pochwalisz się? – zapytała. – Chociaż nie jestem pewna, czy chcę w ogóle zobaczyć to cudo.

Wyjęłam prawy but z pudełka i postawiłam go na stoliku.

– Boże! – krzyknęła Iwona. – Ty chcesz w czymś takim wyjść z domu…?

– No przecież ma nawet obcasik. Nie rozumiem, o co ci chodzi?

– Obcasik…? – fuknęła. – Tego zdeptanego kartofla nazywasz obcasem…? Boże, nie wierzę, że są kobiety, które kupują coś takiego!

– Do spodni będą idealne, do spódnicy zresztą też.

– Ja bym wolała chodzić boso niż w czymś takim. Serio.

– Przesadzasz.

– Ale wiesz co? – Ożywiła się. – Mam pewien pomysł.

– Niby jaki? – zapytałam bez entuzjazmu.

– Co powiesz na to, żebyś kupiła sobie jakąś fajną bieliznę?

– Co…?

– Jakiś staniczek z koronki albo pas do pończoch?

– A niby po co mi pas do pończoch, których nie noszę?

– To sobie kupisz te pończochy.

– Po co…? – Zdziwiłam się, bo akurat te rzeczy były ostatnimi, jakie przyszłyby mi do głowy. Czy matka w ogóle może nosić pończochy? To przecież takie niepraktyczne.

– Żeby znowu poczuć się kobietą – westchnęła Iwona.

– Daj mi spokój. Ja mam dzieci, męża. Po co mi pończochy? – Wzruszyłam ramionami.

– Chcesz mi powiedzieć, droga siostro, że kompletnie skapciałaś…?

– Co…?

– Nie masz czasem ochoty zaszaleć? Kupić sobie czegoś modnego?

– Mam. Oczywiście, że nadal kocham ciuchy! – Broniłam się. – Ale… pończochy?

– Pomyśl tylko, co ten twój Piotrek by powiedział, gdyby zobaczył, co masz na nogach.

– Wolę nie myśleć…

– To nie myśl. – Podniosła się z krzesła – Idziemy.

– Dokąd?

– Poszukać czegoś innego niż pończochy, skoro tak się uparłaś. Może perfumy?

– To już lepsze.

– Jest taki nowy zapach, właśnie pojawił się w sklepach, z nutką cytryny. Mają też świeczki do kompletu. Chodź, nawet jeśli nie kupisz, to chociaż sobie powąchamy.

I poszłyśmy do tej perfumerii.

I nawet te cytrynowe perfumy sobie kupiłam.

I nawet się lepiej z tym zakupem poczułam.

Dobrze mieć siostrę, w każdym razie.

Mały pomocnik

Dzisiaj Filip bardzo pomagał mi w codziennych porządkach. Uczę dzieci sprzątania od małego. Mnie samej słabo to wychodzi, ale może one należą już do zdolniejszego pokolenia? W każdym razie mocno w to wierzę. No i dzisiaj synek mój zabrał się za mycie okien. Językiem. W dodatku tuż po jedzeniu! A że na obiadek dzisiaj miał pizzę, to wiecie…

Robił też pranie, w dodatku ręczne. Już pół biedy, że do prania wziął czyste ręczniki, ale dlaczego zamiast w zlewie, postanowił namoczyć je w… toalecie?!

ŚMIECIUCH: UKOCHANA PRZYTULANKA

– Matko przenajświętsza, co to jest…? – Teściowa chwyciła w dwa palce siwą kulkę, którą podniosła z podłogi.

– A to jest Stefan – odpowiedziałam z dumą.

– Ten… śmieć?!

– O, przepraszam, to jest ulubiona zabawka Filipa. Faktycznie, wygląda jak Śmieciuch. Ale to cały czas jest ten sam Stefan, mamo.

– To nie lepiej kupić mu coś nowego? Co to jest, a właściwie, co to było?

– Najpierw to był chyba słoń. Tak, na pewno miał trąbę, ale szybko się urwała.

– A uszy? Nie miał uszu?

– Oczywiście, że miał! – zapewniłam ją. – Skoro był słoniem, to musiał mieć i uszy, prawda?

– No tak…

– Ale Filip urwał je w drugiej kolejności.

– Boże… – Teściowa załamała ręce.

– Potem poodpadały mu oczy, najpierw lewe, potem prawe. I ogonek, który jakimś cudem ostał się do samego końca. No, ale ogonki zwykle są na końcu. Z tego, co pamiętam, Filip walczył z nim całkiem zaciekle.

– Potworna zabawka. Jak z horroru.

– Stefan wiele przeszedł, przyznaję, ale Filip nie daje go za żadne skarby świata wyrzucić. O, nogi też mu poodrywał.

– Jezus Maria, mam nadzieję, że to mu przejdzie.

– Też mam taką nadzieję, mamo. Kawy czy może herbatki się napijemy?

– Jakiej herbaty? – dopytała.

– Zwyczajnej. W filiżance albo w kubku.

– Z uchem…?

– Tak. I nawet nie jest urwane! To prawdziwy cud.

– Dobrze, niech będzie herbata w takim razie, tylko nie za mocna. Muszę się jakoś uspokoić. Jak sobie pomyślę, co z tego biednego słonia zostało… Dobrze, że nie macie psa. Żywego.

– Myśli mama, że już by biegał bez uszu?

Kłopoty ze starszymi dziećmi

Wielu matkom wydaje się, że ich kłopoty z dziećmi nigdy się nie skończą i że już zawsze tak będzie, że albo ryczy, albo krzyczy. A życie przecież toczy się dalej i dziecko cały czas się zmienia i rośnie. Pamiętam, jak mama wpadła do nas któregoś dnia z odsieczą, żeby odgruzować mnie spod sterty pieluch i butelek z zaschniętą kaszką. Siedziałam wówczas na kanapie kompletnie bezradna i załamana.

– Nie martw się – powiedziała wtedy mama. – Przecież to się kiedyś skończy.

– Kiedy? – zapytałam zrozpaczona.

– Szybciej, niż myślisz. Dzieci tak szybko rosną.

– To chyba nie moje.

– Twoje też, tylko tego nie widzisz.

A potem dodała, że właściwie nie mam się co tak cieszyć, bo z małymi dziećmi są małe kłopoty, a z dużymi dziećmi są kłopoty odpowiednio większe. Wygląda więc na to, że z perspektywy rodzica problemy wychowawcze rosną razem z dziećmi, zamiast zniknąć zupełnie, dajmy na to, po dziesiątym roku życia. Tak byłoby najwygodniej dla wszystkich. Ale nie! Jak widać natura przewidziała swój scenariusz.

Któregoś dnia wpadła do mnie Jolka i już od progu wyszeptała:

– Mam bombę, nie uwierzysz. Piotrek jest?

– Nie ma, a co?

– To dobrze. – Usiadła na stołku w kuchni, bo właśnie tam rozmawiało nam się najlepiej. – Słuchaj, nie uwierzysz.

– No, mów!

– Ta Kaśka z mojej szkoły, co to ostatnio spotkałyśmy się na zjeździe klasowym, pamiętasz?

– Ta z wąsami?

– Ta sama! – Jolka klasnęła w dłonie. – Wyobraź sobie, że znowu się spotkałyśmy w kilka dziewczyn.

– No i co? Usunęła sobie w końcu ten wąsik?

– Jaki wąsik?

– Pod nosem.

– Ach, ten wąsik. Tak! I od razu zaczęła przypominać kobietę.

– Świetnie! Chcesz kawy? – zaproponowałam.

– Poproszę. Ale słuchaj…

– No słucham, słucham…

– Ty wiesz, że ona ma już syna całkiem dorosłego?

– Nie miałam pojęcia. Z mlekiem?

Jolka skinęła głową.

– Ten chłopak ma już osiemnaście lat! Kaśka urodziła go zaraz po maturze.

– No popatrz, jak ten czas leci. A my wciąż takie młode, co?

– Tak, tylko po dzieciach te lata widać, my się nic nie starzejemy. Nic a nic!

– No i co z tym chłopakiem?

– Same kłopoty, wyobraź sobie. – Jolka sięgnęła po wafelka, który najwyraźniej patrzył na nią z miseczki już od dłuższego czasu. – Wyobraź sobie, że Kaśka przyznała nam się, że ma z nim straszny kłopot.

– Co, narkotyki czy alkohol?

– Gorzej.

– Gorzej być już nie może – stwierdziłam.

– I tu się zdziwisz. Co byś powiedziała, gdyby ten twój Filipek za kilka lat przyprowadził ci do domu – odchrząknęła – kobietę?

– Ucieszyłabym się.

– Jesteś tego pewna?

– Absolutnie. W końcu po to go wychowuję, żeby kiedyś założył rodzinę i tak dalej…

– No to uważaj. A co gdyby ta kobieta była… starsza od ciebie?

– Jaka kobieta…?

– No, ta kobieta twojego syna.

– Oszalałaś czy co?

– Ja tylko opowiadam, co spotkało Kaśkę.

– Poczekaj, ty chyba nie chcesz powiedzieć, że on spotyka się…

– To właśnie nam powiedziała. Jej syn poznał jakąś starą babę, rozumiesz to?! Zakochał się w niej i świata poza nią nie widzi.

Wzięłam głęboki oddech.

– Zaraz – zaczęłam. – A może tej Kaśce tylko tak się wydawało?

– Powiedziała, że już dawno coś podejrzewała, bo ten jej syn zrobił się jakiś tajemniczy i zaczął znikać z domu. No głupi by się domyślił, że się chłopak zakochał! I ona to zaakceptowała, bo w końcu to normalne, prawda?

– Prawda.

– I ty sobie wyobraź, że miał wrócić z jakiejś imprezy do domu, a nie wracał, zrobiła się północ i Kaśka w końcu do niego zadzwoniła, i powiedziała, że ma natychmiast przyjść. No to przyszedł.

– No i?

– Kaśka siedziała w oknie, no wiesz, jak każda matka, wypatrując nocą powrotu dziecka z imprezy…

– Wszystko przed nami.

– No właśnie. I ty sobie wyobraź, że ona patrzy przez to okno, a tu podjeżdża pod ich dom jakiś samochód, z którego wysiada jej syn. Ale zanim wysiadł, to pocałował się z tym kierowcą, to znaczy z tą babą. I Kaśka wszystko widziała z kuchni, wyobrażasz sobie? Zapytała go od razu, co to za samochód i z kim on się całował, a ten syn jej na to, że jak to z kim, że to jego dziewczyna jest przecież.

– No ładnie.

– Kaśka zapytała, ile ona ma lat, i wtedy się okazało, że jest od nas starsza o trzy lata! Wyobraź sobie tylko, że dziewczyna twojego syna jest starsza od ciebie!

– To faktycznie trochę dziwne – westchnęłam. – Ale przecież takie rzeczy się zdarzają. Na pewno mu przejdzie, nie ma się czym martwić.

– To samo jej powiedziałam, ale ona na to, że boi się, żeby dziecka z tego nie było.

– Jakiego znowu dziecka…?

– No że może ona go tak osaczyła, tego syna, żeby z nim dziecko mieć! Bo ona jest rozwódką, samotną i bezdzietną. Wiadomo, co takiej do łba strzeli?

– I ty myślisz, że ona chciałaby mieć dziecko z takim młodym chłopaczkiem? Zwariowałaś chyba. Zwyczajnie chce się przy nim trochę rozerwać i tyle. A ta twoja Kaśka to nie powinna narzekać, bo przynajmniej jej syn może się czegoś nauczy o kobietach przy takiej doświadczonej partnerce.

– Tak sądzisz…? Kaśka też powiedziała, że właściwie to nie ma nic przeciwko temu, bo się chłopak przynajmniej wyszumi.

– No i tamta też się wyszumi, prawda? Czyli dobrali się idealnie. I o co ten cały raban?

– Bo jakoś tak głupio, nie uważasz? Taka różnica wieku!

– Wielkie mi rzeczy. Faceci zawsze spotykali się z młodszymi dziewczynami i nikt nie robił z tego tragedii. Ile razy się czyta, że jakiś gwiazdor się rozwiódł i ożenił potem z laską, która mogłaby być jego wnuczką. I jeszcze tatusiem zostanie na stare lata. Nikt się nie krzywi na takie związki.

– No tak, masz rację. Ale taka starsza kobieta i młody chłopak to jednak dziwne. – Pociągnęła nosem. – Poza tym Kaśka ciągle powtarzała, że ten jej syn to taki niezaradny i że w ogóle martwi się, jak on sobie w życiu poradzi.

– No widzisz, jak ją zaskoczył! Dzieci są teraz coraz zdolniejsze, moja droga. Ja to marzę o tym, żeby moje już się usamodzielniły i wyprowadziły na swoje.

– Na to jeszcze, zdaje się, musisz trochę poczekać.

– Trzymaj kciuki, żebym do tego czasu całkiem nie zwariowała.

Jolka wstała od stołu i rozprostowała nogi.

– No, nic – powiedziała. – Będę uciekać do siebie. Moja mała pewnie już się obudziła i trzeba będzie ukręcić jakąś kaszę w garnku.

– Samą ją tak zostawiłaś…?!

– Oszalałaś? Mama do mnie przyjechała, żeby spędzić trochę czasu z wnuczką. Pa!

– Pa, kochana!

Po wyjściu Jolki do kuchni od razu wpadł Filip i od drzwi poprosił o sok. Podając mu szklankę, spojrzałam na jego jasne, lekko kręcone włoski. I taka myśl mnie naszła: kogóż to mój ukochany syneczek przyprowadzi pewnego dnia do domu? Z kim zwiążą się moje dzieci i czy będą szczęśliwe? I czy ja będę szczęśliwa z tego powodu? Czy uda mi się zaakceptować ich życiowe wybory, czy wręcz przeciwnie: będę im je z głów wybijać, choćby tłuczkiem do mięsa? Jaka ja wtedy będę, kiedy los ogłosi

mnie teściową? Czy moja synowa będzie do mnie podobna, czy wręcz przeciwnie?

– Ten sok jest za kwaśny! – powiedział tymczasem Filip, wypluwając sok na szczęście do zlewu, a nie obok zlewu.

– Chyba się nie zepsuł… – Wzięłam kubek i powąchałam. – Nic mu nie jest.

– To dlaczego tak okropnie smakuje?! Fuj!

– Mamusi butelki się po prostu pomyliły i w ogóle co to jest za zwyczaj, żeby piwo wstawiać do lodówki w otwartej butelce? Tylko twój tatuś mógł wpaść na taki pomysł. Już nalewam ci sok. Może być marchewkowy?

– Może być. – I wtedy Filip stanął jak wryty. – Mamo? Czy ja wypiłem piwko…?

– Tylko odrobinkę, na szczęście.

– To było okropne, mamo! Strasznie niesmaczne. Dorośli są jacyś dziwni. Jak wy to możecie w ogóle pić?

– No widzisz, synku, jak my musimy się męczyć…

Matka nie ma chwili prywatności nawet w toalecie...

– Mamo, odkręcisz mi butelkę?

– Filipku…

– Ale teraz, bo jest mi bardzo potrzebna.

– Dobrze, jak skończę, to ci odkręcę.

– Ale przecież i tak nic nie robisz.

– Siedzę na toalecie. Nie widzisz tego?

– No właśnie. To mi odkręć.

– Czy ty musisz wszędzie za mną wchodzić?

– Odkręcisz mi?

– Już nawet we własnej toalecie nie można spędzić kilku chwil w samotności, wszędzie za tobą wejdzie i będzie ci dupę zawracać…

– Mamo, nie mówi się „dupa”.

– Jak ty mówisz, Filip!

– Sama tak powiedziałaś.

– Czy możesz wyjść z łazienki, bo chciałam sobie urwać papier?

– Ja ci urwę, mamusiu, a ty mi odkręcisz, dobra? To ile chcesz listków tego papierku?

MATKA ZROBIONA W BALONA

Najlepsza zabawa, którą odkrył mój synek: dmuchanie balonów i wypuszczanie z nich powietrza, ściskając ciasno za szyjkę. Im wolniej, tym lepiej, bo strasznie piszczy przy tym. Balon i Filip też – z radości. Przy piątym balonie czuję, co prawda, że brakuje mi powietrza, ale czego nie zrobi się dla dziecka, które w dodatku ma gorączkę? Płuca zaraz wypluję, w głowie mi się kręci, ale nadmucham mu tego balona, żeby potem powietrze z niego wypuścić. I tak w kółko. Jak to w życiu, co zrobić? Trzeba sobie jakoś radzić.

W takich chwilach sprawdza się moje najnowsze odkrycie na ciężkie dni: nalewka na kukułkach! Już nic mnie nie doprowadzi do rozpaczy, kiedy w szklance mi kuka. Na zdrowie!

Kto wylał mleko?

– Kto wylał to mleko na dywan w salonie? – krzyczę, stojąc nad białą plamą.

– To nie ja! – mówi Filip.

– Ani ja! – wtóruje mu Helena. – To na pewno zrobił ten gnojek i teraz nie chce się przyznać, i jak zwykle dajecie mu się manipulować.

Moja wszystko wiedząca lepiej córeczka!

– Filip, to ty wylałeś? – Patrzę mu w oczy. – Pytam ostatni raz.

– Mówiłem, że to nie ja!

– No więc kto? – pyta Helena. – Lepiej się przyznaj.

– Już wiem! – mówi Filip.

– Wiesz…?

– To zrobił Janek.

– Słucham?

– Kto? – pytam. – Jaki Janek?

– On mówi, mamo, że to zrobił ten Janek spod szóstki, co był u niego pobawić się w samochodziki.

– Ale to było w zeszły czwartek, przecież… – mówię.

– Widocznie nie zdążyło wsiąknąć w dywan – odpowiada Filip. – Czytałem, że pełnotłuste mleko może tak mieć.

Ręce opadają mi do samej podłogi.

À propos Janka, to przypomniała mi się jeszcze jedna historia związana z tym chłopcem, który faktycznie mieszka pod szóstką i czasem przychodzi pobawić się z naszym Filipem.

Któregoś dnia zajrzałam za zasłonę u Filipa w pokoju i dokonałam niezwykłego odkrycia.

– A cóż to za freski? – zapytałam, wpatrując się w bazgroły naniesione na ścianę flamastrami. – Kto mi to zmalował i kiedy? Filip, melduj się do ojca natychmiast!

– To nie ja! – krzyknął na swoją obronę. – Ja tak nie potrafię.

– Samo się to nie namalowało przecież?

– To nie ja.

– To kto?

– Janek – odpowiedział. – Mówiłem ci, tylko mnie nie słuchałaś.

– Jaki Janek…? – zapytał mój mąż.

– Janek spod szóstki.

– To jakiś straszny łobuz musi być, ten Janek – skomentował Piotrek. – Jak można zrobić coś takiego w czyimś domu.

– No właśnie – dodał Filip.

– Trzeba będzie porozmawiać z jego rodzicami – stwierdził mój mąż.

– Poczekaj… – Coś mnie jednak tknęło. – Przecież Janek nie przychodził tu od tygodni, a tego malowidła jeszcze niedawno tu nie było, wiem, bo co drugi dzień podlewam kwiatki i na pewno bym zauważyła.

– Filip! – krzyknął Piotrek. – Jeśli to ty zrobiłeś, to chociaż się przyznaj. Bądź honorowy.

– No przecież mówię, że to Janek zrobił. – Upierał się przy swoim.

– To w takim razie wytłumacz nam, jak to zrobił, skoro nie przychodził do ciebie, co?

– Przychodził – odpowiedział na to Filip. – Tylko nie drzwiami.

– Nie drzwiami?

– Wszedł oknem – odpowiedział.

– Oknem, powiadasz? – powtórzyłam.

– Też się zdziwiłem. Wszedł oknem i zaczął rysować flamastrami po ścianie. A potem poszedł, bo musiał wracać do siebie na kolację.

– Bałwan! – dodała Helena od siebie.

Nie dość, że uparciuch, to jeszcze z fantazją!

Domowe ciasteczka

To było tuż przed świętami. Filip miał trzy latka i jakoś tak mnie naszło na jakieś wspólne zajęcia domowe. Tak, tak, nawet ja mam czasem takie zachcianki.

– Słuchajcie, dzieci – oświadczyłam przed południem. – Dzisiaj będziemy piec pierniczki na choinkę. Macie wolne, siedzicie w domu, więc akurat się razem pobawimy w kuchni.

Wysłałam Helenę do sklepu na dole, żeby przyniosła nam mąkę, jajka, cukier i proszek do pieczenia. I jeszcze miód.

Przez pół dnia siedzieliśmy przy stole ubryzgani mąką, z paluchami klejącymi się od miodu, do których z kolei Filipowi przylepiły się włosy. Pół biedy jeszcze, gdyby to były jego włosy. Niestety, przykleił się do warkocza swojej siostry.

– Mamo, powiedz mu coś!

– Filipku! – zawołałam. – Puść Helenkę.

– Nie! On mnie ciągnie… Ała! – jęknęła głośno.

– Poczekajcie, trzeba podejść do zlewu…

– Tylko mi ich nie obcinaj!

– Trzeba to umyć. Filip, daj rękę.

– No super, będę musiała myć włosy.

– Chyba od tego nie umrzesz?

– Ale miałam już ułożone.

– To ułożysz jeszcze raz. – Klasnęłam w dłonie. – Teraz tylko trzeba to wszystko jakoś posprzątać, pierniczki upieką się same.

– Ja idę czytać lekturę – oświadczyła Helena. – Już i tak zmarnowałam pół dnia w kuchni.

– Ale to nie był zmarnowany czas – powiedziałam. – Przecież świetnie się razem bawiliśmy. Hela, chyba nie zostawisz mnie tu teraz samej…?

Spojrzałam na Filipa, który zrobił kulę z resztki ciasta i podrzucał nią nad stołem.

– To może ty mi pomożesz w sprzątaniu? – Uśmiechnęłam się do niego z nadzieją, na co mój syn odpowiedział:

– Wolałbym mieć inną mamę.

– Słucham…? – Myślałam, że spadnę ze stołka.

– Taką, która kupuje ciastka w sklepie, zamiast kazać mi je robić przez cały dzień.

Modliłam się, żeby tylko jego starsza siostra tego nie usłyszała.

– Masz rację, kochanie, te pierniki to wcale nie jest taka prosta sprawa, jak się mamie wydawało. Leć się pobawić. Tylko umyj ręce, żebyś się tym razem do klocków nie przykleił.

W następne święta będę mądrzejszą matką i kupię wszystko gotowe w supermarkecie. W końcu szczęście dzieci jest najważniejsze, prawda?

Wrażliwość matki

Właśnie przygotowywałam kolację w kuchni i żeby umilić sobie ten trudny czas, włączyłam radio. Nastawiłam pierwszą lepszą stację i wróciwszy do krojenia rzodkiewki w cieniutkie plasterki, wcale nie zamyśliłam się nad własnym życiem, o nie. Szczerze mówiąc, zastanawiałam się, w co ubrać następnego dnia córkę, bo na szkolny bal przebierańców miała się przebrać za bohatera ulubionej książki. Co roku była Pippi, ale w tym roku sama powiedziała, że chce wymyślić coś nowego. No to myślałam nad tym od dni kilku, ona zresztą też, i nic sensownego nie przychodziło nam do głowy. A bal już jutro!

Przekroiłam bułkę na pół i wtedy przyszedł pierwszy atak. Nic stąd, ni zowąd, a jakby cały świat się zatrzymał. Są tylko dwie piosenki na świecie, które w każdej sytuacji wycisną z moich oczu łzy. I jestem pewna, że każda kobieta ma takie piosenki, które potrafią nas nieźle sponiewierać. A że akurat byłam przed okresem, więc tym bardziej reagowałam na wszystko emocjonalnie. Najpierw puścili *Hello* Lionela Richiego. Tu jeszcze trzymałam się twardo, krojąc jajka na kanapki, chociaż słowa o tym, że on chce jej tylko powiedzieć „hello", jakoś tak trafiały mnie w samo serce… No bo kurczę, chciałabym mieć takiego sąsiada chociaż, o własnym mężu nie wspominając. No ale jak poleciało:

„Będę walczył, będę kochał, będę się o ciebie bił…”, to już nie wytrzymałam. Wylało się. Nawet nie wiem, kiedy moje policzki zrobiły się mokre od łez. Jezu! Po co oni te teksty piszą, po co ci faceci je potem śpiewają! Byłam wściekła na siebie, że tak się dałam podejść, że popuściłam wodze fantazji i tak, wyobraziłam sobie, że on śpiewa to dla mnie i do mnie. No pokażcie mi taką kobietę, która nie chciałaby, żeby facet o nią walczył? Każda z nas chce być adorowana i widzieć ogień pożądania w oczach swojego faceta. Poryczałam się, bo wiadomo, jak jest. I wiadomo, co mam. Mam męża, mam dzieci, jestem szczęśliwa. To dlaczego ta piosenka tak mnie ruszyła?

Akurat w tym momencie, kiedy ocierałam łzy rękawem, do kuchni wszedł nie kto inny, tylko mój mąż właśnie. Odwróciłam się szybko, bo nie chciałam, żeby się zorientował, w jakim jestem nastroju. Tylko by się śmiał, jak każdy chłop.

– Coś bym zjadł – powiedział, drapiąc się po czubku głowy i otwierając lodówkę.

– Zaraz będą kanapki z rzodkiewką… – Pociągnęłam nosem.

Słysząc ton mojego głosu, ostrożnie wychylił głowę zza otwartych drzwi lodówki.

– Cebulę kroiłaś…? – zapytał.

– Do rzodkiewki cebula nie pasuje.

– No przecież widzę, że…

– Że co? – Wytarłam nos w chusteczkę.

– No widzę, że ryczysz.

Zamknął drzwi lodówki i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Co się stało? – zapytał lekko przerażony.

Spojrzałam na jego podkoszulek. Był rozciągnięty, a z nadruku został po latach tylko ledwo widoczny rozmazany ślad. Całkiem jak z naszej miłości, pomyślałam.

– Piotrek – zaczęłam, pociągając nosem.

– Coś się jednak stało?

– Nic. Ale powiedz, czy ty mógłbyś tak kiedyś do mnie powiedzieć?

– Zależy, co miałbym powiedzieć.

– No tak jak on w tej piosence, że będziesz czekał na mnie, że będziesz walczył…

– Przecież nie muszę – odpowiedział szybko.

– Słucham…?

– To znaczy, oczywiście, mogę to powiedzieć – poprawił się szybko.

– Ale czy mógłbyś podejść do didżeja i zamówić dla mnie taką piosenkę z dedykacją?

– Z jaką dedykacją…?

– No że dla kochanej żony od Piotrka? Proszę, mógłbyś tak chociaż raz mnie zaskoczyć?

– Ale po co? – Znowu zaczął drapać się po głowie.

– Bo mam słabość do tej piosenki. Przed chwilą leciała w radiu i on tam tak pięknie o tej miłości śpiewał, że aż…

– Że aż co?

– Że aż się wzruszyłam.

– Aha. – Chrząknął i zaproponował z uśmiechem: – To ja ci puszczę tę piosenkę w domu. Po co od razu robić takie rzeczy przy ludziach?

I w ten oto sposób mój romantyk w jednej chwili ściągnął mnie na ziemię.

Dlaczego oni niczego nie rozumieją? Dlaczego wszystko trzeba im tłumaczyć, jak krowie na rowie? Ja nie chcę go wychowywać, ja chcę, żeby o mnie walczył, nawet jeśli nie widać tu żadnego frontu, chcę, żeby na mnie czekał. To tak wiele?

– Zresztą, gdzie niby miałbym ci ją zamówić? – poprawił się, widząc łzy w moich oczach. – Czy my się wybieramy do jakiegoś lokalu?

– Możemy o tym chociaż pomyśleć.

– Dobrze. Pomyślimy. – Tym razem poklepał się po brzuchu – To kiedy będą te kanapki?

– Już są. – Podałam mu talerz. – Możesz je zabrać dzieciom do pokoju.

– Tylko tyle? Wszyscy mamy się tym najeść?

– Dobrze, dokroję – powiedziałam, sięgając do wiklinowego koszyka po kolejną bułkę. – Skoro nie potrafisz żyć miłością.

– O, przepraszam! – Wrócił z talerzem i stanął w drzwiach kuchennych. – A czy to, że o was dbam, utrzymuję i kupuję wszystko do domu, to nie jest miłość?!

– Jest – westchnęłam. – Ale od czasu do czasu mógłbyś zrobić coś bardziej romantycznego.

– Boże, ja nie jestem poetą, tylko normalnym facetem.

– To znaczy, że poeci nie są normalni?

– Są inni.

– A ty czasem nie mógłbyś być inny? Tak tylko na godzinkę, chociaż?

– Ale po co?

– Bo ja cię o to proszę. Bo tego potrzebuję. Bo chcę, żebyś był dla mnie księciem. Nie śmiej się…

Wiedziałam, że tak to się skończy, i już żałowałam tej rozmowy z Piotrkiem.

– Ile ty masz lat, co? – Zaśmiał się. – Myślałem, że o królewiczach marzą tylko pensjonarki i ostatecznie małolaty.

– Jak ty nic nie wiesz o kobietach – parsknęłam. – Aż mi cię szkoda, człowieku. Każda kobieta potrzebuje czułości, ciepła i odrobiny zainteresowania. Każda, nawet ta wasza pani dyrektor w firmie!

– A czy u nas jest zimno? A czy ja się tobą nie interesuję?

– No, nie bardzo. Nie wiesz, o czym myślę, nie masz pojęcia, o czym marzę.

– Tak? – Uśmiechnął się cynicznie. – A kto ci kupił ostatnio żelazko? No kto? I nawet nic nie musiałaś mówić. Zaskoczyłem cię, sama tak mówiłaś! Po tylu latach bardzo dobrze znam twoje potrzeby.

– Żelazko…? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – I ty to nazywasz moimi potrzebami?

– No to co ty byś chciała? Może gwiazdkę z nieba, co?

– Tak.

– Zwariowałaś.

– I jeszcze chciałabym wierzyć, że nikt inny, tylko właśnie ty mi tę gwiazdkę z nieba przyniesiesz.

– Chyba w zębach.

– Może być.

– Co ci strzeliło do głowy, kobieto?

– Nie wiem. – Pokręciłam głową. – Po prostu widzę, że po tylu latach małżeństwa przestałeś o mnie dbać. Nawet już na mnie nie patrzysz.

– A teraz to niby co robię?!

– Nie o takie patrzenie mi chodziło.

– Boże, ratunku… – jęknął. – Czy ty możesz, dla własnego dobra i dobra naszej rodziny, zmienić stację radiową?

– Bo…?

– Bo widzę, że niektóre piosenki wyraźnie ci szkodzą i mają zły wpływ na twój nastrój. A co za tym idzie, na nastrój całej rodziny. Dzieciaki, kolacja! – zawołał, wychodząc z kuchni.

W przedpokoju minął się z naszym synem, który z całym impetem wpadł do kuchni z zeszytem od nauki pisania. Zeszyt był otwarty na linijce z literką „O”, która najlepiej mu wychodziła i za którą dostał pierwsze wysokie noty.

– Ja mam dla ciebie gwiazdkę, mamusiu – powiedziało moje dziecko. – Tylko muszę ją jakoś odkleić. Nasza pani mi dała za napisanie „O”, ale mogę już ci oddać, tylko że chyba już się nie przyklei…

Oderwał gwiazdkę razem z odrobiną papieru.

– Kochanie, nie musiałeś tego robić… – Kucnęłam przy nim i wzięłam do ręki podarunek.

– Ale słyszałem, że chciałaś, żeby tata ci dał gwiazdkę. Ale tata nie dostaje gwiazdek za pisanie, a ja tak. Więc mogę się z tobą tą jedną podzielić.

– Mój kochany synek… – Pocałowałam go w czoło. – Dziękuję. A teraz zmykaj na kolację, bo inaczej twoja siostra nic ci nie zostawi.

Z dumą przykleiłam sobie gwiazdkę do podkoszulka, przyklepałam dłonią, by utrzymała się chociaż na tej resztce kleju, i wparowałam do salonu. Piotrek trzymał akurat w dłoni kanapkę i spojrzał na mnie oniemiały.

– Dzięki, synu – powiedział. – Przybij piątkę.

– Powinieneś się od niego uczyć. On będzie wiedział, jak uszczęśliwić kobietę. Możesz się zapisać do niego na korepetycje.

Puściłam do syna oko i udałam się do łazienki, żeby odgruzować pobojowisko przed wieczornymi kąpielami domowników.

ŁAŃCUCH, KTÓRYM KAŻDA MATKA PRZYKUTA JEST DO OGNISKA DOMOWEGO, NICZYM PIES DO BUDY

Heloł, czy istnieje jakieś życie bez pieluch i kaszki? No przecież ja także byłam kiedyś tylko kobietą. Każda z nas nią była, zanim została matką. I każda o tym bardzo szybko zapomina. Ponieważ jesteśmy z natury elastyczne, szybko wskakujemy w nową rolę, jaką przygotowało dla nas życie. Jesteśmy szczęśliwe, tuląc w ramionach nasze maleństwo. Karmimy je, podsuwamy mu pod nosek najlepsze kaszki świata, przewijamy w czystą pieluchę i kołyszemy je do snu. I wierzymy, że nikt inny nie będzie kołysał tak doskonale jak my właśnie.

Aż przychodzi taki dzień, kiedy matka pada na twarz. A potem zwleka się z podłogi i tym nosem się podpierając, zasuwa do kuchni i od nowa kręci łyżką w garnku z kaszką.

Kiedyś stałam z córką na rękach przy oknie w kuchni. Młoda ząbkowała wtedy okrutnie. Nic nie pomagało, żadne maści ani gryzaki, w które to ja, a nie ona, wbijałam zęby w akcie rozpaczy. No więc stałam z nią przy oknie w kuchni i patrzyłyśmy na ulicę w dole. Kołysałam córkę, bo tylko to ją uspokajało. Policzki miała

wówczas umalowane gorączką niczym różem, w dodatku o kilka tonów za mocnym.

– Patrz, kto tam idzie w dole – mówiłam do niej. – Zobacz, jaka ładna pani spaceruje, jakie ma ładne buty na szpilkach i jaki kostium. Pani pewnie idzie do biura. Boże, ty nie masz pojęcia, jak fajnie jest w takim biurze, mamusia zaraz ci opowie. W takim biurze jest cieplutko, pani ma bardzo fajne biurko, na którym stoi pewnie doniczka z bardzo fajnym kwiatkiem. I ta pani sobie siedzi cały dzień przy tym biurku i coś tam pisze albo przekłada papierki, a w wolnym czasie, którego ma pod dostatkiem, parzy sobie herbatkę albo kawkę, która zawsze jest gorąca. Bo pani ma czas i dba o to, żeby jej ta kawusia nie wystygła, nie to co twoja matka, która, tak się składa, zawsze pije zimną kawę i nawet nie wie, kiedy zdążyła jej wystygnąć. A wracając do tej pani, to na pewno przed wyjściem do biura dobiera odcień bluzki do szminki, a torebkę do bucików. I tak codziennie! O włosy ta pani też dba, to widać na pierwszy rzut oka, kupuje odżywki i chodzi do fryzjera. A nie tak jak twoja mamusia, zapuściła i niech rosną, przynajmniej można w kucyk związać, a i na fryzjerze się zaoszczędzi, prawda? Boże, kiedy ja byłam ostatni raz u fryzjera…? Zaraz, zaraz, chyba przed ślubem z twoim tatusiem. Tak!

Nie wiedziałam, czy z tego powodu należy się śmiać, czy płakać.

– Fajna pani szła, prawda? Jak miło sobie popatrzeć na normalnych ludzi, którzy prowadzą normalne życie gdzieś tam na ulicach naszego miasta. Nie to co my. My musimy siedzieć w domu z gorączką i ząbkowaniem, a o pracy w biurze możemy sobie, póki co, tylko pomarzyć. A teraz patrz, idzie druga pani ze skórzaną teczką. Ta pani chyba pracuje w banku, wygląda bardzo poważnie i pewnie lubi zarządzać wszystkimi. Od czasu do czasu przydałaby mi się taka pani zarządzająca tutaj. – Córka zaczęła bawić się firanką. – Ciekawe, jak by sobie poradziła w naszym domu i co by wymyśliła? Jakie rozwiązania przyszłyby jej do głowy, bo ja już próbowałam wszystkiego i wiem, że nic tutaj nie wyjdzie. O, popatrz! A teraz idzie taka sama pani jak twoja mamusia. Pcha wózek, na którym tak jak twoja mamusia zawiesza reklamówki z zakupami. Patrz, jaką ma minę, jaka smutna, można nawet powiedzieć – załamana. Ledwo pcha ten wózek. Pewnie nie chce się jej do domu wracać… – westchnęłam. – Doskonale wiem, co siedzi w głowie tej mamusi, ale ze względu na ciebie, moja królewno, nie powiem tego głośno. Damy radę, prawda?

Moja córka odpowiedziała mi tak głośnym ziewnięciem, że w te pędy zaniosłam ją do łóżeczka, żeby przypadkiem nie zmieniła zdania. Nareszcie zasnęła po tylu godzinach płaczu z powodu tych nieszczęsnych zębów! Najwyraźniej znużyło ją spoglądanie z góry na to, jak wygląda prawdziwe życie. Nuda, co? A ja wtedy oddałabym wszystko, żeby tylko wrócić do tamtego świata,

zostawić w cholerę te pieluchy i siup, skoczyć do tamtej rzeki w dole, która tak pięknie płynęła. I po co mi to było? Po co dzieci i zabawa w dom na poważnie? Czy mi było źle? Czego ja chciałam?

Tęskno mi było do dawnych lat, ale z drugiej strony przecież nie umiałabym już żyć bez mojej córeczki, którą kochałam nad wszystko. Byłam umordowana, kto by zresztą nie był, ale życie jakoś szło do przodu. Przecież miało być lepiej, przecież córka miała urosnąć, pójść do przedszkola, potem do szkoły, potem wydam ją za mąż i będę wolna! Odzyskam wolność!

A tymczasem zaczęłam zbierać z podłogi zabawki, o które od wczoraj się potykałam. „To wszystko minie szybciej, niż myślisz", przypomniały mi się słowa mojej babci. „Dzieci tak szybko rosną. Nim się obejrzysz, wyjdzie z domu, za mąż wyjdzie i zrobi cię babcią…".

Usiadłam na sofie i się rozpłakałam. Sama nie wiedziałam, dlaczego. Widocznie łzy się zebrały i trzeba było dać im płynąć. No to oswobodziłam je, niech płyną. A potem zasnęłam na siedząco.

Odpoczynek od dziecka

Każda matka kocha swoje dzieci nad życie. A że życie mamy tylko jedno, musimy o nie dbać. Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że każdy potrzebuje odpoczynku od dzieci. Matka też! To, że matka od czasu do czasu wyjdzie ze znajomymi na kawę czy do kina, nie oznacza od razu, że dzieci porzuciła. Chociaż zapewniam, że sama matka, przynajmniej na początku takiego zerwania się z domowej smyczy, tak właśnie czuć się będzie. Co więcej, zaraz zaczną się telefony do domu, by sprawdzić, czy dzieciom nic nie dolega. Okaże się to na tyle irytujące dla jej koleżanek, że być może już więcej jej nie zaproszą. Dlatego jeśli już decydujemy się na wyjście z domu w celu odpoczynku od dzieci, to, na miłość boską, nie rozmawiajmy o nich bez przerwy.

Niestety, problem polega na tym, że część matek bardzo szybko zapomina, iż istnieje jakiś świat poza dziećmi. Co więcej, matki te zapominają, że zanim zostały matkami, były po prostu kobietami i o dzieciach w ogóle nie rozmawiały. Część z nich unika jak ognia spotkań z bezdzietnymi koleżankami, z obawy, że nie będzie miała o czym rozmawiać. Heloł, istnieje świat poza kaszkami i pieluchami, tylko najpierw trzeba się odpowiednio odgruzować, żeby ten świat w ogóle zauważyć.

Z koleżankami można rozmawiać o:

- ciuchach;
- kosmetykach;
- filmach, przy których najlepiej się płacze;
- ostatnio przeczytanej książce i czy było warto;
- facetach (studnia bez dna!);
- chorobach (jak wiadomo, zawsze się coś znajdzie);
- korkach na mieście;
- planach wakacyjnych;
- przystojnym barmanie, który właśnie nalewa nam piwo.

Są też tematy, których należy unikać jak ognia. Matkom nie wolno, pod żadnym pozorem, mówić o:

- dzieciach swoich;
- dzieciach innych matek;
- dzieciach w ogóle;
- wszelkich sprawach dotyczących dzieci, takich jak przedszkole, niańki i oliwki dziecięce; o tych rzeczach pogadacie sobie z drugą mamą już jutro w piaskownicy.

Nie po to przecież matka wyrywa się z domu, od dzieci, żeby o tych dzieciach bez przerwy gadać! Jest tyle innych, równie ciekawych tematów do rozmów. A kilkugodzinny detoks od dzieci każdemu wyjdzie na dobre.

Spotkania z koleżankami bez dzieci mają same plusy. Matka po takiej randce ze starym życiem wraca do domu tak stęskniona za

swoimi pociechami i ma w sobie tyle energii, że świat od razu wydaje się łatwiejszy do pokonania. Inna sprawa, że już następnego dnia przy porannej zimnej kawie cały entuzjazm opada, ale przynajmniej trwał przez chwilę. I dla tej chwili właśnie warto było urwać się z domowego łańcucha. I wtedy miło wspomina się dowcipy, które padały poprzedniego dnia na takim bezdzietnym spotkaniu, typu: „Jakie było najgłupsze marzenie z dzieciństwa? Być dorosłym”.

Największy krytyk: własna córka!

– Zobacz, jak zdrowo się odżywiam! – powiedziałam, sięgając po butelkę wody. – I to już od rana!

– Szkoda, że tylko wtedy, kiedy jesteś na kacu, mamo – syknęła Helena.

– Słucham…?

– Zawsze, kiedy wstajesz rano po tych spotkaniach z koleżankami, to pijesz dużo wody.

– Bo właśnie na tych spotkaniach rozmawiamy o zdrowym odżywianiu, a woda jest bardzo zdrowa. Nie rozumiem, co się tak mnie czepiasz, i to już od rana.

Otworzyłam lodówkę. Chłód wydobywający się z jej wnętrza przyjemnie owiewał mi twarz.

– Szukasz ogórków kiszonych? – zapytała córka.

– A są? – zapytałam głosem pełnym nadziei.

– Kupiliśmy ci wczoraj z tatą.

– Kochane dziecko! – Aż klasnęłam w dłonie ze szczęścia. – To gdzie są?

– W siatce pod stołem. Jeszcze nie zdążyliśmy rozpakować.

– Jasne.

Sięgnęłam po słoik, który w tamtej chwili miałam ochotę pocałować. Powstrzymałam się jednak ze względu na obecność

córki.

Tymczasem Helena sięgnęła do tylnej kieszeni dżinsów, z której wyjęła jakąś ulotkę.

– Co tam masz? – zapytałam, siłując się z nakrętką. – Jakieś zajęcia pozalekcyjne, tak? Karate?

– Nie. – Położyła karteczkę na stole – To coś dla ciebie.

– Dla mnie? – Uśmiechnęłam się – Znalazłaś jakieś kursy dla mnie? Moje kochane dziecko, jak miło, że pomyślałaś o matce.

Helena spojrzała na mnie jakoś tak inaczej niż zwykle, dorośle chyba.

– No właśnie tak sobie pomyślałam o tobie, mamo.

– Super. Tylko nie wiem, jak ja znajdę na to czas. Wiesz, Filip idzie niedługo do przedszkola, więc chyba będzie mi już łatwiej.

– Wtedy może być już o wiele za późno – powiedziała Helena poważnym tonem.

– Za późno? – powtórzyłam, marszcząc czoło. – Na co?

– Proszę. – Podała mi ulotkę.

W pierwszej chwili myślałam, że coś źle przeczytałam, więc drugi raz przeczytałam na głos.

– „Grupa wsparcia dla rodziców uzależnionych. Spotkajmy się”… – Spojrzałam na Helenę. – Co to ma być? Miały być kursy, a to nie są kursy. Co to jest?

– To, co tam jest napisane.

– Chyba nie dla mnie… – powiedziałam. – Coś ci się pomyliło, dziecko…

– Mamo, myślisz, że ja nie wiem, że ty pijesz?

– Słucham…?

– Już nie potrafisz normalnie spotkać się z koleżankami.

– To znaczy jak? – zapytałam.

– Bez alkoholu.

– Helena!

– Mamo, ja nie jestem już dzieckiem, w szkole nas uczyli, po czym poznać alkoholika i jak oni się z tym kryją.

– Boże…

– Mówili też, że będziesz wszystkiemu zaprzeczać. Czyli wszystko się zgadza.

– Ja chyba jednak wybiorę się do tej waszej szkoły. Czego oni was tam teraz uczą? Szkoda, że do matematyki nie jesteś tak ochoczo nastawiona.

– Mamo, uspokój się.

– Jestem spokojna.

– To nie krzycz na mnie. Ja chciałam tylko ci pomóc.

– Ale ja nie potrzebuję pomocy! – Wzięłam głębszy oddech. – I nie jestem alkoholiczką!

– Ale wczoraj piłaś alkohol, tak?

– No i co z tego?

– To, że ktoś, kto pije alkohol, jest alkoholikiem. Proste.

– Dziecko – powiedziałam, osuwając się na stołek. – Może faktycznie wczoraj trochę przesadziłam, ale zapewniam cię, że

wszystko jest pod kontrolą. Nie musisz się martwić. To jest normalne, że dorośli ludzie od czasu do czasu chodzą się napić.

Aż się skrzywiłam, bo akurat na kacu człowiek nie ma najmniejszej ochoty rozmawiać o alkoholu, i to jeszcze z kim? Z własnym dzieckiem, nieletnim, dodajmy. Dziesięcioletni doradca się znalazł! Chociaż, z drugiej strony, zrobiło mi się jakoś tak miło, że mam córkę, która stoi na straży mojego zdrowia.

– Dziękuję – powiedziałam, głaszcząc ją po długich, jasnych włosach.

– Za co? – zapytała zdziwiona.

– No, że tak się o mnie martwisz i w ogóle…

– Nie ma za co.

– To bardzo miłe. Wiesz, ja nie miałam pojęcia, że mam już taką dorosłą córkę.

– Po prostu martwię się o ciebie, mamo.

– Niepotrzebnie.

– Nam w szkole pokazywali taki film, w którym matki takie jak ty robiły takie rzeczy, że wolałabyś nie wiedzieć. Dom tych alkoholiczek wyglądał prawie jak nasz.

– Co to znaczy, jak nasz…?

– No, że był taki sam syf jak u nas.

– Nie przesadzasz troszeczkę?

– I ostrzegam cię, mamo, że ja nie będę za ciebie prać ani sprzątać.

– A wiesz, że to byłby świetny pomysł.

– To są obowiązki matek – dodała.

– A więc o to ci chodziło! – Podniosłam się ze stołka. – Nie chodzi ci o moje zdrowie, tylko o to, że będziesz musiała wtedy wszystko robić za mnie, tak? To mam dla ciebie zadanie specjalne, moja ty kochana, zatroskana córeczko. Rusz tyłek i zacznij sprzątać ze mną. Nie zaszkodzi ci, jak mi trochę pomożesz. Mogłabyś chociaż ogarnąć swój pokój.

– Ale ja muszę teraz czytać lekturę.

– Nie – powiedziałam. – Teraz będziesz ze mną odkurzać. Co, nie uczyli was tego w szkole? Filmików wam nie puszczali na ten temat? No popatrz, będę musiała chyba tę sprawę poruszyć na kolejnej wywiadówce. Wasza wychowawczyni zawsze pyta, czy mamy jakieś sugestie. To już wiem, co jej zasugerować. No, do roboty. Szybko się uwiniemy i wtedy sobie poczytasz.

Tak, dzieci teraz zdecydowanie za szybko rosną. I za szybko zaczynają nam pyskować. A przecież powinny być dziećmi jak najdłużej, prawda?

Jak znaleźć czas na czytanie, czyli forum dla matek beznadziejnych

Matki nie mają czasu na czytanie. Ja, na przykład, od roku mam książkę, którą nawet położyłam sobie obok łóżka, żeby łatwiej było sięgnąć. Niestety, zanim jeszcze zdążę kartkę przerzucić, już jest wołanie:

– Mamo!

A jak nie ma wołania, to jest coś innego. Kiedy w domu są małe dzieci, to wiadomo, że zawsze coś wypadnie.

Poza tym matki są niezwykle wymagającymi czytelniczkami. Taka książka, jeśli już się znajdzie na nią czas, musi być naprawdę dobra. Matki zwykle zasypiają już po kilku pierwszych zdaniach, bo zwyczajnie padają na twarz ze zmęczenia.

Dlatego te matki, które podobnie jak ja uwielbiają czytać, nawet jeśli nie mają na to czasu, znalazły sobie świetny sposób na zaspokojenie potrzeby lektury. Co czytają matki w wolnych chwilach (czytaj: w ciągu minuty między podcieraniem tyłka dziecku a nastawianiem prania)? Odpowiedź: fora w internecie. Jak tylko urodziłam Helenę, od razu zapisałam się na kilka grup matkowych.

Po co matkom fora i grupy internetowe? Odpowiedź jest bardzo prosta: fora to odpowiednik spotkań towarzyskich. A że matka ma

zwykle bardzo mało czasu na takie spotkania, to nauczyła się odwiedzać grupy w internecie. Wygodny to sposób i bezpieczny, bo można sobie pogadać z ludźmi bez wychodzenia z domu. I nie trzeba się stroić specjalnie. Ba! Można nawet siedzieć przed kompem w piżamie i z nieumytymi zębami. Na grupach internetowych nie liczy się wygląd. Liczy się tylko to, żeby na nich być i udzielać się jak najczęściej, co też matki czynią z ochotą.

Czego matki szukają na forach i w grupach internetowych? Tego, czego szukają w necie wszyscy, czyli odpowiedzi na nurtujące je pytania. A pytań każda matka ma całe mnóstwo. Bo przecież nikt nie przygotował nas wcześniej do bycia rodzicem i wszystkiego trzeba uczyć się samemu. Nie zawsze mamy pod ręką babcię czy ciocię, która z racji swojego doświadczenia mogłaby nam coś podpowiedzieć. Często bywa też tak, że nie chcemy pytać swoich matek, bo sprawa jest natury krępującej i wolimy, żeby w ogóle się o niej nie dowiedziały, zwłaszcza od nas. Na grupie albo na forum matki przerabiały już wszystko: od katarków i gorączek poczynając, poprzez choroby lokomocyjne i sposoby na poradzenie sobie z nimi, a na masturbacji trzylatków kończąc.

Na forum łatwiej się otworzyć, bo każdy jest zwykle anonimowy i można ukryć się pod nickiem. Na grupie można zadać każde pytanie, choć nie zawsze znajdzie się na nie odpowiedź. Za to zawsze można sobie poczytać, co inni myślą na temat, który nas gnębi. A co dwie głowy, to nie jedna.

Matki zwykle angażują się w dyskusję wtedy, kiedy dziecko akurat zaśnie i można zrobić sobie przerwę na kawę. Prawie co druga dyskusja kończy się zdaniem: „Muszę już uciekać, bo mały mi się obudził". I nikt się nie obraża, każda z nas to rozumie, co więcej, za chwilę każdą spotka to samo.

Są też inne plusy udzielania się na grupach w internecie: można tam poznać całkiem spoko matki z okolicy. Właśnie w ten sposób poznałam dziewczyny, które urodziły w tym samym miesiącu co ja, a że jesteśmy z tego samego miasta, to czasem spotykamy się na placu zabaw z dziećmi. Gadamy tyle, że następnego dnia zawsze boli mnie gardło. Bo matki naprawdę mają o czym rozmawiać i lista problemów nigdy się nie kończy. Dawniej, kiedy poznawałam jakąś dziewczynę, to musiałam się wysilić, by podtrzymać rozmowę, i niekiedy bywało to stresujące. Teraz wystarczy, że ktoś odezwie się na temat swojego dziecka i od razu kamień spada mi z serca. O dzieciach można rozmawiać bez przerwy. Kochamy je, wiadomo, ale przysparzają też nam, rodzicom, sporo kłopotów i problemów wychowawczych, na które nie znalazł odpowiedzi jeszcze żaden poradnik. Druga matka jest najlepszym poradnikiem, zwłaszcza dla kogoś, kto dopiero raczkuje w temacie macierzyństwa.

Matki na forach zadają bardzo konkretne pytania dotyczące rozwoju czy zdrowia dzieci. Bywa jednak i tak, że pojawia się wątek, który wzbudza strach, przerażenie lub zwyczajnie śmiech. Fora matek są jak gazeta, w której znajdzie się zarówno teksty do

przemyślenia czy wyciągnięcia jakiejś nauki, jak i teksty do śmiechu czy popukania się w czoło.

Kilka z dyskusji, które przeczytałam w ciągu ostatnich lat udzielania się na tego typu grupach, utkwiło mi w głowie tak bardzo, że postanowiłam je zamieścić również tutaj. Po co? By pokazać, że każda matka oprócz czytania o rozwoju dziecka potrzebuje także czasem zgłębić sprawy, które nurtują wszystkich ludzi, nie tylko matki.

Dyplomy szkolne

Dziewczyny, wczoraj spotkała nas okropna przykrość w szkole, do której chodzi nasz Oluś. Otóż, wszystkie dzieci dopiero uczą się czytać, wiadomo, jak to jest na początku. Na zebraniu pani nauczycielka powiedziała, że będzie dawać dzieciom dyplomy za postępy, nawet jeśli będą one niewielkie. Wszystko po to, by zachęcić do nauki. Fajny pomysł ogólnie i wszyscy zgodziliśmy się na taką formę dopingu. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy okazało się, że w piątek wszystkie dzieci w klasie Olusia odebrały swoje pierwsze dyplomy za czytanie. Wszystkie, poza naszym synem! Rozumiecie, co musiało czuć nasze dziecko? W poniedziałek mój mąż poszedł do szkoły z awanturą i wiecie, co nauczycielka powiedziała i jak się tłumaczyła? Nie uwierzycie. Bo jej się dyplomy skończyły i padło akurat na naszego syna! Kuźwa, na drukarce w sekretariacie prędzej bym wydrukowała, niż zrobiła taką przykrość dziecku!!!

Odpowiedź 1: *Super zachęta, co nie? Co za bezczelna nauczycielka! I to ma być pedagog?*

Odpowiedź 2: *Wyścig szczurów zaczyna się już w przedszkolu. Takie czasy.*

Odpowiedź 3: *Oj, coś mi się wydaje, że jej czymś podpadliście, tej nauczycielce. To nie jest normalne zachowanie, chociaż, z*

drugiej strony, żeby za przewinienia rodziców karać dziecko?

Odpowiedź 4: *Też sobie o tym pomyślałam. Sama pracuję w szkole (nie jako nauczycielka, zaznaczę od razu!) i wiem, że niektóre baby są naprawdę złośliwe. Jak taki rodzic podpadnie na początku roku szkolnego, to dziecko ma przesrane.*

Odpowiedź 5: *To co? Może mają jej jeszcze kwiaty kupić za to, że mu tego dyplomu nie dała? A może on naprawdę jest kiepski?*

Zagadać na śmierć

Ja pierdzielę, a już myślałam, że to mija z wiekiem. Mój pięcioletni syn zdążył mi zadać dwanaście pytań (!) podczas jedzenia kanapki, czyli w ciągu jakichś trzech minut. Specjalnie policzyłam, zresztą i tak na niczym innym nie mogłam się skupić. W międzyczasie pokazał mi ze cztery gazetki oraz ulubione naklejki ze zwierzętami i zadał kolejnych dziesięć pytań! Ludzie, czy to się kiedyś skończy? Oddechu złapać nie można, bo trzeba bez przerwy odpowiadać i odpowiadać! Czy on kiedyś z tego wyrośnie?

Odpowiedź: *Moja córka też w kółko gada, po prostu buzia jej się nie zamyka, a mąż mówi, że ma to po mnie. Też jestem ciekawa, czy kiedyś jej przejdzie. Aha, i ja wcale tak dużo nie gadam, na pewno nie bez przerwy, jak moja córka.*

Niewolnica dziecka

Dzień dobry, poradźcie, proszę, co robić, gdyż w dalszym ciągu jestem niewolnicą mojego dziecka. Nigdzie nie mogę sama wyjść, żeby nie było płaczu. Do przedszkola i z przedszkola też tylko ja mogę z nim chodzić, bo inaczej jest wielka rozpacz. Jak sobie z tym poradzić? Myślałam, że z wiekiem mu to przejdzie, ale jest coraz gorzej. Mój syn jest do mnie przyklejony non stop, mam chwilę wolności tylko wtedy, kiedy siedzi w przedszkolu. Proszę, pomóżcie. I czy to jest normalne dla dziecka w wieku czterech lat?

Odpowiedź: *Oj, coś mi się wydaje, że go rozpieściłaś i wszystko za niego robiłaś, i może on teraz nie wyobraża sobie nikogo innego na twoim miejscu.*

Dziecko demolka

Mamusie, piszę, bo mam problem z moją czteroletnią córką. Od pewnego czasu zaczęła malować. Powinnam się cieszyć, powiecie. Tylko że ona maluje po ścianach, po meblach, po podłodze, dosłownie po wszystkim! Odrywa też tapety ze ścian lub żłobi sobie w nich dziurki! Na początku próbowałam jej tłumaczyć, że tak nie wolno, że mama z tatą ciężko pracują na to, by w domu było ładnie i przyjemnie. Nie skutkowało. Niby obiecywała, że więcej nie będzie, wystarczało na krótko. Próbowałam ją zajmować malowaniem na kartkach. Dawałam nawet duże arkusze papieru, przechodziłam przez fazę zabierania za karę kredek itd. Ostatnio zaczęła jeszcze mazać po ścianach u dziadków i znajomych. Naprawdę już nie wiem, co mam z tym zrobić. Może któraś z Was miała podobny problem lub ma jakiś pomysł, jak sobie z tym poradzić?

Odpowiedź 1: *Może będzie artystką i właśnie narodziła się w niej pasja?*

Odpowiedź 2: *Na maksa by mnie takie coś wkurzało! Nie wiem, jak dajesz radę.*

Histeria w sklepie

Jak mam oduczyć trzylatka (i nauczyć, że tak nie wolno) krzyków w sklepie?

Prawie każde wejście do sklepu, nawet najmniejszego, kończy się histerią – mały potrafi położyć się na podłodze albo uparcie stać w jednym miejscu przez kilka minut i powiedzieć mi, że mnie nie kocha. Jest mi wstyd przed ludźmi, bo nie każdy to rozumie. Usłyszałam już, oczywiście, kilka uwag na swój temat, jaką to jestem niedobrą mama, bo nie chcę czegoś tam kupić swojemu dziecku i ono pewnie dlatego płacze. A może jest w tym poniekąd również moja wina, bo sama synka rozpieszczałam, nigdy na niego nie krzyczałam i nie dostawał klapsów. Ale ja już sobie z tym wszystkim nie radzę, a przecież muszę robić zakupy! Kiedy synek widzi na spacerze kiosk, to już z daleka krzyczy, że coś chce. Nawet nie wie jeszcze, co miałabym mu kupić, ale już się histeryzuje. Jak reagować? Wychodzić ze sklepu za każdym razem? Szarpać się z nim? Jak wytłumaczyć dziecku, że nie można wszystkiego mieć? Ja mu oczywiście tłumaczę, ale to i tak nic nie daje, bo on by tylko kupował, najlepiej od razu cały kiosk!

Odpowiedź: *Mój syn zachowywał się tak samo. Wrzeszczał w każdym sklepie i rzucał się na podłogę. Żadne argumenty do niego*

nie docierały. Wyrósł z tego i jest bardzo grzecznym i ułożonym chłopcem. Tak że głowa do góry i nie daj się!

Słodycze

Cześć, chciałam poruszyć problem słodyczy. Osobiście jestem łasuchem i u mnie w domu jadało się słodycze, a u męża przeciwnie. Ciągle spieramy się, ile nasze dziecko może zjeść. Latem pozwalamy mu na dwa lody dziennie i czasem coś jeszcze, ale nigdy przed posiłkami. I nie są to jakieś duże ilości, przynajmniej tak mi się wydaje, np. 2–3 ciastka albo 3 gumy rozpuszczalne, albo parę żelków, albo 5 ptasich mleczek. Ogólnie to niejadek i wszystko je w małych ilościach. A oto moje pytanie: jakie i ile słodyczy jedzą dziennie wasze dzieci?

Odpowiedź: *No to je dziennie więcej słodyczy niż ja przez tydzień. Przemyśl to sobie.*

Moje dziecko mnie nie słucha

Hej, mamusie! Zawsze udzielacie tutaj na grupie świetnych rad, więc liczę, że i tym razem się na was nie zawiodę. Mam problem z dwuletnim synem. On mnie w ogóle nie słucha! Zasadniczo jego „niesłuchanie" nie polega na tym, że nie wykonuje poleceń (tu jest w miarę normalnie). On kompletnie nie zwraca na mnie uwagi, kiedy coś do niego mówię! Pytam go o coś dziesięć razy, a on nawet głowy nie podniesie i nie spojrzy na mnie, bo zajęty jest swoimi sprawami. Strasznie to wkurzające. Nie mam pojęcia, kiedy to się zaczęło, ale wiem, że nie było tak zawsze. Zwracam się do niego jak najprostszymi słowami, zwięźle, na konkretny temat. Pytam, czy chce iść na dwór, ale niestety nie uzyskuję odpowiedzi; olewka, jakby w ogóle nie słyszał. Kończy się na awanturze i krzykach. A muszę dodać, że na hasło „czekolada" reaguje natychmiast, więc raczej nie ma problemów ze słuchem.

Odpowiedź: *Nieźle cię wyszkolił ten twój synuś, skoro reaguje tylko na czekoladę.*

Czy wasze dzieci też się masturbują?

Cześć, czy wasze dzieci też się masturbują? Mój syn ma 5 i pół roku. Często wkłada ręce w majtki. Czytałam, że nie powinno się za to dziecka karcić, więc upominam go tylko delikatnie, żeby tego nie robił przy ludziach. Jak wy reagujecie, co robicie?

Odpowiedź: *Zanim uznasz, że to masturbacja, najpierw idź do lekarza po receptę na lek na owsiki.*

Z MOIM DZIECKIEM NIE DA SIĘ WYJŚĆ!

Dzień dobry, drogie mamy! Od trzech lat jestem szczęśliwą mamusią mojego kochanego Frania. Do tej pory nie miałam z nim żadnych problemów wychowawczych. Rozwijał się bardzo szybko i był niezwykle grzecznym dzieckiem. Mój mąż bardzo często wyjeżdża w delegacje, co wiąże się z tym, że z naszym szkrabem zostaję sama. I tu zaczyna się mój problem. Kiedy zabieram Frania na powietrze, on dostaje ataku szału. Płacze, a wręcz krzyczy na cały park i wyrzuca wszystko z wózka. Pomóżcie, bo nie wiem, co mam robić!

Odpowiedź: *To proste. Nie zabieraj Frania do parku.*

Nocnik

Hej, jakie polecacie nocniki dla maluchów? Dodam, że mój jest pulchniutki i jak siada na zwykły nocnik, to go pupa boli. Każdy nocnik jest na niego za mały. Może wiecie, gdzie mogę kupić nocniki w większym rozmiarze?

Odpowiedź: *No sorry, ale jak na nocnik się nie mieści i go w pupę uwiera, to już chyba najwyższy czas na zwykłą toaletę, nie sądzisz?*

Balet

Czy jest tu jakaś mama małej baletnicy? Na jakie zajęcia chodzą wasze trzylatki??

Odpowiedź 1: *Wydaje mi się, że dopiero od czwartego roku życia są zapisy.*

Ja tak zapisywałam moją córkę na karate.

Odpowiedź 2: *No co ty! Dzieci mojej koleżanki to już od drugiego roku życia chodzą na wszystko!*

POMYSŁOWA MATKA

Jaki znacie zwyczaje urodzinowe? Wpadłam na pewien pomysł: czy mogę i czy wypada poprosić gości o zrzutkę na lekcje baletu dla córki? Organizuję jej urodziny i tak się właśnie zastanawiam. Po co nam sterta gównianych prezentów. Co myślicie?

Odpowiedź 1: *Ale masz pomysły!*

Odpowiedź 2: *Goście cię zjedzą za takie pomysły, ale możesz próbować. I koniecznie napisz, czy ktoś przyszedł.*

Dobry domowy sposób na jęczmień na oku

Zrobiło mi się to czerwone gówno na powiece i strasznie swędzi. Co robić?

Odpowiedź 1: *Pocierać złotem.*

Odpowiedź 2: *Złoto!*

Odpowiedź autorki postu: *Ale ja nie mam nic złotego.*

Odpowiedź 3: *Serio…? A obrączka?*

Odpowiedź autorki postu: *Nie jesteśmy po ślubie.*

Odpowiedź 4: *Słyszałam kiedyś, żeby przyłożyć ciepłe ugotowane na twardo jajko owinięte w chusteczkę.*

Odpowiedź 5: *Okłady z rumianku.*

Odpowiedź 6 (uwaga!): *Wiem, że zabrzmi to śmiesznie, ale za każdym razem dawałam swój miodzik z ucha i w 1000% działał.*

Odpowiedź 7: *Złoto. Innego sposobu nie znam.*

Odpowiedź 8: *Wiem, że to zabobon, ale u mnie sprawdza się za każdym razem… Czarna nitka zawiązana na środkowym palcu u przeciwnej ręki niż jęczmień.*

Odpowiedź 9: *U mnie biała nitka na środkowym palcu z tej samej strony, gdzie jest jęczmień. Zawsze działa.*

Odpowiedź 10: *Przemywaj czarną herbatą.*

Odpowiedź 11: *A może by tak pójść do okulisty?*

Karaluchy

Mamusie, pomocy! Pytanie niedzieciowe: jak walczyć z karaluchami, które nie wiadomo kiedy zagnieździły się w kuchni? Pomocy!

Odpowiedź 1: *Też z tym gównem walczyłam.*

Odpowiedź autorki postu: *Jak? Kochana, powiedz mi, jak, bo u mnie nic już nie działa!*

Odpowiedź 2: *W nocy nie spałam i czatowałam na skurwysynów. I sprzątałam bez przerwy, do ostatniego okruszka, żeby nie miały co wpierdalać! Innego sposobu nie ma na tych dziadów.*

Odpowiedź 3: *Ty lepiej sprawdź tył lodówki, tam, gdzie jest silnik. One zawsze zakładają tam gniazda, bo jest ciepło i sucho. Odsuń lodówkę i odkurz tam sobie.*

Odpowiedź 4: *Ja bym z odkurzaniem nie szalała, bo czytałam, że skurwysyny mogą w odkurzaczu sobie zamieszkać i przez rurę w nocy wyjść na wyżerkę.*

Odpowiedź 5: *Ty weź mnie nawet nie strasz… Myślisz, że one nadal mogą tam żyć…?*

Odpowiedź autorki postu: *Odsunęłam lodówkę z odkurzaczem w jednej ręce i z tłuczkiem do mięsa w drugiej. A tam normalnie*

pielgrzymka do Mekki.

Kupa w gaciach

Co robić, żeby nauczyć córkę załatwiania się do nocnika? Doradźcie, błagam! Nauczyła się sikać bez problemu, ale z kupą jest jakiś dramat! Za nic nie chce usiąść na nocnik, woli w gacie walić. Masakra jakaś! Ile ja już majtek wyrzuciłam przez to do śmieci, bo przecież nie będę prać! W dodatku ta kupa w gaciach wcale jej nie przeszkadza, a czasem to nawet zdarza się, że wypadnie na dywan, jak nikt nie zauważy. Kiedy to się może skończyć? Jak długo potrwa taki stan?

Odpowiedź: *Mam dokładnie ten sam problem, tylko że mojej córce akurat przeszkadza kupa w majtkach, zwłaszcza jak zrobi się zimna. Przybiega wtedy i mówi, że zrobiła. Tylko szkoda, że tak późno.*

Dlaczego on nie chce sam jeść?

Dziewczyny, poradźcie, jak nauczyć dziecko samodzielnego jedzenia? Jak to jest, że mój Staś w przedszkolu wszystko zjada samodzielnie, a w domu za nic nie chce. Cały czas chce, żeby jaśnie pana karmić! Ręce mi już opadają do samej ziemi. Macie jakieś sprawdzone sposoby?

Odpowiedź 1: *Skoro go karmisz i on doskonale wie, że tak jest, to jakim cudem ma jeść sam? Za bardzo go wyręczasz. Postaw przed nim talerz, połóż obok widelec i powiedz, że mama nie ma rączek i że ma sam jeść. I wyjdź do drugiego pokoju. Posiedzi, to zgłodnieje i w końcu zje. Zobaczysz!*

Odpowiedź autorki postu: *Akurat mój to będzie siedzieć godzinę i głodny pójdzie spać. Już to przerabiałam. Uparty jak jego ojciec jest.*

Trzynastomiesięczny terrorysta

Dziewczyny, ja się poddaję. Nie daję już rady. Czy to normalne, że mój trzynastomiesięczny terrorysta urządza mi takie akcje już w tym wieku? Czytałam o buncie dwulatków, ale on dopiero rok skończył i żeby takie rzeczy? Wszystko wymusza płaczem.

Już nie mam siły, normalnie! Czy ja mam takie zachowanie olewać, czy co?

Odpowiedź 1: *Moja właśnie w tej chwili, kiedy to piszę, urządza mi piekielne darcie, bo nie chcę jej podsadzić na parapet. Ja olewam i udaję, że nie słyszę, chociaż łatwo nie jest. Nie dajmy się. Musimy się trzymać.*

Odpowiedź 2: *A mój właśnie sobie wymyślił, że nie będzie jadł ogórkowej, o którą prosił, bo mu się odmieniło na rosół. I teraz wrzeszczy. To co mam robić? Może codziennie gotować po pięć rodzajów zupek, żeby sobie synio wybrał? A guzik. Niech się drze. Nie wyjdzie z kuchni, póki nie zje. Nie po to się namęczyłam. Ja poczekam.*

Odpowiedź 3: *Mam to samo, zwłaszcza w sklepach. Drze się, idzie za mną i wszystko z półek zrzuca w akcie protestacyjnym. Najgorsi są ludzie, którzy w takich atakach histerii podchodzą i*

jeszcze w nagrodę za darcie ryja dają dziecku lizaka. No jasne, niech dostanie nagrodę za takie zachowanie, prawda?

Odpowiedź 4: *Oj, tak, babcie z lizakami za darcie są najgorsze. Wyrastają jak spod ziemi. I weź tu wychowuj dziecko!*

Wrzeszczący trzylatek. Ratunku!

Mój trzyletni synek codziennie krzyczy, a wręcz wrzeszczy! Potrafi zrobić awanturę dosłownie o byle co! Krzyczy czasem nawet dobre pół godziny albo i dłużej. Staram się, jak mogę, bawię się z nim i poświęcam mu naprawdę dużo czasu, ale on zawsze wynajdzie sobie jakiś powód do tego, aby się wydrzeć. I żeby to jeszcze było coś poważnego, ale nie.

To naprawdę bzdury: a to koło krzywo jeździ w samochodzie, a to w telewizji nie leci akurat ta bajka, którą on by chciał oglądać! Ja próbuję go, oczywiście, uspokajać i zagadywać. Zmieniam temat i tłumaczę, ale to nic nie daje. I już nie wiem, co robić. Jak mu pomóc?

Odpowiedź: *Powiem ci z doświadczenia, że nic nie zrobisz. Niech się wykrzyczy. Przejdzie mu, jak trochę podrośnie. Trzymaj się.*

Mój syn cały czas czyta!

Mój syn ma dziesięć lat i bez przerwy czyta. Ja też uwielbiałam czytać, ale ile tak można? Zostawiłam go w domu w poniedziałek i jak przyszłam do domu po pracy, to leżał w piżamie i… czytał. Nic nie jadł i nie pił przez pół dnia! Nawet nie jestem pewna, czy był w toalecie. On sobie czytał. Przez cały ten czas.

Każdą wolną chwilę poświęca lekturze, a wymarzony prezent to książka.

Niby powinnam się cieszyć, nie? Ale on, poza szkołą i ogarnięciem byle jak lekcji, NIC innego nie robi! W nosie ma gry komputerowe, telewizję i kolegów. Nic się dla niego nie liczy, cały świat może nie istnieć. Tylko te książki i książki.

Nie podoba mi się to, bo ciągle jest jakby w innym świecie i traci kontakt z rzeczywistością. Dzisiaj się tak wkurzyłam, że zabrałam mu książkę i powiedziałam, że ma iść się bawić z kolegami. Myślicie, że powinnam z nim pójść do psychologa?

Odpowiedź 1: *Ja to bym chciała, żeby mój odkleił się w końcu od komputera i coś poczytał. W życiu nie widziałam go z książką w ręku, poza lekturami szkolnymi. Ty się ciesz, a nie szukaj problemu tam, gdzie go nie ma.*

Odpowiedź 2: *Też uwielbiałam czytać w jego wieku, tak że ja doskonale twojego syna rozumiem.*

Prywatny plac zabaw

Opowiem wam, co mnie ostatnio spotkało. Otóż, wybrałam się z synkiem do księgarni i w drodze powrotnej zauważyliśmy całkiem fajny plac zabaw. Weszliśmy tam, było jeszcze kilka osób, syn zaczął zjeżdżać na ślizgawce i w ogóle dobrze się bawił. Nagle te inne matki gdzieś sobie poszły i zostaliśmy na placu sami. I wyobraźcie sobie, że nagle za płotem pojawiła się jakaś baba, która zapytała, czy my mieszkamy na tym osiedlu. Odpowiedziałam, że nie. A ona na to, że tak myślała, bo nigdy mnie tu wcześniej nie widziała. I wiecie, co mi powiedziała? Że mam natychmiast opuścić to miejsce, bo to jest jej prywatny plac zabaw, za który ona płaci, i sobie nie życzy, żebyśmy tu przychodzili. Myślałam, że padnę. W życiu nie słyszałam o prywatnych placach zabaw. Ponieważ syn bawił się świetnie, nie miałam zamiaru nigdzie iść. Przecież gdyby to było prywatne miejsce, bramka byłaby zamknięta! I wiecie, co to babsko zrobiło? Podeszła do bramki i powiedziała: „Ostatni raz pytam, czy pani wychodzi?". Odpowiedziałam, że nie. Na co ona odparła, że w takim razie zamyka bramkę i dzwoni na policję, przed którą będę musiała się tłumaczyć! I faktycznie, zamknęła nas i poszła sobie. My bawiliśmy się jeszcze z dziesięć minut, po czym przeszliśmy przez

dziurę w płocie. I tak sobie pomyślałam, że tę dziurę pewnie zrobiły inne matki, które tam przychodzą nielegalnie. Szok.

Odpowiedź: *To nie szok, tylko takie czasy. A baba, jak widać z twojego opisu, ewidentnie z rodzaju tych, co mają za dużo czasu.*

Ulubiony syrop matek: syrop z cebuli

Mamusie, mój dwulatek jest strasznie rozpalony. Trzydzieści dziewięć i dwa, co mu podać? Dodam, że leczymy się tylko i wyłącznie naturalnie, żadne antybiotyki nie wchodzą w grę. Jakie warzywa, oprócz cebuli, obniżają temperaturę? Czy sam syrop z cebuli da radę? Tylko błagam, szybko, bo szkoda mi dziecka.

Odpowiedź: *Na jakim zadupiu wy musicie mieszkać, że lekarza nie macie w okolicy?*

Matka za kierownicą

Dziewczyny, kiedy można wsiąść za kierownicę po porodzie? Od kiedy jest to legalne? Jak czułyście się po porodzie za kierownicą? Bo ja słyszałam, że po cesarce nie wolno prowadzić przez sześć tygodni, aż rana się zagoi, bo do tego czasu ubezpieczenie nie pokryje ewentualnych szkód.

Odpowiedź: *A od kiedy wymyślili takie prawo, że po porodzie nie wolno prowadzić? Czwórkę urodziłam i za każdym razem od razu wsiadałam za kółko. Pierwsze słyszę, że nie wolno. Dobrze, że mnie nikt nie złapał.*

Jak odzyskać łóżko?

Nasza córka ma już cztery lata i nie chce spać w swoim pokoju. Nawet jak jakimś cudem uda nam się ją tam uśpić, to po dwudziestu minutach i tak przychodzi do naszego łóżka. A ja mam już dość tej sytuacji, bo chcę jak dawniej spać z moim mężem, a nie z dzieckiem pośrodku! Dodam, że groźby nie działają. Mówiliśmy jej, że jak nie będzie spać w swoim łóżeczku, to w nocy przyjdzie dziad, ukradnie ją i zabierze. Nie działa. Śpi z nami. Co robić?

Odpowiedź: *Nie dziwię się, że nie chce spać u siebie, skoro ją dziadem straszycie. Też bym nie chciała tam spać. Ona zwyczajnie się boi.*

Sam zapłaci za korki!

Tak stwierdziła moja przyjaciółka po powrocie z zebrania w szkole jej nastoletniego syna. Miał takie oceny, że mało szlag jej tam nie trafił. Myślicie, że to dobry sposób i że zmobilizuje go do nauki? Sama nie wiem.

Odpowiedź: *Super pomysł, zwłaszcza u starszych dzieci. Dzięki!*

Dlaczego oni się biją?

Mam dwóch synów, siedem i dziewięć lat. Kochają się, są za sobą, po szkole super się razem bawią. Ale czasem jestem przerażona ich zachowaniem. Nie ma dnia bez bójki. Nie ma dnia, żeby nie szarpali się za włosy. Raz jeden drugiemu o mało oka nie wybił długopisem! Kopanie i szarpanie są na porządku dziennym. I ta nienawiść w głosie. A potem znowu spokój i się kochają, i jeden za drugim w ogień by skoczył. Mąż mówi, że to normalne i że on też tak się naparzał ze swoim bratem. Nie rozumie, w czym widzę problem. Mam łzy w oczach, kiedy widzę, jak moje własne dzieci okładają się z taką nienawiścią. Czy wasze dzieci też się tak zachowują? Czy to jest normalne?

Odpowiedź: *Moi bracia to się kiedyś tak pobili, że jeden drugiego wyrzucił dosłownie przez przeszklone drzwi. Szyba pękła, brat był cały we krwi, ale przeżył. Tak że to normalne zachowanie. Aha, teraz są dorośli i oczywiście bardzo się lubią. Nie przejmuj się. To przecież faceci, inny gatunek, taki bliżej goryli.*

Mam żal do mojej matki...

Czy wasze matki interesują się waszym życiem i waszymi problemami? Mam wrażenie, że moja matka nie chce o niczym wiedzieć. Nigdy nie pyta, jak się czuję i co u mnie słychać. Nigdy. I to jest dla mnie bardzo przykre. Za każdym razem jak się widzimy czy nawet kiedy rozmawiamy przez telefon, ona woli obgadywać sąsiadów i opowiadać o ich problemach, niż zapytać o nie własną córkę. Dlaczego tak jest? Dlaczego ona ma w nosie moje życie? O co chodzi? I czy to jest normalne? Nigdy mnie nie wspiera, nie chwali. Czegokolwiek bym nie zrobiła, to olewa to z obojętną miną i zamiast mi pogratulować, powie: „A wiesz, że u ciotki Lilki było włamanie?". A co mnie to obchodzi?! Moja matka nie widzi, ile mam pracy przy dzieciach; nigdy nie zaproponuje pomocy. Zawsze pyta tylko: „U was wszystko dobrze, tak?" i nie czekając na odpowiedź, przechodzi do kolejnego tematu, który w ogóle mnie nie interesuje. Obiecałam sobie, że ja nigdy taka dla moich dzieci nie będę. Dla mnie ich życie zawsze będzie ważniejsze niż życie moich sąsiadów.

Odpowiedź: *Znam to. Moja matka jest taka sama. Kiedy kupiliśmy sobie samochód, to nawet nie zapytała, skąd wzięliśmy pieniądze i czy nie musieliśmy pożyczyć. Miała to gdzieś. Nigdy*

mnie nie chwali i nie karci. Nie krytykuje, ale też nie interesuje się mną. Powiedziałam jej nawet, że mogłaby czasem zapytać, jak się czuję. To zdziwiła się: „A po co? Przecież widać". Już się przyzwyczaiłam. Na szczęście teściowa jest cudowna. Dziwne, nie? Niby obca matka, a interesuje się mną bardziej niż ta rodzona.

Nie jadę na święta do rodziców

Co roku to samo: kłótnie przy stole i dyskusje o niczym. A jadę do nich tylko dlatego, że boję się, co ludzie powiedzą. Bo sąsiedzi wezmą na języki, że co to za córka, że z rodziną i wnukami nawet na święta nie przyjechała! A ja mam już dość tej szopki. Nie będę robić z siebie pajaca. Nie lubię do nich jeździć. Rodzice w niczym nam nie pomogli, to wszystko jest tylko na pokaz.

Odpowiedź 1: *U nas jest co roku kłótnia pod tytułem „do kogo na Wigilię?". Bo jak do teściów, to moi rodzice się obrażą, i odwrotnie. Niestety, nie możemy zrobić wspólnej Wigilii, bo jest jeszcze rodzeństwo, które nie ma ochoty łamać się opłatkiem z obcymi sobie ludźmi. Afera na całego. A niby święta, czas zgody przy stole, prawda? Odkąd mam teściów, to znienawidziłam święta i stresuję nimi już od wakacji.*

Odpowiedź 2: *A nas teściowie już nie zapraszają, odkąd młody przewrócił im choinkę i wytłukł połowę świątecznej zastawy. Jakby co, polecam ten sposób. I problem z głowy.*

Wkurzająca koleżanka?

Czy któraś z was miała wkurzającą i zazdrosną koleżankę?

Odpowiedź 1: *O, tak. Mój brat i jego żona! Brat do niedawna jeszcze był w miarę normalny, ale ona go urobiła pod siebie, wiadomo. I teraz nie idzie się dogadać ani z nią (ona zawsze miała jakieś fochy i pretensje o wszystko), ani z nim. Szkoda chłopaka, bo fajny był z niego brat. Niestety: był.*

Odpowiedź 2: *Temat rzeka, kochana. Miałam ci ja koleżankę, całkiem bliską, która zaszła w ciążę w tym samym czasie co ja. I rozpoczął się wyścig. O wszystko ze mną rywalizowała: o to, która z nas mniej przytyła w ciąży, która ma większy brzuch i tak dalej. Miałam wrażenie, że jeśli wylądujemy w tym samym czasie na porodówce, to będzie konkurować ze mną o to, która ma większe rozwarcie! No a jak urodziły się dzieci, to od nowa: „To twój jeszcze nie podnosi główki? I ty się tym nie martwisz? Ja bym już w te pędy do lekarza leciała". „Twój jeszcze na piersi? Nie za długo?". I tak bez przerwy. A prawda jest taka, że mój syn pierwszy zaczął chodzić. To wiecie, co powiedziała? Że to zdecydowanie za wcześnie i na pewno nogi mu się od tego powykrzywiają. Wariatka. Na szczęście wyprowadziliśmy się i już nie mam z nią kontaktu.*

Odpowiedź 3: *Owszem, miałam taką koleżaneczkę. Już dziesięć lat ze sobą nie rozmawiamy i czuję się z tym wspaniale.*

Przeciek o końcu świata

Mamusie, czy miałyście już przeciek o jutrzejszym końcu świata? Bo nie wiem, czy opłaca mi się paznokcie w ogóle robić, czy mam sobie darować? Jak myślicie?

Odpowiedź 1: *Ja bym na twoim miejscu zrobiła. Nie zaszkodzi.*

Odpowiedź 2: *Ja to miałam koniec świata wczoraj, jak mój facet miał dyżur w kuchni i zrobił nam wszystkim kolację. Dzisiaj bałam się tam wejść przygotować śniadanie. Armagedon, mówię wam.*

Ciągle jestem głodna

Mamusie, czy wy też po porodzie odczuwałyście ciągły głód? Ja jem bez przerwy i wcale nie mija. Też tak macie?

Odpowiedź: *No, ja też tak mam, chociaż od porodu minęło już pięć lat. No więc ten tego. Pewnie żadna się tu nie przyzna, ale ja od pięciu lat jadę na ciastkach i jeszcze dopycham się batonami. Dzieci potrafią wykończyć.*

Komunia na... cmentarzu?!

Ostatnio dowiedziałam się, że komunia mojej córki ma odbyć się w kaplicy na cmentarzu, bo ksiądz się nie wyrobi z remontem kościoła w naszej miejscowości. I to jest, według niego, jedyne godne miejsce. No to są kurde jakieś jaja chyba! Czy mogę żądać przeniesienia dziecka do innej parafii? Możemy nawet dojeżdżać! Ja się nie zgadzam na żadną kaplicę cmentarną! Po moim trupie!

Kiedy dzieci już smacznie śpią, wtedy matki lubią się bać...

Temat, który na forum zebrał ponad 200 (!) komentarzy, brzmiał: „Czy wierzycie w duchy?".

Cześć, kochane, wiem, że podobny temat już był, ale chciałabym go zacząć od nowa. Moje pytanie brzmi: Czy macie jakieś opowieści o duchach lub zjawiskach paranormalnych dotyczące waszych okolic? Ja, na przykład, kilka lat temu szłam w nocy z koleżanką przez jej wieś i w pewnej chwili zobaczyłyśmy faceta z kilkoma zakrwawionymi psami. Kazał nam uciekać, a chwilę potem znikł. Okazało się, że w tym właśnie miejscu, gdzie bywa ten facet (zjawa?) stał jego dom. Mężczyzna spłonął tam wiele lat temu razem ze swoimi psami. Macie takie historie? Chętnie się dowiem.

Odpowiedź 1: *U mnie codziennie o północy na drodze widać pana w kapeluszu. Ktoś kiedyś mówił, że powiesił się tam jakiś człowiek. Nie sprawdzałam, bo się go boję…*

Odpowiedź 2: *U nas pod mostem podobno słychać płacz dziecka. Ale nigdy nie wnikałam i nie sprawdzałam, bo się cykam. Lubię takie historie i z chęcią poczytam.*

Odpowiedź 3: *Ja też się cykam, ale poczytam, mamy tak samo :).*

Odpowiedź 4: *Jak byłam mała, widziałam przez okno prababcię mojej stryjenki. Oczywiście nie żyła wówczas już od dawna. Bawiłam się w piaskownicy u stryjenki, a ona patrzyła na mnie. Nikt mi nie uwierzył, bo byłam dzieckiem.*

Odpowiedź 5: *Podobno małe dzieci mają czystą duszę i mogą zobaczyć to, czego dorośli nie widzą…*

Odpowiedź 6: *Dziewczyny, zaczynam się bać to czytać.*

Odpowiedź 7: *Kiedyś mój tata mi opowiadał, że jak wracał w nocy do domu z psem i przechodził przez stary, długi most, to nagle nasz pies zaczął warczeć i szczekać, i nie chciał dalej iść. Tata go ciągnął na siłę. Wiele lat wcześniej utopiły się tam dwie osoby. Myślicie, że pies mógł je widzieć?*

Odpowiedź 8: *A kto pamięta czarną wołgę?*

Odpowiedź 9: *O czarnej wołdze mama mi opowiadała. Tak ją wujek nastraszył za dzieciaka, że jak widziała czarną wołgę, to uciekała w krzaki z płaczem! Wszyscy się tej wołgi bali.*

Odpowiedź 10: *Możecie się śmiać, ale mieszkałam na wsi i przez kilka tygodni, dzień w dzień, na polnej drodze obok naszego domu stał czarny samochód. Mama nie pozwalała nam tam biegać po zmroku, a na wsi była nas gromadka dzieciaków. Bardzo długo to auto przyjeżdżało. Pamiętam, jak raz stanęło pod naszą bramą i mama wyszła, ale szybko odjechało. I już nigdy więcej się nie pojawiło. Mama mówiła mi, że nie było kierowcy. Jakby jeździło samo. Do dziś pamiętam ten dzień i to auto.*

Odpowiedź 11: *U mnie na wiosce kilka lat temu krążyły plotki o czarnym aucie, które nie ma klamek i jeździ w nim diabeł o ludzkim wyglądzie w długim płaszczu. Zamiast stóp ma kopyta i porywa dzieci.*

Odpowiedź 12: *Przynajmniej dzieci po zmroku w domach siedziały.*

Odpowiedź 13: *I dobrze, że tym autem straszyli. Tak sobie myślę po latach, że dzięki temu dzieci uważały na siebie i nie podchodziły do obcych.*

Odpowiedź 14: *U nas w powiecie dużo jest tych opowieści. Najczęściej o tym, że właśnie ktoś stoi na drodze albo idzie w kapeluszu. Krąży też legenda, że w jednej wsi, pod lasem, mieszkały kiedyś same diabły. Do dziś nikt nie chodzi tam w gości ani nie wybiera sobie małżonka spośród tamtejszych. Nie lubimy się i chociaż oni wcale nie przypominają diabłów, to plotka przetrwała do dziś. Trochę smutne.*

Odpowiedź 15: *Uwielbiam takie tematy! Sama wywołuję duchy i wierzę w zjawiska paranormalne, po prostu mnie to kręci!*

Odpowiedź 16: *Wywołujesz duchy? A masz jakieś wykształcenie związane z tymi klimatami?*

Odpowiedź 17: *Ciągle się w nie zagłębiam, czytam książki okultystyczne. Raczej nie planuję przyszłości w tym kierunku, bo mam już stałą i dobrą pracę, ale to zawsze będzie moja pasja. Interesuje mnie cały świat astralny.*

Odpowiedź 18: *Kocham te tematy i też wielokrotnie wywoływałam duchy z koleżankami, ale pewnego razu zamiast ducha ojca mojej koleżanki przybył demon. To było najgorsze przeżycie, jakiego doświadczyłam. Po tych zdarzeniach często widuję osoby zmarłe, ale się ich nie boję. Wiem, brzmię jak wariatka jakaś.*

Odpowiedź 19: *Moim zdaniem jesteś trochę nieodpowiedzialna, bo przez takie głupoty możesz narazić swoje dziecko na niebezpieczeństwo. Z duchami nie ma żartów!*

Odpowiedź 20: *Czytałaś o tym? Wiesz, w jaki sposób zabezpieczyć się przed demonami? Przeczytałaś na ten temat około dwudziestu pięciu książek? Przypuszczam, że nie, a ja tak, więc nie mów mi, że jestem nieodpowiedzialna! To wszystko kwestia psychiki i tego, jak się wywołuje duchy. Jeśli seans jest wykonany poprawnie, to nie ma możliwości opętania.*

Odpowiedź 21: *Nie chcę rozpętać gównoburzy, bo zaraz się zacznie wzajemne obrażanie, ale moim zdaniem dwadzieścia pięć książek to jest nic. Nie jesteś w stanie posiąść odpowiedniej wiedzy, aby się zabezpieczyć. Musiałabyś przejść nauki jako egzorcysta, żeby powiedzieć „nic mi nie mogą zrobić". Zaczęłam się jakoś o Ciebie bać…*

Odpowiedź 22: *Widzę, że masz dużą wiedzę na ten temat. Nie chciałabyś wymienić ze mną trochę info na priv?*

Odpowiedź 23: *Nie musisz się o mnie bać. Mam egzorcystę niedaleko, jest księdzem, znam go prywatnie i w razie czego na*

pewno by mi pomógł. Jeśli naprawdę wywołuje się duchy z szacunkiem, to są bardzo łagodne.

Odpowiedź 24: *U nas na wiosce nocą czasem słychać płacz dziecka.*

Odpowiedź 25: *U nas w bloku też słychać płacz dziecka, ale to nie żaden duch, tylko taki malec z kolką. Może u was na wiosce jest ten sam problem?*

Odpowiedź 26: *Nigdy nic takiego mi się nie przydarzyło. Na szczęście, bo chyba bym w portki narobiła, ale lubię czytać takie rzeczy.*

Odpowiedź 27: *Słyszałam też piękne słowa o tym, dlaczego po zmarłym dzieciątku nie należy długo płakać. Ano dlatego, że ono przy sukienusi nosi dzbanek, do którego zbiera każdą łzę rodzica, a jak tych łez jest dużo, to dzbanek robi się ciężki, chodzić trudno i biedactwo potyka się i męczy.*

Odpowiedź 28: *Boję się to czytać, ale tak mnie interesuje ten temat, że mimo wszystko czytam, a później będę się bać.*

Odpowiedź 29: *Mam to samo! Chyba się dzisiaj nie wyśpię.*

Odpowiedź 30: *Ja jestem sama od dziś, bo mąż jedzie w trasę. Śpię z synkiem, nie ma innej opcji!*

Odpowiedź 31: *U nas w rodzinie jest dziwnie, bo za każdym razem, jak rodzi się dziecko, to ktoś inny umiera. Co roku są narodziny i śmierć. Jakby w rodzinie miało być zawsze tyle samo osób, nie więcej.*

Odpowiedź 32: *Dziękuję wszystkim! Nie będę dzisiaj spać.*

Odpowiedź 33: *Kolega kiedyś mi opowiadał, że poszli z kumplami do opuszczonego domu, gdzie straszy. Jeden z nich rzucił kamieniem w okno i kawałek z tej szyby zawisł w powietrzu i nie spadł. Uciekali stamtąd bardzo szybko. Masakra.*

Odpowiedź 34: *Dobra dziewczyny, wystarczy na dzisiaj, już i tak połowa z nas nie będzie spać w nocy. Może polecicie mi teraz jakąś dobrą komedię, bo chcę sobie te duchy z głowy wybić?*

Jak sprawdzić, czy na dziecko został rzucony urok?

Kto nie wierzy, ten niech nie wierzy. A kto wierzy i coś na ten temat słyszał – proszę o info. Oczyszczanie domu ze złej energii i cokolwiek z tym związane – ochrona domu itd. – też mnie bardzo interesuje :-). Podzielcie się swoimi sprawdzonymi sposobami.

Odpowiedź 1: *Kup w aptece czarcie żebro, to takie ziele. Zrób napar i sprawdź, czy po wykąpaniu dziecka na dnie wanny zostanie osad. Jeśli zobaczysz ciemne plamy, to znaczy, że urok był rzucony, ale jego działanie ustało. Jeśli woda będzie przejrzysta, to znaczy, że uroku nikt nie rzucił. To taka stara metoda, ale sprawdzona.*

Odpowiedź 2: *Ja znam wróżkę, która się tym zajmuje zawodowo. Seans trwa zwykle czterdzieści pięć minut, ale masz gwarancję, że odczyni ci urok rzucony na dziecko. Dzisiaj każdy może zauroczyć, takie czasy! Nawet kochająca babcia może rzucić urok na wnuczka, i to całkiem niechcący. Chcesz telefon do tej wróżki?*

Odpowiedź 3: *A ty już u niej byłaś?*

Odpowiedź 4: *Ja chodzę do niej zawsze, jak czuję, że coś jest z dziećmi nie tak. I pomaga!*

Odpowiedź 5: *Moja sąsiadka prowadzi seanse energetyczne, ale nie wiem, czy specjalizuje się w urokach, czy tylko przewiduje przyszłość. Ale na bank jest w tym dobra, bo zawsze ustawia się do niej kolejka.*

Odpowiedź 6: *Ciekawe, czy jest droga?*

Odpowiedź 7: *Myślę, że bierze tyle co lekarz. W końcu ona też leczy, tylko duszę.*

Dlaczego moje dziecko nie śpi?

Czy wasze miesięczne dzieciaczki też nie spały całymi dniami, tylko wisiały na cycusiu? Jak taki bobas może nie spać przez czternaście godzin? Cały czas szuka cycusia i wkłada rączki do buzi, a jak nie jest przy cycku, to płacze. Jeśli już zaśnie ululana, to budzi się za dziesięć minut i tak w kółko. Kiedy to minie? Help!

Odpowiedź 1: *Nie pocieszę, moja ma sześć miesięcy i to samo.*

Odpowiedź 2: *Daj jej smoczek!*

Odpowiedź 3: *Nie dawaj smoczka!*

Odpowiedź autorki posta: *To mam w końcu dać ten smoczek czy nie?*

Odpowiedź 5: *Nie dawaj!*

Odpowiedź 6: *Daj.*

Żeby matka umiała korzystać z rad udzielanych przez inne matki na forum, sama musi być bardzo mądra. Czasami ręce opadają, a jakoś dalej żyć trzeba, prawda?

Mój mąż i jego koleżanki

Dziewczyny, taka sprawa. Mój mąż jest przystojny i zadbany. No i z tego powodu baby lgną do niego jak pszczoły do miodu. Zawsze miał zresztą więcej koleżanek niż kolegów. On, oczywiście, nie widzi w tym żadnego problemu i twierdzi, że jedyną osoba, która ma do niego pretensje, jestem ja sama. Być może. Ale nie wkurzałoby was to? Mój mąż nie dość, że jest przystojny, to jeszcze uprzejmy. A wiecie, jak niektóre baby to odczytują? One z nim flirtują, on przepuszcza je w tych drzwiach, kawusię przynosi, to te sobie wyobrażają Bóg wie co! Po pracy zdarza się, że mój mąż idzie z jakąś koleżanką na szybką kawę. Tak mówi. Ale wyobrażacie to sobie? Czy ja chodzę na kawki z moimi kolegami? Sama? Nawet ich nie mam. Choćbym i chciała, to brakuje chętnych. A ten mój ma ich pełno w telefonie. Dosyć tego. Kazałam mu te wszystkie Kaśki i Maryśki powyrzucać z kontaktów i zagroziłam, że jak sam tego nie zrobi, to ja się tym zajmę. Powiedziałam mu, że zamiast łazić na kawki z koleżankami, zabrałby dziecko na plac zabaw, skoro ma tak dużo wolnego czasu. To wiecie, co mi odpowiedział? Że z przyjemnością, bo ta Kaśka też ma dziecko w wieku naszego i razem na pewno będą się super bawić. Myślałam, że krew mnie zaleje.

Odpowiedź 1: *Ja to bym takiej Kaśce chyba wszystkie kłaki powyrywała, jakbym jakąś zobaczyła z moim na kawce! Serio! Jesteś bardzo tolerancyjna, kobieto!*

Odpowiedź 2: *Kiedyś, jak byłam chora, wysłałam mojego męża na plac zabaw z synkiem. W życiu już tego błędu nie popełnię. Nie wracali chyba ze dwie godziny, to w końcu zadzwoniłam, bo się wystraszyłam, że coś im się stało. A on odebrał i spytał mnie rozanielony, co się stało, że dzwonię, bo oni się świetnie bawią i teraz poszli na kawę z taką drugą mamą. Czujecie?! Samotny ojciec z dzieckiem na placu zabaw to zielone światło dla każdej matki! Rzuciły się tam podobno na niego, że niby takie pomocne i w ogóle. Myślałam, że tamtego dnia wylecę z tego łóżka z gorączką i go do domu za uszy przyprowadzę! Tak że wiecie, dziewczyny, z tym puszczaniem chłopów na plac zabaw lepiej uważać. Niech się dzieciakiem zajmie w drugim pokoju. Zawsze to bezpieczniej.*

Syndrom opuszczonego gniazda

Dziewczyny, ja wiem, że większość z was jest tutaj młoda i ma dopiero małe dzieci. Ale chciałam wam tylko uświadomić, że czas wam zleci jak z bicza strzelił. Ja też, tak jak wy, siedziałam w domu z dziećmi i nie wiedziałam, w co najpierw ręce włożyć. Gotowałam, prałam i sprzątałam. Przy dwójce chłopaków roboty było w bród. I nawet nie wiem, kiedy starszy tak szybko dorósł, dostał się na studia i wyprowadził się od nas. Jakby mi ktoś rękę odjął. No, ale był jeszcze ten młodszy. Ale i on po dwóch latach wyjechał na studia. I zostałam całkiem sama. W domu, który był zawsze gwarny, nagle zrobiło się pusto i cicho. Chodzę po mieszkaniu, zaglądam do ich pokoi i ryczę. Łzy same mi lecą, zobaczycie same, jak to będzie. Nie wiem, kiedy to się stało. A teraz moje dzieci są już dorosłe, a moje życie bez nich stało się takie puste. Jak dalej żyć?

Odpowiedź: *A ja marzę o takiej chwili, kiedy już dorosną i pójdą sobie z domu, a ja będę mogła robić, co chcę, i nikt nie będzie mi się plątał po mieszkaniu i robił bałaganu. Chociaż jak przeczytałam, co napisałaś, to faktycznie chwyciło mnie za serce. Bo mnie męczą te dzieci, wiadomo, ale żyć bez nich już bym nie*

umiała. Chciałabym tylko, żeby się kiedyś wyprowadziły. O ile do tego czasu mnie nie zamęczą na śmierć.

Gdzie są moje dzieci?!

Siedziałam na kanapie i ryczałam. Jak bóbr, jak to się mówi. Tylko czy ktoś w ogóle widział płaczącego bobra? Skąd biorą się takie powiedzenia? A może wymyślają je zdesperowane matki, takie jak ja, które pozostawione same sobie wariują z samotności? Ale od początku.

Że byłam przemęczona, to mało powiedziane. Byłam wykończona! Ale zanim to nastąpiło, przydarzyły nam się ferie. „Wolne", jak mawiają dzieciaki. Wolne, tylko dla kogo? Bo dla mnie oznaczało to przeciwieństwo wolności. Uwięziona w domu z dwójką wiecznie nudzących się dzieci wychodziłam z siebie, żeby umilić im ten czas. Chciałam, żeby te ferie spędziły jak najprzyjemniej. I to był mój błąd! Trzeba było pozwolić im siedzieć godzinami przed telewizorem albo przy grach w telefonie. Trzeba było zabrać je na frytki, a nie faszerować gotowanym kalafiorem, który przyniosła nam teściowa i którym Filip rzucał potem o ścianę.

Trzeba było zabrać je na lody, chociaż jest zima i Helena miała ostatnio zapalenie gardła. I w ogóle najlepiej trzeba było zapakować je do pociągu i wysłać w cholerę na jakieś półkolonie czy inne zimowisko. Niech się tam z nimi męczą. Obiecałam sobie, że zapłacę za to każdą cenę i następnym razem stanę na głowie, a

jakieś zimowisko dla nich znajdę. Przez dwa tygodnie ferii moje dzieci omal nie rozniosły nam domu. Omal nie wysadziły mnie w powietrze. Tak źle nie było jeszcze nigdy. Doszłam do wniosku, że albo są już za duże i ze mną się zwyczajnie nudzą, albo ja wyrosłam z niańczenia ich, z tego siedzenia w domu. Teraz wkurzało mnie już absolutnie wszystko! Może ja miałam nawet depresję? Może menopauza mnie dopadła niespodziewanie, w kwiecie wieku jeszcze?

Jedno było pewne: nie dawałam sobie rady z własnymi dziećmi.

Pod koniec ferii Piotrek przyłapał mnie na tym, że zamknęłam się w łazience i za żadne skarby świata nie chciałam wyjść. Bo bałam się moich własnych dzieci.

– Kochanie, już w poniedziałek Helena wraca do szkoły, a Filip do przedszkola, to sobie odpoczniesz. Pójdziesz do kosmetyczki czy gdzie tam sobie chcesz…

– Do wariatkowa pójdę! – krzyknęłam. – Ja tu zwariuję.

– Nie przesadzasz?

– Nie przesadzam. Jak jesteś taki mądry, to proszę bardzo, znajdź Helenie materiał na sukienkę dla lalki, tylko koniecznie w paski, bo chce jej uszyć pelerynę.

– Co chce uszyć…?

– Pelerynę. Od pierwszego dnia ferii się tym zajmuje.

– Ja nie wiem, czego oni ich teraz uczą w tych szkołach? – zapytał.

– Co chcesz, dziewczyna ma przynajmniej hobby, a ja kłopot, bo do szycia mam dwie lewe ręce i zabij mnie, ale nie wykombinuję teraz żadnego materiału, no chyba, że potnę którąś z twoich koszul. Masz jakąś w paski?

– Mam. Ale nawet się do niej nie zbliżaj, bo mam zamiar jeszcze w niej trochę pochodzić.

– Ja się chyba załamię… – jęknęłam. – Dobija mnie nawet taka pierdoła jak materiał na pelerynę dla lalki. Nawet tego nie potrafię zorganizować własnej córce. Jestem beznadziejną matką.

– Nie jesteś.

– Nie pocieszaj mnie.

– Ja po prostu uważam, że potrzebujesz trochę czasu dla siebie.

– Łatwo ci powiedzieć.

– Teraz jest weekend, to ja się nimi zajmę, dobrze?

No i się zajął.

Zabrał dzieci do teściów na całe dwa dni, zostawiając mnie samą w pustym mieszkaniu, które po feriach wyglądało, jakby przebiegała tu linia frontu. I nawet ten bałagan mi nie przeszkadzał. Czułam się w nim dobrze i bezpiecznie. Nie było Piotrka, nie było dzieci. Nie było nikogo. Byłam tylko ja. I cisza. Cisza, która wkurzała mnie jeszcze bardziej niż marudzące dzieci.

Miałam się zająć sobą, odpocząć. Usiadłam na sofie i włączyłam sobie jakiś serial. Tylko dlaczego już po pięciu minutach ryczałam jak bóbr, skoro tam nie było nic smutnego? Dlaczego wzruszał

mnie widok innych dzieci? Dlaczego wzruszały mnie rzeczy, które wzruszać wcale nie powinny? Co się ze mną działo?

Zadzwoniłam do Piotrka.

– Co u was? – zapytałam drżącym głosem, tłumiąc łzy.

– W porządku. Filip poszedł z dziadkiem na bazarek pod blok kupić sałatę.

– Sałatę?

– No tak, sałatę.

– A po co wam sałata? – Zdziwiłam się, bo w życiu nie widziałam Filipa jedzącego sałatę.

– Do obiadu – odpowiedział Piotrek najspokojniej w świecie.

– Ale przecież Filip nie lubi jeść sałaty… – jęknęłam w obawie, że przez godzinę moje dziecko zmieniło się u teściów nie do poznania.

– A kto powiedział, że będzie ją jeść. Poszedł tylko ją kupić. A Helena tłucze z moją mamą kotlety. Ty wiesz, że nawet całkiem nieźle jej to wychodzi?

– Na pewno lepiej niż mi. – Pociągnęłam nosem.

– Sylwia, znowu płaczesz?

– Nie.

– No przecież słyszę.

– Po prostu siedzę tu sama i takie jakieś głupie myśli przyszły mi do głowy…

– Miałaś odpoczywać.

– No to odpoczywam przecież.

– Może sobie poczytaj?

– Co mam sobie niby poczytać?

– Książkę?

– Też tak myślałam – westchnęłam. – Że jak w końcu pójdziecie z domu i zostanę sama, i będę mieć święty spokój, to sobie jakąś książkę poczytam.

– No i…?

– Owszem, wzięłam książkę. A właściwie książeczkę. Nie zgadniesz jaką. Książeczkę szczepień Filipa. Wyobrażasz to sobie? Zamiast się zrelaksować, postanowiłam sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyliśmy przypadkiem.

– O Jezu – westchnął do słuchawki.

– No, wiem. Jestem beznadziejna i nie umiem od was odpocząć. I jeszcze się zamartwiam, czy cało dojechaliście do teściów, bo przecież wypadki chodzą po ludziach.

– Przecież pojechaliśmy tylko na drugi koniec miasta. Ty nie przesadzasz przypadkiem?

– Oczywiście, że przesadzam! Ale nie potrafię nad tym zapanować. Martwię się o was i już. A w ogóle to wracajcie już, dobrze?

– No przecież dopiero co przyjechaliśmy!

– Ale ja nie mogę sobie miejsca znaleźć w tym… w tym domu cholernym. Ty wiesz, jak tu jest cicho?! Aż uszy bolą, aż jest mi źle i zaczęłam się tych ścian bać. Nie żartuję.

– Sylwia…

– Nie, nie przekonuj mnie. Trudno, niech wrzeszczą, niech się pozabijają, ale ja chcę mieć ich wszystkich przy sobie. Chcę ich widzieć, rozumiesz to?

– Nie.

– Proszę cię, wracajcie już.

– To może ty wsiądź w autobus i przyjedź do nas.

– Gdzie? Do twoich rodziców…?

– No tak – powiedział. – Dzieci się ucieszą. Moi rodzice zresztą też.

– No nie wiem… Przecież miałam odpoczywać.

– Nic nie będziesz musiała robić, ja wszystko pozmywam, obiecuję. A ty posiedzisz sobie z dzieciakami w ogrodzie, ulepicie razem bałwana najwyżej. I mama upiekła szarlotkę na deser.

– No to co mi dopiero teraz o tej szarlotce mówisz?! – krzyknęłam. – Już jadę. Tylko nie zjedzcie mi całej!

I tak właśnie skończyło się moje odpoczywanie od dzieci, resetowanie się po pełnym napięcia czasie, jaki dla każdego rodzica oznaczają ferie.

Byłam do nich przywiązana mocniej, niż mi się wydawało. I chociaż wiedziałam, że przy pierwszej kłótni Filipa z Heleną o jakąś niezwykle ważną pierdołę będę żałowała, że nie skorzystałam z danej mi chwili wolności, to nie umiałam postąpić inaczej. Co więcej, wybiegłam z domu i poleciałam na przystanek gnana jakąś niewidoczną siłą. Jakbym bała się tej samotności, która tak niespodziewanie na mnie spadła.

Dzieci są takie absorbujące, że wywracają nasz zorganizowany i poukładany świat do góry nogami i nie umiemy już odnaleźć szczęścia w niczym innym. Nie potrafiłam zrozumieć, jak można w ogóle wysyłać te biedne dzieci na kolonie czy inne obozy. Przecież to musi być straszne. Co gorsza, Helena nieubłaganie zbliżała się właśnie do takiego wieku, w którym wysyła się dzieci na wakacje bez rodziców. Już nam wierciła o to dziurę w brzuchu, i to od kilku miesięcy. Byłam przerażona. I właśnie teraz, kiedy gnałam na ten cholerny przystanek, wszystko mi się przypomniało. A dopiero co mówiłam do Piotrka, że może uda nam się znaleźć jakiś obóz nie dwu-, ale trzytygodniowy. Filipa mieliśmy „sprzedać" na ten czas moim rodzicom. Jaka ja byłam głupia! Przecież ja się za nimi zapłaczę! Umrę z tęsknoty za tymi moimi urwisami, rozsypię się na kawałki i nikt mnie już nie będzie umiał pozbierać.

Byłam załamana, bo chociaż wcale tego nie planowałam, i tak wszystko wskazywało na to, że nie wiadomo kiedy stałam się matką nadopiekuńczą, która swoich dzieci nie dawała nikomu z domu zabrać.

Jeszcze nie teraz, jeszcze są za malutkie i niesamodzielne…

No i przede wszystkim ja sama nie byłam na to jeszcze gotowa. I nie wiadomo, czy kiedykolwiek będę.

To straszne, ale dzieci stały się całym moim światem. Nie udało mi się zrobić żadnej kariery, co gorsza, w domu też nie byłam mistrzynią mopa i nikt nie przyznałby mi nagrody w

postaci złotej patelni za doskonałe gotowanie! Zdałam sobie jednak sprawę, że przy dzieciach, przy moich dzieciach, czułam się bardzo bezpiecznie. To one określały moje miejsce na ziemi. To wokół nich wszystko się kręciło, cały nasz domowy wszechświat. Helena była naszym słońcem, a Filip księżycem. Oni byli najważniejsi. I dla nich byłam w stanie zrobić znacznie więcej niż dla samej siebie.

Tak, byłam umordowana, niewyspana i z mocno nadszarpniętymi nerwami, ale wszystkie te życiowe niedogodności stawały się niczym, bo wszystko robiłam z myślą o nich, o moich dzieciach. I teraz, kiedy o tym myślałam, w oczach wezbrały mi łzy. Wzruszyłam się jak nigdy wcześniej. Przypomniały mi się pierwsze, nieporadne występy z okazji Dnia Matki w przedszkolu – najpierw Heli, a potem Filipka. Ryczałam za każdym razem, kiedy patrzyłam na własne dziecko w koronie z bibuły na głowie, które recytowało wierszyk przed publicznością. Płakałam ze szczęścia. I duma rozpierała moje biedne, matczyne serce. Oczu nie mogłam oderwać od moich małych artystów, którzy byli oczywiście najzdolniejsi pod słońcem.

Zwariowałam? Nie. Urodziłam dwoje dzieci i jestem nienormalną matką, bo kocham je nad życie. Nikt mnie nie ostrzegał, że tak to się skończy. A prawda jest taka, że życie kobiety kończy się z chwilą, kiedy na świat przychodzą jej dzieci. Wtedy z kobiety przeistacza się w matkę, którą pozostanie już do końca życia. Cokolwiek to oznacza.

Jestem matką i cały czas uczę się cierpliwości

Wiele lat temu od jednego z gości weselnych usłyszałam życzenia, które na długo zostały mi w pamięci. Wujek życzył mi bowiem tolerancji. Wtedy, stając na ślubnym kobiercu, nie wiedziałam jeszcze, że nauka tolerancji w stosunku do partnera czy męża jest drogą do udanego małżeństwa. Kiedy zostałam matką po raz pierwszy, moja własna rodzicielka życzyła mi cierpliwości i jeszcze raz cierpliwości. Wtedy również zastanawiałam się, co też ona ma na myśli? No bo przecież to słodkie bobo, które za chwilę będę trzymać w ramionach, w żaden sposób nie kojarzyło mi się z brakiem cierpliwości. Tego uczucia doświadczyć miałam już niebawem.

Moje dzieci były i są najukochańsze na świecie. Jak każda matka uważam bowiem, że to właśnie one są najdoskonalsze i najpiękniejsze. Czy jednak jestem aż tak zaślepiona miłością rodzicielską, że nie widzę w nich żadnych wad? Przecież są takimi samymi ludźmi jak wszyscy, czyli jakieś słabości mieć muszą. Otóż widzę wady, ale przede wszystkim u siebie. I to właśnie dar macierzyństwa uświadomił mi, najbardziej na świecie, jak wiele tych wad posiadam. Zanim zostałam matką, wydawało mi się bowiem, że jestem oazą spokoju, że wiem już prawie wszystko i co

najgorsze, że jestem gotowa wychować kolejnego człowieka. I co się okazało? Pudło! Wychowując przez lata moje dzieci, doszłam do wniosku, że, po pierwsze, nic nie wiedziałam i, co gorsza, nadal nic nie wiem o wychowywaniu dzieci, a po drugie, jestem najbardziej nerwową i niecierpliwą matką pod słońcem. No niestety. Taka prawda i trzeba to sobie jasno powiedzieć.

Co rano stojąc przed lustrem i szorując zęby, patrzę na siebie i obiecuję sobie, że oto dzisiaj obudziłam się nową matką. Żegnamy starą matkę, ględzącą i narzekającą na wszystko, by powitać mamę nowo narodzoną, wesołą i zawsze uśmiechniętą. Tak, myślę sobie, że oto czas najwyższy się zmienić. Patrzeć optymistycznie nie tylko na świat wokół, którym coraz częściej kierują terroryści, ale również na własne dzieci. Przestać im powtarzać w kółko: „Co z ciebie wyrośnie! Jak ty się zachowujesz! Ja w twoim wieku…", i tak dalej. Co ja im robię każdego dnia, wypowiadając takie teksty? Niby chcę ich zmobilizować do pracy nad sobą, niby staram się poprawić im spaczony charakter, a koniec końców okazuje się, że to właśnie nie kto inny, tylko ja sama im te charaktery psuję.

Zresztą dzieci nie pozostają mi wcale dłużne. Już nie raz słyszałam od córki, że jestem najgorszą matką na świecie, bo nie pozwoliłam jej oglądać durnego programu. A syn, widząc mnie pod bramą szkoły, wita się ze mną jakoś tak chłodno. Co innego, gdy zdarzy się, że pod szkołą zobaczy swojego tatę. Wtedy jego radość jest tak ogromna, że łzy płyną mi strumieniami. Bo tata

jest najważniejszy, wiadomo. Mama jest za często i bez przerwy wychowuje, zamiast wygłupiać się na kanapie, jak to z tatusiem bywa.

Dochodzę do wniosku, że nie dość, że brakuje mi cierpliwości w wychowywaniu własnych dzieci, to jeszcze jestem do tego straszną sztywniarą. Za dużo od nich wymagam, od siebie zresztą też. Jakby to był jakiś wyścig, jakbym gdzieś tam podświadomie chciała być najlepsza, jakby gdzieś czekał na mnie medal do zdobycia. No bo jakoś tak już jest, w tym naszym matczynym życiu wewnętrznym, że porównujemy osiągnięcia naszych dzieci do dokonań dzieci naszej sąsiadki, przyjaciółki czy siostry. No nie jest tak? I wtedy wyraźnie widać, jak bardzo jesteśmy słabe. Oczywiście udajemy, robimy dobrą minę do złej gry, no bo jakoś trzeba wyjść z tego z twarzą, prawda?

Od lat wiadomo bowiem, że dzieci innych ludzi zawsze są jakoś tak lepiej wychowane niż nasze własne. Ale czy są szczęśliwsze? Tego nie wiemy.

Może i brak mi czasem cierpliwości, może nie umiem wychować własnych dzieci na takie, co to siedzą grzecznie przez godzinę w bezruchu, ale jedno wiem na pewno: staram się, jak mogę. Robię wszystko, by niczego im nie brakowało, próbuję spędzać z nimi każdą wolną chwilę, co wcale nie jest takie proste. Nie odpowiem na ich wszystkie pytania, bo sama nie znam odpowiedzi, ale zawsze będę ich słuchać. A cierpliwości cały czas się uczę. I coś tak czuję, że ta nauka zostanie przy mnie do końca życia. I tak

pewnie nigdy nie zdobędę w tej dziedzinie świadectwa z czerwonym paskiem.

Jedno jest pewne, będąc rodzicami, uczymy się każdego dnia, bo też każdy dzień jest inny. Każdego dnia dzieci przynoszą do domu inny problem. Jednego dnia jest to kolega, który dokucza na podwórku, innego swędząca głowa z niespodzianką przywleczoną ze szkoły. Moje dzieci uczą się ode mnie tego, jak radzić sobie z problemami codzienności, a ja uczę się od nich, jak być cierpliwą i kochającą matką. I na kolejne usłyszane od nich zdanie w stylu: „Nienawidzę cię i jesteś najgorsza", odpowiadam im z ciepłym matczynym uśmiechem na ustach: „Ja także cię kocham. I nic już tego nie zmieni".

Czego i wam, kochani rodzice, z całego serca życzę.

KONIEC

Zojka nareszcie znalazła wymarzoną pracę w redakcji i liczy na odrobinę spokoju. Ale wszystko, co dobre, szybko się kończy...

Gdy początkująca dziennikarka goni za newsami, do których jeszcze nie dotarł konkurencyjny tygodnik, gorący temat trafia się bardzo blisko. Za blisko! Zaginięcie ukochanej babci sprawi, że Zojka nie cofnie się przed niczym. Zostanie klientką biura matrymonialnego, napadnie mrugającego donżuana, a nawet spróbuje... karpackiej kuchni!

W poszukiwania zaangażuje się również aspirant Chochołek, który po cichu liczy na to, że przy okazji znajdzie swoją drugą połówkę. Zojkę czekają randki w ciemno z całą galerią osobliwych podrywaczy z Wadowic, bo jej babcia przed zaginięciem podobno kogoś poznała...

Miłość można znaleźć wszędzie, nawet... w szpitalu psychiatrycznym!

Nina ma dwójkę dzieci i byłego męża. Tak jak żywioł powietrza, jest silna i niezależna, jednak nie ze wszystkim zawsze daje sobie sama radę. Zresztą kto by dawał, gdy w pracy atakuje cię szalony pacjent, twój były jest wiecznym nastolatkiem, mamusia znajduje ci nowego męża na portalu randkowym, a ty w dodatku potrącasz autem nauczycielkę swojego dziecka?

Na szczęście Nina może liczyć na wsparcie rodziny oraz przystojnego kolegi z pracy, psychiatry Jacka. Na nieszczęście obydwoje mają ten sam problem – nadopiekuńcze rodzicielki.

Ja chyba zwariuję! to romantyczna i zarazem pełna zwrotów akcji opowieść o codzienności, która daje nam nadzieję na wszystko, co najlepsze.

ZAKOCHAJ SIĘ W UROKLIWYM JAGODNIE TAK JAK TYSIĄCE CZYTELNICZEK!

Do malowniczej miejscowości w Górach Świętokrzyskich niespodziewanie trafia Lea, specjalizująca się w wyrobie biżuterii artystycznej. Chce wykorzystać w swoich projektach krzemień pasiasty – tutejszy dar natury, zwany kamieniem optymizmu. Jak zakończy się znajomość artystki z pewnym gburowatym mechanikiem, w którego ręce trafiło jej zepsute auto? Może Lea nie pojawiła się w okolicy przypadkiem?

W najnowszym tomie bestsellerowej sagi mieszkańcy urokliwego Jagodna odkryją, że nie każdy oszlifowany kamień jest cenny, a to, co wartościowe, nie zawsze się błyszczy.

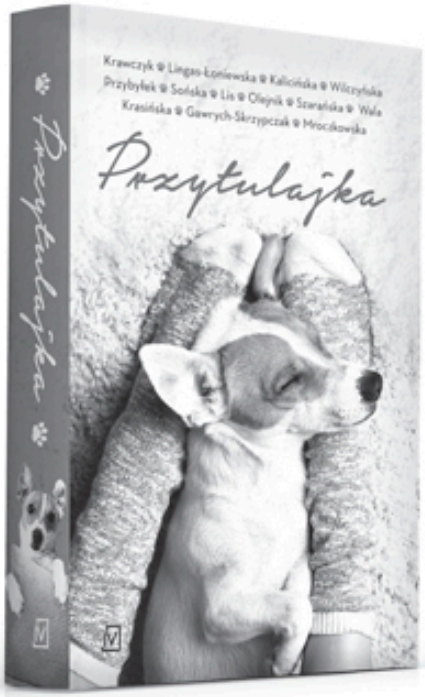
Krawczyk • Lingas-Łoniewska • Kalicińska • Wilczyńska
Przybyłek • Sońska • Lis • Olejnik • Szwarońska • Wela
Krasińska • Gawrych-Skrzypczak • Mrocikowska
Przytulajka

Lubisz się przytulać?
Autorki najpiękniejszych powieści obyczajowych stworzyły opowiadania pełne miłości do domowych pupilów.

Przygotuj kubek herbaty, ciepły koc i wtul się w nasze rozgrzewające historie.

Przytulajka to trzynaście chwytających za serce opowieści, w których psy, koty i inni czworonożni przyjaciele namieszają w życiu swoich właścicieli. Zwierzaki pomagają zatrzymać się w codziennej gonitwie i dostrzec serdeczność innych ludzi. Może miłość czeka bliżej, niż myślisz?

Ciche mruczenie, miękkie futerko, merdający ogonek i oklapnięte uszko zawsze wywołują uśmiech na twarzy.